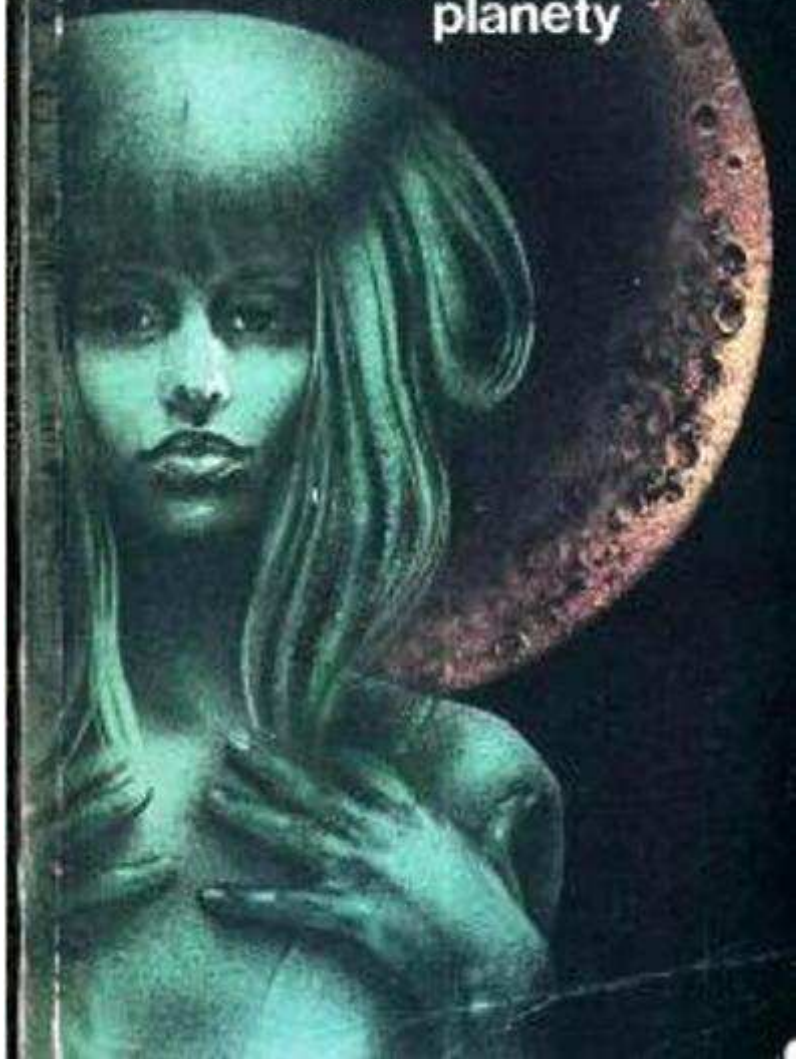


TADEUSZ KONCZYNSKI
**Kobieta z innej
planety**



TADEUSZ KONCZYŃSKI
KOBIEȚA Z INNEJ PLANETY

INSTYTUT WYDAWNICZY
ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
WARSZAWA 1986

Okladkę i kartę tytułową projektował

Andrzej Bilewicz

Redaktor

Longina Lewandowska-Borówka

Redaktor techniczny

Krystyna Ślęzak

Korekta

Zespół

ISBN 83-202-042 Wi

© Copyright by Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych.

Warszawa 1985

INSTYTUT WYDAWNICZY ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

WARSZAWA 1986

Nakład 99700+300 egz. Ark, wyd. 17,05; ark, druk. 20.

Oddano do składania w maju 1985 r.

Podpisano do druku w lutym 1986 r.

Druk zakończono w kwietniu 1986 r.

Papier offsetowy ki. III, 70 g" 61 cm.

Nr prod. Ww/853/KO/84.

Zam. 328785. P-46

ZAKŁADY GRAFICZNE „DOM SŁOWA POLSKIEGO”

W WARSZAWIE

I. TAJEMNICA WISŁY

Na moście Poniatowskiego ruch zamarł. Godzina pierwsza w nocy w Warszawie ma swoje prawa nawet na arterii potężnego ruchu, która łączy środek stolicy z Pragą i jej węzłami kolejowymi.

Obfity deszcz sierpniowy wypędził upartych spacerowiczów, którzy wiecznie snują się po wszystkich kątach Warszawy o każdej porze, nie wiedzieć po co i dlaczego.

Pod mostem sunęły ciemne, posępne fale Wisły niepowstrzymanym pędem. Błyski latarń nadbrzeżnych oznaczały długą, migotliwą linią granice żywiołu wodnego.

Posterunkowy w płaszczu gumowym szedł z wolna jezdnią, zapuszczając przenikliwy wzrok w mroczne głębie nocy. Wszędzie pustka i chlupot deszczu, ale kiedy minął najwyższy punkt mostu i zaczął zbliżać się ku Pradze, zdało mu się, że w odległości jakichś stu pięćdziesięciu kroków mignęła biała postać, która wykonała kilka nieokreślonych ruchów, po czym zniknęła mu z oczu.

Zjawia czy człowiek? Mężczyzna czy kobieta? Żaden okrzyk, żaden plusk wody nie doszedł do jego uszu, tylko jakby cień samochodu uciekał przed nim, aż rozplynął się w ciemnościach nocy. Deszcz wzmógł się i począł zacinać wydłużonymi, gęstymi smugami wprost w oczy.

Mateusz Pordoba mocniej owinął się płaszczem i głębiej na głowę zaciągnął gumową kapuzę. Niemniej od punktu, w którym błysnęła mu zjawia, nie oderwał oczu. Pomyłka czy rzeczywistość? Ileż to razy w jego praktyce służbowej drobne „nic” urastało nieraz do granic potwornej tragedii.

Szedł z wolna, uważnie. Po prawej jego stronie jakieś auto zbliżało się od Pragi w błyskawicznym tempie, badając drogę oślepiającymi smugami reflektorów. Gnało wprost na niego. Ledwie zdolała uskoczyć w bok. Minęło go. Szybkość była niedozwolona, karalna.

Miał już alarmować posterunki gwizdkiem, lecz ku swemu zdumieniu dostrzegł, że samochód przy końcu mostu zwolnił bieg, zatoczył dokładny luk i powoli jechał z powrotem, jakby siedzący w nim pasażerowie chcieli badać teren.

Coś zgubili - pomyślał posterunkowy Pordoba. - Nadjadą, pogadam z nimi. Będzie protokół.

Staął i obserwował zbliżające się auto. Ktoś z niego wychylał się nieustannie i starannie przeglądał jezdnię i chodniki. Wreszcie samochód zrównał się z posterunkowym i przystanął tuż obok niego.

- Czy pan nie zauważył czegoś podejrzanego? - zagadnął go głos nerwowy, wzburzony. - Jestem w najwyższym stopniu zaniepokojony. Zastałem w domu list i natychmiast tutaj przyjechałem.

Pordoba dostrzegł, że w samochodzie siedział tylko jeden człowiek, który go pytał. Zdjął dłoń z kolby rewolweru i podszedł do nieznanego.

- O co panu chodzi?

- Panie posterunkowy - brzmiała odpowiedź - w grę wchodzi kobieta. Czy pan dawno pełni tu służbę?

- Od godziny.

- List zastałem w domu przed chwilą. Służący mówił, że podał go szofer, który odjechał następnie z pewną osobą. Jest temu jakie pół godziny.

Pordoba począł badać nieznanego.

- Co ma wspólnego list z mostem Poniatowskiego?

- Osoba, o którą mi chodzi, zostawiła list tak zagadkowy, że natychmiast tu przyjechałem.

- Dlaczego tutaj?

- Bo w liście były tylko trzy słowa, napisane znanym mi charakterem.

- Jakie słowa?

Nieznamy zawahał się, wreszcie rzekł stłumionym głosem:

- Napisała słowa: „Pamiętasz miesiąc temu?”. A miesiąc temu byłem z nią tutaj i wówczas zagroziła mi, że się utopi.

Pordoba obejrzał się za siebie. W mózgu przemknęło mu wspomnienie zjawiska.

- Przypuszcza pan - zapytał - że tu przyjechała samochodem? A potem co?

- Po prostu wynajęła samochód - oświadczył przybysz. - Kazała oddać list mojemu służącemu, potem tu przyjechała, odprawiła szofera, a potem... czy ja wiem... Jestem do głębi wzburzony. Ta istota zdolna jest do wszystkiego.

- Jak była ubrana? - rzucił pytanie Pordoba.

- Miała na sobie biały sweter. Spinała go zwykle szmaragdową broszą. Przepraszam. To do rzeczy nie należy, lecz mnie po prostu myśli się płaczą. Panie posterunkowy, zatem nie dostrzegł pan nic podejrzanego? Jestem wstrząśnięty do głębi. To przecież niemożliwe, aby ona... to niemożliwe.

Pordoba mruknął przez zęby.

- Niech mię pan podwiezie sto pięćdziesiąt kroków. Licho wie. Nie pierwsza, nie ostatnia.

- Czy pan co dostrzegł?

- Niech mię pan podwiezie. Zobaczymy.

Deszcz rozpętał się na dobre. Na kilka kroków nie było nic widać.

- Niech pan jedzie lewą stroną ku Pradze - komenderował posterunkowy. - Krok za krokiem. Jeżeli mnie wzrok nie mylił, to może coś się z tego wykluje. Licho nie śpi.

Nieznanemu drżały ręce. Położył je na kierownicy.

- Po lewej stronie nie wolno - rzucił uwagę.

- Musi być wolno - odparł Pordoba zniecierpliwionym głosem. - Rozświeć pan reflektory i jedź pan, jak powiedziałem.

Samochód potoczył się naprzód w ulewie. Pordoba śledził uważnie każdy metr kwadratowy chodnika i barierę mostu.

- Ostrożnie, powoli - upominał. - Diabli nadali deszcz.

Mimo ulewy wychylił się, aby lepiej móc badać teren. Ujechali już sto pięćdziesiąt kroków. Pordoba nagle syknął. Nic nie mówiąc, silnie ścisnął rękę nieznanego aż do bólu. W gęstej plusze dostrzegł białawą smugę.

- Stać. Mam.

Wyskoczył z wozu jednym susem. Na jezdni leżał biały sweter złany deszczem. Mokra, biedna szmatka kobieca. Pordoba przesunął

ręką wzdłuż kołnierza - natrafił na broszkę. Podeszedł do światła latarni samochodowej. Obejrzał ją dokładnie. - Szmaragdowa, zgadza się - mruknął sam do siebie.

Nieznajomy obserwował go z przerażeniem. Zdawało mu się, że wszystko to, co się stało i co się teraz dzieje, jest czystą halucynacją. W głowie wirowały mu bezładne myśli. Załkał. Głowę oparł na kierownicy, drżąc w febrze nerwowej.

Posterunkowy obejrzał dokładnie sweter. W prawej kieszeni znalazł niezapieczętowany list. Litery adresu, pisanego niebieskim atramentem, wydłużyły się pod wpływem deszczu w arabeski fantastyczne. Przeczytał napis: „Do tego, który wie wszystko...”

Zatkało go w gardle. Pordoba przeżył już tyle wstrząsających wypadków, tyle łez i krwi spłynęło na jego oczach, że nawykł do nieszczęścia ludzkiego i nie przejmował się nim wiele, lecz tym razem smutek tragedii kobiecej poruszył go do głębi swą niewypowiedzianą prostotą. Nic nie mówiąc, usiadł w samochodzie obok nieznajomego, który pogrążył się w ponurym milczeniu.

- Zaświeć pan - rzekł Pordoba jak mógł najłagodniej, choć zwykle głos jego brzmiał szorstko. - Muszę ten list przeczytać. Może dowiemy się czegoś bliższego.

Mokry sweter położył ostrożnie na kolanach, po czym w świetle latarki elektrycznej wyjął list, uważając, aby go nie rozerwać. Wilgotna kartka papieru miała swoją przejmującą wymowę. Czytał powoli:

„Życie zaczyna się i kończy tajemnicą. Jeśli otacza je pustka, to jego tajemnica jest tym ciekawsza. Chcę ją poznać. Może wówczas dowiem się, jaka była właściwie treść mego życia i czy ta pustka, z której odchodzę, była moją, czy jego winą. B.”

Za mądre - pomyślał Pordoba. - Jakaś przerafinowana dama...

Nastąpiło długie milczenie. Nieznajomy podniósł głowę. Oczy miał na pół przymknięte. Nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Drżał na całym ciele. Zęby szczękały jedno o drugie.

Pordoba obserwował go spod oka. Delikatność, której zwykle nie dawał do siebie dostępu, nie pozwalała mu zadawać na razie dalszych pytań. Powinien był go wylegitymować. Tego jednak nie uczynił. Na to był jeszcze czas. List złożył starannie i schował wraz

z kopertą do książeczki służbowej. Następnie, wycisnąwszy wodę, zwinął sweter i wcisnął go w róg siedzenia.

- Niech pan chwilę poczeka - wycedził przez zęby, nadając sobie pozór całkowicie opanowanego służbisty. - Muszę jeszcze stwierdzić, czy nic więcej po niej nie zostało. A nuż. Piekielna ulewa.

Wygramolił się z auta i wszedł na chodnik, oglądając bacznie miejsce, w którym znalazł sweter. Tuż obok żelaznej balustrady dostrzegł szpilkę. Podniósł ją i schował do kieszeni. Obejrzał starannie poręcz, na koniec wychylił się, aby rzucić po raz ostatni wzrokiem w otchłań wodną, która zda się podniosła swą złowrogą powierzchnię tuż pod arkady mostu. Strugi deszczu wiązały się z nią, tworząc przeraźliwe kłębowisko.

Runęła tam jak kamień - pomyślał Pordoba.

Tymczasem nieznajomy otrząsnął się z apatii. Pierwszy wstrząs nerwowo minął. W mózgu przebiegł myślami wszystkie momenty od wyjazdu z domu aż do rozmowy z posterunkowym.

Nikt jej nie zna w Warszawie - drapieżna myśl przeszła jego mózg. - Jeśli odkryją moje nazwisko, zaczniesz się łańcuch nieobliczalnych następstw. Wszak znalazłem się na jej drodze tylko przypadkowo... raczej na marginesie jej życia...

Zamajaczyły mu w głowie: wspaniała willa, salon z kosztownymi meblami i obrazami, lampa płonąca na spirali wężowej. Zamigotały mu w oczach dwie jasne główki dziecięce, śpiące rozkosznie, i pochylona nad nimi głowa kobiety szlachetnie rzeźbiona. A dalej wielki, sześciopiętrowy budynek Akcyjnego Towarzystwa, luksusowy gabinet, mnóstwo podjeżdżających aut - pęd milionowych interesów.

I on nagle w jakiejś romantycznej awanturze. Lęk wstrząsnął nim do głębi.

Uciekać! - błysnęła w jego mózgu myśl raz jeden i drugi. - Uciekać! Jeszcze nikt nie wie, kto jestem.

Pochylił się nad kierownicą, rzucił wzrokiem ku balustradzie mostu, na której leżał przechylony posterunkowy.

A gdy wykryją, kto jestem? - zadał sobie pytanie właściciel auta. - To dlaczego uciekłem? Jest wytłumaczenie: paraliż woli, wzburzenie

psychiczne. Mogę wreszcie schronić się do sanatorium. I tak lekarze wysyłają mnie na kurację. Skorzystam z pozorów. Uciekać! Uciekać! Muszę. Muszę za każdą cenę!

Powoli, ostrożnie wprowadził samochód w ruch. Ulewny deszcz pokrywał wszelki szmer. Potężny wóz potoczył się bez szelestu po śliskiej jezdni i z wolna przyspieszał tempo... Pogasiły w nim światła. Wreszcie znikł w ciemnościach jak mara.

Właśnie Pordoba ukończył swoje poszukiwania, kiedy jego czujność wzbudził łoskot innej maszyny, pędzącej od strony Pragi. I tym razem samochód gnał z nadmierną szybkością. Ogarnęła go złość na ludzką bezwzględność. Byle sobie dogodzić, a drugi niech ginie.

Nie spostrzegając, co się stało z nieznajomym, wybiegł naprzód i strzałem danym w powietrze zaalarmował jadących. Ale samochód nie zważał na niego. W piorunującym tempie minął Pordobę i pomknął w stronę Warszawy. Huk strzału wchłonęła w siebie nawałnica, która rozpętała się na dobre.

Teraz dopiero posterunkowy spostrzegł z przerażeniem, że auto z nieznajomym zniknęło bez śladu. Zaklął siarczyście. W książeczce służbowej został mu tylko list denatki, koperta.

A to kant - pomyślał z wściekłością. - Ulitowałem się nad łobuzem, nie wylegitymowałem go od razu, a on wypłakał się i uciekł... Już ja go dostanę w swoje ręce. Wtenczas z nim inaczej potańczę.

II. NIEUBŁAGANA RZECZYWISTOŚĆ

Nieznajomy ostrożnie wjechał do ogrodu swej willi. Stary Jakub, który otwierał bramę, pokiwał głową, lecz nie odezwał się ani słowem, widząc, że pan jest mocno zafrasowany. Pomógł mu przy wprowadzeniu samochodu do boksu i czekał milcząco, czy otrzyma jakiś rozkaz, czy nie.

- Jakub może iść spać - padło zlecenie. - Muszę jeszcze sprawdzić, co się stało z akumulatorem. Reflektory nie chciały się palić.

- Właśnie - oświadczył stary sługa. - Aż się przeląknę, że jaśnie pan jechał bez światła.

- Głupstwo! Ale, ale. Czy ten szofer, który przywiózł list, nie zgłosił się przypadkiem później?

- Nie, tylko zapomniałem na amen powiedzieć, że spieszył się bardzo. Na odchodnym mówił, że jedzie na Dworzec Gdański i że mu jest bardzo pilno.

- Na Dworzec Gdański?

- Tak gadał.

- Dobrze już, dobrze. Możecie iść spać.

Jakub odszedł wolnym krokiem do swojej odźwierni, w której mieszkał przy bramie już od lat kilkunastu.

Przybyły obejrzał się dookoła, zapalił lampkę elektryczną i wszedł do auta. Mokry sweter, wciśnięty w róg siedzenia, uderzył go w oczy. Zadrzał.

Posterunkowy ma zatem tylko list i kopertę - pomyślał. - A to trzeba spalić. Numeru samochodu nikt nie mógł zanotować, bo go zdjąłem.

Zwinął jeszcze mocniej sweter i włożył go do kieszeni wewnętrznej płaszcza. Następnie wyjął spod siedzenia numer samochodu i umocował go na zwykłym miejscu.

Kroplisty pot wystąpił mu na czoło. Dopiero po tym momencie

w błyskawicznym skrócie myśli ocenił całą straszliwą odpowiedzialność, którą wziął na siebie od chwili ucieczki z mostu.

Ocieżałym krokiem powlókł się do willi.

Nad drzwiami wejściowymi paliła się lampka, rzucając silne światło na mosiężną tablicę, przybitą na drzwiach:

„Janusz Rosławski,

Dyrektor Spółki Akcyjnej Zakłady Wiertnicze”.

Błyszczące litery migotały natarczywie, przypominając mu nieubłaganą rzeczywistość. Ani jedna z nich inaczej brzmieć nie mogła, wszystkie wołały głośno, iż nie jest w stanie nic zmienić z tej ustalonej prawdy życiowej, w której tkwił.

Wyjął klucz i ostrożnie przekręcił go w zatrzasku. Wszedł, nie zapalając światła w przedsiönku. Oświetlał sobie drogę latarką kieszonkową.

W ciężkim fotelu spał twardo służący Jan, chrapiąc głośno. Czekał na powrót swego pana.

Rosławski na palcach przeszedł obok niego, minął kilkoro drzwi w korytarzu. Żona i dzieci spały na górze. Nasłuchiwał przez chwilę, czy nie posłyszycy jakiegoś szelestu. Maria nieraz długo w nocy czytała. Ale żadne echo nie doszło do jego uszu.

Teraz skręcił w bok, pchnął pierwsze drzwi, stanął na progu swego gabinetu. Drzwi zamknął za sobą starannie. Zapalił światło, zaciągnął ciężkie kotary wiśniowe w oknach, po czym padł na pierwszy spotkany fotel.

Całkowicie opuściły go siły. W mózgu wirowały rozpalone myśli jedne za drugimi. Błyskawiczny bieg wypadków zaskoczył go i osaczył.

Popełnił szaleństwo. Wiedział o tym. Pogmatwał sprawę, która mogła w swoim własnym rozwoju nie mieć dla niego żadnych następstw albo co najwyżej takie, jakich tysiące codziennie wydarza się w świecie.

Jeden oszalały refren wracał nieustannie do jego mózgu:

Dlaczego to się stało??? Dlaczego?

W tej chwili nadbiegły myśli inne:

Szofer spieszył się na Dworzec Gdański? Co to ma znaczyć? Czy

Blanka miała przedtem zamiar wyjechać z Warszawy, a potem nagle zmieniła plan? Ale ten list? Jego treść?

A może chciała zatrzeć ślady prowadzące do mnie? Szofer oddał list tutaj. Gdyby więc ten sam człowiek zawiózł ją na most Poniatowskiego, wszystko byłoby wykryte. Jutro, dowiedziawszy się o jej śmierci, podałyby mój adres i tok sprawy byłby bezapelacyjny.

Zatem może ona - szukał w mózgu środków ratunku - kazała jechać najpierw na Dworzec Gdański, tam go zapłaciła i innym samochodem pojechała na most? Wszystko na to wskazuje - próbował wytłumaczyć sobie splot wypadków - przecież nawet pełnego imienia nie podała w liście, tylko literę. B.

Nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Dygotał na całym ciele.

Strach człowieka, który nagle traci wszystkie nagromadzone w ciągu życia wartości - który nagle bez maski ma stanąć oko w oko ze społeczeństwem. Uważany był za świecznik tak pod względem socjalnym, jak i moralnym, a teraz oskarżony o zbrodnię ma zwalić się w błoto jak marny ogarek... Obudziło to w nim instynkt samobrony za wszelką cenę.

Egoizm zadraśnięty do głębi wypełniał całą jego istotę. Wszelkie inne względy odpadły. Zamarły w nim wzruszenia, zamarła ludzkość, zamarły drogie wspomnienia.

- Szalona! Bezczelna! - jęknął przez zęby.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że w kieszeni przyniósł sweter Blanki i że wczoraj właśnie Jakub spalił w piecu mnóstwo niepotrzebnych papierów, z których czyścił biurko.

Popiół powinien być jeszcze - pomyślał. - Nikt go nie mógł usunąć. Będę mógł spalić sweter bez żadnego podejrzenia.

Podniósł się ciężko i podszedł do pieca. Obejrzał dokładnie sweter, odpiął szmaragdową broszę i wsunął ją do kieszeni. Otworzył drzwiczki. Zajrzał. Czarne strzępy spalonych papierów wypełniały całe wnętrze.

Zawinął sweter w plik gazet, wsadził do pieca i podpalił.

Wkrótce buchał ogień. Syk palącej się mokrej materii mówił o ciężkiej pracy ognia. Szczypcami podniósł w górę nieszczęsne okrycie Blanki, które z trudem płonęło, i podsyczał ogień nowymi

masami papierów, pilnując, aby zetlały dokładnie wszystkie tkanki ubrania.

Wreszcie odetchnął. Sweter zamienił się w garstkę popiołu. Jeszcze jedna warstwa spalonych gazet i wewnątrz pieca przybrało poprzedni wygląd.

Nagle w ciszy zagrał dzwonek telefonu! Podszedł ostrożnie i zdjął słuchawkę.

- Halo!

Milczenie. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Wrócił do roboty. Zamknął starannie drzwiczki pieca. Wytań rączkę mosiężną na wszelki wypadek. Kto wie, czy przedstawiciele władzy nie wpadną na myśl, aby zrobić zdjęcia daktyloskopijne z tej nieszczęsnej rączki.

Potworny niesmak ogarnął jego duszę. Zaciął wargi aż do bólu.

Chwytał się na wypełnianiu czynności, jak gdyby dokonał włamania.

On! Inżynier, dyrektor, luminarz!

Ale instynkt samoobrony pracował dalej. W kieszeni miał szmaragdową broszkę. Posterunkowy oglądał ją starannie. Musiał ją dobrze zapamiętać. Rosławski pomyślał, że najlepiej będzie zakopać ją rano w ogrodzie. Tymczasem trzeba ją ukryć w skrytce biurka, o której nie wie nikt - nawet żona ani służący. Tylko on jeden umie ją otwierać.

Przesunął w bok niewidoczną zasuwkę drewnianą, która stanowiła część rzeźbionej listwy, i otworzył górną szufladę, a wówczas w boku ścianki otworzyła się mała skrytka. Na jej dnie leżał pakiecik związany fiołkową wstążką. Pamiętnik Blanki! Wspomnienie przeszło mózg Rosławskiego.

Miesiąc temu wręczyła mi go do przechowania. Dałem słowo, że nigdy nie zajrzę do niego, dopóki nie rozstaniemy się zupełnie. Tłumaczyła mi, że nie chce, aby notatki wpadły w ręce profesora Gordona.

Machinalnie włożył broszkę do skrytki, po czym ze wzruszeniem wyjął pakiecik, zawierający spowiedź jej miłości. Był już zwolniony ze słowa. Wszak rozstali się na zawsze.

Opadły go wyrzuty sumienia.

Tak wielkiej miłości nie zaznasz już więcej - podszeptał mu ból. - Blanka była niezwykłą kobietą! A ty co uczyniłeś dla niej? - przemknęła myśl rozdrażniona. - Jak jej się odwdzięczyłeś? Cha, cha, cha! Drżysz ze strachu, aby władze nie złapały dżentelmena i nie skompromitowały go. Tymczasem jej cudne ciało unoszą nurty Wisły w dal, precz od miejsca jej udręczeń.

Ogarnęło go niewypowiedziane zgnębienie. Nie mógł oderwać oczu od związanych kartoników, w których kryła się tajemnica jej nieszczęsnej miłości, a może nawet odpowiedź na wszystkie dręczące go pytania...

W tej chwili zadzwieczał powtórnie telefon. Rosławski osłupiał.

O tej porze? Minęła północ? Wziął słuchawkę do ręki, zmienił głos.

- Kto mówi? Czego? - rzucił niecierpliwie.

- Czy pan inżynier Rosławski? - zabrzmiał altowy głos kobiecy.

To nie głos Blanki - zdał sobie sprawę.

- O co chodzi? - rzekł opryskliwie. - O tej godzinie dzwonić do kogoś...

- Przepraszam najmocniej - ten sam głos zabrzmiał w telefonie.

- Proszę jednak uprzejmie odpowiedzieć, czy mówię z dyrektorem Rosławskim?

- Być może - odparł - lecz jeszcze raz pytam, o co chodzi?

- Czy pan może mi powiedzieć, gdzie obecnie znajduje się Blanka? Jestem o nią w najwyższym stopniu niespokojna.

Dyrektor zdrętwiał. A więc jest ktoś w Warszawie, kto zna ich tajemnicę i numer jego telefonu.

- Niech pan nie lęka się ze mną mówić - zadrgała prośba w aparacie. - O naszej rozmowie nikt nie będzie wiedział, cokolwiek bądź stało się tej nocy. Ja również nie życzę sobie stać się pastwą ciekawości ludzkiej. Ale chodzi o Blankę. To istota bardzo ekscentryczna i nieobliczalna. Przeszła przez życie mego męża jak niszczący meteor. Zapłacił życiem za jej urok. Ale gdy ją bliżej poznałam, stałam się jej przyjaciółką. To nie ona stwarza tę potworność dokoła siebie. To ludzie, którzy ją spotykają, stają się wbrew jej woli przyczyną tragicznego splotu wypadków.

- Nie rozumiem - usiłował przerwać rozmowę.

- Niech pan nie gniewa się na mnie - łagodny, drgający wzruszeniem głos błagał ponownie. - Jej osoba łączy nas oboje. Wczoraj Blanka przypadkowo wymieniła mi pańskie nazwisko, mówiąc do mnie z naciskiem: „Ten człowiek mógłby stać się moim zbawieniem. On jeden mógłby mnie uwolnić spod władzy profesora Gordona”.

- Dobrze, łaskawa pani, lecz ja nie uczęszczam na seanse profesora Gordona.

- Przecież ani pan, ani ja - popłynęła odpowiedź - nie mamy tego na myśli. Tu chodzi o życie pięknej duchowo kobiety. O jej dalszy los. A ja w tej chwili jestem wprost przerażona. Była taka wczoraj tajemnicza, taka smutna. Prosiła mnie, abym czekała na nią na Dworcu Gdańskim, bo musi nagle wyjechać, a chce się ze mną koniecznie pożegnać. Czekałam na próżno na dworcu. Pojechałam do pensjonatu, w którym mieszkała. Tam mi powiedziano, że istotnie wyjechała na Dworzec Gdański. Wróciłam jeszcze raz. Wypytywałam ludzi. Łatwo ją zauważyć, nikt jednak jej nie widział. Stało się zatem coś, czego nie rozumiem. Dlatego odważyłam się zatelefonować do pana. Bardzo przepraszam, lecz niech mnie tłumaczą okoliczności wyjątkowe.

Rosławski zawahał się. Poczł dziwną sympatię do tej nieznaney kobiety, która wdarła się do jego gabinetu z dalekiej przestrzeni i w chwili, kiedy drży z niepokoju całe jego jestestwo, snuje z nim wątek niezwyklej rozmowy.

Przerwać dialog czy nie? Zaufać czy bać się? Udać przypadkowego znajomego Blanki czy być otwartym? - takie pytania dzwoniły mu w mózgu przenikliwie.

Ostrożność przemogła w nim sentyment. Człł, że oplątują go macki tajemnicze, które przekształcają rzeczy proste w niewymierne, i że on może się w nich pogubić. W głowie miał szum. Wrażenia gwałtowne jedne po drugich uderzały w niego zmienną falą. Nie! Nie! Wyrwać się! Wyrwać! - wołał w nim instynkt samoobrony.

- A więc? - zabrzmiał ten sam głos w słuchawce.

- Łaskawa pani - z wahaniem odparł Rosławski - znam tak mało

szczegółów tej zagadkowej sprawy, że moje wyjaśnienia nie na wiele się przydadzą. Przypuszczam, że obawy pani są przesadne i dlatego...

Nie dokończył, bo w tej samej chwili usłyszał w słuchawce okrzyk przerażenia nie dla niego przeznaczony.

- Skąd się tu wzięłeś, profesorze?! - wołała nieznajoma do kogoś, kto widocznie niespodziewanie zjawił się u niej. - Jakim prawem?! Proszę natychmiast wyjść! Przecież to nie halucynacja! Przecież to pan we własnej osobie!

Nagły brzęk jakby rozbitej szyby dobiegł jeszcze do uszu inżyniera i równocześnie kontakt został przerwany.

Rosławski długo trzymał słuchawkę przy uszach - machinalnie, bez ruchu, aż wreszcie odłożył ją powoli, ostrożnie. Przeróżliwy krzyk nieznajomej brzmiał w jego mózgu, zapierając mu oddech i napędzając rozpaloną krew do głowy. Tam w tym dalekim, nieznanym mu pokoju rozegrała się jakaś koszmarna scena. Miał wrażenie że czyjaś lodowata ręka powoli przesuwana się po jego czaszce, zamrażając w nim krew.

III. PAMIĘTNIK BLANKI

Czuł, że wpada w głąb niesamowitych wypadków. On - Rosławski - człowiek praktyczny, realny, który unikał instynktownie wszelkiego zetknięcia się ze zjawiskami nie dającymi się wytłumaczyć rozumem, który wiódł dotychczas życie ujęte w ramy ściśle określone zarówno w dziedzinie tak zwanych uczuć miłosnych i rodzinnych, jak i w obrębie stosunków socjalnych, odkąd poznał Blankę, został wciągnięty w orbitę wstrząsających zdarzeń i przejawów życiowych, niewymiernych z punktu widzenia czysto logicznego.

Dotychczas wszystko to, co przeżywał i doznawał w zetknięciu z tą osobliwą istotą, choć uderzało go swą tajemniczością i niezwykłością - nie wytrącało go jednak ze spokoju olimpijskiego, którym imponował całemu otoczeniu.

Również co było mu obce, dziwaczne i niepokojące, określał jednym słowem: awantura! Bawił go kontrast, lecz nie wzruszał. Bawiła go niesamowitość zdarzeń, jak bawiły go w dzieciństwie cudowne opowiadania „z tysiąca i jednej nocy”.

Ale teraz ów żart życiowy przybrał nagle kształty fantastycznej, tragicznej potworności, która go wytrąciła z równowagi i od kilku godzin gnała w wir koszmarnego nieprawdopodobieństwa.

Wywracały się w nim wszystkie bariery jego naturalistycznego światopoglądu i na szmaty rozpadały się ustalone dewizy życiowe.

W mgnieniu oka stał się rozbitkiem, który drżał, wyrzucony z posad swojej pozycji obronnej i zwycięskiej. „Awantura” przekształciła się w bolesną tragedię, pędzącą w huraganie wypadków ku nieznanemu przeznaczeniu.

Wzrok jego umęczony padł na pakiecik związany fiołkową wstążeczką. Drgnął. Pamiętnik Blanki!

Tam znajdziesz klucz do tej tragicznej zagadki - podszeptęła

mu myśl wylękniona. - Czytaj! Badaj, nim cię zadławi odmęt, który cię niesie na swych falach.

Przybliżył lampę stojącą na biurku, rozwiązał wstążkę, która lśniła w jego palcach mocnym, ciepłym kolorem, i powoli, ostrożnie wziął do ręki pierwszy kartonik, zapisany drobnymi, równymi literami. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że są to jakby czarne muszelki, ułożone na brzegu morza uderzeniami potężnego przyływu.

Było tych kartoników - o złotych obrzeżach, z wyciśniętym w prawym rogu monogramem B.M. - kilkadziesiąt. W drugim rogu kartoniku wpisane było literkami jak mak drobnymi dwa imiona: „Janusz”, niżej „Robert”.

Zadrzał. Zajrzał do dalszych kartek. Wszędzie na rogach wypisane były te dwa imiona.

Zamknął powieki. Serce zaczęło bić w nim zmiennym rytmem.

A więc tych kilkadziesiąt kremowych kartek napisała o mnie - poświęciła mojej osobie - ona, ta urocza bogini, za którą oglądali się z tęsknotą wszyscy mężczyźni, w której kochali się najbardziej wyrafinowani i wystudzeni artyści!

Ona jego tak wyróżniła - ta kobieta z tej innej rzeczywistości, której się bał, której nie uznawał.

Co jednak znaczy - zastanowił się - to drugie imię? Jaka to znowu tajemnica? Jaki Robert?

Jak podsądny, który nie wie, co za wyrok zapadnie w sprawie niezwykle zawilej, a grożącej mu ciężkimi karami, podniósł do oczu pierwszy kartonik. Pismo sprawiało mu trudność w czytaniu. Było zbyt drobne. Wzrok zawodził. Wziął szkło powiększające i teraz począł powoli studiować jej spowiedź, spisaną linijkami czarnych liter.

Zakopane, 13 lipca.

Przybył do pensjonatu naszego nowy letnik, inżynier Rosławski. Przez kilka dni rozmawialiśmy o wielu obojętnych rzeczach. Zdaje mi się, że mnie pilnie obserwował.

Pewnego dnia powiedział jedno szczególne zdanie, które brzmiało zupełnie inaczej, jak tysiące zdawkowych uwag i pochlebstw, jakimi częstują mię codziennie znajomi i mało znani.

Powiedział, że ja nie mieszcza się w rzeczywistości dnia codziennego, że jestem zagadką, którą tylko albo anioł, albo szatan rozwiąże.

Jest to przedziwna prawda o mnie. Jak on to wyczuł? Mógł to być frazes powtórzony z książki jakiegoś dobrego autora, lecz ten pan (którego nazywam od pierwszej chwili po imieniu, naturalnie w moim pamiętniku, jakbym go już znała długie lata) - ten pan Janusz jest przecież doskonale odrobioną bryłą trzeźwości i porządku praktycznego. Taki pan takich frazesów nie powtarza nigdy, bo by się wstydził ich brzmienia. To tylko mogło wybłyśnąć z niego mimo woli.

Rosławski przetarł czoło. Zamajaczyła mu w oczach sylwetka Blanki. Uwagi jej godziły w jego ambicję. Czytał dalej chciwie:

W jego mózgu - pisała w pamiętniku - musi być utajona komórka podświadomej, silnej intuicji, zdolnej wgryźć się w najsubtelniejsze problemy, które nie mają nic wspólnego z jego egoizmem życiowym i z jego marszrutą zrównoważonego, statecznego obywatela.

Jest to biznesmen, nowoczesny Fenicjanin, który nie wie o tym, że drzemie w nim potęga chaldejskich kapłanów. Dobrze, że profesor Gordon jeszcze nie zna go osobiście. Byłby o niego piekielnie zazdrosny. Czułby w nim wroga, który mógłby mu popsuć dalsze doświadczenia naukowe.

Śmiałabym się, gdyby pewnego dnia ten Fenicjanin warszawski i ten biznesmen stateczny wziął w rękę małą walizkę ze skóry rekina, zniknął ze swej rzeczywistości, napelnionej 100-procentowym materializmem, i stał się nagle magiem wędrownym...

Takich magów trzeba nam jak najwięcej, bo oni wszyscy dławią się rozpalonym powietrzem bezdusznych interesów, lecz mimo to stawiają kolejno pomniki wielkim i małym tego świata za to, że byli porządnymi producentami towarów i rasy ludzkiej, choć ani o jeden milimetr nie zbliżyli ludzkiego szczęścia do szczęścia nieprzemijającego - szczęścia z tamtego brzegu.

Janusz jako mag nowoczesny! O ironio! Co by jego żona i dzieci powiedziały, jeśli je ma, a musi je mieć, bo to schodzi się całkiem z jego sylwetką.

Rosławski uśmiechnął się mimo woli. Pisała o nim gorzkawe prawdy. A więc ona miała o nim takie dość złośliwe wyobrażenie od pierwszej chwili! A więc przenicowała go od stóp do głowy!

On, Rosławski, porządny obywatel warszawski jako mag z walizką ze skóry rekina - koniecznie rekina - w drodze do szczęścia z „tamtego brzegu”...

Co ona rozumie pod szczęściem z tamtego brzegu? - zamyślił się na chwilę. - Czy to zwykła przenośnia, która nic nie znaczy, ot, brzmienie dla brzmienia? Czy to coś, co z jej głębszej natury wypływa i jest prawdziwą tęsknotą, przeciwstawiającą się niedoskonałości współczesnego życia?

Zastanowił się. Chwytał się na odskokach od swego zwykłego sposobu myślenia. Wkraczał w dziedzinę pojęć, do których odnosił się z dużą dawką ironicznego krytycyzmu. Praktyka życiowa wykształciła w nim do potęgi zmysł trzeźwości „niezawodzącej nigdy”, wszystko inne poza tym obrębem mogło mieć najbardziej nawet ułudne wabiki, lecz on to określał jednym słowem: chimera!

Przez chwilę skupił uwagę na nazwisku profesora Gordona. Wiedział, że Blanka była pod jego władzą bezwzględna. Ale te doświadczenia naukowe? Jakie doświadczenia?

Uśmiechnął się wzgardliwie.

Wziął drugi kartonik do ręki. Drobne, zbite w kolumny litery parły naprzód i wdrażały się w jego mózg z przenikliwą mocą.

Czytał:

Zakopane, 18 lipca.

Ogarnia mnie niepokój, lecz nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Czyżby Rosławski wywarł na mnie większe wrażenie, niż bym mogła przypuszczać?

To niemożliwe! A jednak... A jednak jego sposób mówienia, Jego spostrzeżenia, wybuchające jak nagle błyski światła z jego arcytrzeźwej natury, mówią mi o nim rzeczy zdumiewające. Zwłaszcza na wycieczce, kiedy wyrwie się ze zgrai ludzkiej, z tego dzikiego zamętu przyziemnych interesów, o których wszyscy

wciąż mówią, choć im się zdaje, że nie mówią - zmienia się Janusz nie do poznania.

Czyż przyroda górską, czyżby owa bezpośrednia styczność ludzkiego „ja” z czarującą emanacją wszechświata tak pobudzająco działały na jego psyche, że ta nastawia się na tony zwykle mu obce?

Jestże w nim dwóch ludzi? Dwie twarze duchowe?

Byłabym przerażona, gdyby to mój bezpośredni wpływ tak na niego oddziaływał rewolucyjnie! Wszak on w rozmowach ze mną na wysokich przełęczach górskich burzy podstawy tego właśnie życia, które jest jego bożyszczem na co dzień.

Boję się, aby rozdźwięk wewnętrzny w Rosławskim nie przybrał napięcia tak tragicznego, jak się to stało z mężem Henryki, który uroił sobie, że ja jedna mogę wyprowadzić go z matni życia pospolitego, że ja tylko jedna mogę być jego Beatrycze! A kiedy nie mogłam podzielić z nim stołu i łoża - szalony kupił brauning i pod progiem mego mieszkania...

Odtąd idzie za mną przekleństwo tej chwili! Edward nie miał żadnej słuszności! Nie dałam mu żadnej nadziei. Nie jestem winna jego nieszczęścia! Lecz mimo to doznaję odtąd zawsze lęku, ilekroć wchodzi w moją drogę człowiek budzący we mnie zainteresowanie.

Lepiej, bym tkwiła dalej samotna w atmosferze mojej nierzezywistości i ulegała sugestiom profesora.

Rosławski opuścił rękę z tragiczną kartką pamiętnika.

Mózg jego powiązał wyczytaną spowiedź ze słowami nieznaomej, która pół godziny temu rozmawiała z nim przez telefon. Słowa wówczas posłyszane wyblęsnęły w jego wyobraźni jak ogromne litery, reflektorami pisane na chmurach.

„Przeszła przez życie mego męża jak niszczący meteor, lecz gdy ją bliżej poznałam, stałam się jej przyjaciółką”.

Podniecone myśli szeptały w ucho Rosławskiemu: Blanka pisze w pamiętniku o mężu Henryki, który pozbawił się życia... Nieznajoma mówiła mi przez telefon o swoim mężu, że popełnił samobójstwo z powodu Blanki... Czyż jedna i druga jest tą samą osobą?

Nieznajoma i Henryka? A mimo to ona zaprzyjaźniła się z Blanką, gdy ją bliżej poznała?

Mózg mu płonął. Nie miał odwagi czytać dalszych kart pamiętnika. Tam, w tych szeregach drobniutkich liter, kryła się tajemnica, której nie chciał już dalej zgłębiać.

Czuł to jedno, że ogarniała go przemożna siła. Nie znał ani jej wymiarów, ani kierunku. Niosła go ku nieznanemu - wrywała go z obrębu tego uregulowanego życia, które stało się jego terenem eksploatacyjnym i w którym czuł się dotychczas panem wszechwładnym.

Drżącymi palcami związał pęk kartoników fiołkową wstążką i włożył pakiecik do sekretnej szuflady biurka.

Uciekaj! Uciekaj! - zawył w nim ból nerwów. - Tego nacisku nie wytrzymasz! Jak najdalej stąd! Przetnij wszelką łączność z tym, co się stało - upominał się rozsądek. - Lekarze proponowali ci wypoczynek w sanatorium jak poprzednio. Jesteś przepracowany. Twoje żelazne nerwy mają także kres wytrzymałości, a cóż dopiero teraz! Możesz dojść do obłądu! - podszeptała mu myśl wystraszona.

Rosławskiemu zdało się, że słyszy za swymi plecami czyjeś kroki. Podejrzliwie obejrzał się za siebie. Czyżby moja żona zeszła tak cicho? Przecież drzwi zamknąłem!

Zdrętwiał. W gabinecie nie było absolutnie nikogo. Skontrolował wzrokiem cały pokój. Nikogo! A jednak byłby przysiągł, że słyszał kroki i że przed oczami jego, gdy się rozejrzał, przemknął jakiś zwiew mglisty, wysmukły, który z wolna odpłynął ku drzwiom i zniknął.

Kłębek dymu - próbował zdać sobie sprawę z wrażenia. - Ale przecież nie paliłem cygara - natychmiast sam sobie zaprzeczył.

Oparł zmęczoną głowę o brzeg biurka.

Możesz popaść w obłąd! - podszeptała mu ta sama myśl ostrzegawcza. Uciekaj! Uciekaj stąd, póki czas! Piki nie dosięgnie cię ręka sprawiedliwości!

Na pół przytomny osunął się w głąb fotela. Koszmarne wizje płątały się w jego mózgu, aż wreszcie męczący sen wziął go w swoje posiadanie.

IV. BOLESNE ODKRYCIE

Bładawy świt wdzierał się przez firanki do sypialni Marii. Podniosła się na łóżku, zimny pot ją oblewał, jakby bezpośrednio przeżyła bolesną katastrofę, która dręczyła ją całą noc w sennym widzeniu.

Przetarła oczy - sen czy rzeczywistość? Czy tamto było jawą a teraz śni, czy odwrotnie?

Tak! Tak! Jestem u siebie, w swojej sypialni. W sąsiednim pokoju śpią Wacusi i Marylka. Z pewnością śpią. Janusz zapewne także wrócił. Wyjechał nagle samochodem w nocy. Nie zamieniłam z nim ani słowa, tylko skinął ręką na pożegnanie. Był bardzo zmieniony na twarzy. Coś się widocznie stało ważnego. Takim go nigdy nie widziałam. Dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę. Ale zapewne już wrócił. Musiał wrócić.

Tylko ten sen potworny. Pamiętam wszystkie szczegóły. Przez barierę mostu Janusz rzucił się w wodę, ja przytrzymałam go z całych sił, aby nie wpadł, a on powoli, powolutku coraz bardziej mi się wymykał i wreszcie zsunął się całym ciężarem w tę straszliwą otchłań wodną!

A potem ta dziwna kobieta, która położyła mi rękę na ramieniu i badała zimnym wzrokiem, jak się męczę. Łzy płynęły jej z oczu, lecz ani jednym ruchem nie pomogła mi w ratowaniu Janusza. Jej złote włosy płonęły, parzyły mię... On zaś powoli osuwał się... już głową dotykał głębin, która podeszła tuż pod barierę i przelewała się na jezdnię mostu, i wreszcie rozplynał mi się w rękach.

Natężyła słuch, czy nie usłyszy oddechu męża z sąsiedniego pokoju. Nic. Cisza.

Wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok i szybko skierowała się ku sypialni Janusza. Stała na progu, przekreśliła kontakt. Silne światło zalało pokój.

Jezus Maria! Łóżko nietknięte! Nikt w nim nie spał!

Niepokój wstrząsnął nią całą. Czyżby ten sen potworny miał cokolwiek wspólnego z losem jej męża?

Pobiegła do pokoju dzieci. Czteroletni Wacusi i pięcioletnia Marylka spali smacznie w łóżeczkach.

A więc tym bardziej, gdzie jest Janusz? - kołatało w mózgu rozpaczliwe pytanie.

Nacisnęła dzwonek służbowy raz, drugi, trzeci.

Nikt się nie pokazywał. Upływały sekundy długie jak wieczność. Niecierpliwość wydłużała je niepomieranie. Służba spała kamienym snem.

Była już godzina piąta rano. Zdawała sobie z tego dokładnie sprawę, lecz przerażenie nie pozwalało jej ani na chwilę zapanować nad nerwami. Zniecierpliwiona otworzyła drzwi na korytarz i zawałała głośno:

- Janie! Co się dzieje?!

Służący zbudził się, przetarł oczy, zerwał się z fotela i po schodach gramolił się na górę. Wystraszony stanął przed nią.

- Gdzie pan? - rzuciła ostre pytanie.

- Jaśnie pan? - powtórzył służący osłupiały. - Nie wiem. Nie widziałem. Czekałem na jaśnie pana do tej pory! Ze zmęczenia zasnąłem w fotelu. Okrutnie późno było.

- Nie widzieliście zatem pana? - ponownie zapytała.

- Nie, jaśnie pani - brzmiała odpowiedź - nie widziałem. Jaśnie pan często sam sobie otwiera drzwi z zatrasku, kiedy zamarudzi dłużej w mieście. Może dziś zrobił to samo. Tylko że... - urwał.

- No co? No co? - nastawała pani Maria. - Niech Jan kończy. Nie trzeba się bawić w zagadki.

Służący chrząknął ze wzruszenia i przestępując z nogi na nogę, jak uczeń złapany na gorącym uczynku, tłumaczył się:

- Tylko że jaśnie pan zawsze mnie budzi, jeśli niby zabawi się w mieście, a ja niby śpię. Ale dziś widocznie mnie nie zbudził, to może i nie wrócił jeszcze...

Odrętwienie ogarnęło ją całą. Siłą woli opanowała się jednak i powoli wykrztusiła rozkaz:

- Niech Jan sprawdzi, czy pana nie ma w gabinecie, czy samochód

wrócił, czy nie ma jakiegoś listu, a może ktoś telefonował do odźwiernego.

Oparła się o wnękę drzwi. Rozszerzonymi źrenicami patrzyła za Janem, który jak mógł najszybciej zbiegł na dół i skierował się do drzwi gabinetu. Nacisnął klamkę raz i drugi. Spojrzał przez dziurkę do środka.

- Jaśnie pani, drzwi zamknięte! - zawołał zduszonym głosem.

I jemu udzieliło się przerażenie.

- Jaśnie pan widocznie się zamknął! - rzucił w górę słowa z akcentem trwogi.

Pani Maria zbiegła błyskawicznie na dół. Sercem jej szarpało złe przecucie. Mocno zastukała do drzwi.

- Otwórz! Otwórz! - wołała, dobijając się coraz gwałtowniej.

Jan szarpnął klamką, nacisnął, aż drzwi poczęły się uginać.

Rosławski zbudził się, usłyszał głos żony pod drzwiami. Skontrolował, czy skrytka zamknięta, obejrzał się na drzwiczki pieca. Niepotrzebnie - wszak zamknął je w nocy starannie. Wreszcie dźwignął się i podszedł do drzwi Powoli obrócił klucz w zamku.

Na progu błysnęła postać Marii. Cofnął się w głąb gabinetu bez słowa - zimny, zamknięty w sobie.

- Co się stało? - rzuciła pytanie pełne bojaźni.

- Rzecz zwykła - wycedził odpowiedź - kłopoty przedsiębiorstwa!

- Wyjechałeś tak nagle!

- Musiałem wpaść na Dworzec Gdański. Odjeżdżał przedstawiciel zagraniczny Spółki Akcyjnej.

Usta wykrzywił grymasem niesmaku. Musiał kłamać. To go męczyło niewymownie.

Maria usiadła na brzegu kanapy. Odniosła wrażenie, że jest tu w tej chwili obcą, natrętną osobą. W tłumaczenie męża nie wierzyła. Z takich spraw nie robiłby tajemnicy.

Rosławski siedział w fotelu ponury, apatyczny.

- Januszu - odezwała się po dłuższej chwili milczenia - ty nie jesteś ze mną szczery. Stało się coś innego, coś bardzo poważnego. Wnoszę o tym z twego zachowania się...

- Jestem wyczerpany pracą. Wiesz sama. Lekarz kazał mi już dawno wyjechać do sanatorium.

- Tak, wiem - odparła - i źle robisz, że nie jedziesz. Teraz zajmę się sama twym wyjazdem. Z dnia na dzień odkładasz, aż minie lato. Potrzeba ci słońca, dłuższego wypoczynku. Można by przypuszczać, że umyślnie nie wyjeżdżasz! Tak, umyślnie!

Mówiła pospiesznie, zadając sobie gwałt. Potokiem słów chciała odwlec moment stanowczych wyjaśnień. Materiał wybuchowy gromadził się już od dawna.

Opuściła głowę, splotła ręce na kolanach. Zapanowała między nimi cisza. Każda dalsza sekunda udaremniała zdawkową rozmowę.

Rosławski był złamany. Nie czuł się na siłach, aby przeciwstawić się nadchodzącej burzy, a kłamać nie chciał. Mógł jedynie milczeć. Niech żona myśli, co chce, on nie będzie słyszał jej pytań, nie będzie odpowiadał.

- Mój drogi - rozpoczęła ofensywę - twoje postępowanie wobec mnie daje mi od dłuższego czasu dużo do myślenia. Dzisiejszy wypadek potwierdza, że dzieje się coś, o czym nie wiem a co bezpośrednio wpływa na twój stan psychiczny. Milczałam dotychczas, lecz to raz musi się skończyć.

Rosławski rzucił na nią spojrzenie krótkie, pełne zniechęcenia.

- Patrz! Patrz! - ciągnęła dalej. - Patrz na mnie jak na intruza, lecz musisz zgodzić się z tym, że nie jestem gąską, która pójdzie do kącika popłakać, bo pan mąż zaszył się w chmury i jest niedostępny.

Zawahała się. Czuła, że mąż jest wyczerpany i niewrażliwy na jej wywody. Ale nie mogła opanować żalu, który ją dusił.

- Ja wiem - oświadczyła - że jestem zła. W tej chwili może nie powinnam wszczynać tej rozmowy, lecz ty także nie liczysz się zupełnie ze mną. Jestem dla ciebie obecnie jak piąte koło u wozu.

Chciał zaprotestować. Odgadła jego zamiar i to ją podnieciło.

- Nie protestuj, bo tak jest! - rzekła z naciskiem. - Mój drogi, powiedzmy sobie wzajemnie pełną prawdę! Nie jesteśmy dziećmi. Nie wypierzyliśmy się w małżeństwie dopiero co. I ty, i ja znamy

dobrze życie. Miałam już męża, kiedy tobie spodobało się odbijać mnie, jak mawiałeś, „drugiemu samcowi”.

Dyrektor westchnął mimo woli. Ton, który Maria wносиła do rozmowy, sprowadzał wszystko na poziom przeraźliwie naturalistyczny.

- Masz słusność - wyrwała mu się uwaga. - W tym naszym świecie codziennym masz słusność po sto razy.

Spojrzała na niego uważnie. Nie wiedziała, do czego zmierza ta aluzja, ale postanowiła ją sobie zapamiętać. Zdobyła pierwszy ślad. On ma jakiś inny świat - drugi.

- A może tak nie mówileś? Co? - nawiązała do swojej złośliwej uwagi. - Byłam dla ciebie wówczas „ukochaną samiczką”, którą koniecznie chciałeś poślubić, aby mieć ją bezapelacyjnie dla siebie, wyłącznie dla siebie. No i masz mnie. Masz ze mną dwoje dzieci. Pięć lat przeżyliśmy w pełnej harmonii. Ale od jakiegoś czasu ten nasz świat codzienny widocznie ci się sprzykrzył. Odsunąłeś się ode mnie, zaniedbujesz mnie! Sądzisz, że mi wystarczy dwoje dzieci, twoje apatyczne uwagi przy obiedzie i osobna sypialnia.

- Ach, Marysiu! - upomniał ją spokojnie. - Są takie stany duchowe, w których nikomu nie śni się o zdradzie małżeńskiej.

- Dobrze, dobrze - odparła - może ci się tylko śnić zdrada, ale zaniedbywanie mnie to także jak zdrada. Ja nie wyszłam za męża za kamedulę! Mam klasztor na taką ewentualność. Taki stan psychiczny, o jakim mówisz, to wstęp do nowego romansu. Nie ubieraj tych rzeczy w duchowe nastroje i tym podobną psychiatrię. Znam się na tym. Pan dyrektor, jak i pan psycholog ostatecznie zdążają do tej samej pozycji z kobietą! Na szczęście dotychczas nikt nie zdołał nic innego wymyślić.

- Ach, Marysiu! Jesteś cyniczna.

- Są warianty w życiu i w romansach! O, są! Ja o tym wiem. Nie jestem taką gąską, jak ci się zdaje. Licz się z tym i nie prowokuj mnie!

- Ja ciebie?

- Tak, ty. Każda kobieta zadowolony się pewną, nawet skromną dozą tak zwanego szczęścia domowego, lecz ta doza musi istnieć!

Do tej dozy nie może się nikt mieszać! Lub dzieje się, tak, jak to się działo w moim małżeństwie z pierwszym mężem, Trudno, jak mąż fruwa, to znajduje się taki trzeci, jak na przykład ty, który tę dozę domowego szczęścia uzupełnia. No i ty mi ją uzupełniłeś.

- Przecież się z tobą potem ożeniłem! - bronił się Rosławski.

- Przez egoizm! Dla swego szczęścia! Tylko dla swego! - atakowała go Maria. - Mnie było dobrze z Filipem. Był miły, nadskakujący, pamiętał o prezentach. A to, czego mi brakowało, to mi wynagradzałeś z naddatkiem. Tak mogło dalej trwać i nie byłabym narażona na to, co się teraz dzieje.

Janusz słuchał jej wywodów z niesmakiem.

- Przecież nie mogłem go stale podkraść - odparł zniecierpliwionym głosem.

Maria roześmiała się ironicznie.

- Ach, tak, prawda! Honor! Twój honor na tym cierpiał! - drwiła niemiłosiernie. - Mówiłeś mi to po tysiąc razy! Nie chciałeś Filipa honorowo podkraść, lecz teraz honorowo mnie zdradzasz!

Rosławski opuścił głowę chmurny i zły na siebie, że wdał się w tę rozmowę, której chciał za wszelką cenę uniknąć. Ale główne strzały już padły, zanim się spostrzegł. Odwrotu nie było. Milczał uporczywie.

- Ty nie myśl - uderzyła Maria w liryczne tony - że mnie taka gadanina z tobą drogo nie kosztuje. Nie każda kobieta zdobędzie się na taką otwartość jak ja. Ale ja wolę jasne sytuacje, a nie zamiatwane. Ja chcę wiedzieć prawdę. Nie myśl, że robię to tylko przez złość. Wcale nie. Owszem, jestem do ciebie przywiązana. Dałeś mi kilka lat prawdziwego szczęścia. To taką kobietę jak ja zobowiązuje. Ale teraz cierpię, bo przecież nie mogę ci odpłacić pięknym za nadobne, jak pierwszemu mężowi. Gdybym miała ciebie zdradzić, to ci powiem otwarcie, że doza szczęścia domowego, którą mi wyznaczyłeś, nie wystarcza mi i że albo uznasz to i naprawisz, albo się rozejdziemy! Już takiego wariata, który dla honoru będzie chciał mnie z tobą rozwieść, nie będę szukała. To tylko ty miałeś takie szczęście.

Przerwał jej potok słów cierpką uwagą:

- Marysiu! Dlaczego jesteś taka cyniczna?

- Mój drogi! Mówię tak, jak myślę i jak myślą tysiące kobiet. Tylko one robią wszystko to, co chcą, po cichu i nic nie mówią, a ja, tylko mówię, a nic nie robię.

- Niejedno dzieje się w życiu mimo woli - próbował ją przekonać. - Sprawy ludzkie nie układają się stale tak na zimno, tak z wyrachowania... Przypadek nieraz zrząda...

- Przestań! - przerwała mu. - Przypadek! Zajechałeś aż do przypadku! W życiu wszystko jest przypadkiem. Ja pierwszego męża także przypadkowo zdradziłam z tobą.

- Jesteś dziś straszna!

- Może chcesz powiedzieć, że to nie był przypadek? Pamiętam jak dziś! Po balu maskaradowym miałeś mnie odwieźć do domu. Twój szofer, sądząc, że jestem taką sobie przygodną damą (miałam maskę na twarzy), zawiózł mnie do twego mieszkania kawalerskiego zamiast do mego męża. Zanim się spostrzegłam, znalazłam się w twojej sypialni, a wtenczas już było za późno. Przypadek zrobił swoje. Nie pozostało mi nic innego, jak potem wrócić na bal bez ciebie.

Rosławski spojrzał na nią zdumiony.

- Jak to? Ty wróciłaś wtenczas sama na bal?

- A czy ja wiedziałam - odparła gniewnie - że ty się ze mną ożenisz? Musiałam jeszcze wtedy dbać o honor mego męża! Nie dowoziłeś mnie do mego domu, tylko mię uwiodłeś w swoim mieszkaniu, musiałam więc wrócić na bal w nowym kostiumie, pożyczonym od krawcowej. Nazywało się to, że wyjechałam z balu, aby się przebrać w nowy kostium i móc jeszcze lepiej intrygować. Mój mąż był wtenczas oczarowany moim świetnym pomysłem.

Dyrektor milczał.

- Wiesz już wszystko - rzekła z naciskiem. - Mówię dlatego tak otwarcie, abyś nie miał żadnych złudzeń, że ja będę nosiła kajdany na rękach. Ani myślę. Obrączkę włożę do kasetki, aby pozbyć się wyrzutów sumienia, i przestanę się zajmować twoim stanem psychicznym. Dotychczas jeszcze się nim zajmuję...

Rosławski nie odezwał się ani słowem. Rozmowa z żoną napełniła go goryczą. Przyznawał jej słuszność, lecz nie mógł zdobyć się

na podobną morderczą otwartość. Zaciął wargi, zamknął powieki, postanowił zamienić się w głaz. Może później będzie mógł powiedzieć całą prawdę, teraz jeszcze sam nie wie, jak rzeczy dalej się potoczą. Maria podeszła bliżej, położyła mu rękę na ramieniu.

- Ty nie myśl - rzekła cichym głosem - że nie odczuwam, jak bardzo cierpisz. To mię tylko boli, że z jakiejś tam awantury robisz sobie tak wiele. Ja dziś z powodu ciebie przeżyłam straszną noc. Śniło mi się, że rzucasz się z mostu w Wisłę... Ratowałam cię... Obok mnie stała obca kobieta... Miała profil grecki... oczy fiołkowe, pełne łez.

Rosławski zadrżał.

Blanka - błysnęła myśl w jego mózgu - jej grecki profil! Oczy fiołkowe, pełne łez! Taką widziałem ją ostatni raz!

- Ta kobieta położyła mi rękę na ramieniu - mówiła dalej Maria - jak ja tobie teraz, lecz ani jednym ruchem nie pomogła mi, aby ciebie ratować, aż ty wreszcie rozpułyłeś mi się w rękach jak mgła. Rozumiesz? Ja chciałam cię ratować, a ona nie!

Wybuchnęła płaczem.

- Nie wyobrażaj sobie - wyrzuciła ze ściśniętego gardła - że ja jestem taka zła, jakby się zdawało. Ja chciałam cię ratować!

Ze szlochem wypadła z gabinetu. Jan dostał w łeb drzwiami za zbytnią gorliwość w podsłuchiowaniu.

V. POWÓDŹ REWELACJI

Rosławski zapadł w półsen męczący, pełen halucynacji.

W błyskawicznym tempie zmieniały się kulisy jego wrażeń. To uciekał samochodem przed ścigającą go policją i jak najzgrabniejszy akrobata wywracał w powietrzu koziółki, aż wreszcie wpadł z maszyną na przydrożne drzewo, rozbił ją i z korbą w ręce uciekał dalej przez bagniste moczary. To znowu trzymał się oburącz poręczy na moście - nogi miał długie, niesłychanie długie, dotykał nimi fal Wisły - a dwie kobiety na przemian odrywały mu ręce od poręczy, raz prawą, raz lewą, on zaś zacisnął zęby i z nadludzką siłą bronił się przed tą furią szatańską dwóch rozżalonych samic!

Jedna z nich miała twarz Marii, druga Blanki, lecz głowy ich przeskakiwały nieustannie z jednego kadłuba na drugi - przeto raz Blanka była wysmukła i szczupła, to znów Maria była rosła i pełna! Wreszcie ta galopada zmęczyła go, zaklął i sam zsunął się w otchłań wodną z okrzykiem niesłychanej ulgi. Na próżno chciały go złapać w powietrzu. Zaśmiały się głośno, zwycięsko...

I śniło mu się dalej, że Wisła była zimna, kojąca. Z rozkoszą zanurzył w niej nogi. Nie tonął, lecz szedł po falach jak lunatyk z wyciągniętymi przed siebie rękami, aż uderzył czołem o coś niesłychanie twardego...

W tej samej chwili rozbudził się z okropnym bólem w głowie. Rzucając się we śnie, uderzył skronią o róg biurka - nogi miał złane obficie wodą, która dalej sączyła się z przewróconej karafki.

Dreszcze wstrząsały nim całym. Niewątpliwie nabawił się choroby.

Spojrzał na zegarek. Była już godzina dziewiąta rano. Spał zatem kilka godzin. Ciężkie, aksamitne zasłony w oknach nie przepuszczały światła.

Długo biedził się z uporczywą świadomością, że ma coś bardzo

ważnego do zrobienia rano. Telegram, czek, rozprawa sądowa, ważna konferencja?

Wreszcie w mózgu błysnęła myśl: Wynieść z domu i ukryć w schowku bankowym szmaragdową broszkę!

Uśmiechnął się ironicznie. Nie ruszyłyby teraz ani jednym palcem. Niech się dzieje, co chce.

Zadzwonił przeciągle. Kazał sobie zdjąć przemoczone trzewiki i spodnie, włożył piżamę i wyciągnął się jak długi na kanapie z uczuciem niewysłowionej ulgi. Dziwił się, że nie zrobił tego odkrycia daleko wcześniej. Uchroniłby się od guza i mimowolnej kąpieli.

- Czy są dzienniki? - rzucił niedbale pytanie.

- Są, jaśnie panie.

- Daj natychmiast!

Służący przyniósł stos gazet porannych. Rosławski kazał odchylić zasłony i z wypiekami na twarzy przebiegał obszerne opisy, poświęcone zagadkowemu samobójstwu kobiety w białym swetrze, ze szmaragdową broszką, i o ucieczce tajemniczego osobnika. Tytuły artykułów brzmiały sensacyjnie:

Tragedia białej pani na moście Poniatowskiego.

Czy samobójstwo, czy zabójstwo wytwornej kobiety?

Zimne fale Wisły grobem zagadkowej tragedii.

Dzienniki donosiły, że posterunki nadbrzeżne nie wyłowiły w nocy żadnego trupa. Nikt również nie słyszał wołania o ratunek. Nic dziwnego. W tym czasie szalała ulewa...

Wiele miejsca poświęcono opisowi samochodu tajemniczego mężczyzny, który uciekł, zanim posterunkowy zdołał go wylegitymować. Wszystko było zgodne z prawdą, prócz jednego szczegółu. Oto posterunkowy zeznał, że nieznajomy zasypał mu oczy jakimś proszkiem gryzącym i korzystając z jego chwilowego oszołomienia, uciekł. Ale ramię sprawiedliwości i tak wkrótce go dosięgnie. Władze bowiem są już na jego tropie. Ktoś zanotował rzekomo numer uciekającego samochodu.

Dyrektor uśmiechnął się ironicznie. Wszak pojechał na most

bez numeru. Posterunkowy chciał widocznie uchodzić w oczach przełożonych za sprytnego służbistę, któremu wymknął się zbrodniarz tylko dzięki zdradzieckiemu podstępowi...

Wywody dzienników szły w kierunku nadanym sprawie przez powyższe zeznania.

Zasypanie oczu policjantowi gryzącym proszkiem świadczyło wymownie o tym, że ma się tu do czynienia z niebezpiecznym wampirem, który strąciwszy z całym cynizmem swą ofiarę w głąb rzeki, spłoszony widocznie w chwili popełniania mordu, wrócił później na most, aby zainscenizować szczegóły samobójstwa lub też zatrzeć niebezpieczne ślady, które by mogły naprowadzić na trop jego ofiary.

Dowodem tego było porwanie swetra wraz ze szmaragdową broszką.

- Wypadek wspomniany - donosiły gazety - postawił na nogi wszystkie władze śledcze, które też zwróciły się z apelem do osób mogących udzielić jakichkolwiek wskazówek, aby podawały swe spostrzeżenia pod wskazanym adresem przy ulicy Daniłowiczowskiej.

Jedno z pism uzupełniło doniesienia swego nadwornego Sherlocka Holmesa demagogicznym artykułem, zatytułowanym szumnie: *Potworny skandal w wyższym towarzystwie*.

Piorunowano tam na cynizm klasy posiadającej, na wyuzdanie panów w cylindrach i smokingach, i zapowiadano, że redakcja nie spocznie, póki na własną rękę nie wykryje niebezpiecznego donżuana, który wtrącił w fale Wisły „piękną hrabiankę”.

Skąd redakcja doszła do wniosku, że to koniecznie musiała być piękna hrabianka - Rosławski nie mógł zgadnąć. Bądź co bądź sprawa stała się głośna. Opinia została do głębi poruszona. Ciekawość mas rozpalono do białości.

Rosławski ocenił na chłodno szanse odkrycia swej osoby. Były prawie żadne. Jego samochód nie miał numeru - przezornie usunął go przedtem. Opis jego osoby był przesadny. Wprawdzie miał monokl w oku, który umyślnie wziął ze sobą, lecz posterunkowy podał, że monokl był w złotej oprawie, tymczasem on miał czyste szkło.

Tylko trzy osoby mogły coś zeznać w tej sprawie - on jako główny aktor ucieczki z mostu, dalej Blanka, jeśli żyje, i owa nieznajoma z telefonu, która tragiczny wypadek na moście mogła powiązać z jego osobą.

On sam nie będzie siebie pogrążał, a nieznajoma miała powody, jak sama mówiła, dla których nie chciała być wmieszana w tragedię Blanki. Z tej strony nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Tylko przypadek mógł pomóc władzom w ujęciu zbrodniarza.

Jednakże Rosławski nie przewidział jednej możliwości - dla niego najgroźniejszej. Za chwilę przekonał się o tym w sposób drugoczący, nagle bowiem otworzyły się szeroko drzwi gabinetu, do którego wpadła Maria, blada jak trup, z gazetą w ręku. - Czytaj! - zawołała zdławionym głosem.

Opanował nerwy i z udanym spokojem wziął do ręki zadrukowany papier.

- O co chodzi? - zapytał.

Palcem wskazała mu na tytuł artykułu: *Wyłowiony trup ofiary wskazuje swego mordercę*.

Drgnął. A więc wyłowiono zwłoki! Niesłychanie ważny szczegół! Rozstrzygający. Teraz może zacząć się wszystko pruć...

Podniósł na żonę zamglone oczy. Nie rozumiał, co Maria może mieć wspólnego z całą tą sprawą i dlaczego właśnie zwraca mu uwagę na fakt wyłowienia trupa. - Dobrze - rzekł ochrypłym głosem - bardzo tragiczny wypadek, lecz dlaczego to ciebie tak bardzo przejmuje?

- Tak samo mnie przejmuje - odparła rozdrażniona - jak ciebie!

Ze złym tryumfem wskazała mu rozrzucone na kanapie dzienniki - wszystkie były otwarte na stronach zawierających opisy zagadkowej śmierci denatki.

Rosławski utkwił przenikliwe spojrzenie w oczach żony.

- Tak, tak - dowodził - interesujące, powiedziałbym wstrząsające zdarzenie, lecz przecież ani ja, ani ty nie znamy kobiety, która...

- Przestań! - zawołała. - Nie drażnij mnie! Ty tę kobietę znasz! Gdzie byłeś w nocy, jak właśnie nie tam?!

- Gdzie? - wykrztusił. - Gdzie? Co tobie się śni?

- Owszem, śniło mi się dokładnie wszystko - odrzekła gwałtownie. - Opowiedziałam ci przecież tę straszną historię. Ja jej twarz do tej pory pamiętam! To okropne, to okropne!

Rosławski dopiero teraz uprzytomnił sobie opowieść żony o wstrząsającym śnie, który miała w nocy. Doznał w tej chwili wrażenia, jakby czyjaś zimna ręka objęła go za szyję i coraz mocniej zaczęła zaciskać.

Sen żony, zamach Blanki, telefon nieznajomej, jego ucieczka - wszystko to wypychało go poza ramy normalnego życia. Czuł, że znajduje się wbrew swej woli jakby w czwartym wymiarze życia, który przemocą bierze go w swoje posiadanie.

A jednak nie mógł pozostawić w zawieszeniu, czy w sferze domysłów żony, tych wypadków, o które oboje się ocierali. Dłuższe milczenie utwierdziłoby tylko Marię, że przypadkowo czy też przez zdumiewającą asocjację myśli znalazła się na właściwym tropie...

- Moja droga - rzekł po chwili zimnym głosem - jesteś zdenerwowana. Cóż mam ci powiedzieć nad to, że z tą całą sprawą, opisywaną w dziennikach, nie mam nic wspólnego? Być może, że ty dziwnym zbiegiem okoliczności miałaś w swym mózgu istotnie odczucie tego, co działo się na moście. Uczucie twoje, rzecz naturalna, kojarzyło moją osobę z nieznajomą. Ale przecież ta kobieta w twoim śnie topiła w Wiśle mnie, a nie ja ją. Jakież więc sens ma łączenie mojej osoby z denatką, której zwłoki, wyłowione z Wisły, znajdują się w tej chwili w kostnicy?

- Nie przypuszczasz chyba - dodał żartobliwym tonem - że znajdziesz tam w lodowym boksie mojego trupa, skoro żywy rozmawiam tu z tobą.

Maria była stropiona. Logika faktów przemawiała przeciw niej. Wewnętrzny jednak głos potwierdzał jej domysły. W żaden sposób nie mogła się pozbyć przekonania, że śmierć nieznajomej odgrywa szczególną rolę w życiu jej męża.

Tymczasem myśl inżyniera pracowała w nowym kierunku.

A może profesor Gordon - podszeptęła mu intuicja - odegrał decydującą rolę w tym tragicznym wypadku?

Rosławski nie znał go osobiście, wiedział tylko, że Gordon - zwariowany fanatyk wiedzy, za jakiego uchodził w kołach znajomych - był człowiekiem odgrywającym dużą rolę w życiu Blanki. Domyślał się z pewnych przypadkowych zdań, że profesor Gordon urządził seanse spirytystyczne, traktowane przez niego z całą surowością uczonego, i że w tych seansach brała udział Blanka. Jaki udział - tego nie mógł dociec. Może jako uczestniczka bierna, a może jako medium. Z niektórych szczegółów wnosił, że Blanka ulegała przemożnym wpływom profesora, i że tych dwoje łączyła dobrze zakonspirowana tajemnica.

Nigdy nie mógł rozdrzeć tej zasłony. Blanka nie lubiła, kiedy ją pytał o profesora, i zbywała go zawsze ironicznymi uwagami. Nie była kochanką profesora, to mógł przysiąc. Upewniała go w tym forma i lekceważenie, z jakim odzywała się na ten temat. Zresztą wiek Gordona odgrywał tu również nie małą rolę. Tym bardziej tajemnica, wiążąca tych dwoje ludzi ze sobą, była intrygująca.

Profesor Gordon krążył koło życia Blanki jak wielka, czarna, przeogromna planeta. Rosławski wyczuwał jego obecność wszędzie, gdziekolwiek znalazł się z Blanką. Z jej sposobu mówienia, z jej ruchów i dziwnego załęknienia wyczuwał, że ktoś trzeci był w pobliżu nich, choć bezwzględnie nie było nikogo. Ten ktoś unosił się w powietrzu, przenikał atmosferę otaczającą jej osobę, żył w jej fibrach.

Dotychczas mało się nad tym zastanawiał, dopiero rozmowa z żoną i sen, który mu opowiedziała, uprzytomniły mu, że na horyzoncie tragicznego wypadku znajdowała się aura profesora Gordona. Ów fluid dziwny, który snuł się wszędzie wokół osoby Blanki, a którego oddziaływanie wyczuwał nieraz osobiście wśród najbardziej nawet natężonej pracy zawodowej - był niewątpliwie przyczyną potwornego snu, jaki wstrząsnął do głębi Marią i naprowadził ją na pomysł skojarzenia osoby denatki z jego osobą.

Profesor Gordon! - płynęły błyskawicznie myśli w mózgu Rosławskiego. Tak, tak! Nie mogę wahać się ani na chwilę! Ten człowiek w sprawie Blanki mógłby dużo powiedzieć! On, który był

zawsze wszechobecny, nie mógł nie znajdować się wówczas na moście Poniatowskiego. Z głębokiego zamyślenia zbudził go nerwowy głos żony:

- Słuchaj! - oświadczyła. - Ja nie zaznam ani chwili spokoju, dopóki jej nie zobaczę.

- Kogo? - zapytał przerażony.

- Tej kobiety, którą wyłowiono z Wisły. Obraz jej twarzy prześladowuje mnie. Nie daje mi ani chwili spokoju. Nie umiem ci określić, co to jest, lecz tak jak we śnie wciąż widzę ją przed oczami jak żywą!

- Przecież to niemożliwe! - próbował protestować.

Maria położyła mu rękę na ramieniu i patrząc mu przenikliwie w oczy, rzekła z naciskiem, który nie zna żadnego oporu:

- Musisz jechać ze mną do kostnicy! Dopiero wtenczas się uspokoję, gdy ją zobaczę!

- Maryś! - bronił się. - Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to wywrze na tobie straszliwe wrażenie. Twój sen nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

- Musisz ze mną jechać - nastawała. - Chyba że boisz się zobaczyć trupa. Że nie chcesz stanąć ze zmarłą oko w oko.

Tym ostatnim argumentem uniemożliwiła mu wszelką dalszą dyskusję.

- Ależ najchętniej - odparł zgnębiony - tylko widzisz, za pół godziny mam ważną konferencję.

- Zatelefonujesz, że czujesz się niezdrów. I tak jesteś już właściwie na urlopie. Po prostu odwołasz posiedzenie. Dasz notatkę Janowi, a on telefonicznie przeprosi w twoim imieniu kolejno wszystkich panów. Jedziemy zaraz! Słyszysz? Zaraz!

Spojrzał na nią z nieukrywanym wyrzutem.

- Dobrze! - wycedził przez zęby. - Lecz ja nie odpowiadam za to, co tam nastąpi! Pamiętaj! Wrażenie, którego doznasz w kostnicy, może wstrząsnąć całym twym systemem nerwowym. Takie potwierdzenie snu, jakiego ty się spodziewasz, może wywołać katastrofalne skutki. Nerwy mają także granicę wytrzymałości! Ja cię przestrzegam.

Ale Maria, przejęta myślą, która ją opanowała, nie chciała

słyszeć o niczym. Działała jak w hipnozie. Z szeroko otwartymi źrenicami przemierzała wzdłuż i wszerz gabinet męża, powtarzając nieustannie:

- Muszę ją zobaczyć! Nie mogłabym żyć, gdybym się nie przekonana, czy ten sen był nonsensem, jak wszystkie inne, czy też był to sen szczególny. A on był szczególny! Nigdy jeszcze w życiu niczego podobnego nie doznałam. To była kobieta żywa! Ja ją czuję w przestrzeni, gdzieś daleko, chwilami jednak zdaje mi się, że jest tuż tuż, obok mnie...

- Maryś, uspokój się! Przecież jadę z tobą! Trudno! Odwołam konferencję. Jestem istotnie wyczerpany. Co się jednak z tobą dzieje? Nie poznaję ciebie! Jesteś tak podniecona, jakbyś sama przeżyła jakąś niesamowitą tragedię.

Maria nie słyszała słów męża. Nie zważała na nie. Jej system nerwowy, wstrząśnięty do głębi, czepiał się wszystkich możliwych i niemożliwych asocjacji myślowych, szukając ulgi w rozwiązaniu dręczących ją niepewności.

Nagle stanęła przed mężem.

- Czy wiesz - odezwała się do niego takim tonem, jak gdyby on słyszał cały szereg ogniw myślowych, które przebiegały przez jej mózg - że w tym śnie potwornym, który pamiętam tak dokładnie, jak ów pożar w moim dzieciństwie, w tym śnie krążył koło nas trojga człowiek-mara... niesłychanie wyrazista twarz... włos srebrny, wąsy krótko przycięte... oczy osadzone pod ogromnymi brwiami... usta wąskie, zacięte, suche, niewymownie suche... linia warg przez całą niemal twarz... broda drgająca co chwila nerwowym wstrząsem... oczy płonące, rozświetlone jak dwa reflektory. Tak, tak! Zapomniałam ci to powiedzieć, a to przecież szczegół niesłychany. Nic nie mówił, tylko krążył koło nas i co chwila przysuwał się kolejno do nas i każdemu spoglądał w źrenice z zagadkowym uśmiechem! Okropne! Okropne!

Rosłowski spojrzął na żonę z przerażeniem. W takim stanie jeszcze naprawdę jej nie widział. Ta jedna noc przemieniła ją zupełnie. Z normalnej kobiety, opanowanej i szyderczej, wyłoniła się niespodziewanie istota o dramatycznym wyrazie twarzy, niezdolna zawładnąć swymi roztrzęsionymi nerwami. - Tych dwojga nigdy

nie zapomną! - wołała podnieconym głosem. - Nawet w tej chwili widzę ich twarze między twymi a moimi oczami! Świejące, mgliste!

Janusz chwycił mocno jej dłonie i wstrząsnął nimi silnie. - Maryś! - upominał ją tkliwie. - Dosyć! Dosyć! Panuj choć trochę nad sobą! Takie momenty zdarzają się w życiu najtrzeźwiejszych ludzi! Po prostu zbieg niesamowitych zdarzeń. Ale człowiek rozsądny musi być w porządku ze sobą, musi swoją wrażliwość utrzymać na wodzy.

Pociągnął ją łagodnie w stronę kanapy i posadził na brzegu. Gładził ją po włosach.

Opuściła głowę. Jęk wydobywał się z jej piersi.

- Sama nie wiem - wyrzucała z gardła słowa przez łzy - co się ze mną dzieje. - Czuję, jakbym nagle dostała się w sferę chorobliwych majaczeń, właściwie nie chorobliwych, tylko anormalnych. Od chwili twego wyjazdu wczoraj przed północą opanował mnie lęk, którego istoty nie mogę zrozumieć. Nieraz przecież wyjeżdżałeś, nie opowiadając się, do kogo i gdzie się udajesz. Byłam zawsze spokojna. Ale wczoraj!

- To minie, to minie - próbował ją uspokoić. - Ten dziwny sen wytrącił cię z równowagi... W jakiś telepatyczny sposób stałaś się uczestniczką tragedii, która rozegrała się na moście Poniatowskiego, i to w sposób wprost odwrotny.

Podniosła na niego powoli przenikliwe spojrzenie.

- Jak to odwrotny? - zapytała przeciągle.

Rosławski stropił się - powiedział za dużo.

- A więc miałam słuszność - wnioskowałam dalej - ciebie jednak łączą jakie węzły z tą straszliwą historią. Sam przyznajesz, że ten sen przedstawił mi wszystko tak, jak było, tylko w sposób odwrotny, niemniej to wszystko się działo!

- Ależ, moja droga - bronił się gwałtownie - to, co mówisz, nie ma zupełnie sensu! Mnie tam nie było! Nie było!

Podniosła się nagle z kanapy i rzekła do niego przeciągłym głosem:

- Uwierzę ci, jeśli udowodnisz mi, gdzie byłeś wczoraj w nocy. Ale nie tak na słowo: tam lub tam. Nie! Powiedz gdzie, a ja sprawdzę

telefonicznie! Nie dam się oszukać, rozumiesz? W tym wypadku nigdy! Mnie już nic chodzi o tę kobietę. Mnie chodzi o to, aby uwolnić się od tych mar, które lażą za mną. Ciebie ściga jakieś nieszczęście, którego rozmiarów nie mogę objąć ani może ty sam nie możesz objąć. Ale ono jest tuż tuż!

Dreszcz wstrząsnął Januszem. Maria wyczuła intuicyjnie stan jego duszy. Był zmiażdżony - nuż gilotyny przesuwiał się po jego karku.

Próbował skierować rozmowę na inne tory.

- Przecież jedziemy zobaczyć zwłoki - oświadczył ze sztucznym spokojem - skontrolujesz swoje wrażenia i to, co teraz tak dojmująco cię gnębi, rozplynie się w powietrzu. No więc jedziemy.

Maria jednak nie dała się zbić z tropu.

- Gdzie byłeś wczoraj w nocy? - powtórzyła twardo pytanie. - Od tego żądania nie odstąpię.

- Dobrze, odpowiem ci - oświadczył również stanowczo. - Nie będę ukrywał żadnych szczegółów, daję ci na to słowo dżentelmena, wpiery jednak pojedziemy do kostnicy. Od tego żądania teraz ja nie odstąpię. Żadne moje przysięgi ani nawet dowód oczywisty, który ci złożę, nie miałyby żadnego znaczenia w tym napięciu nerwów, jakie obecnie przeżywasz. Tam, w kostnicy, albo twoja iluzja rozwieje się, albo spotęguje, a wówczas to, co ja ci powiem, będzie miało zupełnie inną wartość.

Uległa jego argumentacji.

Rosławski wydał dyspozycję, aby samochód zajechał przed willę.

Kiedy żona pospieszyła na górę przebrać się, dyrektor postanowił starannie przygotować się do tej niebezpiecznej wyprawy. Wiedział, że na miejscu znajdzie się jeden lub więcej obserwatorów w celu kontrolowania przybywających osób. Rzecz wiadoma, że przestępcy nawet wbrew własnej woli krążą w pobliżu swych ofiar, jakby one z tamtego świata przyciągały je magnetycznie ku sobie. Może jest to „siła fatalna stralu” zmarłego, który przyprowadza mordercę do zwłok jego ofiary...

Władze śledcze wiedzą o tym zjawisku i z pewnością również w tym wypadku zastawią siatkę na nieostrożnego przestępcę.

Roslowski zdawał sobie dobrze z tego sprawę, że on niejako w charakterze przestępcy miał się zjawić w kostnicy. Wiedział również, że ambitny posterunkowy roztoczy niewątpliwie obserwację w pobliżu kostnicy w nadziei, że może uda mu się przytrzymać zbiega.

Należało się strzec...

Rozum mówił mu, że nie powinien pod żadnym pozorem narażać się na nieprzewidziane wypadki, niestety znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Musiał dotrzymać danego Marii przyrzeczenia i uczestniczyć w tym tragicznym rozpoznawaniu tożsamości zabitej. Choć czuł całą paradoksalność swego postępowania, nie chciał się już cofnąć.

Tym bardziej musiał starannie przygotować się na wszelką ewentualność. Przede wszystkim zgolił krótko strzyżone włosy. Maria będzie tym zaskoczona, lecz wytłumaczy jej, że miał to już dawno zrobić, bo siwawe włosy pokazują się w wąsach, a to go postarza.

Następnie włożył garnitur jasny, krawat jaskrawy, rękę uzbroił w laskę z gałką z kości słoniowej, głowę nakrył kapeluszem miękkim. W kieszonce marynarki ukrył dyskretnie wychylającą się fantazyjnie chusteczkę - i w ten sposób zmienił się prawie nie do poznania, tym bardziej że nie wziął monokla, który miał z sobą tragicznej nocy...

Był zadowolony z tej przemiany. Odmłodził. Lustró mówiło mu wyraźnie, że jego wygląd zewnętrzny nie ma nic wspólnego z jego osobą wczorajszą.

Stał w oknie, rzucił okiem na podjeżdżający samochód i w tej chwili postanowił zmienić poprzednio wydane zlecenie.

- Niech Stanisław wraca do boksu! Maszynę trzeba odlakierować!

- Kiedy, proszę jaśnie pana, dopiero co przed miesiącem...

- Tak, tak - przerwał mu potok słów - lecz mnie kolor się nie podoba, jest za ciemny. Od razu to wiedziałem.

Stanisław pomyślał nie bez zdumienia, że było akurat odwrotnie, lecz nie miał czasu na rozmyślanie, bo dyrektor, chcąc uprzedzić zejście żony, kazał szoferowi natychmiast zawieźć maszynę do warsztatu.

- Ma być znacznie jaśniejsza! - rzucił mu rozkaz na odjeźdźnym.

Samochód potoczył się szybko i wkrótce zniknął za bramą. Dyrektor odetchnął. Spadła mu z piersi ciężka zmora. Maszyna, choć numeru jej nie znał posterunkowy, mogła go zdradzić, a tak uniknie niebezpieczeństwa.

Kiedy Maria zeszła ubrana w czarny kostium, skrojony przez pierwszorzędnego krawca, zdumiała się, widząc niezwykłą przemianę w mężu.

- Jak to - odezwała się - w jasnym ubraniu do kostnicy? I wąsy zgoliłeś? Co za młodzieniec!

- Widzisz - tłumaczył się z humorem - wprost z kostnicy pojedę na konferencję gospodarczą. Postanowiłem jej nie odkładać, a tam chcę wszystkim naocznie dowieść, że jestem jeszcze w pełni sił, że wcale nie czuję się przemęczony i nie mam zamiaru podawać się do dymisji. Zrobię zawód tym wszystkim, którzy polują już na tę sposobność!

- Ale te wąsy! Było ci w nich do twarzy!

- Może mi było do twarzy, może nie! Osobiście czułem, że mnie postarzały o dziesięć lat. Zaczęły się już sypać siwe włosy, a to bardzo a bardzo postarza.

- Trudno - odparła - zatem jedziemy, choć naprawdę to twoje jasne ubranie przy moim czarnym kostiumie będzie szokujące. Powinieneś był pomyśleć...

- Nie strofuj mnie, Marysiu! W ten sposób najlepiej zaznaczę, że w kostnicy znajduję się przypadkowo i że o tych dziwacznych odwiedzinach nie myślałem naprzód.

Wzruszyła ramionami.

- Wobec tego potrzebne ci to kostiumowe alibi? - rzuciła cierpką uwagę.

Rosławski zachnął się.

- Znowu siadasz na swojego konika - zrobił jej wymówkę tonem jak najbardziej łagodnym.

Ale Maria sposepniała. Myśl, że ten jasny garnitur i to zgolenie wąsów miały jednak bezpośredni związek z całą tą tragiczną historią, poczęła ją na nowo nurtować.

Z cierpkim uśmiechem rzekła:

- Zatem jedźmy! A gdzie Stanisław?

- Właśnie, moja droga - odezwał się spokojnym głosem - chciałem ci zaproponować, abyśmy kawałek drogi poszli piechotą. Jest bardzo ładna pogoda i sympatyczne powietrze, w dodatku rozprostuję członki. Na tej sofie spałem pod psem.

- Kostnica jest daleko - zwróciła mu uwagę.

- Skoro tylko zechcesz, weźmiemy taksówkę. Tak będzie nawet lepiej, bo skromniej. Prywatne, luksusowe auto, zajeżdżające przed kostnicę, daruj, ma zawsze coś z manieri dorobkiewiczów. Przypuszczam, że i ty podzielasz moje zdanie...

Przyznała mu w duszy słuszność, lecz równocześnie ten nowy szczegół w inscenizacji ich przyjazdu do kostnicy jeszcze bardziej upewnił ją w ponurych przypuszczeniach, iż mąż wplątany jest w obręb tragicznych wypadków, o których wiedziała już z dzienników cała Warszawa.

VI. OKO W OKO

Przed kostnicą kliniki uniwersyteckiej panował ruch niezwykły. Trupy dwóch samobójców i topielca, wyłowione wśród zagadkowych okoliczności, ściągnęły wyjątkowo liczną gromadę ciekawych i bezpośrednio zainteresowanych.

Grupki ludzi opowiadały sobie po cichu drastyczne szczegóły, wiążące się ze śmiercią samobójców. Fantazja odgrywała niemałą rolę w ich formowaniu.

Posterunkowy Pordoba stał na czatach w ubraniu cywilnym. Wciąż rozglądał się po ulicy, zapuszczał wzrok w stronę Alei Jerozolimskich, czy nie dzieje się coś szczególnego, lecz ruchu żadnego nie było, tylko pusty karawan nadciągał powoli.

Ale wnet poczerwieniał. Od Alei Jerozolimskich zbliżał się samochód. Zatrzymał się tuż przed bramą. Wsiadła z niego para elegancko ubranych ludzi.

Pordoba zatarł ręce, aż zatrzęszczało w stawach, i patrzył, wciąż patrzył z wyężeniem na przyjezdnych.

Rosławski podał rękę żonie i skierował się wprost do kostnicy. Posterunkowy skoczył w ich stronę. Dyrektor poznał go, lecz ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy.

- Przepraszam - odezwał się Pordoba natarczywie - państwo chcą kogo zobaczyć? Samobójców czy topielicę?

Dyrektor lekko uśmiechnął się. Wyczuł, że Pordoba nie poznaje go. Wszak nie miał monokla w oku, zgolił wąsy, zmienił ubranie, krawat. Był inny.

- To nie ja, to moja żona jest taka ciekawska - odparł trochę chrypliwym głosem. - Nigdy nie można być pewnym, kto dziś wyniesie się na tamten świat. Mam kilku znajomych i znajome, którzy wybierali się oficjalnie do piekła. Zwłaszcza moja żona jest bardzo zainteresowana pewną blondynką. Nawet dzisiaj w nocy śniła jej

się z taką wyrazistością, że koniecznie chce sprawdzić, czy to nie ta sama, o której wyłowieniu rozpiśały się dzienniki.

Posterunkowy przestępowal z nogi na nogę. Ziemia paliła mu się pod nogami. Gotów był przysiąc, że ten głos słyszał kiedyś, lecz w jakich okolicznościach, nie mógł sobie przypomnieć.

- Pan zapewne tutejszy? - zapytał spokojnie Rosławski.

- Tak, panie.

- A nazwisko denatki jest już znane?

- Właśnie że nie. Taki jeden, który wie, to zwiął, psiakrew! - zaklął przedstawiciel władzy.

- Nie może być - dyrektor podtrzymał niebezpieczną dla siebie rozmowę. - Jak to się stało?

- Czytał pan przecie w dziennikach. Sypnął w oczy, to jest nie mnie, tylko posterunkowemu, gryzącym proszkiem i zwiął. Żebyśmy go tak dostali, skułbym mu własnoręcznie mordę, ile wlezie, to jest... niby... - kończył zmieszany - takie tylko wyrażenie z tej złej krwi, że to, panie, po świecie chodzą takie łobuzy!

- A co panu zrobił złego ten uciekinier? - brawurował dyrektor.

- To do rzeczy nie należy - odparł tamten. - Porządek musi być i tyle. Nazwisko władza musi znać. Jeśli państwo poznają topielicę, to my już wówczas za tą nitką dojdziemy do kłębka. Pójdę naprzód, pokażę państwu drogę. Nie bardzo ten widok smakuje. Nieboszczykom nie jest tu gorąco w tym przymusowym areszcie.

Nerwowym krokiem skierował się do trupiarni.

Weszli. Przenikliwie zimno i duszący trupi odór uderzył ich, skoro tylko przestąpili próg. W osobnych kamerach leżało osiem trupów, które czekały na swe przeznaczenie. Decyzja prokuratora wyzwalala nieboszczyków i albo kierowała ich na stół sekcyjny, albo wydawała rodzinie. Oziębione sztucznie powietrze poniżej zera nie dopuszczało do rozkładu zwłok.

- Państwu chodzi o kobietę? - zagadnął posterunkowy.

- Tak - odpowiedziała pani Maria, szcękając zębami. Przykry kaszel począł ją gnębić.

Dyrektor, który dotychczas panował nad sobą, stracił swoją dotychczasową pewność. Lada sekunda miał ujrzeć trupa Blanki.

Minęli kilka kamer.

- Tutaj leży - rzucił uwagę Pordoba. - Panie dozorco, niech pan pokaże nam tę topielicę.

Trup młodej dziewczyny ukazał się ich oczom. Twarz obrzękła, sino-czerwona i długie sino-żółte ręce, obnażone po ramiona, wyrzynały się jak preparat woskowy na tle białej ściany. Włosy czarne, krótko obcięte, zasłaniały częściowo czoło i w nieładzie spadały na uszy, które - przeraźliwie sine - wychylały się z hebanowej oprawy włosów.

Rosławski głęboko odetchnął. Blask radości rozlał się po jego twarzy. To nie ona - pomyślał z ulgą.

Wyraz pewności i ironii pojawił się znów na jego wargach.

- To nie ona - szepnęła pani Maria. - Tamta we śnie miała blond włosy i profil grecki, a ta... to dziewczyna z ludu...

- A widzisz! Sen mara, Bóg wiara - rzekł uszczypliwie dyrektor. - Sama przekonałaś się, że senne fantazje nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

- Co państwo mówią? - zapytał posterunkowy.

- E, nie - odparł pan Janusz. - Przyjechałem właściwie dlatego, ponieważ moja żona miała przykry sen w nocy i tak była nim przejęta, że chciała koniecznie sprawdzić, czy kobieta, której tragedię opisały ranne dzienniki, jest podobna do tej sennej mary. Okazuje się, że nie. Co do mnie, to również nie poznaję w zmarłej żadnej z moich znajomych.

- Wielka szkoda - westchnął Pordoba.

- A przy tym - ciągnął dalej Rosławski sarkastycznym tonem - wszyscy są na mylnej drodze, tak samo władze śledcze jak i dzienniki.

- Dlaczego? - poczerwieniał posterunkowy.

- Już pierwszy rzut oka, nawet takiego jak ja laika, - rozwijał swój pogląd dyrektor - mówi, że trup tej dziewczyny, w tej czarnej sukience, która tu leży, nie może mieć nic wspólnego z tragedią wczorajszej nocy na moście Poniatowskiego.

- Dlaczego? Dlaczego? - Pordoba był wyraźnie rozdrażniony.

Ale pani Maria, którą zimno przeniknęło na wskroś, nie pozwoliła mężowi kontynuować, rozmowy w trupiarni.

- Chodźmy stąd! - nalegała, ciągnąc męża ku wyjściu. - Tu jest przeraźliwie zimno! Zaziębę się śmiertelnie! Mdl mi od tego trupiego zaduchu.

Szybkim krokiem opuścili kostnicę. Posterunkowy wyszedł za nimi.

- Dlaczego? - nastawał znowu, gdy znaleźli się na ulicy, w blaskach sierpniowego słońca. - Chciałbym już wiedzieć istotną prawdę, bo po diabła ja tu tracę czas przy tym truposzu.

- Widzi pan - oświadczył dyrektor z ukrytym triumfem w głosie - topielica, którą pan nam pokazał, ma twarz obrzękłą i całe ciało obrzękłe, leżała zatem już kilka dni w wodzie. Przecież nie spuchła tutaj w kostnicy, bo zbyt zimno. A więc ten trup, wyłowiony z Wisły, nie może mieć nic wspólnego z wypadkiem wczorajszym. Kobieta, która dziś w nocy rzuciła się do Wisły z mostu Poniatowskiego, wyglądałaby jeszcze jak żywa, nie uległaby jeszcze takiemu zniekształceniu.

- Psiakrew! - zaklął Pordoba. - Przyznaję panu słuszność. A to mam pecha! Ten kocmołuch, który tam leży w trupiarni, nie ma rzeczywiście nic wspólnego z wczorajszym wypadkiem. Nie mam tu co dalej sterzeć. Dziękuję panu. A to głupia ta rzeczna policja! Tyle narobiła alarmu! A tu taki kwiat!

- Żadnego alarmu nie narobiła - rzucił uwagę Rosławski szyderyczym głosem. - Spełniła tylko swój obowiązek, wyловиła trupa, oddała go w wasze ręce i na tym koniec, tylko pan jest gorączka...

Obaj mężczyźni skrzyżowali ze sobą wzrok. W oczach Pordoby mignął nagle błysk ciemniejszy. Odchylił w tył głowę, wyteżył wzrok i powoli wycedził słowa:

- Ja pana skądś znam! Przysięgłbym, że słyszałem pański głos... tylko gdzie?

- W każdym razie - odparł spieszenie dyrektor - nie byłem z pewnością pańskim zwierzchnikiem, bo gdybym nim był, awansowałbym pana szybko. Pan jest bardzo sprytny i bardzo gorliwy... No, i dowcipny. Do widzenia panu.

- Do widzenia, dziękuję! - rzuciła przez ramię pani Maria.

Posterunkowy zawahał się. W pierwszym porywie chciał wylegitymować Rosławskiego, lecz obawa kompromitacji i swoboda, z jaką rozmawiał z nim dyrektor, zbiły go z tropu. Tymczasem pan Janusz wsiadł z żoną do taksówki i szybko zaczął się oddalać.

Pordoba długo z natężeniem patrzył za odjeżdżającymi. Nagle błyskawica świadomości przeszła jego mózg:

- Jezus Maria! - krzyknął. - Trzymajcie go! Trzymajcie! Przecież to jegomość z mostu Poniatowskiego!

Tymczasem auto skręciło na rogu Alei Jerozolimskich i zniknęło mu z oczu. Próbował gwizdkiem zaalarmować najbliższy posterunek, było już jednak za późno.

- Numer taksówki! - ryknął na cały głos. - Czy kto zauważył numer taksówki?

Nikt się jednak nie odezwał.

- Już ja go dostanę w swoje ręce! - zawyrokował Pordoba i, klnąc na czym świat stoi, podążył szybko do swego komisariatu.

Rosławski był jednak przezorny. Kazał wieźć się na główny dworzec kolejowy, tam wysiadł przed przechowalnią bagażu, jakby miał odebrać rzeczy, szofera odprawił, po czym z żoną, wciąż protestującą przeciw tym dziwnym praktykom, skierował się do biura informacji pod pozorem, że chce upewnić się, jakim pociągiem mógłby najwygodniej dojechać na kurację do Krynicy.

- Jeśli dbasz choć trochę o moje zdrowie - rzekł z uśmiechem do żony - to niepotrzebnie oburzasz się na mnie, że tak kołujemy to tu, to tam; trzeba wszystko załatwić systematycznie... Przede wszystkim stwierdziłaś naocznie, że twoje podejrzenia, oparte na sennym zjawisku, nie mają żadnej podstawy. Co ja mogę mieć wspólnego z tym wszystkim? W kostnicy leży trup kobiety, która utonęła w zupełnie innych okolicznościach.

Maria odparła z naciskiem:

- Tak jest, ta kobieta, która leży w kostnicy, nie ma z tobą nic wspólnego, lecz ta inna, ta prawdziwa, tym bardziej musi istnieć i tej trupa nie wyłowiono.

- Przesadzasz! Czepiasz się najbłahszych pozorów.

Maria zaprotestowała:

- Sam mówiłeś w kostnicy, że wyłowiony z Wisły trup dziewczyny

leżał w wodzie już kilka dni... Zatem nie może to być kobieta, o którą nam chodzi.

- Mnie nie, tylko tobie - z miejsca obalił postawiony zarzut. - W dodatku trzeba myśleć logicznie. Dlaczego kobieta, która ci się przyśniła, a która chciała koniecznie, jak mówiłaś, abym ja się utopił, miałaby sama się topić? Jaki w tym sens?

- A jednak - oświadczyła kategorycznie Maria - nie dam sobie wybić z głowy, że między tym tragicznym wypadkiem a osobą, która mi się śniła, jest jakaś łączność. Mnie coś wewnątrz mówi, że to senne przywidzenie jest jednak faktem rzeczywistym. Ta kobieta istnieje lub istniała. I dam sobie głowę uciąć, że tym mężczyzną, który wczoraj w nocy był na moście Poniatowskiego i patrzył na jej śmierć samobójczą, byłeś ty!!!

Utopiła w nim przenikliwy wzrok. Rosłowski spochmurniał, spuścił oczy. Ale po chwili próbował zażartować:

- W takim razie - rzekł - zgłoś się do pierwszej lepszej redakcji, niech zrobią z tobą wywiad. Wskaż na mnie jako na tego, który uciekł z mostu przed pościgiem. Staniesz się sławna. Może ci nawet dobrze zapłacą za tę genialną informację.

- Mnie potrzebna jest prawda nie dla władz - odparła twardo - tylko dla mnie! Gdyby nie to, byłabym od razu zapytała się naszego przewodnika w kostnicy, czy to on jest tym posterunkowym z mostu Poniatowskiego w ubraniu cywilnym... który poluje na swego zbiega, czy też nie...

- A ja byłbym się z nim ucałował z dubeltówki - kpił Janusz - i pojechalibyśmy w trójkę na drugie śniadanie do Bukieta.

Pani Maria rozdrażniona stanęła na chodniku, zapominając o całym świecie.

- Przysięgnij mi - rzuciła mu wyzwanie - że to nie ty byłeś na moście Poniatowskiego tej nocy!

Rosłowski zaśmiał się głośno, lecz równocześnie zauważył, że kilka osób rzuciło na nich zaintrygowane spojrzenia.

- W tej chwili moja droga - rzekł patetycznie - jesteśmy na ulicy Marszałkowskiej i przeszkadzamy licznym przechodniom w posuwaniu się naprzód.

Wziął ją pod rękę i przeprowadził szybko na drugą stronę ulicy

wbrew oczywistym przepisom policyjnym. Pani Maria zmieszała się, dostrzegła bowiem wzrok jegomościa, który obserwował ich od pewnej chwili i który, przechyliwszy kapelusz na bakier, przeszedł również za nimi na drugą stronę ulicy.

Wywiadowca! - z lękiem pomyślała pani Maria.

W tej chwili posterunkowy stojący na służbie zatrzymał nieznanego i kazał mu zapłacić karę. Rosławska, korzystając z tego, błyskawicznie wciągnęła męża do bramy najbliższego domu i weszła z nim na schody frontowe, zacierając w ten sposób ślad za sobą.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Janusz zniecierpliwiony. Maria ścisnęła go silnie za rękę.

- Wywiadowca! - szepnęła mu do ucha.

Rosławski zbladł. Nie mógł oprzeć się pierwszemu wzruszeniu i pod jego naciskiem rzucił nieogłędne słowa:

- Dziękuję ci! Jesteś dobra!

Próbował za chwilę poprawić się, było już jednak za późno.

- Tak, jestem dobra - rzekła z naciskiem - zaczynam cię osłaniać.

Maria zdobyła niezbitą pewność, że mąż lęka się pościgu policji. Przysięgła sobie w duszy, że odtąd na własną rękę będzie się starała dotrzeć do źródła prawdy.

Rosławski pochwylił błysk w jej oczach, ciemny, gorejący.

- Maryś - rzekł - jesteś na niebezpiecznej drodze. Radzę ci, nie rób żadnych wysiłków w tym kierunku, bo sprowadzisz wiele nieszczęścia na mnie i na siebie, i wiele przysporzysz nam zgryzoty. Ja jestem niewinny! Rozumiesz? Niewinny! Każdy człowiek może być wplątany w tragiczną aferę niewinnie! Powtarzam ci z naciskiem: niewinny! Dziś wszystkiego powiedzieć ci nie mogę, bo to poplątałoby jeszcze bardziej całą sprawę. Radzę ci jedno: ufaj mi i bądź cierpliwa. Ja byłem może nieostrożny, lecz odtąd będę ostrożny aż do przesady.

Maria podniosła na niego zdziwione oczy. Uderzył ją ton głębokiego przekonania, z jakim mąż mówił do niej w tej chwili. Rosławski przycisnął jej rękę do piersi:

- Zawierz mi! Ta sprawa nie ma nic wspólnego z naszym

pożyciem! Nie zdradzam cię. Ta znajomość niebezpieczna, którą zawarłem, mogła jedynie wpłynąć na mnie hamująco, że się tak wyrażę, pod względem głodu erotycznego. Ta sprawa, w którą zostałem mimo woli wplątany, jest zupełnie innej natury i to sprawa z innego świata.

Maria uśmiechnęła się gorzko. Jej mąż, realista trzeźwy aż do szpiku kości, był wmieszany w sprawę z innego świata!

Ale w tejże samej chwili przypomniało jej się niesamowite widzenie senne i równocześnie nie mogła się oprzeć wrażeniu, że za jej plecami stoi ktoś obcy. Obejrzała się z panicznym lękiem. Nie było nikogo, ale po twarzy musnął ją jakby lekko powiew czegoś dotykającego, choć niewidzialnego...

Na ustach zamarły jej drwiące słowa. Postanowiła zastosować się do prośby męża. W gruncie rzeczy namiętna ciekawość rozwiązania zagadki na własną rękę opanowała całe jej jestestwo. Czuli, że z tej drogi już nie zejdzie.

- Dobrze, Janku - rzekła cichym głosem. - Będę czekała na twoje wyjaśnienia.

Oboje chmurni, zamknięci w sobie, wyszli ostrożnie na ulicę. Rosławski zdjął kapelusz, który mógł być widowym celem dla jego prześladowcy, i wsiadł razem z żoną do najbliższego samochodu.

VII. NAGŁA WIZYTA

Gabinet profesora Gordona miał w sobie coś z kaplicy. Dwa okna o gotyckich wysmukłych liniach pokryte były kolorowymi witrażami, które przesączały światło skąpe, pełne tajemniczego uroku. Stylizowane rysunki, oparte na motywach gwiazd i planet krążących we wszechświecie, odrywały umysł każdego, kto się tam znalazł, od codzienności, a w każdym razie kazały mu liczyć się z tym, iż znajduje się zgoła w innej atmosferze niż ta powszednia, do której przywykł.

Na biurku paliła się lampa elektryczna o przenikliwym blasku, maskowana abazurem ruchomym, przezroczystym, o barwie seledynowej. Szafy biblioteczne, wypełniające trzy ściany gabinetu, zastawione były książkami, starannie oprawionymi w czerwoną skórę. Na wszystkich wyciśnięte były srebrne litery w fioletowych obwódkach: J.G, jako skrót imienia i nazwiska: Juliusz Gordon.

Profesor siedział pochylony nad manuskrypcem, który dostarczono mu z ostatnią pocztą. Małe lustro, złożone z trzech skrzydeł, stojące pod lampą, odbijało jego twarz trzykrotnie. Gordon miał swoisty sposób kontroli nad sobą samym. Ile razy ogarnęła go jakaś wątpliwość, ilekroć stawał wobec pytania, którego w pierwszej chwili nie umiał rozwiązać - patrzył w potrójne odbicie swego oblicza, wychylające się z lustrzanej tafli. We własnych oczach szukał odpowiedzi. Twierdził, że ją zwykle znajdował.

Profesor prowadził życie zakonspirowane. Odkąd przeszedł na emeryturę, nie miał żadnego stałego zajęcia. Opinia kamienicy, w której mieszkał na pierwszym piętrze, głosiła: „Dziwak uczonej”.

Mówiono, że ojciec zostawił mu wielki majątek na Kresach, którym znakomicie zarządzała jego zamężna siostra - inni twierdzili, że niewielką schedę po rodzicach powiększył wielką wygraną,

którą potrafił ulokować w zdrowym przedsiębiorstwie aprowizacyjnym.

Poza tym miał opinię obywatela bardzo solidnego i punktualnie wypłacającego swoje zobowiązania. Nawet ciężka doba kryzysu gospodarczego w niczym nie wpłynęła na dotychczasowy tryb jego życia. Żaden komornik nie zjawiał się w jego mieszkaniu ani nie opisywał mebli...

Co kryło się za progiem jego mieszkania, tego już zgola nie wiadano. Wtajemniczonych osób była mała garstka. Profesor przyjmował w domu tylko bardzo zaufanych. Z innymi spotykał się na mieście.

Między szóstą a ósmą wieczorem raz w tygodniu, w sobotę, można go było zastać w kawiarni Hotelu Europejskiego. Tu zawierał nowe znajomości - tu ciekawi mogli zamienić z nim kilka słów.

Poza tym oddzielał go mur chiński od całego świata. Przepadał w swym mieszkaniu dla ludzi na całe tygodnie, o ile nie wyjeżdżał z Warszawy w sprawach jemu tylko wiadomych.

Jacek Orwicz, młody uczonek, należał do tych uprzywilejowanych, dla których profesor po godzinie czwartej po południu był widziany. Właśnie Jacek dopiero co wrócił do stolicy po dłuższej nieobecności. Tym razem Orwicz nie liczył się z sakramentalną godziną czwartą. Zaalarmował profesora już o godzinie dziewiątej rano. Nerwowo nacisnął kilkakrotnie guzik dzwonka.

Sucha postać Gordona podniosła się od biurka i powoli skierowała ku drzwiom wejściowym. Przez mały wziernik skontrolował pedantycznie, kto napada go o tak wczesnej godzinie, po czym bez słowa otworzył drzwi.

- Czy pan profesor czytał nowe nadzwyczajne dodatki pism? - zwrócił się Jacek już na progu z gorączkowym pytaniem, zapomniawszy o należytej formie powitania. - Właśnie w tej sprawie przychodzę. Jestem taki zdenerwowany... Ten zdumiewający wypadek na moście Poniatowskiego, o którym ranne pisma doniosły...

- Nic nie czytałem - odburknął urażony Gordon. - Przecież pan

wie, że nie zajmuję się takimi głupstwami. To dobre po obiedzie dla komiwojażerów.

- Tak, tak - oświadczył Orwicz - ale dziś zaszły wyjątkowe okoliczności. W dodatku nadzwyczajnym piszą w związku z tą tragedią nocną na moście Poniatowskiego także o panu profesorze...

- O mnie? O jakiej tragedii pan mówi?

- Do Wisły rzuciła się z mostu jakaś ekscentryczna osóbką dziś w nocy. Podobno wyłowiono jej zwłoki. Otóż rodzimy Sherlock Holmes jednego z pism pisze, że o północy widziano pana profesora, jadącego autem przez most Poniatowskiego i że robił pan podobno wywiady z posterunkowym.

Profesor pobladł.

- Ależ to wszystko kłamstwo! Nikt przy mnie się nie topił. Przez most przejeżdżałem, i to w szalonym tempie, lecz na moście mógł być każdy w tym czasie. Z żadnym posterunkowym nie robiłem wywiadów! Nonsens!

- Nazwisko pana profesora jest w tej chwili na ustach całej Warszawy.

- Skąd się wzięła ta plotka? - wołał oburzony Gordon. - Co za idiota pozwolił sobie na podobny wybryk.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu. Profesor rozdrażniony chwycił słuchawkę i ostrym głosem zapytał:

- Kto mówi? Kto? Jak? Nieznajomy? O co pan pyta? Ależ ja nie mam nic wspólnego z tą sprawą!

- Co? Co? - wołał dalej zaperzony uczony. - Czy pan spadł z wieży Eiffla? Proszę! Proszę! Niech pan zaraz przyjeżdża. Przekona się pan naocznie, że mam siwe włosy i niebieskie oczy! Jak? Jak? Nie, panie! Nie przemalowałem włosów! Malowały je moje lata! Mam lat siedemdziesiąt! Tak, panie, czy pan chce, czy nie, mam lat siedemdziesiąt! A zresztą ta cała indagacja jest nonsensem. Ja protestuję przeciw tej natarczywości. Co? Co? Polował pan na mnie w kostnicy? A mnie diabli do tego! Nie rozmawiam więcej z panem! Żegnam!

- Panie profesorze - mitygował go Jacek. - Trzeba oględniej gadać. Mogą panu narobić masę nieprzyjemności.

- Bezczelność! Bezczelność! - wykrzykiwał Gordon. - Pierwszy lepszy gryzpiórek pozwolił sobie w dzienniku na nieprzystojny żart, a tu zaraz ktoś wietrzy we mnie zbrodniarza. Na moście byłem o godzinie jedenastej minut trzydzieści w nocy. Jechałem autem. Istotnie. Sam nawet kierowałem. Lało jak z cebra. Diabli komu do tego, co tam robiłem! Grunt w tym, że mam wolną wolę. Każdy obywatel ma wolną wolę. Każdy obywatel ma wolną wolę! Może sam chciałem się utopić! A może komuś nie dałem się utopić! Może chciałem pływać! Słyszysz pan? Może chciałem pływać! Tak mi się podobało i całemu światu nic do tego! Nic! Nic!

Jacek był zdumiony niezwykłym rozdrażnieniem profesora. Takim go jeszcze nigdy nie widział.

- A więc pan profesor był na moście Poniatowskiego - zaryzykował uwagę w tej krytycznej chwili?

- Byłem. I co z tego?

- Tym bardziej, panie profesorze, musi pan być ostrożny, wybuch gniewu ściągnie na pana ciężkie podejrzenie, a z tym nie ma żartów. Tu chodzi o życie ludzkie. Władze poszukują sprawcy. Trupa kobiety znaleziono...

Profesor trząsł się z oburzenia.

- To kaczką dziennikarską! - wybuchnął. - Nie mogli znaleźć żadnego trupa! Przecież ta kobieta żyje!

- Jaka kobieta? - rzucił pytanie zdumiony Orwicz.

Gordon zmieszał się silnie, powiedział zbyt wiele.

- Ta kobieta - tłumaczył się - o którą mnie chodzi... Mnie! Tylko mnie! Reszta mnie nic nie obchodzi!

Jacek z wyjaśnienia profesora domyślił się, że Gordon wie daleko więcej, niż mówi. Trup w kostnicy mógł wprawdzie nie mieć nic wspólnego z kobietą, o której profesor twierdzi, że żyje, ale rzecz jasna, iż w takim razie istnieje tu inna kobieta, z którą stało się coś dziwnego...

- Tym bardziej, panie profesorze - rzekł z naciskiem - tym bardziej, powtarzam, musi pan z całym spokojem dać wyjaśnienia, o które władzom chodzi.

- Nie dam żadnych wyjaśnień! Jestem wolnym, niezależnym Obywatелеm! Nie poczuwam się do niczego! A spłoszyć kogoś,

względnie spotkać kogoś, choćby na moście Poniatowskiego, to jeszcze nie przyczyna, aby wszyscy wiedzieli o moim, dajmy na to flircie...

- A więc chodzi panu profesorowi o dyskrecję?

- Tak jest - odparł Gordon - o dyskrecję jak najpełniejszą! Kobiety tej nie mogę skompromitować, bo już samo wyjawienie jej nazwiska ściągnęłoby na nią olbrzymie przykrości.

- Wszystko panu wolno, panie profesorze, byle pańskie odpowiedzi wobec władz śledczych brzmiały jasno i stanowczo.

- Ależ ja pojedę do kostnicy - odparł Gordon - i stwierdzę fakt oczywisty, że topielicy nie znam, bo jej znać nie mogę. To musi być ktoś inny. Dam sobie rękę uciąć! Przestańmy zresztą mówić o tych głupstwach, bo to mnie nic a nic nie obchodzi. Mówmy o czym innym. No, panie Jacku, cieszę się, że pan nareszcie pokazał się w Warszawie. Bardzo mi pana brakowało.

- Panie profesorze - odezwał się młody uczonec - nie zasłużyłem na tak pochlebne zdanie.

Profesor wziął go pod rękę i poprowadził ostentacyjnie do gabinetu. - Tak jest, mój młody przyjacielu - rzekł z pewnym namaszczaniem - wnosisz do naszej pracy duży zapas intuicji i pierwszorzędnej, wielkiej wnikliwości, a to ma ogromne znaczenie w moich studiach. Nieraz twoje bystre spostrzeżenie lub trafna uwaga ratowały sytuację i wyprowadzały nas z labiryntu nieprzebytych zagadek.

Poprawił się niecierpliwie w fotelu.

- Dziedzina, w której pracujemy - mówił dalej - jest nietknięta. Nikt nie rozważa tego zagadnienia w sposób taki jak my. Gdyby dowiedziano się ściśle, co jest przedmiotem naszych studiów i seansów, uważano by nas za wariatów. Ale wariatem w oczach plebsu był zawsze każdy uczonec, który chce zedrzeć zasłonę z Nieznanego. I nie tylko w oczach plebsu. Inni uczeni uważają go także za wariata, a nawet spaliliby go na stosie, jeśliby to, do czego dąży, obrażało ich światopogląd! Ho, ho! Jeszcze jak!

Zamilkł na dłuższą chwilę, umęczony poprzednim uniesieniem.

Usiedli w zacisznym kącie gabinetu. Przez kolorowe witraże przesączało się dyskretne światło, pełne tajemniczości. W fioletowo-

krwawych refleksach, pochyleni ku sobie, wyglądali jak magowie średniowieczni, którzy w tyglu smażą tajemniczy preparat. Brakowało im tylko odpowiednich kostiumów. Jacek nawiązał po chwili przerwana rozmowę:

- Jestem tylko wykonawcą pańskich wskazówek, profesorze, i nic więcej. Być może, że wykonawcą lepszym od innych, lecz przecież nieinteligentnego współpracownika pan nie potrzebuje.

- Tak, tak - oświadczył Gordon. - Z tą małą różnicą, że ludzie mogą być inteligentni, lecz mimo to pozbawieni zdolności twórczych. Mogą oni tylko sumiennie dalej prowadzić pracę wynikającą z poprzednio dokonanej analizy, i to na podstawie umiejętnie stosowanych przesłanek.

Młody uczonek potakiwał.

- Dziedzina - ciągnął dalej profesor - w której pan ze mną pracuje, wymaga na wskroś twórczej inicjatywy, a tej nie zawsze mi starczy, i dlatego pańska pomoc, mój młody przyjacielu, jest dla mnie bardzo cenna. Oto, co chciałem ci powiedzieć już dawno.

Orwicz skłonił się głęboko.

- Zwłaszcza aparat - mówił z rosnącym ożywieniem uczonek - który pan ostatnio zbudował celem pochwylenia odkrytych przeze mnie promieni „Mo”, jakie moim zdaniem muszą być obecne przy osiadaniu zjawy ziemskiej osobnika na astralu medium... Pewnego dnia możemy się dowiedzieć, że duchy istot ludzkich, wyzwolone z pęt materii, ulegają również prawom fizjologii, jakby powiedzieć transcendentalnej... Duchy te mają swoje światło, swoje słońce, swoje prawa grawitacji, swoje prawa rozwoju. Jednym słowem otwiera się przed nami pole, na którym możemy dokonać odkryć rewelacyjnych.

Zapanowało chwilowe milczenie. Jacek zbierał myśli. Zgromadził się w nim kłęb wątpliwości, z których chciał się wypowiedzieć swemu mistrzowi.

- Drogi profesorze - zaczął swoje wynurzenia - już dawno pragnąłem otwarcie pomówić z panem o wadach mojego aparatu. Choć pan tak pochlebnie wyraża się o nim, szczerze powiem, że mój początkowy entuzjazm pryska. Wyniki są, jak dotychczas,

bardzo minimalne i w dodatku od jakiegoś czasu obserwowane zjawiska całkowicie przestały się ujawniać! Wydaje mi się...

- Przepraszam, że przerywam - odezwał się Gordon z pobłażliwym uśmiechem. - Grunt, że aparat jest. Wyniki zależne są od niezmiernie subtelných przyczyn, na których powstawanie nie mamy dotychczas prawie żadnego wpływu.

- Tak, panie profesorze. Ale mnie nie chodzi o samą nikłość obserwacji, mnie głównie to dręczy, że jak mi się wydaje, jesteśmy na fałszywej drodze. Obawiam się, że astral ludzki, który u pewnych mediów ujawnia się z niezaprzeczalnym natężeniem, nie przyciąga do siebie żadnych fluidów ani ich nie wydziela, ani też nie towarzyszą mu żadne promienie nieznanе dotychczas nauce.

Profesor spojrział z wyrzutem na młodego uczonego.

- Jak to? I to pan mi mówi - rzekł podnieconym głosem - Pan, który sam wie najlepiej, że nauka jest dopiero u progu wielkiej zagadki, jaką są bezsprzecznie promieniotwórcze potęgi, które oddziałują na astrale ludzkich istot, promienie, które przenikają swym działaniem cały wszechświat? Promienie ultrafioletowe, promienie Roentgena, promienie kosmiczne to wyrwane dopiero pojedyncze zjawiska z tej niesłychanej energii, jaka w nas, koło nas, poza obrębem naszego głosu i w tajniach kosmosu działa. I pan wątpi w to, że ukazywaniu się astralu ludzkiego towarzyszą zjawiska promieniotwórcze? Pan wątpi, że duch ludzki, ten niezaprzeczalny fenomen, zupełnie nieznaný jeszcze nauce, czerpie swą egzystencję z energii tkwiącej w Universum i jest współczynnikiem nieznaných potężnych sił wibracyjnych, o których istnieniu nic jeszcze nie wie wiedza współczesna?!

Oparł dłoń na metalowym łwie, zdobiącym poręcz krzesła.

- Panie Jacku! Cierpliwości i jeszcze raz cierpliwości! Każdy uczoney to, co zdobył, zna i tego mu już nikt nie wydrze, lecz we wszystkim, innym, czego jeszcze nie zna, jest dzieckiem, małym dzieckiem, które wsłuchuje się w szept swej intuicji i kroczy po omacku w labiryncie Universum...

Orwicz przyznawał słuszność profesorowi.

- Tak, drogi mój przyjacielu - ciągnął dalej Gordon. - Wiedza współczesna jest potężna, lecz tylko w naszych oczach, bo my

mierzmy ją tym, co było przed nami. Ale w obliczu tych cudów, tych niesłychanych tajemnic, jakie kryje w sobie Kosmos, wiedza nasza jest maluchnym skrzydełkiem maluchnego wiatraczka, który miele mikroskopijne ilości mąki na użytek laboratoryjnych mrówek, więcej nie! Tyimi mrówkami jesteście także my obaj...

- Panie profesorze - jeszcze raz próbował Jacek uzasadnić swe wątpliwości - przyznać w każdym razie to jedno musimy, że jakkolwiek skromny jest dorobek myśli ludzkiej, to chłodny, trzeźwy rozum... ściśle mówiąc sceptycyzm odgrywa olbrzymią rolę w gromadzeniu wartości istotnych, w przeciwnym razie, odrzucając ów regulator rozumu, dopuścić musielibyśmy do skarbcza wiedzy, do magazynu jej zdobyczy wszelkiego rodzaju maniactwa rozgrzanych głów, a to przecież byłaby katastrofa.

Gordon zaśmiał się ironicznie:

- Chcesz pan przez to powiedzieć - rzekł z patetycznym wdziękiem - że ta dziedzina, której ja się poświęciłem i do której pana wciągnąłem, jest wynikiem maniactwa i rozgrzanej mózgowicy? No, no... pozwalam panu nawet takie oskarżenia podnosić!

Ja sam tysiąc razy to samo mówiłem sobie, lecz imperatyw wewnętrzny, ów głos przenikliwej intuicji, każe mi iść naprzód!

Spojrzał mocno w oczy asystentowi.

- Ten imperatyw wewnętrzny - mówił dalej - to najwyższe źródło powstawania wiedzy. Bez niego nie rodziłoby się nic. Bo wszystko wielkie, piękne i pożyteczne rodzi się z bólu i z zawodów tysięcy różnych badaczy, aż nareszcie tysiąc pierwszy jest tym szczęśliwcem, który ziarnko nowej prawdy wydziera z oceanu kosmicznej rzeczywistości! Być może, że w owym szeregu badaczy w naszej dziedzinie my jesteście dopiero tymi początkowymi pionierami, ja pierwszy, ty drugi, panie Jacku, a dopiero kiedyś zjawi się tysiąc pierwszy! Oby był szczęśliwcem!

Jacka ogarnęło wzruszenie. Z głosu Gordona biło ciepło i entuzjazm twórczy. Orwicz odetchnął głęboko. Kłęb wątpliwości, który otaczał jego umysł, rozwiewał się powoli. Wdzierały się weń nowe promienie nadziei.

- Czym zatem - zagadnął profesora - wyjaśnisz, mój mistrzu, fakt, że nasz aparat na pierwszych seansach z panną Blanką -

przynosił nam coś, co pozwalało przypuszczać, że wynurzą się dalsze możliwości? Ukazywały się wówczas jakieś ślady na błonach fotograficznych, mówiące o przelotnej obecności nieznanymi promieni, nazwanych przez ciebie, mistrzu, promieniami Mo! Ale później nawet te skąpe zjawiska zniknęły! Nic! Pustka! Mój aparat stał się nieużytecznym gratem! Nie notował żadnych reakcji. Medium pracowało, astral ujawniał się, lecz obecności energii ubocznej ani śladu!

- Dlaczego? Dlaczego?! - powtarzał profesor z goryczą w głosie.
- Bo nasze medium zaczęło się kochać, po prostu po ludzku kochać!

- Jak to? Nasza Blanka?!

- Tak, nasza Blanka!

- W zwykłym śmiertelniku?

- Tak jest, w najzwyczajniejszym śmiertelniku! Takie jest moje przypuszczenie.

- Ta nasza cudna Blanka - wykrzykiwał Jacek - dla której ja sam miałem cześć prawie boską? Przecież zdawało się, że to istota naprawdę zaziemska. Przecież wchodziła już w silny kontakt ze zjawą Roberta.

Gordon trząsał palcami.

- Tak, drogi przyjacielu. My swoje, a ona swoje. Nie mówiłem ci o tym, bo nie chciałem cię peszyć. Przypuszczałem, że to było w niej uczucie przemijające, że otrząśnie się z niego. Tymczasem jest gorzej, niż mniemałem. Dotychczas była demonem zimnym i obojętnym dla wszystkich mężczyzn. Ten i ów wpadał w szal miłosny lub strzelał sobie w łeb. Trudno. Nie była pochyłym drzewem, na które mógł wejść każdy koziół adamowy. Wówczas był to jej okres medialny najświetniejszy. Wówczas twój aparat zaczął sam sygnalizować na seansach, że pojawieniu się astralu towarzyszą odkryte przeze mnie promienie Mo, których właściwości nie zdołaliśmy jeszcze ściśle zanalizować. Niestety, zbyt szybko współdziałanie ich całkowicie ustało.

Jacek patrzył zdumiony na profesora.

- Jak to? Pan profesor wiąże to zniknięcie promieni Mo z podnieceniem erotycznym Blanki?

- Tak jest - oświadczył Gordon. - Zjawiska erotyczne nie zostały dotychczas ściśle naukowo zbadane. Kryje się w nich również wielka zagadka. Akt miłosny dwóch doskonałych istot ludzkich, przepelnionych ogniem erotycznym, odbywa się niewątpliwie przy współdziałaniu energii nam nieznaney. Osobiście przypuszczam, że są to promienie ściśle związane z magnetyczną energią naszej ziemi. Wskazuje na to niezwykle wstrząs całego organizmu ludzkiego, wysoka ciepłota krwi, odbłask kolosalny miłosnych zachwyków, ujawniony choćby w dziełach sztuki, i twórcza potęga, płynąca z dokonanego kontaktu dwóch istot ludzkich, względnie niszcząca siła, płynąca z ich rozdziału. Po prostu dwie gwiazdy stapiające się z sobą w zachwyku, względnie dwie zimne planety, które się minęły w Univerzum lub wpadły na siebie z nienawiścią i wywołały katastrofę: morderstwo, samobójstwo. Otóż moim zdaniem promienie, towarzyszące rodzącej się potędze miłosnej, mogą paraliżować emanacje innej energii promienistej, na przykład ujawniania się astrali. Nasza Blanka zaczęła kochać się w zwykłym mężczyźnie. Jej astral, przepojony promieniami erotycznymi, płynącymi z magnetyzmu ziemskiego, które dla odróżnienia nazwałem promieniami „Ni”, zaczął unicestwiać działalność promieni kosmicznych Mo. One to, te promienie Mo, według mojej teorii w normalnych warunkach przenikają astral wyłaniający się z organizmu ludzkiego w chwili osiadania na nim ducha „istności” zaziemskiej.

VIII. HIPOTEZA PROFESORA GORDONA

Jacek opuścił głowę. Hipoteza profesora Gordona zdawała się być trafna.

Gordon gorączkowo kontynuował swoje wywody:

- I otóż to stało się przyczyną niepowodzenia pańskich obserwacji za pomocą pańskiego aparatu. Promienie Ni, promienie magnetyzmu ziemskiego, zabijały promienie Mo. Ot, po prostu taki pan w spodniach, który spodobał się Blance, zamordował nasze nadzieje.

Jacek nie mógł wstrzymać się od uwagi:

- Zatem, mimo tak wielkiej ostrożności, jaką pan otaczał Blankę, nie uratował jej pan od wpływu obcego mężczyzny?

Gordon potrząsnął głową z politowaniem:

- Zapamiętaj to sobie, młody przyjacielu, że każda kobieta ma okresy, kiedy ją napada tęsknota, aby mieć dziecko, choćby nawet z czartem. U jednych to pragnienie wygasa, u innych nie. Zdaje mi się, że Blanka taki właśnie okres zaczęła przeżywać. Chce mieć dziecko!

Jacek aż skoczył na krześle.

- Nie koniec na tym - wyjaśniał Gordon dalej swoje hipotezę. - Przegrałem z Blanką sprawę jeszcze w jednym, niesłychanym punkcie! Uderzyły mnie już poprzednio pewne symptomy, bardzo szczególne w czasie ostatnich seansów. Jak panu wiadomo, udało się nam wywołać na seansach z Blanką istotę zaziemską Roberta, który osiadał na astralu Blanki coraz bardziej precyzyjnie. Nie był to duch zwykłego śmiertelnika z naszego globu, ale istotę z innej, nieznannej nam konstelacji. Jeśli mamy wierzyć zapewnieniom ducha Tobiasza, który zawsze towarzyszył zjawie Roberta, istotę Roberta pochodzi z planety oddalonej od nas o milion lat świetlnych.

- Ale co to ma wspólnego...?

- Ma! Ma! - profesor wpadł w tok myśli Orwicza. - Wszak Blanka silnie reagowała na seansach w marcu i w kwietniu na każde czulsze słowo istności Roberta. Zdawało mi się, że duch Roberta także zwrócił szczególną uwagę na nasze medium jako na kobietę. Blanka jest uduchowiona! Blanka nosi w swej istocie doskonale pierwiastki psychiczne nie z tej ziemi. Nie z tego naszego ziemskiego globu! Dlatego przecież nazwałem ją „kobietą z innej planety”. Ją sprawy przyziemne, pospolite, nic nie obchodzą. Mówi najchętniej o sprawach dalekich, o teoriach życia kosmicznego. Ona w Robercie znajdowała niejako odpowiednik swych nastrojów. Dostrzegłem to wyraźnie. Dostrzegłem ten subtelny, przedziwny fluid sympatii, jaki zaczął wiązać tych dwoje. I otóż w czasie wspomnianych seansów przyszła mi nagle szalona myśl, aby tych dwoje zbliżyć całkowicie do siebie...

- Kogo? - rzucił Jacek gwałtowne pytanie.

- Istność Roberta i Blankę!

- To niemożliwe!

- Dla mnie - oświadczył profesor - ta szalona myśl wydawała się możliwa. Byłby to w każdym razie eksperyment niesłychany, gdyby dał się osiągnąć.

Orwicz zerwał się z krzesła i w najwyższym podnieceniu przemierzał wielkimi krokami gabinet tam i z powrotem.

- To niesłychane! To niesłychane! - powtarzał nieustannie te same słowa, wytracony zupełnie z równowagi. - Przecież to szaleństwo!

Nagle podskoczył do Gordona, pochwycił go za obie ręce, potrząsnął nimi silnie i patrząc mu przenikliwie w oczy, wycodził słowo po słowie:

- Zatem pan profesor chciał doprowadzić do całkowitego zbliżenia się istności Roberta i ciała Blanki w czasie seansu? Do całkowitego?

Gordon z trudem uwolnił się z jego uścisków.

- Tak jest - oświadczył. - O ile to tylko jest możliwe w tych warunkach, jakie wytwarzają nasze seanse! Chciałem i chcę doprowadzić do całkowitego zbliżenia się, przeniknięcia i nasylenia

jednej istoty drugą. Blanka winna stać się matką za sprawą istności Roberta. Aby to osiągnąć, istność Roberta winna ulec całkowitej, absolutnej materializacji. W tym niesłychanym, epokowym momencie moje promienie Mo spełniłyby rolę kondensacyjną w stosunku do astralu Roberta.

- Szalona idea!. - wykrzykiwał Orwicz. - Szalona!

- Szalona - powtórzył profesor świszczącym głosem. Sugerowałem Blance tę myśl w czasie seansów, a i później w czasie rozmów naukowych. Może plebs śmiać się z mojej hipotezy, że z ogromów kosmicznych płyną między innymi także promienie Mo, których mocy wiedza współczesna jeszcze nie zna, ale te promienie są i działają! Im moim zdaniem pospolite plemię ludzkie zawdzięcza inwazję talentów i inwazję geniuszów z innych dalekich światów! Tak musi być, inaczej boskość, ujawniająca się w mózgu ludzkim, byłaby bardzo śmieszną karykaturą, a cała wiedza, odróżniająca ludzkość od społeczności wielorybów i pasikoników, byłaby tylko humbugiem! Zwykła miłość fizjologiczna, na wskroś materialna, ludzi i zwierząt to efekt promieni Ni, promieni magnetyzmu ziemskiego. Promienie Mo, płynące z Kosmosu, w pewnych specjalnych warunkach mogą, moim zdaniem, niejako interweniować w akcie miłosnym, pokonać siłę promieni Ni i zdobyć przemożny wpływ przy formowaniu się nowej istoty w łonie matki! Jeżeli fizyczny embrion daje początek rozbudowie tkanek organicznych nowej istoty za pomocą promieni magnetycznych, to owe promienie Mo, będące jednym z odgałęzień prądu kosmicznego, dają początek jej boskim właściwościom. Działaniu promieni Mo zawdzięcza ludzkość pojawienie się w jej szarej, bezdusznej masie genialnych myślicieli, artystów, twórców religii i wielkich wynalazców!

W tym miejscu profesor na chwilę się zatrzymał, kontrolując myśl, którą miał wypowiedzieć.

- Poczynione na seansach spostrzeżenia - podjął na nowo swoje wywody powolnym, przyciszonym głosem - podsunęły mi dalsze myśli. Dlaczegoż to, postawiłem sobie pytanie, Blanka nie mogłaby stać się matką za sprawą nie ziemskiego mężczyzny, lecz istności Roberta przy natężonym współdziałaniu promieni Mo?! Wszak

istnieje hipoteza dziewic-matek, która nie jest obca historii ludzkości!

- Istotnie! - wykrzyknął Jacek. - Uwaga niezmiernie trafna!

- A dalej - snuł swe myśli profesor - czy te wszystkie wypadki, notowane przez legendy, o matkach-dziewicach nie powinny być sprowadzone do interwencji zaziemskiej boskich czynników? Owych zesłańców kosmicznej wszechpotęgi. Twierdzę, że stać się to mogło za pomocą promieni Mo, owych boskich promieni życia, które nie mają nic wspólnego z promieniami kosmicznymi śmierci. Żaden fakt zapłodnienia kobiety-dziewicy nie mógł powstać sam z siebie, bez współdziałania jakiegoś czynnika zaziemskiego! On jeden, ten współczynnik zaziemski, może wywołać ów niesłychany efekt! Promienie Mo w chwili najwyższej ekstazy miłosnej kobiety, ekstazy wywołanej pragnieniem macierzyństwa bez oddawania się ziemskiemu mężczyźnie, mogą przenieść na nią właściwości istoty zaziemskiej i dokonać cudu!

- Wspaniale, profesorze! Wspaniale! - wykrzyknął Orwicz z entuzjazmem. - Wahałem się mocno, kiedy mistrz zaczął rozwijać swoje wywody, lecz ostatni argument stawia całą hipotezę na gruncie prawdopodobieństwa.

Gordonowi pojaśniała twarz. Ogień natchnienia płonął w jego oczach. Sen i marzenia jego wiedzy krystalizowały się w obecności Jacka jasno, precyzyjnie.

- Grunt w tym - dodał profesor - że za moją teorią muszą opowiedzieć się ci wszyscy, którzy uznają możliwość istnienia dziewic-matek! Albo legendy padają w proch, albo hipoteza moja jest zwycięska!

- Tak, tak, profesorze - oświadczył Orwicz głosem pełnym entuzjazmu - jeśli pod pojęcie energii wszechwiecznej kosmosu podstawimy pojęcie Boga, to działanie prądu kosmicznego możemy nazwać interwencją boską i w tym punkcie jesteśmy w zgodzie z wierzeniami religijnymi wielu ludów.

- A te wierzenia - podparł Gordon wywody młodego uczonego - nie są takie głupie, jak się to wydaje patentowanym ateistom. Przeciwnie, w ich symbolicznej szacie kryją się wspaniałe prawdy,

kryją się pierwiastki intuicyjnej wiedzy, która dzięki genialnym twórcom religii wyprzedziła wiele zdobyczy nowoczesnej nauki.

Zapanowało dłuższe milczenie.

Profesor zanurzył się głęboko w fotelu, zmęczony dyskusją. Orwicz również milczał, olśniony ideą uczonego, który po raz pierwszy wypowiedział się tak ściśle ze swej hipotezy. Kłęb wątpliwości, który wsączył w jego duszę zarodki drażniącej niewiary, rozwiął się pod ciosami logiki i argumentami analitycznymi profesora.

Na ustach uczonego błysnął uśmiech triumfu.

- A wiesz, mój przyjacielu - zagadnął swego asystenta - do czego mogłoby nas doprowadzić moje odkrycie? Do rozwiązania najważniejszego problemu, jaki stoi przed gatunkiem ludzkim: jak ratować przyszłość człowieka zbiorowego!

Orwicz słuchał z natężoną uwagą.

- Ludzkość ginie! - dowodził profesor twardym, świszczącym głosem. - Musi ginąć! Musi degenerować się coraz bardziej! Nie mogę wdawać się dziś w dyskusję, dlaczego tak się dzieje, lecz wystarczy na razie stwierdzić, że tak jest. Wywody wielu uczonych, działaczy społecznych i mężów stanu ustalają tę prawdę zgodnie ponad wszelką wątpliwość. Wszak tak?

- Tak jest, panie profesorze - brzmiała odpowiedź.

- Otóż - rozwijał uczone dalej swoje myśli - skoro tak jest, musimy szukać środków ratunku. Wiedza nasza to jeszcze niemowlę, które liczy dopiero kilka sekund istnienia w proporcji kosmicznej do procesu zamierania naszego globu. Toteż przed ludzką wiedzą stoją otworem etapy niesłychanego, nieobliczalnego wprost rozwoju, jeżeli wskutek kataklizmów wewnętrznych lub zewnętrznych rasa ludzka nie zginie wcześniej, nim osiągnie wyższe stopnie doskonalszej cywilizacji.

- Tak, tak - potwierdzał Jacek wywody profesora.

- Ale aby owe etapy zbliżyć - dowodził dalej Gordon - trzeba moim zdaniem potężnych zastrzyków zdobywczego ducha! Potrzeba aby na świat przychodziły w tempie wzmożonym genialne jednostki. Bez ich współdziałania charłactwo psychiczne i materialne będzie coraz bardziej zjadało ród ludzki.

Zamilkł na chwilę, szukając słów, które by mogły odtworzyć jak najściślej wnętrze jego idei.

- Oto - rzekł przyciszonym głosem, w którym drgały akcenty pasji niezwykłej - dlaczego opanowała mię całego gorączka dalszych badań, skoro zajaśniała mi w mózgu myśl ratowania ludzkości na tej drodze. Postanowiłem za wszelką cenę odkryć tajemnice urodzin genialnej jednostki, wyrwać ją sfinksowi Wszechbytu! Wdzieranie się w tajemnice Wszechbytu to przecież boski przywilej rozumu ludzkiego. Bez tego przywileju rasa ludzka byłaby bandą panter, lwów i szakali! Ludzki rozum ma w sobie siłę rzutowania w niezgłębione tajemnice przestrzeni kosmicznej i czasu kosmicznego. I to go różni od świata zwierzęcego i roślinnego. My, ludzie, sami przez się mamy odkrywać i ustalać swoją prometejską moc!

- Odkrywajmy! - rzucił z pasją młody asystent, porwany siłą przekonania, bijącą ze słów Gordona.

Wywody profesora wtapiały się w jego umysłowość z nieprzepartą mocą. Każdy fibr jego jestestwa przepojony był fluidem płynącym z mózgu uczonego.

- Profesorze - wyrzucił z gardła wyrazy pełne wzruszenia. - Jestem do twojej dyspozycji bez reszty! Rozkazuj! Wstydzę się, że mogłem choć przez chwilę wątpić!

Gordon wyciągnął do niego dłoń. Młody uczonek ujął ją z czcią i powoli, powoli przyłgnął do niej ustami.

Po dłuższej chwili milczenia profesor zaczął dalej snuć swoje myśli:

- I właśnie teraz, kiedy nasze seanse wydawały coraz lepsze rezultaty, kiedy zaziemska istność Roberta materializowała się coraz bardziej, kiedy byliśmy tuż tuż obok tego cudu, iż Blanka była gotowa w momencie ekstazy wchłonąć w siebie istność Roberta całkowicie zmaterializowaną... (ta sekunda niesłychana musiała nadejść!) ...stała się rzecz nieoczekiwana! Blanka zakochała się w jakimś pospolitym błaznie gatunku męskiego. Działanie moich promieni Mo, które przyspieszały materializację istności Roberta, zostało sparaliżowane przez działanie promieni magnetycznych. I to właśnie jest naszą wielką, wielką klęską!

- Mistrzu mój - zawołał Orwicz w najwyższym stopniu podniecony - przecież to jest niemożliwe, abyśmy obecnie mieli odstąpić od tak wielkiej idei! Przecież musi się znaleźć jakaś rada!

Profesor zamyślił się głęboko. Nie miał dotychczas czasu na spokojne rozważenie sytuacji.

- Przede wszystkim - oświadczył - mamy dwa inne media kobiece. Niewarte są one co prawda ani dziesiątej części naszej Blanki, lecz ostatecznie będziemy mogli je podciągnąć, rozwinąć i wytresować. Po wtóre Blanka nie jest jeszcze dla nas całkowicie stracona. Moja idea tkwi w niej głęboko. Ta idea wcześniej czy później musi przywieść ją tu! Do mojego gabinetu! Skruszoną i gotową do całkowitego poświęcenia.

- Przecież zakochała się! - zawołał Jacek. - Seanse z nią już nas nie doprowadzą do celu! Trzeba koniecznie pomyśleć o nowych mediach. Ja obecnie odzyskałem cały zapał i gotów jestem poświęcić wszystkie moje siły dalszym studiom w tej dziedzinie!

Profesor spojrział na niego jasnym wzrokiem.

- Jak powiedziałem - rzekł drżącym ze zmęczenia głosem - Blanka nie jest jeszcze dla nas stracona. Ona przeżywa ciężką wewnętrzną tragedię. Nie mogę wyjawić ci dziś, mój młody przyjacielu, wszystkich szczegółów, zaznaczam to jedno, że sam dotychczas nie zdołałem odkryć, kim jest ten, w kim Blanka zakochała się, i jaki jest charakter tej miłości ziemskiej. Zdawało mi się poprzednio, że Blanka zakochała się w istności zaziemskiej Roberta. To była rzecz tak pewna, że dałbym sobie rękę uciąć. I nagle ta piorunująca zmiana w jej psychice... Zaszła jakaś przedziwna ewolucja w jej duszy i sercu, coś tajemniczego! Jest w tym dziwna zagadka, której nie umiem rozwiązać.

- Ale co? Ale co? - Jacek rzucał gorączkowe pytanie. - Przede wszystkim gdzie ona obecnie się znajduje? Czy widuje się z tym mężczyzną?

- Wątpię - odparł Gordon.

- Przecież mówiłeś sam, profesorze - wtrącił Jacek - że każda kobieta w pewnym momencie życia może być opanowana tęsknotą za dzieckiem! A wówczas... przypadek, moment zapomnienia...

- Tak - tłumaczył mu Gordon - lecz Blanka jest wyjątkowym

typem kobiecym. Ona jest zbyt niedostępna! Ona znakomicie zdawała sobie sprawę z doniosłości naszych prac i sama gorączkowała się nadzwyczajnie zamierzonym eksperymentem. Była przecież wtajemniczona przeze mnie we wszystko. Palila się do mej idei! Takie proste, takie trywialne zakończenie nie byłoby w jej stylu. Tu kryje się jakaś przedziwna tajemnica, która spędza mi sen z oczu.

- Tajemnica?

- I to bardzo skomplikowana! Znalazłem się tuż nad brzegiem jej osobistej tragedii, zajrzałem w jej dno potworne! Uchyliłem na razie straszliwe niebezpieczeństwo, w które się uwikłała, lecz samej istoty jej tragedii jeszcze nie znam.

- Co się stało takiego, profesorze? - zawołał zdenerwowany Jacek. - A więc byłeś na moście? Ratowałeś ją?

Gordon potrząsnął głową.

- Nic więcej nie mogę powiedzieć nad to, co powiedziałem. Jestem zmuszony do milczenia - rzekł z naciskiem. - Wszelkie ślady jej ostatniego pobytu w Warszawie muszą być zatarte, bez względu na to, co się z nią stało i co się z nią dzieje obecnie.

- Czy to jednak da się zrobić? - rzucił Jacek z nieklamanałą rozpaczą. - Przecież pewne poszlaki są w ręku władz!

Gordon poruszył się w fotelu niespokojnie.

- Jakie poszlaki?

- Podobno posterunkowy według relacji pism znalazł na moście Poniatowskiego biały sweter. Nie wiem, czy Blanka taki nosiła, bo nie zwracałem nigdy uwagi na szczegóły jej toalety, lecz jeżeli to ona była na moście Poniatowskiego...

Gordon przerwał:

- Właśnie w tym kierunku nie mogę ci udzielić żadnych informacji, mój drogi przyjacielu. Powiadasz, że znaleziono biały sweter? A czy jeszcze coś więcej?

- I szmaragdową broszkę!

- O, do diabła! - zaklął Gordon. - Co za zbieg okoliczności! Biały sweter i szmaragdową broszkę! Raz ją tylko widziałem tak ubraną. Co za zdumiewająca nieostrożność z jej strony!

- Zapomniałem dodać - pośpieszył z wyjaśnieniem Jacek - że

ów sweter i broszę wyrwał posterunkowemu jakiś mężczyzna, który w krytycznym momencie znalazł się na moście i następnie zbiegł swoim samochodem. Jego to właśnie poszukują.

- Aha! - rzucił profesor ironicznie. - I dlatego na mnie pada podejrzenie, że to ja zrabowałem obydwie te przedmioty i uciekłem z nimi.

Zaśmiał się.

- Teraz już nic nie rozumiem - rzekł młody uczonej poirytowanym głosem. - Błagam tylko o jedno: czy Blanka żyje?

- Ależ ona nigdy nie umierała! To, co się z nią działo, jest bajką z tysiąca i jednej nocy.

- Zatem ów sweter i brosza były tylko przez nią podrzucone umyślnie?

Gordon zmierzył go spojrzeniem.

- Panie Jacku - rzekł serdecznym tonem - skoro pan przypomniał sobie te szczegóły, niech pan równocześnie o nich dokładnie zapomni. To jest konieczne dla dobra Blanki.

- Dobrze - oświadczył Jacek. - Lecz co w takim razie ma wspólnego z tą sprawą ów nieznajomy, który zbiegł z tymi przedmiotami? Musiały stanowić dla niego niesłychanie ważną zdobycz, jeżeli zaryzykował tak wiele.

Gordon zamyślił się, lecz wkrótce zaśmiał się szczerze uradowany, że znalazł nitkę wiodącą do kłębka.

- A może to ów nowy niewolnik Blanki, ów ziemski rywal Roberta?

- Co? - wykrztusił Jacek. - Rywal Roberta?

- Chciałem przez to powiedzieć - wyjaśnił profesor - że może to był ów mężczyzna, w którym zakochała się nasza Blanka.

- A więc ona była na moście razem z nim? I on był świadkiem lub... sprawcą?

Gordon położył mu rękę na ramieniu..

- Zaklinam cię, drogi przyjacielu - rzekł z naciskiem - przestań o tym myśleć. Jedno nieopatrzne słowo może zniszczyć wszystkie nasze nadzieje. Wszak chodzi nam obu o doskonałe medium. Jest nim Blanka. Musimy ją ochraniać za wszelką cenę. Wiesz, że jej współpraca z nami jest zakonspirowana przed jej rodziną. Pod tym

tylko warunkiem, że zachowamy całkowitą tajemnicę, była nam powolna i brała udział w seansach. Nie wolno nam utrudniać Blance powrotu do naszych seansów, jeśli to będzie jeszcze możliwe. Daruj jeszcze raz, że nie wyjawiam ci wszystkiego. Dowiesz się o tym może już za kilka dni. Na razie zaklinam cię, zachowuj się jak mumia. Po prostu nie wiesz nic. Nic cię nie interesuje. Pracuj jedynie nad udoskonaleniem swego aparatu, a ja postaram się uratować dla nas Blankę. Ma ona dla moich dociekań wartość nieoczoną. Po prostu dla całej ludzkości!

Jacek zerwał się z krzesła, przemierzył nerwowymi krokami pokój i wreszcie stanął przed profesorem z rozpaczliwym wyrazem twarzy.

- Profesorze! Błagam! Powiedz, gdzie ona jest teraz? Gdzie jest, skoro żyje?!

- A czy ja tu rozmawiałbym z tobą - przerwał mu Gordon - gdybym wiedział, gdzie się Blanka znajduje? Przecież stanąłbym obok niej na straży z dwoma mieczami ognistymi - śmiał się nerwowo - i odpędzałybym demony całego świata od jej ciała cudownego!

- Co się jednak z nią stało? - nastawał Orwicz.

Uczony trzasnął palcami zły i rozdrażniony.

- Nie wiem - wyrzucił słowa ze ściśniętego gardła. - O północy straciłem ją z oczu! Mam wrażenie, że uciekła przed całym światem. Przysiągłbym, że chce odnaleźć samą siebie! Krążę natężonymi myślami koło niej i koło osób, które ją znają, lecz dotychczas nie mam żadnej pewności, gdzie się schroniła i z kim.

- Ale przecież żyje?

- Blanka musi żyć! Nie wolno jej umrzeć! Moje dzieło czeka na nią!

IX. W SANATORIUM

Towarzystwo bawiące się w sanatorium „Rysica” było silnie zainteresowane przybyciem młodej damy, która podała się za Helenę Lipieńską.

Już pierwsze wrażenie, jakie nowa pensjonariuszka wywarła, było fascynujące.

Przepiękne blond włosy ze złocistym odcieniem okalały jej głowę aureolą pełną blasków. Na tym tle rysowała się głowa jakby zdjęta z portretu Leonarda da Vinci. Zagadkowy uśmiech Mony Lisy nie schodził prawie nigdy z jej ust.

Wargi kuszące a zimne, pełne zmysłowego rysunku a wzgardliwe oczy o barwie niemal fioletowej, pełne światła, o aksamitnym, ciemnym połysku, kryły w sobie głębie zawrotne. Kto w nie spojrzal wzrokiem uważnym, już nie mógł ich zapomnieć.

Karnacja twarzy jasnorożowa. Delikatny owal przezczystym rysunkiem wyrzynał się na tle falistych włosów, robiąc wrażenie, że cudna kamea, wywołana natchnioną fantazją artysty, ożywiła się i snuje się zadumana wśród zwykłych śmiertelników.

Szlachetny profil grecki podnosił jeszcze bardziej urok całości.

Oczy jej i twarz tak magnetycznie przyciągały ku sobie uwagę każdego, że reszta jej postaci zdała się być zwiewną mgłą. Stąpała lekko, płynnie, zda się nie dotykając ziemi. Nimfa przypadkowo zbłąkana w tłumie pospolitych zjadaczy chleba...

Toteż rzucono się ku niej ze wszystkich stron.

Mężczyźni nadskakiwali jej przy każdej nadarżającej się sposobności, byle choć na moment zatrzymać na sobie jej wzrok promienisty, miękki, ciepły, wnikliwy.

Kobiety próbowały zawrzeć z nią bliższą znajomość. Nawiązywały rozmowy na różne zdawkowe tematy, lecz dialogi jakoś dziwnie nie kleiły się, kończąc się po kilku zdaniach niepokojącym rozdzwiekiem.

Młoda dama odpierała wszelkie ataki na swą niezależność i odosobnienie z zabijającym uśmiechem.

- Czy mąż pani tu przybędzie? - padło przy podaniu czarnej kawy naiwnie podstępne pytanie pod jej adresem.

- Tak - brzmiała odpowiedź. - Lecz dopiero po moim wyjeździe.

Lekki uśmieszek przebiegł dookoła stołu. Wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę pytającej, ta jednak nie straciła tupetu.

- Ach - próbowała podtrzymać rozmowę - zatem państwo udzielają sobie urlopu celem przeżycia miłych wrażeń... osobistych...?

- Tak jest i to powtarza się stale przez okrągły rok...

- Jak to? Pani rozwiedziona?

- Stale rozwiedziona! Mój mąż przyjeżdża, a ja wyjeżdżam i odwrotnie. Nigdy nie możemy się zjechać razem. Rzecz naturalna mówię o mym mężu przyszłym, bo dotychczas jeszcze pierwszego nie miałam...

Znowu ironiczny śmieszek przebiegł przez całe towarzystwo, wyraźnie ubawione tą szermierką słowną.

- Pani lub żartować - próbowała bronić się ciekawska.

- Ach, bynajmniej - odezwała się przybyła - tylko rzadko kiedy udzielałam wyczerpujących odpowiedzi na żartobliwe pytania...

Dyskretne uśmiechy skierowały się ponownie w stronę niefortunnej ciekawskiej osóбки.

Nie zahamowało to jednak dalszych prób nawiązania rozmowy z „dumną królową”. Tak bowiem zaczęto z miejsca nazywać nową mieszkankę pensjonatu. Im bardziej trzymała się z daleka, tym większą budziła ciekawość.

Zwłaszcza mężczyźni prześcigali się w okazywaniu jej hołdów. Zdawała się tego nie widzieć, choć uśmiech Mony Lisy dawał im wiele do myślenia. Wszyscy tym boskim wdziękiem jej ust czuli się hojnie nagrodzeni. Niejeden śnił o tym uśmiechu, nie mogąc wyzwolić się spod przemożnego uroku, który wsączał się w serce z jej oczu świetlistych i z jej ust, siejących dokoła niepokojącą zagadkę.

Następnego dnia po przyjeździe major Jawicki zastał ją w czytelnicy, pochyloną nad dziennikami warszawskimi, które dopiero co dostarczyła poczta. Zatrzymał się w głębi, aby jej nie spłoszyć.

Prócz ich dwojga nie było nikogo w sali.

„Dumna królowa” z widocznym zdenerwowaniem przeglądała gazety. Nie interesowała jej treść ogólna, tylko jakby pewna specjalna kwestia, której objaśnienia szukała we wszystkich pismach. Major był ongi referentem prasowym — znał się na tym.

W końcu głębokie westchnienie wyrwało się z jej piersi. Opadła w tył na oparcie fotela, przysłoniła oczy długimi rzęsami i opuściła ku ziemi starannie wypiełgnowane ręce.

Jawicki pochłaniał ją oczami, nie ruszając się z miejsca. Stał jak słup soli, ręką demona zaklęty w tę pozę. Bał się iż najmniejszy ruch podniesie ją z fotela i złotowłose bóstwo zniknie za chwilę za drzwiami.

Ani podejść, ani mówić.

Słodki ból ścisnął mu serce. Ta kobieta od chwili przyjazdu oczarowała go swymi wdziękami. Wczoraj przy stole mógł tylko patrzeć na nią. Nie zaryzykował wówczas żadnego pytania, czując, że zostanie natychmiast bezapelacyjnie pobity. Teraz los pozwolił mu zbliżyć się do niej bez świadków.

Nie miał dość odwagi, aby przerwać męczące milczenie i zrobić choć jeden krok.

W ataku na bagnety szedł na chmury żołdactwa ze szpicrutą w ręku spokojny, zimny, wśród gwizdu kul przelatujących koło głowy, po ostrych odłamkach granatów i bomb, a tu czuł się mały, spłaszczony, wprost śmieszny w swej bezsilności.

Młoda dama poczuła magnetyczny wzrok utkwiony w jej twarzy. Przez zmrużone powieki dostrzegła sylwetkę majora i oceniła siłę wrażenia, jaka przykuwała go do podłogi. Na jej ustach pojawił się uśmiech Mony Lisy - ten sam, którym zabijała wszystkich.

Jawicki zadrżał.

Stał już kilka minut na baczność przed czarodziejskim zjawiskiem, dopóki sfinks kobiecy był chłodny, znużony. Uśmiech dawał bóstwu niepokojącego życia i blasku. Czar działał

przejmująco jak prąd elektryczny, który ożywia wszystkie żarówki połączone kontaktem...

Lekko pochylił się... opuścił oczy... i z wolna począł iść ku stolowi zaslanemu gazetami. Zaryzykował wszystko. Oparł się o ciężki stół. Utkwił wzrok w gazetach. Przed oczami migwały mu olbrzymie nagłówki o sensacyjnym wypadku w stolicy. Nie wiedział, czy wziąć dziennik i usiąść bez słowa pozdrowienia, czy też zdobyć się na konieczną, zdawkową grzeczność i powitać ją głosem jak można najbardziej obojętnym.

Przemógł się i wykrztusił trzy słowa:

- Czy nie przeszkadzam?

I znów wzrok utopił w czarnych kolumnach pisma. Pożerał wielkie litery sensacyjnego tytułu: *Wstrząsająca tragedia na moście Poniatowskiego*. Był przekonany, że usłyszy banalne „bynajmniej” i że równocześnie z wolna odplynie ku drzwiom zwiewna postać nimfy, która rozplynie się następnie w szarym świetle korytarza.

Nie chciał wierzyć swym uszom. Posłyszał odpowiedź z akcentem żartobliwej łaskawości:

- Dzienników starczy dla nas obojga. Poza tym dzień dobry, panie majorze.

Skłonił się głęboko.

- Przepraszam - bąknął, zalewając się silnym rumieńcem - byłem trochę niegrzeczny, lecz zauważyłem wczoraj, że pani nie lubi szyfrów... codziennych...

- Jak to szyfrów? - zaśmiała się z pewnym nieklamany m zdziwieniem.

- Każde „dzień dobry” - brzmiała jego odpowiedź - każde „dobranoc”, „dobry wieczór” to szyfr. Ma dwa sensy. Jeden zdawkowy, drugi poufny. Pani nienawidzi tego drugiego sensu, a trudno się ustrzec, aby go nie było, mówiąc „dzień dobry”. Woląłem zatem być niegrzeczny, zamiast pozwolić sobie na szyfr poufny.

- To bardzo pięknie powiedziane - zawyrokowała wesołym tonem.

- Pozwoli pani, że usiądę?

Miękki gest zapraszający zamiast odpowiedzi.

Major ochłonął. Siadając w wyplatany krześle, wyczuł nareszcie grunt pod sobą. Dotychczas miał wrażenie, że wisiał między niebem a piekłem.

Gustaw Jawicki widział te drobne przyplwy i odpływy tajemniczego żywiołu, który krył się w duszy dumnej królowej, i wchłaniał w siebie ich subtelny urok z nienasyconym pragnieniem. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wargi nowoczesnej Mony Lisy były jakby dwa drobne, czarodziejskie węże o rubinowej łusce, które wypęzły z jej serca i grzały się w promieniach jej oczu - węże przedziwnie słodkie, a trujące, ocierały się o siebie i wykonywały miniaturowe ruchy.

Dreszcz go przeszedł od stóp do głów. Przetarł czoło. On już kiedyś dawno te usta widział - dawno, bardzo dawno... Myśl pracowała gwałtownie. Pamięć przerzucała przybladłe obrazy jedne za drugimi.

Drgnął. W mózgu zamajaczyła mu wizja z przeszłości. Tak, już wie!

Już widział przed laty to samo zjawisko. Kiedyś w huraganowym ogniu bitwy, pełzając na brzuchu pod potopem świszczących kul, sianych przez gniazda nieprzyjacielskich karabinów maszynowych, wdrapał się śmiertelnie znużony na werandę starego polskiego pałacu.

Oniemiał wówczas!

Na bujającym się leżaku, z podwiniętymi pod głowę rękami, w złocistych puklach włosów, kołysała się ta sama kobieta, którą teraz widzi przed sobą - te same usta słały w świat ten sam zagadkowy, demoniczny uśmiech. Dokoła szalała mordercza batalia, a ona - dziewczę czternastoletnie - z przerażającą beztroską kołysała się z wolna w leżaku, jakby przez świat płynął cichy, sielski wieczór czerwcowy.

- Tu śmierć czyha na panią - syknął wówczas ochryplym głosem.

Dziewczę spojrzało na niego zdziwionym wzrokiem, jakby ze snu zbudzone. - Ach tak? - zakwitły słowa na jej wargach. - Dziękuję...

mnie tu dobrze... śmierć przychodzi do tych, do których od dawna się wybiera... do mnie nie przyjdzie!

W tejże chwili z łoskotem otworzyły się szklane drzwi. Na progu stanęła pani domu.

- Blanko! - krzyknęła. - Natychmiast zejźdź do piwnicy! Szalona, chodź stąd!

- Jaka szkoda, mam - odparła dziewczynka - że tak prędko mnie znalazłaś. Idę tylko dlatego, żeby ci nie sprawiać kłopotu.

Zniknęła jak sen.

A potem burza bitwy poniosła go dalej... setki kilometrów. Lecząc obraz ów wżarł się w jego pamięć na zawsze. „Blanko!” - krzyk matki słyszał od tej chwili w swym mózgu. I zawsze widział te dwa węże rubinowych ust - demonicznych, zagadkowych...

Lat już kilkanaście minęło od tamtej chwili. Nigdy później tej dziwnej istoty z poleskiego dworu nie spotkał. A teraz miał wrażenie, jakby to, co się stało wówczas, było halucynacją, nie rzeczywistością.

Powoli przez zmrużone powieki, które kolejno zamykał i otwierał, porównywał obraz pamięci z obrazem rzeczywistości. Nie mylił się - nie mylił się bezwzględnie. To była ona, ta sama istota - lata tylko dorzuciły do jej urody nowe bogactwo wdzięków. Piękno twarzy spotęgowało się wielokrotnie... Przejmujący uśmiech nabierał kuszących ponęt...

Oddychał głęboko, przyspieszonym rytmem. Nagle szaleńcza myśl przysłała mu do głowy.

- Blanka - szepnął stłumionym głosem jakby sam do siebie. - Blanka!

Drgnęła. Otworzyła szeroko oczy. Dwie jaśniejsze gwiazdy oczu przeszły go w głąb swymi promieniami. Zdawało mu się, jakby z lekka pobladła.

- Skąd to imię na pana ustach? - wymknęły się z jej ust słowa przenikliwie akcentowane.

- Proszę mi wybaczyć - tłumaczył się wstrząśnięty do głębi. - Sam dotychczas nie wiedziałem, czy to zwidzenie, czy rzeczywistość... że żyję i że pani jest także żyjącą istotą...

Spojrzała na niego przelotnie, badawczo, lecz zaraz odwróciła wzrok.

- Skąd pan zna to imię? Przecież jest szczególne...

Major chwilę milczał, potem siłą woli skupił się w sobie, przyknał powieki i powoli odtwarzał dawno widziany obraz. Mówił jak przez sen:

- Weranda... pałac na Polesiu... wojna... chmura winogrodu... leżak w niebieskie pasy... złotowłose dziewczę z podwiniętymi pod głowę rękami... świst kul... ulewa kul... prowokowana śmierć... zabłocony oficer, który czołgał się po trawniku... „Tu śmierć czyha!” - krzyknąłem. „Śmierć... do mnie nie przyjdzie” - padły słowa z tych ust jak dziś. A potem wołanie matki: „Blanko! Blanko! Zejdź do piwnicy!”

Młoda dama zbladła.

- Moja matka - wyszeptaly jej wargi.

Major dostrzegł, że w jej oczach załśniły łzy...

- Nigdy potem pani nie spotkałem... I teraz widzę to samo bóstwo, jeszcze czarowniejsze. Boże! Co za zbieg okoliczności... po tylu latach...

- A więc to pan był tym oficerem?

- Tak, ja.

Mona Lisa uśmiechnęła się przez łzy.

- Tylko wówczas - rzuciła uwagę - nie był pan tak banalnie ugrzeczniony.

Jawicki zaprotestował.

- Czy prawda jest banalną grzecnością?

Opuściła powoli głowę ze znużeniem w oczach.

- Gdy wszyscy wokół - wyjaśniała swą myśl - powtarzają na wyścigi „czarowne bóstwo”, to dla mnie owa prawda staje się banalną grzecnością. Co się tyczy pana, zachodzi wyjątek. Zatem proszę nie gniewać się na mnie, że jestem taka kostyczna. I mnie też się zdaje, jakby wojna dalej trwała. Wrze pod warstwami życia codziennego.

- Ale nie między nami - rzucił spiesznie.

- Naturalnie. Mama mówiła mi, że to pan uratował mi wówczas życie.

- W jaki sposób ja?

- Spostrzegła, jak pan czołgał się ku werandzie. W tej samej chwili uprzytomniła sobie, że mnie nie ma w pokoju i że pan może chce mnie zaskoczyć znienacka na werandzie. Wtenczas wpadła i kazała mi iść do piwnicy.

- A potem? - spytał.

- Potem pałac spłonął od wybuchu bomb... My, ukryte w lochu podziemnym, ocaliliśmy życie... Miałam nieraz wyrzuty, że pan może zginął przeze mnie. Sześć dni spędziłyśmy w ciemnościach. Potem ofensywa nowa... kontrofensywa... Mnie matka przemalowała na monstrum... Stary leśnik przyszedł w nocy... marsz przez błota, przez kordony... ucieczka w świat...

Po chwili dodała z głębokim wzruszeniem:

- Matka już nie żyje. Zostali bracia i ojciec.

- Pani tu sama?

- Tak, incognito... pod cudzym nazwiskiem... przyjaciółki... Proszę mnie nie zdradzić. Jestem dla wszystkich Heleną Lipieńską, nie Blanką - zawiesiła głos, nie wymieniając swego nazwiska rzeczywistego. Zawahała się... nie zbadała jeszcze dość dobrze nieprzyjacielskiej pozycji...

Major odparł z pełną prostotą:

- Nie znam pani nazwiska. Znam tylko imię. To mi wystarczy. Tajemnicę uszanuję.

- Serdeczne dzięki, panie majorze. Uratuje mi pan życie po raz drugi - zażartowała.

Jawicki uśmiechnął się uradowany. Bóstwo dopuściło go do łask. Stawał się jej powiernikiem, wprawdzie w pewnym ograniczonym zakresie, jednak powiernikiem. Pakt już był gotowy. Wizja, której wspomnienie prześladowało go przez lat kilkanaście, przypadkowo wyblęsnęła znowu na jego drodze. Tym razem już nie przelotnie, na dłużej...

Nie zdawał sobie sprawy z tego niezwykłego zdarzenia. Nie chciał go analizować. Czuł to jedno, że przeogromny urok, który bił z jej postaci, napęłnia go szczęściem - że pustka, której nie mógł niczym dotychczas wypełnić, nagle zniknęła. Nie umiał określić zmiany, jaka w nim zaszła - wiedział to jedno, że wszedł w krąg

dziwnej błogości, która zaczęła przepelniać całe jego jestestwo,

A równocześnie rodziła się w nim nieśmiałość. On, który zwykle nie ceremoniował się wiele z kobietami, lecz ostro, bez namysłu przypuszczał szturm i albo zwyciężał, albo kapitulował, zawsze jednak bez dłuższej straty czasu - w tym wypadku po prostu stracił głowę.

Jakaś nieprzenikniona zapora dzieliła go od tej zagadkowej istoty, która siedziała zagłębiona w fotelu i myślami była snąć już bardzo daleko od niego. Zawarła z nim pakt przyjaźni i już był jej na nowo obcy...

Sto bitew - tysiąc razy śmierć przeszła obok niego - porывał w ramiona różne kobiety - zawsze bez lęku, bez cienia wahania, a teraz tu po krótkiej rozmowie miał zamurowane usta. Bał się mówić, aby nie spojrzała na niego jak przez mgłę i nie wyszła... Wolał czekać na nowy promień łaski.

Milczenie trwało długo. Zegar wystukiwał dokładnie sekundy jedną po drugiej.

Do diabła, przecież ja całkiem głowę straciłem - uświadomił sobie. - Ta kobieta jest diabelnie niebezpieczna. Trzeba się jej bać.

Postanowił się bronić. Tu przy niej siedząc, nie mógł nic zyskać, a wszystko stracić. Mówił mu to wewnętrzny głos z całą bezwzględnością. On, który zwykle atakował, uprzytomnił sobie nagle konieczność odwrotu na bezpieczny odcinek.

Złapał się na tej myśli nie bez zdziwienia i równocześnie nie bez zadowolenia.

Tak! Odwrót!

Uśmiechnął się sam do siebie. Powoli dźwignął się i jak mógł najciszej, poszedł ku drzwiom. Przemowny instynkt samoobrony gnał go na zewnątrz. Byle szybciej, byle jak najdalej. Przez tyle lat niezaspokojone pragnienie nasycił już jej widokiem, lecz równocześnie wyczuł przenikliwie obcość jej istoty wobec niego - obcość o wyższość nie do wyrównania.

Wolał zniknąć niż przegrać na podobieństwo tych wszystkich ciekawskich, którzy chcieli rozpanoszyć się w jej pobliżu. Słabiuchny

promyk nadziei mówił mu, że tylko jak największa rezerwa z jego strony, skromność bez wszelkiej drapieżności mogłaby wytworzyć jakiś pomost porozumienia między nim a Blanką. Więcej nic! Żadna przemoc!

Nie będę nabijał się na kolce jak pierwszy lepszy głupiec. To inna kobieta... niepojęta i nieogarniona jak morze. Na mnie nieobecnego prędzej zwróci uwagę niż na mnie w roli salonowego donżuana.

Już kładł rękę na klamce, gdy usłyszał zdziwione:

- Pan ucieka?

Zawahał się. Wrócić czy wytrwać w powziętym zamiarze? Ale instynkt samoobrony zatriumfował.

- Wolę wycofać się na bezpieczny odcinek, zanim pani nazwie mnie w myśli intruzem.

To mówiąc, skłonił się głęboko.

- Jak to pięknie z pana strony - odezwała się melodyjnym głosem, w którym drżała nuta radosnego zdziwienia. - Taki pan jest inny. Będziemy, widzę, naprawdę starymi znajomymi, dobrze?

- Jestem zachwycony tą łaskawą propozycją - odparł z odcieniem niedowierzania - choć doprawdy...

- A jeśli to szczerza propozycja?

- Tym bardziej dziękuję. Ze swej strony postaram się zawsze zachować dystans właściwy.

I powoli, ostrożnie wysunął się z pokoju, mając wrażenie, że zostawia w czytelnym kogoś bardzo zmęczonego i potrzebującego wypoczynku.

Do jego uszu dobiegło ciche westchnienie ulgi.

Zamknął drzwi ostrożnie, lekko.

X. NIEPRZYJEMNA WIZYTA

Profesor Gordon drgnął na energiczny dźwięk dzwonka. Nie cierpiał wizyt niezapowiedzianych. Z władzami nie lubił się stykać. Wszelka formalistyka miała w nim zdecydowanego wroga, trudno zaś wymagać, aby przedstawiciel władzy, mniejszy czy większy, nie nastawał na podpisanie jakiegoś protokołu lub nie doręczał jakiegoś pisma z żądaniem pokwitowania.

Niespodziewany dzwonek to tylko władza. Znajomi nie poważąliby się naruszyć spokoju profesora bez telefonicznego uprzedzenia.

Zwykle sam otwierał drzwi osobom, których się spodziewał lub które poznawał po sposobie dzwonienia. Tym razem, gdy energiczny dzwonek odezwał się kilkakrotnie, wezwał starego Mikołaja, który siedział w sąsiednim pokoju, gotowy zawsze na rozkazy swego pana, aby zrobił porządek z intruzem.

Mikołaj żywo podreptał do przedpokoju, odsunął wziernik i zapuścił wzrok w mroczną klatkę schodową. Dostrzegł czapkę posturkowego.

- Masz tobie - mruknął - pan znowu się zirytuje.

- Do kogo? - zapytał, otwierając drzwi zabezpieczone łańcuchem.

- Do profesora Gordona - brzmiała odpowiedź.

- Profesor bardzo zajęty. Niech pan zostawi kartkę lub mnie powie, to to później się załatwi.

Pordoba - on to był właśnie - machnął ręką.

- To się nie da tak zrobić - zaprotestował. Ja muszę widzieć się osobiście z profesorem i to zaraz. Sprawa pilna. Chodzi o trupa...

Mikołaj rozwarł szeroko oczy ze zdumienia.

- O trupa? Tu nie ma żadnego trupa. Też coś!

Zamknął drzwi i stanął w progu gabinetu.

- Jakiś posterunkowy. Mówi, że chce z panem profesorem o trupie...

- Dawaj go! - rzucił przez zęby Gordon.

Przysunął do biurka drugi fotel, przygotował papierosy i zapaliki. Utkwił wzrok w drzwiach, gdzie za chwilę ukazał się jego prześladowca.

- Ach, to pewnie pan napadł na mnie telefonicznie - rzucił profesor na jego widok.

- Tak, panie profesorze. Z obowiązku. Wszystko musimy robić z obowiązku. Nawet rzeczy najbardziej nieprzyjemne!

- Niech pan siada, panie posterunkowy. Mnie samego intryguje ta sprawa, w którą wdepnąłem prawem kaduka.

Pordoba usiadł i bacznie przyglądał się profesorowi.

- No i co - pytał Gordon, który zdążył się już rozczytać w literaturze skandalu - czy jestem podobny do owego tajemniczego jegościa, który zwał z mostu? Bardzo czy też trochę?

- Niestety, bardzo pan niepodobny do owego ananasa, który mi umknął w samochodzie.

- Młodszy był?

- Grubo młodszy i nosił monokl w oku. A pan nie ma nawet odzisku po szkiełku.

- Monokl może każdy włożyć - uśmiechnął się profesor - i niekoniecznie zaraz musi być ślad na skórze. Ale w gruncie rzeczy ten pański uciekinier może być tak samo Bogu ducha winien jak ja. Mnie ktoś także dostrzegł jadącego przez most i doniósł wam, że profesor Gordon...

Zawiesił głos, aby nie powiedzieć za dużo. Pordoba dostrzegł ten manewr i dokończył za niego: - Że profesor Gordon jechał z jakąś damą.

- Z damą? A czy ona również miała monokl w oku? - żartami próbował zbić z tropu przedstawiciela władzy.

- Nie - odparł Pordoba energicznie. - Tuliła się podobno panu do ramienia i prawdopodobnie płakała.

- Hahaha - śmiał się sztucznie Gordon. - A potem ja zatrzymałem auto, wyniosłem zapłakaną dziewczynę i przez balustradę spuściłem ją do wody. Hahaha!

Posterunkowy przygryzł wargi wściekły, lecz postanowił za wszelką cenę trwać w angielskiej flegmie, jak na kursach służby śledczej zalecali.

- Tego nikt nie twierdzi - powiedział. - Gdyby tak było, to bym się nie patyczkował. Musiałbym poprosić pana na komisariat. Widzi pan, mnie uciekł człowiek, który z tym morderstwem musi mieć coś wspólnego. Rozmawiałem z nim jak z panem teraz. Zatrzymał się na miejscu katastrofy w swoim aucie, razem ze mną szukał i znalazł...

Profesor spoważniał. Domyślił się, że ów osobnik, o którym była mowa, miał naprawdę jakąś łączność z Blanką. Dałby wiele, aby go móc poznać.

- A to interesujące - powiedział. - I cóż panowie znaleźliście? I dlaczego on się tam zatrzymał?

Pordoba był jednak ostrożny - nie chciał dać badanemu do ręki za dużo materiału.

- Przecież pan profesor czytał w dziennikach - odezwał się chłodno.

- Nie czytuję dzienników z reguły. Ale prawda, coś mi o tym mówiono. Znaleźliście panowie jakiś biały sweter i broszkę szmaragdową, czy tak?

- A jak ta broszka wyglądała? - zniecierpliwiony zapytał posterunkowy.

Gordon dokładnie uprzytomnił sobie jej wygląd, uśmiechnął się jednak lekko i odparował cios:

- Pan ją widział, a więc to pan mógłby mnie objaśnić. A przytem, panie posterunkowy, dlaczego pan tak specjalnie interesuje się tą sprawą? Przecież normalne śledztwo toczy się innym torem. A pan tak jakby na własną rękę...

- Tak jest - wybuchnął Pordoba - na własną rękę! Bo ten ptaszek zakpił ze mnie. Zamiast go zaraz wylegitymować, pozwoliłem mu zwiać. Włazł mi na honor. Przysiągłem sobie, że go muszę odnaleźć. Uprosiłem kierownika, aby mi dali trochę czasu wolnego. Śledztwo prowadzone urzędowo jest za bardzo skrupowane przepi-sami. Wlecze się. A tu trzeba działać piorunem, bo ptaszek całkiem

zatrze za sobą ślady. Już ja go miałem później, w trupiarni...

- W trupiarni?

- A tak. Przyszedł popatrzeć na swoją ofiarę.

- I znalazł? Poznał?

- Nie, to była jakaś inna, kuchta. Ta jego dama, którą spuścił do wody, nie mogła tak od razu spuchnąć.

- A więc szperał w trupiarni?

- I umknął mi po raz drugi. Zgolił wąsy, wyjął z oka monokl, zmienił głos, no i taszczył pod rękę jakąś damulkę i tym zbił mnie z tropu. Zanim co wsiadł do taksówki i zwiął.

- O, do diabła - mruknął profesor - musi być lepszy numer. To on naprawdę miał coś wspólnego z tym wypadkiem? A co się stało ze swetrem i broszą?

- Toż przecież on z tym wszystkim uciekł!

- Tego mi nie mówiono - rzucił Gordon ogromnie podniecony. - To nowy szcegół. Porwał sweter i broszę, no, no! Widocznie bardzo mu na tym zależało.

- Jasne, to bardzo utrudni identyfikację ofiary. Teraz szukaj wiatru w polu. Mógł babie przywiązać jakiś ciężar do szyi. Dama popłynie do Gdańska i nie zobaczymy jej więcej.

Gordon zatarł ręce. Usłyszana wiadomość miała dla niego pierwszorzędne znaczenie. Ów mężczyzna był niewątpliwie tym, który tak niszcząco wpłynął na system nerwowy Blanki i doprowadził do zupełnego wyczerpania jej zdolność medialną. To był wróg śmiertelny jego idei i jego badań naukowych. Ukradł mu Blankę! Gdybyż go mógł znaleźć!

Dzięki rozmowie z Pordobą wpadł na właściwy ślad.

Teraz on z kolei podejmie śledztwo i nada mu właściwy kierunek. Rzecz naturalna, że bez udziału władz śledczych. Trzeba raczej uspić ich czujność, aby zbyt nie deptały po piętach tak temu nieznanemu, jak i jemu, profesorowi. Mogliby - jak po nitce do kłębka - dotrzeć do Blanki i wniwecz obrócić jego dotychczasowe mozolne doświadczenia, a to byłaby katastrofa nie do powetowania.

Zresztą co tu władze śledcze mają do roboty, skoro żadna zbrodnia nie została dokonana...

- I co pan profesor na to? - rzucił pytanie Pordoba.

- Ja? Sądzę, że w tym nic nie ma. To musiała być jakaś symulacja.

- Symu...

- A tak, właśnie tak - zapalił się Gordon. - Bo proszę sobie uprzytomnić: czy morderca, topiąc swoją ofiarę w Wiśle, jest zainteresowany w tym, żeby ściągnąć z niej sweter i zostawić go na chodniku? I czy dopuściłby do tego, żeby w kieszeni denatki znajdował się list kompromitujący go w najwyższym stopniu? Przecież to dziecinada!

Pordoba zaskoczył go nad podziw trafnym rozumowaniem:

- Jeśli to była symulacja, to po co ów jegomość wracał na most i po co porwał rzeczy, które miały właśnie nadać sprawie charakter symulacji?

Argument był trafny. Profesor zawahał się. Wywód posterunkowego podważał jego własne dowodzenie.

- No tak, no tak - szukał logicznego podparcia swej tezy. - Aha, już wiem! Po prostu mógł przypomnieć sobie, że w kieszeni rzekomej denatki został list, który mógł za wiele powiedzieć i zdradzić charakterem pisma kobietę lub mężczyznę, który sfingował ten gruby kawał. A może chciał sprawdzić...

- List nie był pisany ręką ludzką - rzekł Pordoba. - Był złożony z liter wyciętych z gazety.

Profesor uśmiechnął się lekceważąco.

- A zresztą - dodał przedstawiciel władzy - ofiara jego w przecuciu jakiegoś nieszczęścia mogła ów sweter mieć na rękę i w decydującej chwili upuścić go umyślnie. W każdym razie ten, kto tę całą awanturę zaaranżował i mnie naraził na tyle nieprzyjemności, to skończony głupiec! Partacz! I dlatego tak mną złość trzęsie, że taki nowicjusz mnie, starego wygę, tak wykiwał.

- A więc pan przypuszcza, że to ktoś z towarzystwa? Ot, taki przypadkowy morderca?

- Jak amen w pacierzu. I to gruba figura. Samochód miał efef. Buick albo coś takiego. Łało jak z cebra, więc nie mogłem dobrze

się przypatrzeć. Łobuz! Jak on rzewnie płakał! Może bestia naprawdę żałował? A może tylko symulował, aby mnie uspić. Otumaniał mnie tym swoim żalem. Ale ja go jeszcze dostanę w swoje ręce!

- Widzę, że panu bardzo zależy na awansie.

- Myślę. Na takim hycalu mógłbym wyjechać w górę. Takiego ptaszka nakryć to można zostać sławnym jak ten tam Sherlock... no wie pan...

- Gratuluję z góry i życzę powodzenia - powiedział Gordon, mocno z siebie niezadowolony, że jeszcze bardziej podniecił zmysł śledczy posterunkowego.

Pordoba wstał, zasalutował i rzekł:

- Ja panu profesorowi także gratuluję. Siwych włosów. Bo gdyby nie to... A tak to będzie pan miał mniej kłopotu.

- Cóż to, groźba?

- Nie, panie profesorze. Teraz już nie jestem cięty na pana. Przeciwnie, nawet jestem panu bardzo wdzięczny. Pan, jakby to powiedzieć, rozszerzył horyzonty śledztwa. To ważny moment... psychologiczny... owa symulacja! Udało się to panu, ani słowa. Teraz śledztwo potoczy się w dwóch kierunkach, bo morderstwo nie jest jeszcze wykluczone.

- A samobójstwo?

- No tak, choć to mniej. Kto odbiera sobie życie, nie będzie układał listu z liter wyciętych z gazety. Tylko dureń mógłby coś podobnego urządzić. W każdym razie pójdziemy także w kierunku symulacji. W tym jest coś pikantnego! Coś diabło interesującego! Zakomunikuję to moim przełożonym. Czy mam podać tę hipotezę o symulacji jako pański domysł, panie profesorze?

- Niech mnie Bóg broni - zachnął się Gordon. - Niech to już lepiej idzie na rachunek pańskiej genialności. Proszę mnie w to nie mieszać. Wypraszam sobie najkategoryczniej.

Pordoba uśmiechnął się triumfująco:

- Nie poradzi. Jak już raz zanotowano, że jechał pan wtenczas z jakąś damą w samochodzie przez most, to tego już nikt panu nie odbierze. Będzie pan na liście zamieszanych w tę aferę, będzie pan figurował tak długo, dopóki się wszystko do końca nie wyjaśni.

- Do stu tysięcy diabłów! - zaklął profesor. - Co to za porządki. Jak to? Z własną siostrą nie można jechać? Albo wieść jakiegoś manekina w modnej toalecie?

- Otóż to właśnie - cedził Pordoba, znęcając się nad nim - takie już sakramenckie u nas porządki! Niech pan przedstawi nam siostrę albo manekina, to my uściskamy rękę i bądź zdrow, chłopie...

- Ja nie mam żadnej siostry - wybuchnął profesor. - Powiedziałem na wiatr.

W Pordobie rozbudziła się na nowo żyłka tropiącego detektywa. Z lubością przyglądał się, jak profesor ze zdenerwowania trząskając palcami i przerzucał nogę na nogę.

- Wszystko to się wyjaśni - mówił z pewnym okrucieństwem w głosie. - Lecz to już nie do mnie należy, tylko do wyższych władz. Moja wizyta wydała dobre owoce. Wprawdzie nie okienko jeszcze, tylko szparka otworzyła się w śledztwie, ale my przez tę szparkę wpuścimy więcej światła. Tak, tak, patrząc na pana profesora, coraz bardziej upewniam się, że symulacja w tym wypadku jest bardzo prawdopodobna. Żebym ja tylko jeszcze tamtego drania dostał w swoje ręce!

Gordon postanowił zakończyć rozmowę. Był wściekły na siebie. Przez własną nieostrożność przyczynił się do rozszerzenia śledztwa, a to mogło narazić go na grube nieprzyjemności.

- A więc - oświadczył z sarkazmem - jeszcze raz gratuluję panu sukcesu. Ja panu także dużo zawdzięczam. Będę odtąd strzegł się jak cienia rozmowy z władzą. Pan patrzy teraz na mnie, choć mam siwe włosy, jak na tego, który wiózł podejrzaną damę i coś wie o tej sprawie. Śmiałybym się bardzo serdecznie, gdyby nie to, że to wszystko budzi we mnie wstręt.

- A któż by lubił takie rzeczy, panie profesorze? Ja teraz nie śpię i nie jem, tylko węszę.

- To pański obowiązek - rzucił twardo Gordon. - Za to panu płacą.

- Tak, za to mi płacą - odparł tamten, patrząc spode łba kpiącym na profesora - lecz nie za godziny nadliczbowe. Ale ja się zaciąłem.

On ze mnie zrobił durnia i uciekł. I pan profesor chce ze mnie tak-
że zrobić durnia...

- Ja? - profesor mimo woli pobladł. - Co panu znowu przycho-
dzi do głowy?

- Po całym sposobie zachowania się pana profesora wnoszę. że
pan pokpiwał sobie ze mnie. Pan chciał mnie bujać siostrą, mane-
kinem i wszystkim innym.

Profesor zachmurzył się. Mierzył posterunkowego przenikli-
wym spojrzeniem.

- Więc może ja tę damę utopiłem? - zapytał syczącym głosem.

- Ja tego nie powiedziałem - rzekł twardo Pordoba. - Ja tylko
myślę, że pan profesor o całej tej sprawie wie daleko więcej, niż był
uprzejmy przede mną ujawnić.

Przysunął się nagle do profesora i zaskoczył go pytaniem:

- Przecież pan profesor zna tego ananasa, który uciekł mi z mo-
stu?

- Ależ co znowu... Żebym ja go znał...

- Więc pan profesor zna tę damę!

- Ja?! - krzyknął Gordon. - Jak pan śmie? Jakie ma pan prawo
indagować mnie w ten sposób? Wypraszam sobie podobne inwek-
tywy!

- Pan ją zna. Pan się do tego przyznał.

- Ja się przyznałem?

- W jednym zdaniu - cedził triumfująco Pordoba.

- W jakim? Proszę mi dowieść!

- Wyrwała się panu taka nieostrożna groźba: „żebym ja go
znał”. Nie dopowiedział pan tylko: „to ja bym mu dał”. A więc jest
to ktoś, kto tej damie zapłakanej w pańskim samochodzie zrobił
jakaś krzywdę. Otóż to. Pan go jeszcze nie zna, lecz pan chciałby go
poznać.

- Hahaha - śmiał się sztucznie profesor, opanowawszy już swo-
je nerwy. - Sherlock Holmes!

- I dzięki mnie pan go pozna! Ja go panu za kark przyprowadzę
do tego gabinetu, tylko niech mi pan powie, kto jest ta dama, która
narobiła nam tyle bałaganu?

Zacisnął obie pięści i z roziskrzonymi oczami stał przed profesorem.

- Nie znam jej - odparł zimno Gordon.

- Szkoda. Uwolniłoby to pana od wielu przykrości, których pan musi zaznać. Niech mi pan dopomoże, a ja się odwdzięczę. Ja jestem dobry chłop. No, panie profesorze. Ja pana bardzo proszę. Moja kariera od pana zależy.

Gordon zamknął się w sobie zupełnie.

- Bardzo mi przykro. W tej sprawie nie mam już nic więcej do powiedzenia.

- Rozumiem - odparł z głuchą nienawiścią Pordoba.

Zasalutował i sprężystym krokiem wyszedł z gabinetu.

Profesor siadł ciężko w fotelu. Choć zawisła nad nim groźba dokuczliwych dochodzeń, myśl jego skupiła się głównie na zagadce, kim jest ów nieznajomy, który wdarł się w świat jego naukowych dociekań i zahamował jego studia w chwili, kiedy zdawały się rokować jak najlepsze rezultaty.

Jaki stosunek łączy Blankę z nieznajomym? Ona dotychczas ani jednym słowem nie zdradziła swej tajemnicy! Czyżby naprawdę zakochała się? Czyżby naprawdę jakiś głupi samiec wpadł jej w oczy i opanował jej zmysły? I ona teraz jest pod jego przemożnym urokiem? Ona, której sprawa jest z innego świata? I dlatego -czy to wskutek zawodu miłosnego, czy wstydząc się swej zdrady wobec mnie - chciała palnąć to okrutne głupstwo?

Popadł w zadumę. Pochylił się nad biurkiem i spojrzał w trójskrzydłowe lustro. Badał sam siebie. We własnych oczach szukał odpowiedzi. Nie znalazł żadnej. Wziął kryształową kulę, trzymając palce na fotografii Blanki. Chciał w ten sposób nawiązać z nią kontakt.

Ale rozdrażnione nerwy nie były zdolne do żadnej reakcji.

XI. A MOŻE JĄ SPOTKASZ?

Wypadki ostatnich dni wstrząsnęły daleko silniej systemem nerwowym dyrektora Rosławskiego, niż on sam przypuszczał. Wystąpiły objawy niepokojące. Opanowała go bezsenność. Żadne narkotyki nie działały.

Rozdrażnione myśli, które w ciągu dnia czaiły się u progu jego świadomości, gdy tylko kładł się do łóżka, rozpoczynały natychmiast swoją niszczącą robotę. Jedne o drugie zaczęły się, kłębiły i napadały na siebie.

Upływały godziny za godzinami, a sen nie przychodził. Błąd świt wdzierał się nieraz do jego pokoju i wstawał nowy dzień, on zaś z głową rozpaloną, z otwartymi oczami leżał jak kłoda bezwładny i wyczerpany.

Próbował pracą zabić rosnące rozdrażnienie. Nic nie pomagało.

Spełniał swoje obowiązki mechanicznie. Był przytomny, nie popełniał żadnych błędów. Mózg pracował składnie. Nikt nie mógł go pochwycić na jakiejś niedokładności lub chybnym poleceniu.

W toku konferencji, na której były załatwiane sprawy wielkiego znaczenia dla przedsiębiorstwa, nagle wyblyskiwała myśl: Gdzie ona teraz? Czyżby utonęła?

Na zadawane przez różnych referentów pytania odpowiadał przytomnie, spokojnie, lecz rozpalone źrenice rzucały od czasu do czasu błyski niesamowite, zdradzające wewnętrzną gwałtowną walkę myśli.

Czyżby popełniła samobójstwo przeze mnie? Po naszej ostatniej rozmowie?

Wzbierał w nim wówczas tłumiony krzyk, który cisnął się do gardła, napinał struny głosowe i wydzierał się przemocą w niemych skurczach twarzy.

Nie zabiłem! Nie zabiłem! - wołał w nim protest rozpaczliwy. - Ani moralnie, ani materialnie. Nie miała prawa tak zrobić. Otacza

ją jakąś potworna tajemnica. A ona z kolei wciągnęła mnie w orbitę swego nieszczęścia. Ona... ona!

Oparł głowę o wysoką, twardą poręcz prezydialnego fotela. Ironicznie uśmiechnął się sam do siebie. Złapał się na tragicznym monologu.

Referent działu budżetowego, sądząc, że jego wywody wywołały ów uśmiech niedobry, zmieszał się, zawiesił głos i czekał, co szef zechce powiedzieć, w czym tkwi błąd jego wniosku.

Wyrosła nagle sekunda ciszy jedna, druga, trzecia. Wszyscy utkwili wzrok w twarzy dyrektora. Rosławski siłą woli opanował się, zdając sobie błyskawicznie sprawę z tego, co zaszło. Nawiązując do toku obrad, rzekł suchym tonem:

- Owszem, owszem, pańskie wywody są całkiem poprawne. I nie o tym myślałem. Mój ironiczny uśmiech odnosił się do całkiem innej kategorii myśli. Chciałem zdać sobie sprawę z tego, w co twarda, nieubłagana rzeczywistość obróci w ciągu roku nasze najbardziej rzeczowe przewidywania. Pan to dobrze skonstruował, siły jednak wyższe niszczą najlepiej wykonane plany i najdokładniej, najostrożniej przeprowadzone operacje. Siły wyższe... te nieznanne... te, o których niszczący prąd ocierają się obecnie wszystkie sprawy świata... i nasze także... nawet te osobiste.

Odetchnął z ulgą.

W tym końcowym zdaniu wyrzucił na zewnątrz wszystko to, co go dusiło - ową minimalną cząstkę swej tajemnicy. I to do pewnego stopnia odprężyło jego napięcie psychiczne.

Poczuł się już nie sam w potężnej lawinie tragedii, która idzie przez cały świat. To mu dawało pewną nieokreśloną satysfakcję. Nie on sam cierpiał. Strumienie cierpienia rozlewały się wszędzie wokół, wypełniały wszystkie kąty świata i wszystkie kąty w domach prywatnych, w fabrykach, kopalniach i biurach. Nieszczęściem własnym dzielił się niejako ze wszystkimi.

Jego głośno wypowiedziane uwagi zdjęły ciężar niepokoju z piersi wszystkich uczestników konferencji. Referent uśmiechnął się triumfująco. Szef akceptował jego wywody.

Narada potoczyła się zwykłym trybem. Dyrektor Rosławski z zamkniętymi oczami siedział oparty o tylną poręcz fotela, sprawiał

wrażenie, że pilnie słucha wszystkiego, co dzieje się w sali konferencyjnej.

Nagle ktoś rzekł półgłosem:

- Zasnął! Naprawdę zasnął!

- Ten się bawi po nocach - mruknął jeden z cichych opozycjonistów. Ale w tej chwili stało się coś niespodziewanego. Rosławski z wolna począł przechylać się na bok i osuwać na podłogę. Siedzący obok sekretarz chwycił go wpół i przy pomocy kolegów przeniósł na sofę.

- Zemdlął, zemdlął - powtarzali wszyscy bezradnie.

- Telefonować po doktora! - wydał polecenie sekretarz.

- Konferencja przerwana - oświadczył półgłosem wicedyrektor.

Zaniepokojeni pracownicy zaczęli zbierać dokumenty, korespondencję i referaty, rozrzucone na stole, i powoli, jeden za drugim znikali z sali.

Przybyły lekarz zbadał puls i serce, zamyślił się.

- Coś nietęgo, panie dyrektorze. Od ostatniego naszego spotkania stwierdzam duże zmiany. Jest pan zupełnie wyczerpany nerwowo. Musimy się wziąć za intensywne leczenie. Trzeba usunąć przede wszystkim przyczyny powodujące ten stan rzeczy. Kilku-dniowy odpoczynek w domu, a potem wyjazd, to panu powinno pomóc. Najlepiej do Krynicy. Zmiana miejsca, nowi ludzie, nowe warunki... atmosferyczne i inne... sferyczne...

- Nie będę mógł! - bronił się Rosławski. - Interesy naszego przedsiębiorstwa nie pozwalają. Idziemy na dno. Moja obecność jest nieodzowna.

Doktor Moręcki energicznie zaprotestował:

- Nie wolno, dyrektorze, przeciągać struny. Jakby pan położył głowę przy tym stole na zawsze, to by to przecież nie uratowało instytucji. I tak dalej musiałaby sama pracować, bez pana. Wróci pan odświeżony, odmłodzony, przyjdą do głowy nowe pomysły i akcja ratownicza pójdzie całkiem inaczej.

Rosławski ujął wyciągniętą na pożegnanie dłoń lekarza i serdecznie ją ściskając, rzekł z bladym uśmiechem:

- Trudno, pan tu rozkazuje, ja muszę słuchać.

- O godzinie szóstej wieczorem będą u pana. Odbędę, razem i pańską małżonką konsylium.

Skinął ręką na pożegnanie i zniknął za progiem. W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu wewnętrznego.

- Niech Tomasz odbierze - zwrócił się Rosławski do woźnego, obecnego w sali.

Woźny ujął słuchawkę.

- Kto? - pytał. - To pan sekretarz? O co chodzi? Aha, jakaś pani dobija się o pana dyrektora? Nazwisko? Co, nie chce powiedzieć? Jak? Że pan dyrektor ją zna? Miała ważną rozmowę telefoniczną w nocy przed paru dniami z dyrektorem?

Rosławski drgnął. Czuł, że krew spływa mu do serca, że chłód obejmuje mu głowę i nogi. Był bezradny.

- Co robić, panie dyrektorze? - zapytał Tomasz. - Pan sekretarz mówi, że ta pani w żaden sposób nie chce ustąpić. Powiada, że musi się rozmówić z panem dyrektorem telefonicznie, że chce pana dyrektora przestrzec. Że to sprawa niecierpiąca zwłoki, że ona już z panem dyrektorem rozmawiała w tej sprawie bardzo późno w nocy.

Rosławski podniósł się na sofie.

- Tak, tak - oświadczył - muszę z nią mówić. To pielęgniarka z sanatorium. Moja ciotka tam leży - kłamał. - Coś widocznie zaszło ważnego. Jakieś komplikacje. Proszę powiedzieć panu sekretarzowi, że będę mówił. I proszę mi pomóc wstać.

Woźny spełnił automatycznie wydane zlecenia i jak cień wysunął się z sali konferencyjnej.

- Jestem - mówił dyrektor urywanym, przyduszonym głosem. - Przy telefonie Rosławski. Czy to pani, owa tajemnicza znajoma?

- Tak jest - brzmiała odpowiedź - znajoma Blanki.

- Co się stało? Czy znaleziono ciało?

- Nie, nie - protestował głos w słuchawce. - To, co mam panu powiedzieć, jest pierwszorzędnej wagi. Blanka żyje.

- Doprawdy? - pytał pan Janusz z niesłychanym przejęciem. - Skąd ta wiadomość?

- Dała mi znać sama.

- Gdzie się teraz znajduje?

- Zastrzegła sobie najściślejszą tajemnicę. Błaga, żeby pana przeprosić. Działała pod nieodpartym musem.

Rosławski aż podniósł się na krzesło i oparł łokciami na stole. Ożywienie dodało mu sił.

- Zatem uratowana?

- Uratowana w ostatniej chwili. Zakłęła mię, aby pana o tym jak najszybciej zawiadomić, że wprawdzie wątpi, aby pan mocniej interesował się jej osobą i ewentualnie jej samobójstwem, obowiązek jednak każe jej być uczciwą i naprawić krzywdę choćby minimalną, jaką mimo woli panu wyrządziła.

- Dobra istota.

- I jeszcze jedno - mówił głos z aparatu. - Profesor Gordon dotarł do mnie. Podszedł mię. Rozmawiał ze mną tak, jakby wiedział o wszystkim i o tym, że ja mam pański adres. Wygadałam się w najlepszej myśli. Dopiero później spostrzegłam się, że on szuka pana i chce z panem mówić. Niech więc pan będzie przygotowany na jego wizytę. Tego człowieka trzeba się bać.

- Przecież nie truciciel - rzucił uwagę Rosławski.

- Ależ cóż znowu - mówiła gorączkowo nieznajoma. - To nawet bardzo, bardzo dobry człowiek i bardzo wartościowy, lecz fanatyk nauki, który, aby dojść do celu, gotów wszystko i wszystkich poświęcić.

- Nawet panią Blankę.

- Nawet ją, szczególnie ją. Proszę zatem być ostrożnym. Może pan wszystkiemu przeczyć, nawet temu, że pan zna Blankę. Ja wycofałam się później, udając, że miałam kogo innego na myśli, a tylko pomieszałam adresy. Dałam mu nawet adres tego trzeciego, który zresztą nie zna Blanki i z obecną sprawą nie ma nic wspólnego. Może mi się to udało, choć bardzo wątpię, bo profesor ma niezwykłą intuicję i z pewnością będzie u pana, co nie przeszkodzi mu odwiedzić również ową trzecią osobę. Powtarzam: on łamie wszystkie przeszkody, aby dojść do celu. Był bardzo podniecony. To, co sobie wytyczył, będzie chciał przeprowadzić z całą swoją potężną energią.

- Bardzo pani dziękuję za te cenne wiadomości.

- A ja jeszcze raz przepraszam - mówiła przyjaciółka Blanki -

że tak ostro dobijałam się telefonem. Przyzna pan, że miałam rację.

- Całkowitą.

- I jeszcze jedno. Niech pan nie wierzy żadnym kłamstwom Gordona na temat Blanki. Powiedziałam, że profesor jest zdolny do wszystkiego w imię swego fanatyzmu naukowego. Jeszcze raz przepraszam. Może będę miała szczęście osobiście pana kiedyś poznać. Na razie łączy nas wspólna sympatia dla Blanki.

- Będę bardzo rad - zapewnił ją Rosławski. - Proszę przyjąć moje najserdeczniejsze podziękowania. Jedno tylko małe zapytanie: czy pani Blanka jest w Warszawie, czy poza Warszawą? To przecież może mi pani powiedzieć, nie łamiąc tajemnicy.

- Jest poza Warszawą - zabrzmiał głos w słuchawce po raz ostatni.

Rosławski uśmiechnął się radośnie. Straszliwy ciężar spadł mu z piersi.

Żyje! Żyje! Zatem wszystkie przypuszczenia, że jego zimne zachowanie się mogło pogłębić depresję psychiczną i doprowadzić do katastrofy, okazały się mylne...

Chciała zatrzeć ślady za sobą! Sama jednak wyczuła niewłaściwość swego postępowania i teraz przez przyjaciółkę chce to naprawić. Gdybyż wiedziała, jak on za to ciężko zapłacił!

Oparł głowę na stole. Fala nowych myśli przepływała przez jego mózg. Zatem jest poza Warszawą. To doskonale. Będzie mógł spokojnie wyjechać. Lekarz ma słuszość. Trzeba zdrowie ratować. Ta cała sprawa nie wywarłaby na mnie tak silnego wrażenia, gdybym miał nerwy w porządku.

A może ją spotkasz? - przekorna myśl niespodzianie zaatakowała jego wrażliwość.

Po co? - zimno bronił się rozsądek. - Z tym trzeba już raz skończyć.

Drzwi z lekka uchyliły się. Woźny, widząc Rosławskiego z głową wspartą na stole, zbliżył się na palcach. Za nim szedł sekretarz.

Dyrektor słyszał skrzyp podłogi. Domyślił się, że zaniepokoił wszystkich długą rozmową telefoniczną i ciszą, która potem nastąpiła. Podniósł swobodnie głowę i z uśmiechem rzekł do obu:

- Już mi lepiej. Jutro przed wyjazdem wstąpię do biura i załatwię najpilniejsze sprawy. Niech pan, panie sekretarzu, przygotuje wszystko, co potrzeba. Zreferuje mi pan pokrótce każdy akt. Przypuszczam, że nie popełnimy żadnej gafy.

Sekretarz pochylił się przed nim z głębokim szacunkiem, po czym oświadczył:

- Nie wiem, czy to będzie możliwe, panie dyrektorze. Lekarz zabronił nam zwracać się do pana.

- Tak, tak - zgodził się Rosławski - doktor Morecki przed półgodziną miał słuszość, ale teraz rzecz się przedstawia zgoła inaczej. Zresztą on sam zakomunikuje panom o tym telefonicznie. Będzie u mnie o szóstej wieczorem. Będzie mówił z panem jeszcze dziś na ten temat.

Woźny wraz z sekretarzem odprowadzili go po schodach do samochodu.

XII. JEJ TAJEMNICA

Do „Rysicy” zajechała nowa letniczka. Chciała przede wszystkim rozmawiać z panią Lipieńską, zanim umówi się o pokój i warunki. Poprowadzono ją na drugie piętro. Blanka siedziała na balkonie. Pisała list. Przyjaciółki przywitały się serdecznie.

- Jak to dobrze, że zdecydowałaś się przyjechać - rzekła Blanka.
- Stęskniłam się za tobą.

- Ja również.

- Bardzo cię przeproszam za to qui pro quo z nazwiskami, lecz wierz mi, nie miałam odwagi podać mojego właściwego. Obawiałam się, że w każdej chwili pęknie bomba i dzienniki podadzą wszystkie szczegóły o mnie. Pojmujesz, że wówczas pobyt mój tutaj byłby niemożliwiony. Dlatego dzięki twojej uprzejmości podałam twoje imię i nazwisko.

- Ależ to drobiazg. Ileż osób jeździ incognito. Tobie też wolno. Jesteś ambasadorową z innej planety.

Blanka uśmiechnęła się smętnie, mówiąc:

- To mistyczne pokrewieństwo z inną planetą drogo mię kosztuje. Moje życie osobiste układa się najfatalniej.

- Moja droga - zapewniła ją przybyła - my wszyscy jesteśmy żywymi zagadkami, tyle że się nad tym nigdy nie zastanawiamy, bo po pierwsze nie mamy na to czasu, po drugie nie mamy ani siły duchowej, ani zdolności podchodzenia do tych zjawisk. Na to trzeba specjalnej organizacji, takiej, jaką ma twój profesor Gordon.

- Poznałaś go bliżej?

- Tak, zaraz po twoim wyjeździe z Warszawy. Skoro tylko otrzymałam twój list, który wybawił mię ze śmiertelnej trwogi... zetknęłam się z nim... przypadkowo... to jest on mię wyszukał.

Blanka spojrzała na nią przeciągle.

- Jak mogłaś nawet przypuszczać - rzekła że ta sensacyjna tragedia z trupem w Wiśle ma cokolwiek wspólnego ze mną? Chyba że profesor Gordon utopił jakieś inne nieposłuszne medium... - śmiała się nerwowo.

Naturalnie że nie powinnam ani przez chwilę w to wierzyć.

Blanka przeszła niespokojnym krokiem przez pokój. Natłok sprzecznych myśli opadł ją i rozdrażniał.

- Widzisz - zaczęła - ja właściwie nie powinnam nic kategoriycznie twierdzić. W moim życiu wszystko układa się dziwnie. I ty, moja droga, choć mnie znasz, choć w tragicznych okolicznościach stałyśmy się przyjaciółkami, wiesz o mnie bardzo mało, a właściwie nic nie wiesz. To, co wiesz o mnie, jest, jakby to powiedzieć, moją zewnętrzną skorupą. Wnętrze jest zamknięte nawet dla mnie samej. Ja sama cofam Się nieraz, ilekroć przychodzi mi ochota zastanowić się nad niektórymi fenomenami mojego życia. I dlatego mój wyrzut, który skierowałam pod twoim adresem, nie jest właściwy. Ty mogłabyś spodziewać się wszystkiego po mnie, nawet samobójstwa, nawet wpadnięcia w takie konflikty, które mogłyby kogoś skłonić do zamordowania mnie.

Ależ przesadzasz - zaprzeczyła przyjaciółka.

A twój mąż, Helu? Odebrał sobie życie? A czy równie dobrze nie mógł skierować broni przeciwko mnie? Nie mógł mnie zamordować? Przecież to ja spowodowałam w nim tę straszliwą rozterkę. Helena zwiesiła głowę. Po jej twarzy ściekały powoli łzy. Wyjęła chusteczkę z torebki, drżącą ręką ocierała oczy.

- Nie prowokowałaś go - rzekła ściszym głosem. - Nie grałaś mu na nerwach. Nie mógł mieć do ciebie żadnych pretensji.

- Czy kto w takich chwilach pyta się o to? - rzuciła Blanka suchym głosem. - Dość że byłam kobietą, która nie mogła obdarzyć go miłością, nasycić swoim ciałem. Wszak rozdrażniony samiec nieraz zabija samicę.

- Przecież nie miał do ciebie żadnego prawa.

- Lecz patrząc na te zjawiska fizjologiczne od strony natury pierwotnej, a przecież żądza posiadania pewnej kobiety jest przejawem nieodpartego pierwotnego, żywiołowego popędu, można wiele rzeczy zrozumieć.

- Tak zrozumieć, lecz nie usprawiedliwić. On nie miał do ciebie żadnego prawa, a tym samym nic miał prawa aż tak się wzburzyć wewnątrz, iż choć mnie kochał, jak twierdziłaś, sam uciekł od życia. A to był wartościowy człowiek.

Przysunęła się bliżej.

- Powiedz mi jedno, skoro już o tym mówimy... Czy on... naprawdę mówił ci, że mnie kochał, mimo iż ty wywarłaś na nim tak wstrząsające wrażenie?

- Tak, mówił - poświadczyła Blanka.

- Zatem czym wytłumaczyć fakt, że nie mógł żyć bez ciebie? Przecież jedno uczucie wyklucza drugie. Przecież, kochając mnie, nie powinien był o mnie zapomnieć. Nie powinien był odbierać sobie życia. Można szaleć za pewną kobietą i odwrotnie, lecz nie można dzielić się między dwa uczucia całkiem równorzędne.

- Otóż to właśnie - odparła Blanka. - Dla niego nie były to uczucia równorzędne.

Helena odrzuciła w tył głowę, nie tamując łez.

- Droga moja - spowiadała się przyciszonym głosem - mówię ci „droga”, choć jesteś przyczyną jego śmierci. Przyszłaś na jego pogrzeb... Przy jego grobie poznałyśmy się... Podalaś mi rękę, popatrzyłaś mi w oczy. Miałaś odwagę, na którą nie zdobyłaby się żadna inna kobieta. To mnie od razu przekonało. Pomyślałam: ta kobieta nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jego samobójstwo. Odtąd stałaś mi się droga. Poznałyśmy się bliżej i pokochały. I ty nie wiesz wszystkiego o mnie, jak ja o tobie. Są rzeczy, o których nawet przyjaciółki nie mówią sobie wzajemnie. O pewnych rzeczach i sprawach można mówić głośno, jawnie, lecz tylko językiem cynicznym, gdy obie strony są do tego zdolne. My nie, wszak tak?

- Zdaje się, że masz słuszość - potwierdziła Blanka. - Rozumiem, co masz na myśli. Z całą pewnością my nie.

Pani Helena przymknęła powieki. Pierś jej podnosiła się szybko. Przeżywała silne wzruszenie, które opanowało całą jej istotę.

- Ale - rzekła po chwili - taki moment musi nadejść, kiedy my obie nie możemy pozostać dla siebie nieznanymi w pewnych dziedzinach życia. Musimy naprawdę się poznać... nie tak

powierzchnownie, lecz tak do głębi jestestwa, choćby to nawet bardzo bolało...

Blanka poruszyła się niespokojnie. W głębi duszy protestowała przeciwko takiej niespodziewanej inwazji.

- Zygmunt - spowiadała się tamta - w ostatnim okresie swego życia zachowywał się jak lunatyk, zwłaszcza w godzinach wieczornych i w nocy. Nieraz mówiłam do niego pieszczotliwie, jak najserdeczniej, a on jakby mnie nie słyszał, jakby był za siedmioma lasami i górami. Bywało, że w nocy przychodził do mnie, tulił się do mnie, brał mię w ramiona, rozplakał się i właśnie w chwili... w takiej chwili, kiedy kobieta traci pamięć, traci wszelkie poczucie wstydu, kiedy nieprzytomna pragnie wziąć w swe posiadanie tę drugą istotę... on zrywał się jakby w jakimś śnie kataleptycznym, rzucał mnie na poduszki i w szale nieopisanym okrywał pocałunkami całe moje ciało od ust do stóp. Ach, co ja w takiej chwili przeżywałam. Jak on wówczas działał straszliwie na moje zmysły. Dochodziłam do takiej ekscytacji, że mogłabym popełnić najstraszliwszy czyn, dopuścić do największego bezwstydu... a on właśnie w takim momencie największego wzajemnego podniecenia nagle odpychał mię, siadał na łóżku i powtarzał szeptem: „To nie ona, to nie ona...”

- Nie mów, nie mów - prosiła Blanka, blednąc gwałtownie.

Helena pochwyliła jej rękę i patrząc w jej twarz oczami rozbłyśniętymi, pełnymi łez, mówiła drżącym głosem:

- Trzeba, żebyś знаła całą prawdę. On po prostu zapamiętywał się. On we mnie chciał widzieć ciebie. On nas obie kochał. Mnie kochał uczuciem jakiejś dziwnej poetyckiej tkliwości. Ubóstwiał - moją dobroć, moją inteligencję, mój zmysł artystyczny, moją duchową istotność, gdy ciebie pragnął wszystkimi zmysłami.

- Nie mów, nie mów - błagała ją Blanka.

Ale tamta nie puszczała jej ręki. Przeciwnie, drugą ręką objęła ją za szyję. Usiadłszy na poręczy fotela i tuląc głowę do jej głowy, wyrzucała z siebie dręczącą ją dotychczas tajemnicę:

- W takich chwilach, kiedy zaklinałam go, aby panował nad nerwami, tłumaczył mi z niesłychaną siłą przekonania, że on wie, iż jest szaleńcem, że ty nie będziesz nigdy jego kochanką, że kobieta

taka jak ja może być aniołem jego życia i on żyć by beze mnie nie mógł, lecz niepokój i namiętność, jaką ty w nim rozbudziłaś, ma w sobie ogromną mistyczną potęgę. że on, biorąc mnie nawet w posiadanie, zespalał się ze mną, ma chwilami najpełniejsze wrażenie, że ciebie posiada we mnie... że moje nerwy, zmysły, cała moja istota jest przepelniona chwilami twoim fluidem, który on wyczuwa i coraz bardziej za nim szaleje... że ty i ja musiałyśmy kiedyś w poprzednim życiu być jego dwiema ukochanymi kobietami, które on wówczas znał, za nimi przepadał i szalał...

- Przestań! - gwałtownie zaprotestowała Blanka, uwalniając się z jej objęć.

Zerwała się z fotela i wyczerpana padła na sofę. Spazmatyczny szloch wstrząsł nią całą.

- Tobie nie wolno tak mówić do mnie - wybiegły z jej gardła nabrzmiałe bólem słowa. - Ty mię tymi wynurzeniami zabijasz. Przypominasz mi te potworne halucynacje, które przeżywałam w niejedną noc, i dopiero teraz rozumiem, z czym miały one związek. Było to widocznie wówczas... kiedy ty... i... on... zbliżaliście się do siebie, kiedy...

Helena ukłękła przy niej i całując ją gorąco, zasypywała ją pytaniami:

- A więc i on działał na ciebie.

- Nie, nie - zaprzeczyła ostro Blanka - czułam tylko, jaką on tragedię przeżywał. Broniałem się przed tą świadomością, która docierała do mego jestestwa... przed tą podświadomością raczej jego ekstatycznych porywów do mnie. Czułam się zbita, złamana, jak niewolnica, którą kupiono na targu, rozebrano, postawiono nagą na kolumnie, aby ją okrywać zmysłowymi pocałunkami i brać w przemoc erotyczną. Nie biorąc w tym udziału ani moim sercem, ani moimi zmysłami, musiałam bezbronna wyczuwać, co się działo ze mną wówczas, gdy on brał ciebie w objęcia, zamieniając mnie w swoją niewolnicę...

Helena spojrzała na nią z przerażeniem.

- Jak to? - odezwała się wstrząśnięta do głębi. - Ty miałaś pełną świadomość tego, co działo się w naszej sypialni?

- Nie wiem, nie wiem - z płaczem mówiła Blanka - lecz to był

właśnie okres najdrastyczniejszy w moim życiu. Przeżywałam jakby rozdzielenie się mojej osobowości, bo inaczej nie dałoby się wytłumaczyć. Miewałam niesłychanie silne halucynacje. Nie umiem tego zresztą bliżej określić. Może owe seanse z profesorem Gordonem tak na mnie działały. Może po nich pozostawała we mnie ta przerażająca nadwrażliwość, dość że dochodziło u mnie do tak niewypowiedzianego napięcia wrażliwości, iż jak w półśnie przeżywałam sceny zmysłowe, których przyczyny zrozumieć wówczas nie mogłam. Dopiero ty teraz wyjaśniłaś mi, co to było... w czym ja uczestniczyłam podświadomie... kim były te świetlane twarze, które widziałam, i czym były te sensacje zmysłowe, które szarpały moimi zmysłami... Domyślałam się... Wyczuwałam was oboje niemal dotykalnie, lecz świadomość, że jednak to była prawda, a nie sen, ty dopiero mi dałaś z całą osłepiającą jasnością... To wyście byli... wy, wy. Wybraliście mnie jak swoją niewolnicę... wciągaliście w orbitę swoich uniesień... wysysaliście ze mnie całą moją siłę astralną, niszczyliście moje zmysły, posiadaliście mnie jak swoją własność bezwolną...

- Nie ja, nie ja - protestowała Helena.

- Właśnie że ty. Przede wszystkim ty. Bo gdybyś odtrąciła go od siebie, gdybyś otoczyła się zimną dumą, gdybyś nie rozbudzała jego zmysłów, on nie popadałby w stan halucynacji, w które wciągał mnie wbrew mej woli...

- Przecież mówiłam ci - broniła się Helena - że on napadał mnie w nocy. Przecież zachowywał się w taki sposób, który każdą kobietę wytrąciłby z równowagi...

- Ale ty go pożądałaś.

- Kochałam go. Byłam jego żoną. Nie mogłam nawet przeczuć, że do ciebie mogą dotrzeć te zmysłowe uniesienia!

- Wiem, wiem - tłumaczyła się Blanka. - Daruj! Moje gorzkie oskarżenia niesłusznie cię obciążły. Byłaś w tym niewinna. Wspomnienie tych potwornych halucynacji bardzo mną wstrząsnęło i dlatego...

Helena zakryła twarz obiema dłońmi. W skroniach gwałtownie pulsowała jej krew, w mózgu kotłowało dręczące pytanie, którego nie mogła się pozbyć.

- Blanko - odezwała się - bądź ze mną szczerza. Mówimy ze sobą tak otwarcie po raz pierwszy w życiu i może po raz ostatni. Nie taj niczego przede mną. To mi sprawia ulgę. Wszystko, co odnosi się do owych chwil niesłychanych, i w czym on brał udział, jest dla mnie jeszcze dziś tak świeże, jakby to było wczoraj lub przed godziną.

- Słucham.

- Blanko... tyś mimo woli brała udział w tych halucynacjach, jakie przeżywał Zygmunt. Intuicja mi mówi, że przecież takiego udziału nie mogła brać istota, której nic nie łączyło z nami... to jest z nim... że ty przecież widocznie... jakąś cząstką swej istoty należałaś do niego... bo inaczej...

- Nie należałam do niego ani przez chwilę - zaprotestowała Blanka. - Nie otrzymał ode mnie ani jednego pocałunku. Pozostał dla mnie obcy, całkowicie obcy!

- Tego zrozumieć nie mogę...

- Musisz zrozumieć i zrozumiesz - oświadczyła tamta twardym głosem - gdy ci powiem, że nie znam dotychczas miłości fizycznej... Tak jest! Nie znam!

Helena drgnęła.

- Jak to - rzekła - ja ciebie uważałam za mężatkę. Sądziłam, że rozeszłaś się z mężem. Mówiłaś zawsze o wszystkim... w tej dziedzinie... z taką swobodą i znajomością...

- Teoretyczną - dorzuciła tamta ze złym uśmiechem.

Helena uklękła przy niej. Okrywała jej dłonie pocałunkami.

- Moja najdroższa. Moja święta! Moja cudna! A więc to ja wciągnęłam ciebie w przeżycia seksualne, które dzieliłam z moim mężem? To ja psułam twoją wyobraźnię, gdy ty nie znałaś jeszcze żadnego mężczyzny? Ach, teraz pojmuję, dlaczego działasz tak fascynująco na mężczyzn. Twoja tajemniczość, twoja niesłychana wyjątkowość, twoja organizacja na wskroś inna i ta twoja kobiecość przepełniona oczekiwaniem... to wszystko wytwarza ten zabójczy fluid uroku, który siejesz i którym zniewalasz. Teraz dopiero rozumiem powiedzenia profesora Gordona: „To kobieta z innej planety”. Jest w tym powiedzeniu jakaś dziwnie niesamowita

prawda. Coś, w co nie chce się wierzyć, a w co po cichu wierzy się z pewnym niewytłumaczonym lękiem. Obejmując ją w pól, mówiła dalej:

- Zatem na ciebie jeszcze żaden mężczyzna nie działał zmysłowo, jeszcze do żadnego nie poczułaś zwykłego erotycznego pociągu?

Blanka siedziała blada, z przymkniętymi na pół powiekami... sfinks w aureoli złotych włosów. Powoli na twarz jej zaczęły występować rumieńce. W policzkach zaczęła krążyć krew zdradliwa. Z piersi jej wyrwało się ciche westchnienie.

- Ostatnie czasy był to okres, w którym pewien mężczyzna począł działać na mnie niepokojąco. Teraz przyznaję się do tego tobie, choć dotychczas wypierałam się uporczywie tej prawdy. Ja sama wobec siebie wypierałam się tego pierwszego silnego wrażenia, budzącego we mnie najgłębszy niepokój.

Zamilkła na chwilę, jakby rozważyć chciała, czy to, co powie, będzie dość jasne i zrozumiałe dla jej przyjaciółki. Uspokoila się wewnętrznie i poczęła snuć dalej swe myśli:

- Dotychczas żyłam całą moją istotą w innym świecie... w świecie doświadczeń i seansów z profesorem Gordonem. Może to szaleństwo, lecz idea profesora rozpałała mnie z czasem niemal do fanatyzmu! Jest w tej jego idei coś nadzwyczajnego, coś zaziemskiego, ponad miarę dostępną dla zwykłych śmiertelników. Powtarzam: może to szaleństwo, może to obłąd naukowy, lecz na dnie tego szaleństwa kryje się niesłychany urok... dalekiej, mistycznej prawdy. Dochodziliśmy na tych seansach, jak wiesz, do zdumiewających wyników. Istność zaziemska Roberta to nie była jakaś nieokreślona bliżej chimera, lecz niezwykle silna osobowość. Zwykle medium zapomina o tym, co dzieje się w trakcie seansu. Jest po prostu biernym czynnikiem o pewnych specyficznych, medialnych właściwościach... Ze mną było tak samo początkowo...

- A więc nie wierzyłaś w wywody profesora, że Robert...

- Nie tylko nie wierzyłam - wyjaśniała jej Blanka swoją tajemnicę najgłębszą - lecz nawet w głębi duszy pokpiwałam sobie z tej teorii. Co mi szkodzi, sama siebie uspokajałam, że ktoś snuje

fantastyczne herezje. Zabawią się nimi. Ale z czasem zniknęła niewiara... poczęłam mnie ogarniać dziwnie słodki niepokój... czułam wewnętrzne niezwykle napięcie duchowe, które parło w tym jednym kierunku. Przed każdym seansem przenikały mię dreszcze, jakby to coś, co mię miało spotkać, było na wskroś realne, ze świata rzeczywistego, a nie urojonego. Helena słuchała tych słów z wypiekami na twarzy.

- Z wolna w mojej świadomości - kontynuowała Blanka - poczęłam się utrzymywać obraz Roberta i przesuwając poza trwanie seansów. Budziłam się z uspienia, chwytając wrażliwością mych nerwów jakby ostatnie ślady jego znikającej osobowości... aż wreszcie stał się dla mnie istotą żywą, tkwiącą w rzeczywistości nadbytowej, lecz nie mnie) istotnej, nawet silniejszej i realniejszej, bo nieprzemijającej, niepodlegającej katastrofom wykolejeń życiowych, tym drobnym głupstwom dnia codziennego...

- Czy to było następstwem sugestii profesora - spowiadała się dalej Blanka głosem przyciszonym, jakby bała się spłoszyć własne myśli - czy też we mnie była już dyspozycja psychiczna w tym kierunku, dość że z czasem zaczęłam przeżywać stany takie, jakie, przypuszczam, przeżywa panna, która poczyna się kochać nie tylko uczuciowo, lecz i zmysłowo. Po prostu budziła się we mnie tęsknota podobna do tej, jaką ty odmalowałaś mi tak wymownie na podstawie twoich przeżyć erotycznych. I tak z każdym dniem coraz bardziej stawałam się gotowa, stawałam się dojrzała do przeżycia eksperymentu, o jakim marzył profesor Gordon i jakiego realizację postawił sobie za cel swych doświadczeń naukowych. Brałam w tym udział całą moją osobowością, choć do tego nie przyznawałam się profesorowi, wstydząc się po prostu moich skrywanych pragnień...

Głos jej łamał się od wewnętrznego wzruszenia. Głowę opuściła na piersi jak podcięty kwiat róży. Kłęby złocistych włosów osnuwały rzeźbę jej twarzy jak rojowisko błyszczących drobnych węży. Helena pieściła jej dłonie w swych rękach aksamitnych z czułością uczennicy zakochanej w swej nauczycielce.

- Mów dalej, mów - prosiła. - Wieszysz mię w czarujący świat zaziemskiej bajki. Teraz dopiero poczynam rozumieć, jak dziwne

przeżyłaś godziny. Dotychczas uważałam to za chimerę, kaprys egzotyczny...

Blanka głaskała jej włosy i zapatrzona w daleki punkt przestrzeni, wtajemniczała ją dalej w swoje przeżycia:

- Byłam gotowa na wszystko, jak ci to już mówiłam. Pragnęłam, aby dokonała się owa niesłychana, tajemnicza akcja... owo bezpośrednio stopienie się istoty żywej, realnej, jaką ja jestem, z istotą spoza rzeczywistości ziemskiej, niemniej dla mnie realną, prawdziwą, w mojej radosnej ekstazie z seansu na seans coraz bardziej niemal fizycznie dotykálną. Wyczuwałam coś podobnego do owych mitologicznych opisów miłości. Coraz częściej otaczał mię obłok, z którego on się wynurzał i w ten obłok mię wchłaniał.

Ta czynność pochłaniania, zbliżania, obcowania powtarzała się, jak powiedziałam, niemal dotykálnie. Czułam pocałunki Roberta... jego ciało... jego ciepło i tak zbliżała się chwila ostateczna z konsekwencją nieodpartą...

Przyciągnęła głowę Heleny do swojej, aby być jej jak najbliżej, jakby to, co miała powiedzieć, chciała przekazać w jej świadomość prawie bez słów.

- Mój fizyczny organizm - szeptała - przygotowywał się do tego fenomenu z poddaniem i pragnieniem coraz większym i z coraz większą gotowością wchłonięcia w siebie tego obłoku świetlnego, który krył w sobie jego istność, nieustannie rozplywającą i znów materializującą się w kształty na wskroś realne. Chodziło już tylko o moment utrwalenia się tej realizacji, aby stało się to, czego pragnęłam całą moją jaźnią... to, co tak przeżywałaś po twym ślubie, tęskniąc i... otrzymując...

- To niesłychane... to niesłychane - powtarzała z drżącymi wargami Helena.

A Blanka, kryjąc rozpaloną twarz w kłębach zlocistych włosów, purpurowymi wargami rzeźbiła swe myśli:

- Czułam nieraz, że to już, już zaczyna się dzieć. Materializacja jego astralu potęgowała się. Wyczuwałam ją moimi zmysłami... chwytną gotowością mego organizmu... Ach, za ten moment pełny, najpełniejszy, gotowa byłam oddać życie... Wierz mi... żadna z was żywych, która swego męzczyznę obejmuje, nie może mieć

pojęcia, czym takie chwile oczekiwania i przygotowania były dla mnie. Przeżywałam wszystkie rozkosze ziemskie, rozkosze budzącej się i stwarzającej się miłości, i równocześnie tę błogość nadziemską, jakiej żadna istota żywa niezdolna jest doznać. To, czego doznawałam, było z innych światów... te dreszcze i wzruszenia miały w sobie ekstatyczną wibrację. Słyszałam, jak moje ciało i jego ciało krystalizujące się wydawały dźwięki. Seraficzna muzyka grała mi w uszach i we mnie całe. Byłam jej pełna nawet wtedy jeszcze, kiedy budziłam się ze snu medialnego. Nie opuszczała mię ona po całych dniach i nocach. Zostawała we mnie aż do nowego seansu. Szłam naprzeciw memu przeznaczeniu z rosnącym szaleństwem. Zapadałam natychmiast w sen medialny na pierwsze spojrzenie profesora, skoro tylko ciało moje opadło na sofę. Kładłam się na nią w czasie ostatnich seansów, bo nie byłam już zdolna w tych przeżywanych stanach usiedzieć na fotelu. Odkąd zaczęłam tracić panowanie nad sobą, profesor usypiał mię na sofie. To miało być moje łóżko małżeńskie bez ziemskiego małżonka. Helena, spazmatycznym ruchem chwytając ją za rękę, spytała:

- Kto był przy tobie w tych chwilach niesłychanych?

- Profesor Gordon i jego asystent, który mierzył napięcie nowych promieni, odkrytych przez nich, specjalnym aparatem.

- Blanko! - wykrzyknęła tamta mimo woli. - Czy nie krępowała cię obecność mężczyzn, skoro wiedziałaś, co masz przeżywać?

Uśmiechnęła się wyrozumiale i spokojnie tłumaczyła dalej:

- Moja droga, przede wszystkim wiedziałam, że to jest doniosły eksperyment naukowy. Ustosunkowałam się też początkowo tak, jak na przykład pacjent ustosunkowuje się do operacji. Żyło we mnie gorące pragnienie, aby stać się idealnym medium naukowym, jakim może jeszcze nie posługiwała się dotychczas wiedza. Tę ambicję umiał profesor budzić we mnie wprost fanatycznie. Zresztą pierwotne dążenie profesora zmierzało jedynie do pochwycenia promieni Mo w chwili osiadania istności Roberta na moim astralu. To było główne założenie jego doświadczeń naukowych, mających uzasadnić jego teorię wpływów zaziemskich czynników przy poczynaniu się nowych istot ludzkich.

- A więc aż do tego zmierza jego teoria?

- Tak, właśnie tak. Ale kiedy okazało się, że jako medium jestem fenomenem i że zjawom Roberta towarzyszą emanacje coraz silniejsze promieni Mo, jakich nie dostrzegał na seansach z innymi mediami, wówczas zaczął najpierw dążyć do pochycenia tych świetlnych zjawisk na błonie fotograficznej, a później do wzmocnienia tych promieni. Do tego celu jego asystent zbudował specjalny aparat. Pierwsze próby, choć bardzo słabe, były podobno zachęcające.

- A więc założenie profesora było istotnie czysto naukowe...

- Ależ ono nigdy inne nie było i nie jest. Tylko w miarę postępu dokonanych studiów dążenie Gordona rozszerzało się i objęło nową dziedzinę. Otóż profesor dostrzegł w czasie seansów moją, jak się wyraził, dyspozycję romantyczną, może dlatego, że dotychczas nie kochałam żadnego mężczyzny ziemskiego. Ale co dziwniejsze, dostrzegł taką samą dyspozycję u Roberta, wnosząc z jego odezwań się do mnie. I to zrodziło w profesorze genialną myśl, aby doprowadzić do realizacji miłosego aktu w wymiarach nadbytowych. Niesłychana idea, prawda?

- Oszalałająca! Olśniewająca!

- Tak, olśniewająca! A jak wykazywał przebieg seansów, całkiem możliwa! Niestety! W ostatniej chwili wkraśl się czynnik przeszkadzający.

- Ten, który mógł cię krępować? Wstydlivość?

- Tak jest, zgadłaś. To, co początkowo bagatelizowałam sobie, upomniało się o swe prawa. Istotnie - obecność tych dwóch mężczyzn, profesora i jego asystenta, w takich chwilach, jakie przeżywałam, stawała się dla mnie z czasem nie do zniesienia. Długo nie mogłam dać sobie z tym rady. Wstyd mi było przyznać się, że odgrywają jakąś rolę w tym względy, które konieczne i naturalne są w świecie zwykłych przejawów erotycznych u zwykłych ludzi. A jednak świadomość, że dzieją się ze mną rzeczy, które są jednak w danych momentach wyłączną tajemnicą dwóch istot w sobie zakochanych, mężczyzny i kobiety - do czego nikt nie ma prawa się wtrącać ani tym bardziej obserwować ich przebiegu - działało na mnie tak deprymująco, że osiadanie istności Roberta na moim astralu zaczęło się nie udawać.

Zawiesiła głos. Nie czuła się na siłach mówić dalej. Pani Helena zrozumiała, że nie pozostaje jej nic innego, jak tylko czekać cierpliwie, aż jej przyjaciółka uspokoi się i sama dokończy swoją wypowiedź. Toteż żadnym ruchem nie zdradziła się, jak ją pożera gorączka ciekawości.

Stało się - po chwili znowu zabrzmiał metaliczny głos Blanki, pełen głębokiego wzruszenia:

- Profesor dostrzegł, co się dzieje, i przerażony podzielił się ze mną swoimi spostrzeżeniami. Wyrzekał, że taka fenomenalna dyspozycja medialna, jaką ja reprezentowałam, pójdzie na marne. Wówczas zwierzyłam mu się z mych skrupułów. Zrzuciłam wszystko na podświadome działanie kobiecego instynktu i podświadomy opór psychiczny czysto kobiecy, wdrożony w nasz organizm tysiącami lat cywilizacji... że widocznie wbrew mej woli jestem nieodrodną córą Ewy i mimo całego naukowego charakteru doświadczenia, moja podświadomość dziejących się we mnie przemian i mających się stać faktów działa zabijająco na moją dyspozycję wskutek bezpośredniej obecności świadków... że ja osobiście nie mam nic przeciwko temu, lecz moja natura kobieca... prainstynkt wstydu buntuje się i płata nam figle.

Helena zaśmiała się serdecznie:

- Ewa w każdym calu... Najprawdziwsza Ewa. A on?

- Postanowił stworzyć warunki jak najdyskretniejsze do tego mistycznego uwiedzenia mnie. Zaordynował zaciągnięcie ciężkiej zasłony... Dał słowo honoru, że ani on, ani jego asystent nie będą obserwowali mej twarzy ani ruchów mego ciała... bo czy ja wiem, co tam bez mej wiedzy mogło się dziać? Przecież mógł również ich intrygować mój peniuar...

- Jaki peniuar? - wykrzyknęła Helena. - Jaki peniuar?

- Po prostu przebierałam się w peniuar - wyjaśniła Blanka. - Nie uwierzysz może, lecz przysięgam ci, że mówię prawdę. Moje ciało w czasie tych ostatnich seansów, kiedy zbliżała się chwila decydująca, zapowiadana moją wrażliwością, nie mogło znieść po prostu żadnego ucisku, żadnego paska, żadnej podwiązki, żadnej ciężkiej sukni... Nie wiem, jak wy, kobiety normalne, w takich chwilach, lecz ja w tym wypadku...

- Całkiem tak samo - zapewniała ją towarzyszka. - Twój organizm robił, jak widzę, pełne przygotowania do uwiedzenia kochanego mężczyzny...

- A czyż mogło być inaczej? - broniła się Blanka. - Czy nie brało w tym udziału moje całe jestestwo? Moja fantazja? Moje oczekiwanie? Moja tęsknota? Wszak mój organizm miał ponieść wszystkie konsekwencje tego niesłychanego eksperymentu!

- Jak to? Mówisz, że wszystkie? Cóż więcej mogłoby się stać nad to, że mogłaś przeżyć sensację ekstazy wymagowanej, bez istotnego współudziału drugiej istoty? Przecież takie wyładowania o nerwowym podkładzie są możliwe i zdarzają się nawet w zwykłych ludzkich stosunkach... bez seansów...

- Mylisz się - zaprotestowała Blanka. - To wszystko miało cechy zbliżającego się pełnego uniesienia miłosnego. Materializacja zjawy Roberta robiła coraz większe postępy, co mną wstrząsało do głębi. Ja to wyczuwałam coraz bardziej, jakby to powiedzieć... dotykalnie... jego istność poczęła przenikać moje jestestwo coraz lepiej, dokładniej... wszechstronniej... Miałam go we wszystkich fibrach... byłam go pełna... nie tak cząstkowo, jak to podobno bywa u was na Ziemi... to jego zbliżenie się bezpośrednie do mnie brało w posiadanie mój mózg, moje serce, moje biodra... nie od zewnątrz... lecz od wewnątrz. I to jest właśnie szczególne i inne... Tak oszałamiające... tak przerażająco wewnętrzne i przejmujące, że budząc się z seansu, byłam pod wrażeniem niesłychanego przeżycia najcudniejszej symfonii zmysłów... nieopisanego zachwytu...

- Naprawdę? Mówisz to tak, że ja sama zaczynam tracić pewność, że to było tylko złudzenie.

- A przy tym wszystkim w mym mózgu drzemała przecież jeszcze inna świadomość. Profesor postawił hipotezę, iż moment pełnej ekstazy miłosnej może dać początek nowemu istnieniu ludzkiemu.

Helena osłupiała. Myśl zaszczipiona w jej mózg przeszła ją błyskawicą.

- Co za nadludzka idea! Niewiarygodne!

- A jednak tak jest. Tak może być! Mogłam stać się matką! Tak twierdził profesor...

- To niemożliwe - zaproponowała Helena. Blanka przyciągnęła ją do siebie.

- A skąd wzięły się - szeptała gorączkowo - wszystkie legendy o matkach-dziewicach? I ta mistyczna cześć im oddawana? Niewątpliwie żyjemy w epoce potwornego racjonalizmu, lecz poza nami i naszą rzeczywistością rozpościerają się nieogarnięte naszym umysłem dziedziny tajemnic nadludzkich, boskich! My jesteśmy tylko niemowlętami w kosmicznych wymiarach życia. Tak twierdzi profesor Gordon. Stroimy się w pióra pewności, a przed pierwszym lepszym fenomenem nasi uczeni stają bezradni, nie umiając go wytłumaczyć. I dlatego doświadczenia profesora Gordona mają posmak nadziemskich nadprzyrodzonych zjawisk! To coś odmiennego, coś, czego normalny rozum nie obejmuje. I dlatego ja stałam mu się powolna... prawie niewolniczo posłuszna.

- A więc co się stało ostatecznie, co?

- Jak już ci mówiłam - kontynuowała Blanka - materializacja istności Roberta czyniła nieustanne postępy, które wyczuwałam moją dyspozycją nerwową i zmysłową w rosnącym tempie. Ach, sensacja tych stanów, pełnych całkowitego oszołomienia, nie da się porównać z niczym ziemskim. Ginęłam! Przeżywałam wrażenia niesłychanie silne i błogie. Budziłam się z tych halucynacji z nieukojonym żalem. Lada sekunda mogło dokonać się to, co pospolicie ludzie określają cudem miłości. Po każdym seansie wzrastał we mnie niezaspokojony głód erotyczny, który począł mnie zżerać. I właśnie w takim moim stanie fizjologicznym i psychicznym stało się coś nieoczekiwanego, co wprost zdruzgotało całą moją pracę z profesorem - coś, co przerwało dalszy ciąg seansów! Oto spotkałam się oko w oko z ziemskim sobowtórem istności Roberta...

Głos jej załamał się. Rozmowa kosztowała ją zbyt wiele. Popadła w półomdlenie. Pani Helena przerażona spryskała jej skronie

wodą kolońską, najczulszymi słowami zaklinając ją, aby nie poddawała się wewnętrznym impulsom.

Kiedy Blanka przyszła do siebie, wzrokiem zaklinała przyjaciółkę, aby już o nic jej nie pytała.

- Ja sama wrócę do tego tematu - rzekła półszeptem. Dziś jest to nad moje siły. Znasz piosenkę *Niespełnionych marzeń, niespełnionych snów*? Ta piosenka stała się tragicznym wykładnikiem rzeczywistości, w której obecnie żyję...

XIII. SOBOWTÓR

Profesor Gordon przemierzał swój gabinet nerwowym krokiem. Od wypadku z Blanką żył w nieustannym podnieceniu. Jego zdaniem cały świat sprzysiął się przeciw niemu, aby mu wydrzeć jedno z największych odkryć, jakie kiedykolwiek mogło być dokonane.

Eksperyment z Blanką, do którego zrealizowania dążył z rosnącą pasją fanatyka nauki, jeśliby potwierdził jego hipotezę o kontakcie globu ziemskiego z Universum za pomocą Mo, odsłoniłby niebywałe horyzonty wiedzy biologicznej i filozoficznej.

Okazałoby się, że napływ talentów, natchnionych reformatorów, geniuszów organizacyjnych, artystów i wynalazców nie jest następstwem powolnej ewolucji doskonalenia się psychicznych wartości w masie ludzkiej, lecz że dzieje się to za sprawą czynników niezależnych od woli ludzkiej ani od postępu cywilizacji - czynników znajdujących się poza terytorium, na którym bytuje człowiek zbiorowy. Z jakiegoś dalekiego centrum wszechenergii, znajdującego się poza orbitą naszego słonecznego systemu, płyną promienie, które niosą ze sobą tajemnicę narodzin wszystkich istot wyższych ponad przeciętność, ponad poziom zwykłych zjadaczy chleba...

Chwilami sam zadawał sobie pytanie, czy nie pada ofiarą własnej mistyfikacji i czy nie idzie po drodze zupełnie fałszywej. Ale intuicja wysuwała kontrargumenty bardzo silne, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi:

Czy nauka wie cośkolwiek o tym, czym jest właściwie życie ludzkie? Skąd się bierze i jakie prawa nim rządzą? Nie mówiąc o przejawach fizjologicznych, jako tako pod względem formalnym zdefiniowanych? A przecież i tu zatrzymuje się badacz przed barierą tajemnic, których nie jest w stanie przekroczyć.

Kto powiedział - inna myśl nagle zabłysnęła w zakamarkach

jego mózgu - że wszystkie objawy życia ludzkości są związane tylko z tym terenem, na którym człowiek rodzi się- i umiera, to jest z globem? Dlaczego nie wolno nam przypuszczać, że glob ziemski nie jest planetą ślepo porzuconą w kosmosie i poddaną wyłącznie prawom przypadkowym, które rządzą jego przyrodą martwą i żywą wraz z gatunkiem ludzkim bez żadnych zmian? Bez żadnych odchyleń?

Jeżeli nie możemy powiedzieć nic pozytywnego i naukowo sprawdzonego - nadbiegał mu z pomocą dalszy argument - o tym, czym jest to życie ludzkie, które historia cywilizacji obserwuje od tysięcy, tysięcy lat, jeżeli jest to dla nas niewiadoma, choć mamy tyle prawd naukowych, zdobytych dotychczas, to jakie zasady mogą nam zabronić snuć hipotezy wybiegające daleko poza obręb przyciągania ziemi?

Raczej właśnie tam - nadbiegła nowa myśl - poza atmosferą naszego globu, trzeba szukać rozwiązania tajemnicy powstania i rozwoju rodu ludzkiego i jego cywilizacji, a nie tu na ziemi.

Obserwacja bytowania wszelkich gatunków stworzeń żywych nie daje nam najmniejszego prawa wnosić, że ród ludzki sam z siebie wydaje te soki duchowe, które składają się na organizacje umysłowe geniuszów. Przeciwnie, wszystkie cechy wyższej twórczej umysłowości ludzkiej, zdolne wybiegać daleko poza obręb kuli ziemskiej i orientować się logicznie i celowo w bezkresnych przestrzeniach kosmosu, świadczą o tym, że ta właśnie zdolność przenikania w głąb Universum jest darem, powiedzmy bez sentymentu... właściwością nie z tej ziemi, lecz z nieznanych nam ośrodków astronomicznych, żyjących wyższym życiem transcendentnym.

Profesor stanął na środku pokoju skupiony. Chwytał myśl za myślą:

Tak jest. Wszak ani jedno z najmądrzejszych zwierząt nie zastanawia się nad zmianami księżyca lub ruchem gwiazd. Zdolność odrywania się ducha ludzkiego od skorupy ziemskiej ma w sobie boską wyższość nad tym wszystkim, co go otacza, i jest niewątpliwie rodem ze sfer „niebiańskich”, jak to symbolicznie określają poezja i religia.

Z takich to rozmyślań czerpał profesor Gordon zapal do przedsięwzięcia, które sobie wytknął. Żadnego argumentu, obalającego radykalnie jego hipotezę, nie mógł ani sam sobie przeciwstawić, ani nigdzie nie mógł znaleźć jej zaprzeczenia, w żadnym dziele naukowym... bo zresztą żadne z nich tym się nie zajmowało, wykraczałoby to bowiem poza sferę przyzwoitości i poszanowania wiedzy.

Na wzgardliwe twierdzenie: „nie wierzę” - mógł spokojnie odpowiedzieć pytaniem: „dlaczego?”

Dziedzina, w której obręb wkraczał, nie nakładała żadnych pęt jego fantazji. Wszak nawet jej teren operacyjny jest jeszcze dotychczas przez naukę oficjalną nieuznawany. Seanse spirytystyczne cieszą się złą opinią w świecie wiedzy.

Dziedzina ponadbykowa, do której chcą się wdrzeć wyznawcy nauki ścisłej, nie daje im dotychczas żadnych realnych sprawdzianów, a bez nich „szanujący się” badacz nie posunie się ani na krok dalej. Woli rzec się ewentualnych fenomenalnych prawd, jakie może dałyby się w tej krainie niedostępnej ustalić, niż narazić się na śmieszność.

Ale profesor Gordon kochał się w ryzyku, nosił w sobie żądzę średniowiecznego alchemika, topiącego złoto w tygielku.

Właśnie w tej dziedzinie on - fizyk i socjolog - czuł się najlepiej. Nie krępowały go żadne kanony, przepisy, formuły, które mogłyby go skierować na udeptane, wyjałowione ścieżki. Że istnieje działanie promieni Mo, stwierdził wielokrotnie. Czułe błony fotograficzne, specjalnie spreparowane przez jego asystenta, chwytają ich obecność.

Zachowanie się doskonałego medium, jakim okazała się Blanka, dowodziło niezbicie, że była ona bliska momentu wchłonięcia w siebie zmaterializowanej istności Roberta. Cały aparat fizjologiczny brał żywy, bezpośredni udział w tym emocjonującym procesie.

Medium mimo swego snu było organicznie czynne i reagowało bardzo wrażliwie na pobudki płynące od istności Roberta.

Czyżby to wszystko, co obserwował, było złudą?

Wszak widział twarz Blanki, mieniającą się pod wpływem tych

pobudek uczuciowo-fizjologicznych, jakie wstrząsały jej organizmem! Przecież dzieliła się z nim swymi przeżywanymi w czasie seansów wrażeniami, które nie stawały się jej obojętne po obudzeniu się ze snu, jak to się zwykle dzieje.

Przeciwnie! Rozwój tych seansów przebiegał pomyślnie, przynosząc wręcz sensacyjne wyniki. Największym fenomenem było życie się medium z eksperymentami dokonywanymi na niej i świadome już z jej strony pożądanie fizjologiczne i całkowita gotowość do wzięcia na siebie konsekwencji mogącego się udać w stu procentach doświadczenia...

Na tej drodze mógł profesor liczyć, iż potrafi wyrwać choć jeden promień z niesłychanej tajemnicy otaczającej życie rodu ludzkiego.

Już to samo, że Blanka mogłaby doznać pełni wrażeń miłosnego uniesienia za sprawą zmaterializowanej istności Roberta, byłoby epokowym fenomenem. A cóż dopiero, gdyby taki fenomen mógł się dowolnie powtarzać i wywoływać fizjologiczne refleksy w organizmie Blanki... podnosząc w niej krążenie krwi, odświeżając tkanki, wpływając na formowanie się tych niewątpliwie dodatkowych zmian, jakie daje kobiecie dojrzałej pełne życie erotyczne.

Wszak otwierała się przed nim ta możliwość ostateczna, która napełniała go niesłychanym niepokojem. Blanka mogła zostać w tych warunkach matką za sprawą istności Roberta. Stałoby się to potwierdzeniem hipotezy, iż czynnik duchowy w pewnych momentach może dokonać wszelkich zadań, spełnianych przez żywą organiczną przyrodę, i zastąpić ją bez żadnych ograniczeń.

Nauka wtoczyłaby wówczas na tereny nadbytowe, dziś jeszcze oszołamiające mózg ludzki, nie nawykły do tak niesłychanych przeskoków od realnej przyziemnej rzeczywistości transcendentalnej.

Byłby to dzień narodzin nowej wiedzy, wprowadzającej ducha ludzkiego na szlaki pozaziemskiego bytowania. Myśl o takim podboju wytrącała profesora ze zwykłego spokoju. Olśniewający blask tej możliwości napełniał go niesamowitą gorączką.

Profesor czerpał wiarę z idealnej dyspozycji Blanki, jaką ona okazywała w licznych seansach, póki nie zaszły w niej zmiany

ujemne, których źródła domyślał się, lecz nie zdołał ich odkryć całkowicie i stwierdzić.

Wszak to ona, Blanka, naprowadziła go na myśl takiego właśnie eksperymentu sensacyjnego. Wszak to właśnie jej ekstazy dąza, z której zwierzyła mu się w pewnej chwili wynurzeń osobistych, rozbudziła w nim z kolei owo niesamowite, niemal obłądne pragnienie, by móc doprowadzić do owego fenomenalnego efektu - by matka stała się matką nie za sprawą ziemskiego mężczyzny, lecz czynnika transcedentalnego...

Odkąd ta myśl wyblśnieła w jego mózgu, życie jego stało się jednym pasmem gorączkowych rozważań i oczekiwań. Znajdował się na granicy najwyższego „wychylenia myślowego”, poza którą tuż tuż otwierały się przepaście obłądki. Wyczuwał to doskonale, lecz już nic nie mogło odwieść go z drogi, na którą wszedł.

Warto dać za to życie - upominał sam siebie w chwilach trwogi i napływu zimnej refleksji. - Żyjemy wszyscy przyziemną egzystencją... pędzimy utartymi szlakami... Człowiek jako istota jest przywiązany jak pies do tej skorupy ziemskiej, po której noszą go nogi... ani jednego zrywu wzwyż... bezpośrednio w regiony Niewiadomej a Wiekuistej Tajemnicy...

Ja będę tym - upomniał sam siebie - który nie złęknie się ani śmieszności, ani obłądki.

Były godziny, kiedy profesor szalał wewnątrz na myśl, że wymyka mu się z rąk sposobność, jaka może się zdarzyć raz jeden na przestrzeni wieków.

Całą duszą fanatyka zniechęcił to wszystko, co mu stawało na przeszkodzie. Budził się w nim rozplomieniony gniew inkwizytora, który był gotów palić na stosie tych, co nie rozumieli jego dążeń i chcieli mu je uniemożliwić. W takich chwilach stawał po stronie nieubłaganych sędziów średniowiecza, nie dziwiąc się im, że skazywali na śmierć ludzi sprzeciwiających się ich własnemu zbawieniu.

Ciało zginęło, lecz dusza będzie zbawiona!

Kiedy chwycił się na takich rozmyślaniach, nabierał wstrętu do samego siebie, lecz były to tylko chwilowe refleksje, w których

owładał nim na nowo fanatyzm, gotowy do łamania wszelkich przeszkód bez żadnych wzglądów i wahań.

Postanowił działać piorunująco szybko. Rozmowa z posterunkowym i panią Heleną naprowadziła go na ślad mężczyzny, który niewątpliwie odegrał główną rolę w ostatniej psychicznej fazie Blanki. Ów tajemniczy osobnik wywołał w niej przemiany, które groziły całkowitym zniszczeniem jego dotychczasowych i dalszych doświadczeń.

Co w nim takiego może być szczególnego - zadawał sam sobie pytanie - że Blanka uległa jego wpływom? Uroda, wysoki intelekt, dowcip czy specyficzny kamerton erotyczny?

Przebiegał myślą wszystkie możliwości.

Blanka - rozważał - była zbyt zaawansowana w fizjologicznym nastawieniu na dotychczasowych seansach, zbyt zżyła się z pewnymi istotnymi współczynnikami materializującej się istności Roberta, aby nagle mogła ulec zgoła odmiennym wpływom. Materializujące się cechy Roberta, jego rysy, oczy, usta, które ją całowały, dźwięk jego głosu - choć to wszystko było ze świata nadziemskiego, świetlne i zwiewne, było jednak istotne, stale podobne. Kobieta nie zdradza nigdy tak od niechcenia, ni stąd, ni zowąd swych skłonności i nabytych umiłowań, jeśli te były dość silne.

Zastanowił się głębiej.

Czyżby zbyt długo trwająca nieosiągalność pełnego oddania się i pochodzące stąd rozdrażnienie erotyczne mogły ją rzucić w ramiona pierwszego lepszego mężczyzny, który umiał skorzystać z chwili jej słabości?

Zachmurzył się. Przecież przysięgła mi, że nic takiego się nie stało, że nie oddała się nikomu. A więc po prostu skłamała? Nie, niemożliwe. Wszak nieraz mówiła mi, że to, co przeżywa w trakcie seansów, jest jakby akademią sztuki erotycznej, która przydałaby się zwykłym śmiertelnikom. Zna ją filozofia Hindusów, nie znają jej Europejczycy. Ta umiejętność, ta wiedza miłości, nauczyłaby ich doznawać najwyższych ekstaz i najcudniejszych finezji miłosnych, gdy na ogół w tej ziemskiej miłości zwykle przejawiają się tylko pospolite czynności fizjologiczne.

O, Blanka jest mądra, niezwykle mądra!

A więc, przy takim jej nastawieniu, jakże mogło dojść do tego, że zmieniła się tak bardzo?

Nagle nowa myśl, jak oślepiająca iskra, przeleciała przez jego mózg:

Idealne podobieństwo! Podobieństwo! Znalazła podobieństwo! Widocznie tak! Inaczej być nie może!

Ale... pełne podobieństwo do istności Roberta? Cóż by to był za niesłychany zbieg okoliczności!

Zerwał się na równe nogi. Podbiegł do telefonu. Nakręcił tarczę.

- Halo, czy pan Jacek? Tu profesor Gordon...

- Tak, ja, panie profesorze.

- Niech pan natychmiast przyjedzie do mnie. Bardzo przepraszam, lecz natychmiast.

- Czy zaszło coś nieoczekiwanego? Jestem niespokojny - powiedział Orwicz.

- Tak, coś niesłychanego. Niesłychanego. Wpadłem na myśl, która rozświetli nam wszystko. Trzeba to tylko sprawdzić. Pojadę razem z panem do pewnej osoby. Proszę natychmiast przybyć do mnie. Niech pan bierze samochód na mój koszt. Tym samym samochodem pojedziemy do naszego ekspropriatora!

- Nie rozumiem.

- Wszystko pan zrozumie na miejscu. Tylko, na Boga, spiesz się pan! Nasz ekspropriator może uciec, może się ukryć. Wezmę pana na świadka, żeby nie ulec halucynacji.

- Już jadę.

- Jeszcze jedno - gorączkował się profesor. - Czy pan dobrze pamięta zjawę Roberta? Twarz? Rysy? Oczy? Ruchy? Przecież go pan fotografował.

- Ależ idealnie - zapewnił go Jacek. - Jego podobizna przesładuje mnie dniem i nocą.

- Przez zazdrość! Przez zazdrość! - rzucił uszczypliwie Gordon. - Pan także podkochuje się w naszej Blance.

- Ależ profesorze!

- No, no, niech pan się nie broni. Trzeba by być kamieniem, aby pozostać niewrażliwym na jej piękno. Ja mam lat siedemdziesiąt, a chwilami w jej obecności wydaje mi się, że wiosna życia kręci się

koło mnie. No, żart żartem. Zatem pamięta pan doskonale zjawę Roberta? O to mi właśnie chodzi. Przyjrzyjmy się oko w oko naszemu niebezpiecznemu wrogowi, najniebezpieczniejszemu. Pan będzie razem ze mną „sprawdzianem rzeczywistości”. We dwóch nie ulegniemy przynajmniej halucynacji.

- Nic nie rozumiem!

- Samochód! Czekam na pana! - rzucił profesor rozkaz w słuchawkę, po czym zawiesił ją na widelkach, skontrolował mały aparat fotograficzny, założył nową błonę, zadzwonił na służącego i w chwilę potem oczekiwał już na dole na asystenta.

W kilka minut później zjawił się samochód. Profesor dał znak Jackowi, aby nie ruszał się z miejsca, sam zajął siedzenie obok niego, rzucając równocześnie zlecenie szoferowi. - Dyrektor Rosławski!

Kierowca spojrział na niego zdumiony.

- No, jedźmy, jedźmy! - wykrzykiwał profesor. - Willa na Sańskiej Kępie. Wskażę dom na miejscu.

Maszyna potoczyła się szybko. Za kilka minut stanęli przed pałacym Rosławskiego.

- Czy pan dyrektor w domu? - zapytał Jacek Jakuba, niechętnie otwierającego bramę.

- Po co się pan pyta? - przerwał mu żywo Gordon. - Przecież rozmawiałem przed chwilą z dyrektorem, czeka na nas.

Jakub otworzył szeroko usta.

- Pan dyrektor - oświadczył - zapowiedział mi, żeby nikogo nie wpuszczać prócz lekarza.

- No właśnie, właśnie, przyjeżdżam z moim asystentem.

- Tu przed chwilą był lekarz - bronił się Jakub. - To ja myślę, że...

- Tu nie ma nic do myślenia! - zawołał zniecierpliwiony profesor. - Jestem specjalistą! Jestem kolegą lekarza domowego. Kazał mi natychmiast przyjechać. Pan dyrektor jest bardzo osłabiony! Jeden lekarz nie pomoże.

- A, kiedy tak... - skapitulował Jakub i w ukłonach otworzył drzwi. - Proszę panów tędy prosto po schodach, potem na lewo. Służący wskaże na górze gabinet pana dyrektora.

Jacek struchlał. Bezceremonialność profesora zbiła go z tropu. Nie śmiał jednak protestować. W oczach Gordona dostrzegł błyski fanatyzmu, które go nieraz przerażały.

Za chwilę znaleźli się w zacisznym gabinecie Rosławskiego. Ciężkie adamaszkowe portierey i zasłony u okien, ogromne mahoniowe biurko, fotele kryte skórą, obita tłoczoną materią sofa - wszystko to profesor szybko zanalizował.

- Ja tu już chyba kiedyś byłem - rzekł do swego asystenta - albo mi się śniło...

Obaj przybysze usiedli w pobliżu okna. Uchyliły się drzwi. Do gabinetu wszedł służący. Zaciągnął zasłony w oknach, zapalił światło.

- Pan dyrektor już idzie.

Zniknął. Profesor usiadł naprzeciw drzwi z utkwionymi w nie oczami.

Drzwi lekko pchnięte otwarły się. W ich białych ramach ukazała się postać Rosławskiego.

- Patrz pan - rzekł profesor szeptem do Jacka - nasza zjawą z seansów...

Obaj mężczyźni skamienieli. Oślupiałym wzrokiem patrzyli na zbliżającego się do nich mężczyznę.

- Profesorze! - jęknął zduszonym głosem Jacek. - To on! To on!

- Tak jest - przytaknął Gordon. - To on!

Rosławski dostrzegł niesłychane zdumienie, jakie malowało się na twarzach obu mężczyzn, którzy dopiero teraz podnieśli się na przywitanie, kiedy dyrektor stanął przed nimi.

- Czym mogę panom służyć? - zapytał - i z kim mam przyjemność?

- Bardzo przepraszam - odparł Gordon - za to najście niespodziewane. Zapomniałem o zwykłej formie towarzyskiej. Ani biletów wizytowych nie posłałem, ani nazwiska nie podałem służącemu. Jestem profesor Gordon, a to mój asystent, pan Orwicz.

Rosławski pobladł. Sądził w gruncie rzeczy, że przyjechał do niego na konsylium lekarz, zaproszony przez doktora domowego.

Wprawdzie miało to nastąpić dopiero za dwie godziny, lecz pomyłka mogła się zdarzyć.

- Profesor Gordon - rzekł przeciągle, podając rękę jednemu i drugiemu - to pan?

- Tak, to ja - odparł profesor.

- Proszę spocząć - wytwornym gestem wskazał im krzesła. - Czemu mam zawdzięczać tę wizytę? Czym mogę służyć?

- My w celach naukowych - odparł Gordon. - Wybacz mi pan tę stenograficzną formę rozmowy, którą zwykle się posługuję, lecz nie lubię tracić czasu. Wszystko dla mnie jest w życiu tylko przedmiotem badania. Ot i teraz. Proszę, niech pan łaskawie obróci trochę twarz w lewo. O tak, doskonale. Ja tylko na moment proszę o cierpliwość. - To mówiąc, błyskawicznie nastawił aparat fotograficzny i zanim Rosławski spostrzegł się, już kilka zdjęć jego głowy znalazło się na błonie filmowej.

- Dziękuję - rzekł profesor - już mam tu pańską podobiznę. Jestem bardzo szczęśliwy. Poszło gładziej, niż przypuszczałem.

Rosławski, zaskoczony obecnością Gordona, nie wiedział po prostu, jaki obrać system obrony. Gniewać się nie wypadało. Miał przed sobą profesora, którego głowa tonęła w jasnosrebrnej grzywie włosów. Bił od jego postaci urok niepospolitości i wielkiej oryginalności.

- Po tym zdjęciu - oświadczył Gordon - za które bardzo a bardzo przepraszam... odbitkę pozwolę sobie przesłać panu. Przepraszam też za to niespodziewane najście, ale, panie dyrektorze, czy była droga wyboru? - mówił z rozbijającą szczerością. - Mam przed sobą w życiu cel, do którego zmierzam. Reszta mnie nic a nic nie obchodzi. Nie gniewa się pan na mnie, prawda? Bardzo twardo gadam, po prostu stenograficznie...

Dyrektor znieruchomiał. W uszach grały mu przestrogi nieznanym: „Fanatyk! Trzeba się go strzec! Niczemu nie wierzyć, co powie złego o Blance...”

Gordon gwałtownie wykladał swoje racje:

- Panie dyrektorze, wdarłem się tu do pana jak detektyw. Istotnie jestem detektywem nauki lub jak pan chce to nazwać... No,

więc jestem niewolnikiem szaleństwa naukowego. Musiałem zobaczyć pana na własne oczy i stwierdzić, czy myślę się, czy nie.

- I co pan ustalił? - zapytał Rosławski.

- Brak wszelkiej pomyłki - brzmiała odpowiedź uczonego. - Niesłychane! Wstrząsające podobieństwo!

- Wstrząsające! - jak echo powtórzył Orwicz.

Rosławski poruszył się w fotelu zniecierpliwiony.

- Czym mogę służyć? - zapytał ponownie.

- Zaraz wszystko wyjaśnię - perorował znowu Gordon. - Na razie zrobię panu propozycję, która może pana zdziwi, lecz która jest naturalnym wynikiem całego splotu okoliczności.

- Słucham.

- Proponuję panu braterstwo broni.

- Nie rozumiem...

- Braterstwo broni - powtórzył Gordon - w dziedzinie naukowej. Nie ma dla nas dwóch innego wyjścia, jak tylko braterstwo broni. To jedno może ocalić trud mojego życia. Pan musi mi pomóc w moich doświadczeniach...

- Jak to ja? W pańskich seansach spirytystycznych? - w głosie Rosławskiego zabrzmiała pogardliwa nuta.

- Niech i tak będzie - odezwał się profesor. - Nawet z tym dobrodziejstwem lekceważenia, które pan mi okazuje.

- Nie panu - bronił się dyrektor - lecz seansom.

- No tak, to rozumiem! Pan ma zbyt realistycznie nastawioną organizację duchową, aby móc bawić się w takie głupstwa.

Dyrektor z lekka uśmiechnął się.

- Do pewnego stopnia tak - dorzucił swobodnym tonem.

Opanował już nerwy i postanowił szybko zlikwidować tę nieprzyjemną dla niego rozmowę.

- Niech i tak będzie - rzekł profesor. - Zaczniemy z innej beczki. A więc to ja chcę stać się pańskim towarzyszem broni...

- W czym? - padło pytanie gospodarza.

- W pańskich opresjach policyjnych - rzucił obcesowo profesor.

Dyrektor zaprotestował ruchem ręki.

- Niech pan nie protestuje - nastawał coraz gwałtowniej uczonego.

- To nic nie pomoże. My obaj, pan i ja, jesteśmy wplątani w tę nie-
szczęsną aferę. Pan i ja byliśmy na moście Poniatowskiego w tę
cudaczną noc. Pan i ja moglibyśmy dużo powiedzieć władzom o
tym, co wiemy. Ale pan nie chce tego uczynić, a ja...

Rosławski znowu zaprotestował:

- Kategorycznie zabraniam panu mówić do mnie takim tonem i
to o tych właśnie sprawach. Nic pana nie upoważnia...

To mówiąc wstał, aby przerwać dalszą rozmowę.

Ale profesor nie dał się zbić z tropu. Przeciwnie - jeszcze lepiej
poprawił się w fotelu i jakby nic nie zaszło, dowodził dalej katego-
rycznym tonem:

- Owszem, wszystko mię upoważnia: przede wszystkim pańskie
dobro. Pan chce uniknąć kompromitacji, a ja gwizdzę na to. Pan
nie chce ściągnąć na siebie dochodzeń śledczych, a ja je ściągam,
będę ściągał, kpię sobie z tego... bo na mnie nie ciąży żaden zarzut,
a na panu ciąży - prowokował go ostrym, zaczepliwym tonem.

- Nie rozumiem pana - wtrącił Rosławski już mniej pewnie. -
Jak mam sobie tłumaczyć pańskie słowa? - Równocześnie zaś my-
ślał: Czyżby profesor wiedział coś więcej nad to, co mówił dotych-
czas?

Uczony przysunął się bliżej do niego ze swym fotelem, pochylił
się i natarczywie obskakiwał go pytaniami i twierdzeniami:

- Może pan dyrektor nie był na moście Poniatowskiego w ową
ulewną noc? Przecież pan nie zechce przeczyć! Ja wiem, pan nie
zaprzeczy! Może pan nie uciekł posterunkowemu, porwawszy
wpierw biały sweter i szmaragdową broszę Blanki? Pan zamilkł...
naturalnie... fakty oczywiście... realny człowiek nigdy im nie zaprze-
cza. Ja na przykład z miejsca zaprzeczyłbym... bo nie jestem reali-
stą życiowym i wiem, że... ale to do rzeczy nie należy. Aha! Przecież
to pan był w trupiarni i po raz drugi uciekł pan posterunkowemu,
zmieniwszy swój wygląd... aha... No cóż? Wiem wszystko...

Rosławski zbladł. Gordon w niewytłumaczony sposób posiadał
całą jego tajemnicę. Czyżby drogą medialną? Patrzył na swego
pogromcę skamieniałym wzrokiem.

Gordon uśmiechnął się zwycięsko. Szedł po dobrym śladzie. Zaryzykował twierdzenia i za jednym zamachem zdemaskował dyrektora.

Widząc jego całkowite zgnębienie, zapewniał go dalej namiętym tonem:

- Niech pan będzie spokojny. O tym wszystkim nikt więcej nie wie, prócz nas trzech. My dwaj dochowamy tajemnicy - chichotał - chyba że pana pali gorączka i sumienie każe panu przyznać się do tych głupstw. Ale pan tego mimo wszystko nie uczyni, aby nie skrzywdzić Blanki i nie rzucić jej nazwiska na pośmiewisko gawiedzi.

Rosławski skinął głową. Profesor - uradowany, że tak mu gładko poszło z wrogiem nr I, starał się uspokoić Rosławskiego:

- Policja także nic nie wie. Na pański ślad nie wpadną, tym bardziej że pan wyjeżdża na kurację. Doskonale pan się zakonspirował. Udało się panu. Mnie mniej. Mnie przychwycili i trzymają w łapach. Ale mi nic nie udowodnią. Mam wprawdzie ponad siedemdziesiąt lat, lecz co z tego? Ja mogę także zapomnieć się erotycznie i z damą serca zażywać przejażdżki po moście Poniatowskiego, a nawet przy księżycu w burzliwą sierpniową noc... hahaha! Panu na taką eskapadę nie pozwalają względy towarzyskie, społeczne i rodzinne. A przede wszystkim żona, no i dzieci... Ale ja pana nie zdradzę, ani mój asystent.

Ściskając dłoń Orwiczowi, dowodził z niegasnącą pasją:

- To dobry człowiek. Dałby sobie za mnie uciąć rękę. Panie Orwicz, czy pan podtrzymuje moje twierdzenie? Proszę oświadczyć.

Jacek wyrzucił jednym tchem zdanie:

- Dałbym sobie uciąć obie ręce!

- Słyszysz pan - triumfująco rzekł Gordon. - Ma pan w nas dwóch prawdziwych, szczerych sprzymierzeńców. Staniemy za panem jak mur. Pańska tajemnica jest naszą tajemnicą. Musimy pana bronić, tym bardziej że pod żadnym pozorem władze nie mogą dotrzeć do osoby Blanki! To wykluczone. Wszak panu zależy na tym tak samo jak nam, czy tak?

Dyrektor znowu skinął głową, nie mogąc zdobyć się na sformułowanie jakiego bądź zdania. Był całkiem zgnębiony. Musiał skapitulować. Zaprzeczenia nie prowadziły do niczego. Milcząco musiał uznać, że został zdemaskowany. Profesor miał go w swoich rękach.

- A teraz do rzeczy! - odezwał się uczoney. - Panie dyrektorze! Od Blanki pan wie jeśli nie wszystko, to w każdym razie niejedno. Już pan orientuje się cokolwiek, tym bardziej po naszej obecnej rozmowie. Pańskie prześmiewne wypowiedzi na temat seansów spirytystycznych utwierdziły mię w tym przekonaniu. Otóż pan... jakby to powiedzieć najogólniej, a równocześnie najdokładniej, otóż pan jest główną przyczyną mojej naukowej klęski...

Rosławski spojrzał na niego zaskoczony.

- A tak, tak właśnie - upewniał go profesor z rosnącym rozdrażnieniem w głosie. - Pan tę klęskę wywołał! Pojawił się pan na horyzoncie moich doświadczeń jak niszczący meteor. Teraz już wiem, że tak jest, i wiem nawet najdokładniej, dlaczego tak się stało...

- Słucham - wykrztusił Rosławski jedyne słowo, na jakie mógł się zdobyć.

- Na naszych seansach - brzmiała odpowiedź Gordona - ujawniała się istność zaziemska Roberta... z jakiejś innej planety. Materializował się wielokrotnie. Począł wywierać ogromny wpływ na duchową i fizjologiczną organizację Blanki. Robert brał ją w swoje wyłączne posiadanie.

Dyrektor drgnął. Rzucił zdumione spojrzenie na obu swych rozmówców.

- Po prostu Blanka - ciągnął dalej profesor - zakochała się bez pamięci w Robercie. Pan kpi z tego w głębi duszy. Czytam to w pańskich oczach. Nic nie szkodzi. Zmieni pan zdanie, gdy zapozna się pan z istotnym stanem rzeczy. Eksperyment, który chciałem przeprowadzić... i który chcę przeprowadzić mimo wszystko, jest może szalony przy założeniu czysto materialistycznego pojmowania zjawisk tak zwanych życiowych, lecz niemniej niesłychanie ciekawy i ważny pod względem naukowym, jako doświadczenie biologiczno-transcendentalne. Tak, tak, panie dyrektorze: biologiczno-transcendentalne.

Rosławski poruszył się niecierpliwie na fotelu. Chciał wtrącić swą uwagę, lecz Gordon nie dopuścił go do słowa.

- Nie będę panu tego tłumaczył dokładnie, bo mógłby pan wyjąć rewolwer i strzelić do mnie, jeśli pan jest zajęty choć trochę osobą Blanki... Urządziłem bowiem zamach... transcendentalny na... jej cnotę! To nie uchodzi w oczach realistów życiowych, prawda? Hahaha!

Zapadło milczenie.

Gordon rozbłyśniętymi oczami wpatrywał się w Rosławskiego. Lecz ten zamknął się w sobie. Twarz jego znieruchomiała. Opuścił powieki i nie odezwał się ani jednym słowem. Czuł, że wciągany jest dialog o niesamowitej treści... że nawet on, nie mówiąc o Blance, znajduje się w rękach szaleńca, który posiadał jego tajemnicę i mógłby go zniszczyć w opinii publicznej, gdyby on, dyrektor, poważał się w czymkolwiek pokrzyżować jego obłądne plany.

Gordon domyślił się, jakie myśli snują się w mózgu dyrektora, toteż postanowił wydobyć z niego stanowcze oświadczenie, czy można liczyć na niego i pod jakimi warunkami.

- Nasze doświadczenia naukowe - rozwijał w dalszym ciągu swe myśli - które jak już wspomniałem, rokowały jak najlepsze nadzieje, nagle stały się nieproduktywne. Blanka jako medium zaczęła zawodzić na całej linii. A sprawcą tego potwornego dla mnie nieszczęścia stał się pan...

Dyrektor wyczuł, że dalsze milczenie może sprowokować wybuch ze strony uczonego. Rzucił przeto krótkie pytanie:

- Dlaczego ja?

- Bo pan, przepraszam z góry za wyrażenie drastyczne, którego użyję... bo pan ukradł rysy Robertowi, naszej zjawie zaziemskiej... tak jest... im dłużej obserwuję pana, tym bardziej utwierdzam się w tym przekonaniu, że pan ukradł Robertowi rysy, oczy, usta, ruchy... po prostu jest pan żyjącym, przeraźliwie realnym jego sobowtórem...

- Hahaha! Duch i ja? - wybiegła sceptyczna uwaga z ust Rosławskiego. - Podobieństwo do ducha! Na czym pan to opiera? Mógłby pan równie dobrze powiedzieć, że wicher ma rysy i oczy

moje i że ja jestem do wichru podobny. Hahaha! Przecież podobieństwo takich dwóch odrębnych, przeciwstawnych zjawisk jest nieuchwytnie...

Gordon zachnął się niecierpliwie.

- Miałby pan słuszność - zaatakował go - gdyby nie to, że zjawia Roberta materializowała się coraz bardziej i że my jesteśmy w posiadaniu jego fotografii. Tak, panie dyrektorze, jego fotografii, które są łudzaco podobne do pana. Zrobiliśmy je na seansach w czasie jego materializacji. Można by przysiąc, że pan i on to bliźniacy... Chyba że pańska jaźń rozdwa się i ma zdolność pojawiania się na seansach wbrew swej woli, zresztą bez wszelkiej pańskiej świadomości.

Popatrzył na Orwicza, lecz ten wąpiąco pokiwał głową.

- Ale to ostatnie jest wykluczone - rzucił natychmiast - gdyż słowa Roberta i wszelkie jego wynurzenia świadczą o jego życiu transcendentalnym na innej planecie, w innym astronomicznym centrum, poza obrębem ziemskich lunet... a więc tylko przypadkowe podobieństwo... do diabła jednak... nie wolno mi tak mówić... przypadkowe... nic nie jest przypadkowe w tych wymiarach, w których obracają się moje doświadczenia naukowe. Zresztą pan sam się przekona osobiście, ile przejmującej prawdy kryje się w tym, co mówię, gdy weźmie pan udział w naszych seansach i pogada ze swoim sobowtórem z tamtego świata...

Gestem szerokim, nieokreślonym poparł swoje wywody.

- A więc profesor przypuszcza... - Rosłowski odważył się wdać w dyskusję.

- Nie tylko przypuszczam - podchwycił jego uwagę uczony - lecz twierdzę z najgłębszym przekonaniem, że kiedy Blanka spotkała pana... a stało się to widocznie całkiem niespodziewanie, doznała silnego wstrząsu psychicznego! Przecież spotkała żyjącą w realnym świecie zjawę zaziemską, która z najwyższym trudem materializowała się za pomocą moich promieni Mo, kiedy nagle pan... taki łudzaco podobny... Przecież pan dostrzegł nasze osłupienie na samym początku rozmowy... Taki podobny... Tak, Blanka musiała doznać niesłychanego wstrząsu psychicznego...

Dyrektor błyskawicznie uprzytomnił sobie pierwsze spotkanie

z Blanką i jej omdlenie, kiedy zwrócił się do niej z pierwszymi słowami. Tak! Profesor ma słuszność! On dopiero teraz rozumie, skąd się wzięło to szczególne zachowanie Blanki wobec niego, czego nie umiał sobie dotychczas wytłumaczyć.

Gordon zasypał go dalszymi uwagami, nie przebieając w słowach:

- Ja sam - wykrzykiwał - gdybym był kobietą i w takich okolicznościach jak Blanka spotkał pana, popełniłbym szaleństwo i nawet w moim wieku, przy moich z górą siedemdziesięciu latach, stałbym się pańską kochanką! Słyszysz pan? Kochanką bez wahania i na każde zawołanie!

Porwał jego obie dłonie i trzęsąc nimi, natarczywie wciskał w niego swoje podejrzenia, aby wydrzeć mu tę ostatnią tajemnicę, której jeszcze nie zdobył.

- No, bo przecież Blanka musiała stracić głowę dla pana! Musiała poddać się tej niesamowitej miłości, przetransportowanej z zaświatów na tę podłą skorupę ziemską! Musiała ulec panu! Musiała stać się pańską kochanką! Słyszysz pan? Pańską kochanką, wszak tak? Wyznaj pan całą prawdę!

Rosławski odepchnął gwałtownie profesora w tył, tak że Gordon padł na tylne oparcie fotela jak znokautowany przez boksera, tłukąc boleśnie łokieć o poręcz.

- Milcz pan! - krzyknął dyrektor w najwyższym rozdrażnieniu.

- Jak pan śmie obrażać ją w mojej obecności? Nie była nigdy moją kochanką! Nie posiadałem jej ciała! Ja nawet nie wiem, czy żywi dla mnie jakiegokolwiek uczucie!

Podniósł się, stanął przed uczonym rozdrażniony i omal nie rzucił się na jęczącego z bólu profesora, rozcierającego stłuczoną rękę.

- Bij pan! Bij pan! - zachęcał go Gordon z wyraźną radością w głosie. - Tylko powtórz jeszcze raz, że nie była twoją kochanką ta moja cudna, niezemska Blanka! Bij mnie! Pozwalam na wszystko, tylko przysięgnij mi, że nic was nie łączyło fizycznie! Zbij mię pan na kwaśne jabłko, bo ja po prostu płaczę ze szczęścia, że ona nie jest dla mnie stracona i że ten cud naukowy za jej sprawą może się jeszcze dokonać.

Rosławski patrzył na niego z rosnącym zdumieniem. Z oczu profesora płynęły prawdziwe łzy. Entuzjazm jego radości był tak przekonywający, iż udobruchał rozwścieżonego dyrektora, który powoli odprężył się i opanował rozdygotane nerwy.

- Pan jest wprost dzikim człowiekiem - odezwał się tonem rozbijającym - nieodpowiedzialnym fanatykiem!

- Mówiłem to panu na samym początku! Ja mogę zabić albo dać się zabić! Teraz dam się zabić za pana! Rozumie pan? Dam się zabić za pana! My obaj, bo i mój poczciwy asystent, damy się za pana zabić! Rzuciłbym się teraz panu na szyję, lecz wiem, że pan z największą przyjemnością zrzuciłby mnie ze schodów... ale mimo to kocham pana!

Rosławski zmęczony siadł za biurkiem. Po chwili rzekł przeciągłym głosem:

- Czego ostatecznie chce pan ode mnie?

Profesor wstał ożywiony, rozradowany, jakby miał lat trzydzieści. Przemierzył gabinet kilka razy tam i z powrotem, nieustannie powtarzając:

- Cudownie! Cudownie! Ocalona z paszczy wieloryba! Triumf nauki pobije wszelkie rekordy! Świat jest wspaniałe! Życie jest wspaniałe... no, nie to życie tych szympansów ludzkich, tylko istot takich jak my: jak pan, dyrektorze, jak mój asystent, jak ja... no i Blanka... przede wszystkim ona!

Stał przed Rosławskim i rzekł tonem kategorycznym, nieznośnym sprzeciwu:

- Pan jest bohaterem największego odkrycia, jakie kiedykolwiek zostało na świecie dokonane! Bo twierdzę, że będzie dokonane! To jest tak, jakby już było dokonane! A więc między nami zostaje zawarte przymierze broni, dobrze? Niech mi pan nie odmawia! Błagam...

Dyrektor, ujęty entuzjazmem profesora, wyciągnął do niego rękę:

- Nic jeszcze nie rozumiem - rzekł. - Niech jednak tak będzie, skoro tak bardzo zależy panu na tym i skoro to wszystko dzieje się w imię dobra nauki.

Profesor długo ścisnął jego dłoń.

- Wszystko pan zrozumie później! Wszystko! - zapewnił go. - Pan może odegrać rolę nadzwyczajną, rolę czynną w moich doświadczeniach. Nie wiem jeszcze, jaką i w jaki sposób da się to zrealizować, lecz to wyniknie jedno z drugiego! Może będzie pan tym magnesem, który... tym wabikiem, który... zjawę Roberta... pan jego idealny sobowtór... Już nic nie mówię... Jestem oszołomiony... Pan może nawet śmieje się w głębi duszy, ale ja panu mówię, że pan ujrzy cud... prawdziwy cud!!!

Zwrócił się do asystenta, przerażonego tą dramatyczną sceną, jaka rozegrała się między Rosławskim i Gordonem, i rzekł wesoło:

- Panie Jacku, idziemy! Przepraszamy drogiego dyrektora za ten dziki najazd. Odbitki fotografii prześlemy pocztą razem z podobizną zjawy Roberta. A teraz jeszcze raz dzięki za wszystko! Pozostaniemy w stałym kontakcie ze sobą. Chodzi o policję! Chodzi o Blankę! I chodzi o dalsze doświadczenia! Żegnamy drogiego dyrektora! Żegnamy po tysiąc razy!

Za chwilę obaj zniknęli z gabinetu.

Rosławski stał dłuższy czas nieruchomy. Próbował zdać sobie sprawę, czy śnił, czy też - przeżył prawdę. Przetarł dłonią rozpaloną głowę.

W każdym razie to człowiek genialny i równocześnie szalony. Mówi o cudzie i ja mam mu być pomocny w tym naukowym oszustwie! I mam służyć za przynętę dla Blanki! Czyli że ona jest z profesorem w kontakcie... czyli... nie, nie... to wszystko jest z innego wymiaru... Ja w tym wszystkim się duszę...

Próbował rozważyć na chłodno sytuację, w jakiej się znalazł.

A więc Blanka żyje! Ukryła się tylko przed jakimś wielkim niebezpieczeństwem... Tamto to była symulacja! Ale w jakim celu? Czyżby chciała uciec przed... profesorem? Bo moje podobieństwo do zjawy Roberta zniszczyło jego szalone doświadczenia i dlatego zaczęła ją terroryzować?

A gdyby tak wyrwać Blankę z rąk tego fanatyka i wrócić ją do normalnego życia? Oswobodzić ją z tych oparów i pozwoić jej żyć własnym, osobistym szczęściem?

Stanął na środku pokoju.

Dobrze, ale jakie to szczęście ma być? Czy ty chcesz dać jej to szczęście?

Chmurny oparł się o ramę okienną. Budziło się w nim pragnienie podjęcia walki. Sam nie umiałby określić, jakie właściwie żywi uczucia dla Blanki, wyczuwał jednak, że jej indywidualność nie przeszła przez jego życie bez śladu - przeciwnie, poruszyła w nim najgłębsze pokłady psychiczne, które dotychczas spały snem, zdawałoby się, wiecznym... Rozbudziła w nim wrażliwość na sprawy „z tamtej strony życia”...

Postanowił działać. Choć ostrożność życiowa, a zwłaszcza ostatnie wypadki powinny były całkowicie zniechęcić go do szukania niebezpiecznych przygód, nie mógł oprzeć się pokusie, aby za wszelką cenę pomówić z Blanką szczerze i otwarcie.

A jeśli ona czeka na jego pomocną rękę? A jeśli on jej nie rozumiał i tłumaczył opacznie jej sugestie, kiedy mówiła o swych omdleniach... o swej bezsilności w walce z przemożną potęgą... o swym prawie kobiety do szczęścia?

W głębi duszy postanowił stoczyć walkę z Gordonem o wolność Blanki. Dreszcz niepokoju przebiegł cały jego organizm. Czuł, że walka będzie ciężka i bardzo niebezpieczna. Będzie miał do czynienia z fanatykiem zdolnym do wszystkiego.

„Mogę zabić lub dać się zabić” - brzmiał mu w uszach refren bojowy profesora.

Chmura niepewności zaległa jego czoło. Otworzyła się przed nim perspektywa tragicznych konfliktów.

XIV. GŁÓD MIŁOŚCI

Major Jawicki zorganizował wycieczkę górską. Miano iść przez Zawrat, Dolinę Pięciu Stawów i Miedziane do Morskiego Oka, a jeśli pogoda dopisze i panie będą dość wytrwale - to przez Rysy do Szczyrbskiego Jeziora, dalej przez Liliowe do Rostoki, a stamtąd powrót do domu.

Jędrzej Starawy, który prowadził wycieczkę, był przewodnikiem doświadczonym i co najważniejsze - nie lubił lekceważyć tych pozornie małych niebezpieczeństw, na jakie turyści narażeni są w Tatrach na każdym kroku. Mawiał, że łatwiej zginąć na Zawracie niż na Łysicy, bo na Zawracie mieszczuch lekceważy sobie zło, które czyha na każdej perci, a na Łysicę idą ludzie przygotowani na wszystko i z dużą dozą ostrożności. Wbrew swoim krajanom był wrogiem alkoholu na wycieczce zwłaszcza w czasie marszu. Twierdził, że pod korkiem śpi w butelce licha, które w czasie drogi wyzwała się, jeśli mu dać upust za pomocą kieliszka. Wówczas wybiega truchcikiem naprzód, by zgotować nieszczęście.

Na postoju końcowym to niech tam człowiek pociągnie do poduszki i on sam nie jest od tego, bo Pan Jezus stworzył równie owce, jak i wódkę, byle tylko nie obrażać boskiej opatrności i wiedzieć, kiedy wolno pociągnąć, choćby setnie. Jak w porę i w miarę, to i członki się odprężą, i fantazja większa przyjdzie. A bez fantazji to ani rusz. Bez niej Tatry to kupa diabelskich kamieni, które Pan Jezus nie wiadomo po co strącił z nieba ku utrapieniu górali.

Tak prawil Jędrzej Starawy, a posłuch miał niemały, zwłaszcza u starszego pokolenia.

Na samym końcu węża, który piął się w górę, szła Blanka, za nią Helena i major.

Blanka przystawała co chwila, napawając się do syta gigantyczną

panoramą gór. Za sobą w dole zostawiła wszystkie koszmary życia. Tu wśród majestatu przyrody odzyskiwała pełną swobodę i niezależność. Każdy krok w górę to nowy powiew wiatru, nowe fale rześkiego powietrza, które zmywały z niej warstwę po warstwie wszystkie farby i pokosty, które życie położyło na jej psyche.

Przymknęła oczy. Tam w dole zostawiła daleko za sobą tyranie swojego życia. Czula wyraźnie, jak niewidzialne dłonie o długich, długich palcach ciągnęły w dół wszystkie jej włosy, naprężone jak struny... tam w tę bezprześczeń, roztaczającą się za nią setki, setki kilometrów. A ona zwycięsko opiera się władczyim dłoniom i posuwa się naprzód. Krok po kroku, sekunda po sekundzie uwalnia się od tego straszliwego uchwytu, staje się coraz bardziej niezależna. Od nikogo! Od niczyjej woli! Od niczyjej sugestii! Od żadnych imperatywów!

Ale rozwinięty krytycyzm natychmiast reagował:

To przewrażliwione nerwy... Bunt do niczego nie prowadzi... Za tą przyrodą, która cię kusí, unosi się w przestrzeniach Niewiadoma Wszechpotężna Moc...

Stała tak chwilę z zamkniętymi oczami, zasłuchana w szept swoich myśli. Kiedy otworzyła oczy, ujrzała wpatzonego w siebie majora. Oczy płonęły mu blaskiem uwielbienia.

- Zmęczona pani? - spytał troskliwie. - Może chce pani odpocząć?

- Przeciwnie, czuję się coraz lepiej. Ach, co to za rozkosz zostać za sobą to, co było, uciec choć na kilka godzin od własnej niewoli... Chcę zaznać tej bezpośredniej radości, jaką odczuwała Wenus, wynurzając się z kąpieli w promieniach wschodzącego Heliosa!

- Od własnej niewoli... - powtórzył major. - Ma pani słuszność. Każde z nas powinno uciec z niewoli własnej osobowości. Podeptać te wszystkie konwenanse, które często człowiek sam sobie stwarza przez fałszywy wstyd lub fałszywą ambicję.

- Czyli marsz więźniów bez kajdan! - zaśmiała się Blanka wesoło. - Tak, majorze! Dzwoniliśmy kajdanami aż do żlebu na Zawracie, a teraz kajdany precz. Precz! Niech wolni niewolnicy idą zdobywać szczęście!

- Hop hop! - rozległo się nawoływanie przewodnika. - A nie marudź tam w tyle, nocka szłapie za nami tuż tuż. Trza nam przedtem zejść do Pięciu Stawów, a nie po omacku obtańcowywać kamienie! Nie marudź!

Przypieszyli w milczeniu. Po dwudziestu może minutach znaleźli się wreszcie na przełęczy Zawratu.

Dwa światy rozścielały się przed nimi. Na północ potężna dolina Czarnego Stawu, po drugiej stronie, pod ich stopami, wspaniała dolina Pięciu Stawów, obramowana koroną wielkich szczytów i zasłana potopem ogromnych głazów, centkowanych czarnymi plamami, jakby tędy przeszły demony czarnej dżumy. A pośrodku błyszczą gigantyczne źrenice pięciu stawów, nieruchome, błyszczące tajemniczą poświatą...

Szedł od tych wód przejmujący chłód.

Blanka zachwyconym wzrokiem piła to groźne piękno. Umysłnie pozostała nieco w tyle. Całe towarzystwo schodziło już w dolinę, nad którą skrzydła nocy rozkładały już swe ciemne pióra, a ona jeszcze nie mogła rozstać się z majestatyczną potęgą górskiej krainy, która otwierała przed nią swą głębię pełną niewypowiedzianych tajemnic.

Skamienieć tu i zostać tak na wieki!

Uśmiechnęła się do tej myśli z dziecięcą radością. Podziwiałiby jej kamienne kształty turyści. Wichry szarpałyby jej włosy. Ulewy myłyby jej granitowe ciało, a pioruny błyskiem i ogniem wyciskałyby pocałunki na jej wargach, nabrzmiałych pragnieniem niesamowitej miłości...

- Hop! Hop! - dobiegło z oddali.

Z wolna, ociągając się, zaczęła zstępować w dół.

Nad doliną Pięciu Stawów noc rozpościerała swoje demoniczne panowanie, rozpalając jedną po drugiej gwiazdy.

Uciec! Choćby na kraj świata! Od wszystkiego! Od wszystkich, których zna, z których życiem zazębia się jej życie - odzyskać samą siebie, swą własną istotę, której jeszcze nie zna, choć tyle lat upłynęło od jej dzieciństwa.

Była tym bardziej przejęta tą niewypowiedzianą nostalgią za

ową nieznaną krainą wyzwolenia, iż zmęczenie psychiczne, jakie niosła ze sobą we wszystkich fibrach ciała, wołało o ratunek...

Z niechęcią spojrzała w dół, skąd do uszu jej dolatywały coraz bardziej natarcywe nawoływania. Niestety, musi zejść i znów złączyć się z ludźmi, od których chciałaby uciec.

Uśmiechnęła się z goryczą. Poczwała swą bezsilność i nierealność protestu, który wyrwał się z jej duszy.

Wszyscy żyją tak, jak muszą - upominał ją chłodny rozum. - I ty także nie wyrwiesz się z rąk swego przeznaczenia.

Zeszła w dół i przyłączyła się do reszty towarzystwa. Pozostał jej w ustach smak buntu, który nie wytlął się jeszcze, lecz wołał o za-dośćuczynienie... o kroplę zabronionego nektaru... o jeden błysk szaleństwa...

Podeszła do ogniska, które rozpalono przed schroniskiem. Dobroczyńne ciepło pozwoliło ogrzać kostniejące członki.

Major ubrał ją troskliwie w serdak, który niósł wytrwale od chwili wyruszenia. Śmiała się z niego serdecznie, gdy słońce paliło w południe, i później, kiedy jego czerwona tarcza spływała za szczyty, lecz teraz drżąca z zimna ukryła swe ciało w ciepłe okrycie, wdzięczna za ten dowód serdecznej troski.

- A więc znowu pan zwyciężył - rzekła. - Pański rozsądek stale zwycięża! Z żalem muszę przyznać, że wszystkie ludzkie fantazje sprowadzają się do jednego mianownika: trzeba umieć żyć prozaicznie...

- Ja bym to inaczej wyraził — odezwał się ciepłym głosem Jawicki. - Trzeba umieć nie sprzeciwiać się koniecznościom życia, chyba że ktoś chce być męczennikiem lub męczennicą, a w takim razie... chapeau bas! Choć daję pani słowo, że komu jak komu, lecz pani najmniej do twarzy z wyrazem męczennicy...

Pochylił się ku niej, szukając w jej oczach jakiegoś choćby najdrobniejszego śladu zachęty lub przynajmniej zezwolenia na zbliżenie bardziej poufale, bardziej łaskawe.

Rozpromieniał, bo dojrzał niespodziewanie ciemny błysk w jej źrenicach, który łączył się z rysunkiem rozchylonych warg w jeden pełny, wyzywający wyraz twarzy. Ogarnął go niepokój jak przed

nagle wybuchającą bitwą. Zdała mu się dziwnie bliska, dziwnie gotowa do wysłuchania najśmielszych słów...

Badając nieustannie grę jej twarzy, która błyskawicznie oddawała wszystkie wewnętrzne nastroje jej duszy, starał się utrzymać rozmowę w tonie jak najbardziej spokojnym. Bał się ją spłoszyć za pomocą mocniejszych akcentów i słów. Intuicyjnie wyczuwał, że Blanka była w nastroju pełnym niepokoju i rozdrażnienia, w jakim jej jeszcze nie widział. Mieniła się na twarzy - to bladła, to czerwieniała bez szczególnej przyczyny.

Niepokój erotyczny... zmysłowe podniecenie... - zanotował w swym mózgu spostrzeżenie sprawdzone niejednokrotnie w bliższym obcowaniu z kobietami. Te same objawy, które tyle razy...

Ale jeszcze nie dowierzał swemu znanstwu natury kobiecej. Bał się ryzykować. Czuł, że gra z taką kobietą jest niebezpieczna. Prawda, że kobiety padały mu nieraz w ramiona w chwilach, kiedy spodziewał się, że jest dopiero w połowie drogi, lecz tu miał się na baczności. Blanka mogła go nawet umyślnie prowokować do zaczepki, aby potem brutalnie osadzić na miejscu i wyśmiać jego zbyt śmiały atak. Wolał czekać.

- Tak, tak - powtarzał - pani nie do twarzy z wyrazem męczennicy na ustach. Przeciwnie! W pani jest dużo buntu, nie tego zdawkowego, lecz głębokiego, płynącego z niedostępnych, najgłębszych pokładów duszy. Brawura na tę skalę, jaką zwykle obserwujemy u kobiet, to taka sobie mniejsza lub większa swoboda obyczajowa, mniej lub więcej powabna... ekscentryczność w szukaniu przygód miłosnych... lecz w pani... drzemie sfinks zmysłów i sfinks uczuć na miarę najwyższą...

Blanka spojrzała na niego z ukosa. W kątach jej ust zadrgał tajemniczy uśmiech Mony Lisy, który nabrał po chwili cech ironii.

- Nie! Nie! - protestował major. - Niech pani nie uśmiecha się tak sarkastycznie. Niech pani nie usiłuje wmówić we mnie, że właśnie pani ma dość tych swoich wyżyn i gotowa pani zejść na doliny i hołdować owej pospolitej, a powabnej ekscentryczności erotycznej...

- A jeśli tak właśnie jest, mój Katonie?

Jawicki zaśmiał się uradowany, że pęka zimna ściana, która

dzieliła go od niej jak nieprzebyta przeszkoda. Postanowił w duchu, że będzie bardzo ostrożny z tak drapieżną indywidualnością, jaką jest Blanka, lecz będzie dalej próbował szczęścia. Pchnął w tym celu rozmowę na lekkie fale nieobowiązującego flirtu. Podniecać ją! Podniecać! - szeptał mu głód erotyczny. - Burzyć tę twierdzę wyniosłości, w której się zamknęła! Raz jeden, może jedyna nadarza się sposobność, że bogini spłynie ze swych obłoków i zapomni się z tobą. Przeszedł go dreszcz na samą myśl o tym.

- W pani drzemie tysiąc szaleństw, lecz na wielką miarę - powiedział. - Dla mnie jest pani wspaniałą antyczną westalką, która może dać się porwać jak Europa Zeusowi, jeśli tak będzie chciała, jeśli to będzie jej boski kaprys, lecz wszelką inną przyziemną swobodę i pospolitość otrząsa ze swych sandałów jak pył.

Przymknęła powieki, słuchając tych słów jak melodii kłamliwej, lecz dojmującej, bo nasyconej tonacjami przejmującymi całe jestestwo kobiety, zwłaszcza jeśli w niej równocześnie dokonywa się rewolta, burząca wszelkie zasady i nakazy.

- Odkąd pan tak mię zna? - spytała, uśmiechając się znowu zagadkowo, lecz tym razem pobłażliwie i zachęcająco.

Pragnęła tego kłamstwa (jeśli jest ono nawet kłamstwem), aby upić się słowami, które mają smak żaru. Zbudził się w niej głód upojenia, któremu dotychczas nigdy się nie poddawała. Przyjmowała zawsze hołdy, lecz ich nie prowokowała. Ale teraz zapragnęła dać się ukołysać słowami uwielbienia. Nie chciała myśleć o tym, co może nastąpić, byle żar buntu, który w jej krwi płonął, moc zagasić czarem słów jak kroplami ciepłego deszczu. Ach, móc się zapomnieć! - przeszył ją od stóp do głów prąd tysięcznych iskier.

- Odkąd pan tak mię zna? - powtórzyła słowa z naciskiem, patrząc przed siebie w czarną otchłań nocy, skąd szedł ku niej krzyk niewidzialnych potęg bytu.

- Niestety, ja pani nie znam. Nie śmiem znać. Wiem to jedno, że życie moje nie zna spokoju, odkąd panią po raz pierwszy ujrzałem i odkąd o pani zacząłem śnić...

Blanka pochyliła się ku niemu i patrząc mu w oczy, w których tańczyły migotliwe refleksy ogniska, rzuciła pytanie:

- A więc pan śnił o mnie? I co więcej, może także kochał?

Nakazał sobie znowu powściągliwość.

- Nie wiem - rzekł - czy stan, który przeżywałem, można nazwać miłością w zwykłym tego słowa znaczeniu. Kochać kobietę w pospolitych wyobrażeniach równa się temu, iż pieści się ją w snach, całuje się włosy... czoło... wargi... kolana... stopy - wymykało się z jego ust słowo po słowie „ostrożnie, zdradziecko. - A tymczasem to, czego ja doznawałem w tym moim szczególnym kochaniu, było wręcz odmienne. Dla mnie była pani jakby żywym, ale nierzezywistym posągami bogini, i nie przychodziły mi nigdy do głowy wyobrażenia bezpośredniości... owego zbliżenia zmysłowego dwóch istot do siebie... Czasem tylko - zaryzykował - moje kochanie grało na horyzontach swych pragnień błyskami dalekich... bardzo dalekich piorunów, jak w noc upalną, burzliwą.

- Pan poeta! - odezwała się głosem nabrzmiałym od ciepła. - Pan dojrzał na polach bitew... erotycznych...

Westchnął lekko.

- W stosunku do pani - odparł zniżonym tonem - jestem zawsze poetą, jeśli pod poezją będziemy rozumieli intuicję, która pozwala dostrzec wartości i skarby, jakie uchodzą oczom zwykłych zjadaczy... miłości.

- To pięknie powiedziane. A ja myślałam, że pan mię uważa albo za zwariowaną intelektualistkę, albo za zwykłą awanturnicę, może bardzo ponętą, lecz awanturnicę.

- Czy dałem pani to odczuć w czymkolwiek?

- Pan nie - odparła żywo - lecz zwykle tak sądzą o mnie mężczyźni, no i... kobiety, te zwłaszcza. Wobec tego nie robię wyjątków, bo to okazałoby się niepraktycznym i bardzo zawodnym sportem.

- Pani wie sama najlepiej, jaki ma nieodparty urok i jakie wywiera wrażenie.

- Wrażenie! Zapewne, że tym i owym podobam się, lecz ostateczny bilans dla mnie jest bardzo ujemny. Sprawiam zawód... rozumie pan? Zawód tym, którzy czegoś spodziewają się, i tym, którzy jak pan tylko tęsknią. W sumie staję się podejrzana i bardzo niebezpieczna. Pan jest, jak widzę, wyjątkiem, poetą w mundurze.

Major, nic nie mówiąc, rzucił pęk suchej kosodrzewiny do ognia. Snop czerwonozłotych iskier buchnął ku czarnoszafirowemu stropowi nocy.

- Dodam - dorzuciła po chwili z uśmiechem - jest pan poetą niepoprawnym.

- Zgadła pani, niepoprawnym - odezwał się poufnym tonem, rozglądając się ostrożnie, czy ich kto nie podsłuchuje - do tego stopnia niepoprawnym, że piszę nawet pamiętnik poświęcony pani.

- Majorze! A to niespodzianka! A jak pan mię nazywa w swoim pamiętniku?

- Panią z gwiazd.

Blanka z lekka zadrżała.

- A więc istotą nierealną!

- Czy gwiazdy są nierealne?

- Niech i tak będzie. Lecz w takim razie wszystko, co taką kobietę może wiązać z życiem, jest także z gwiazd, czyli tu na ziemi jest nie do zrealizowania.

Jawicki uśmiechnął się podstępnie.

- Owszem, do zrealizowania, tylko w innym wymiarze.

- W innym wymiarze? - Czują, że do twarzy napływają jej - gorące fale krwi, że przepelnia ją całą dziwny fluid niepokoju, taki sam, jaki nawiedzał ją w czasie ostatnich seansów, kiedy to zjawa Roberta była bliska całkowitego zmaterializowania się, a ona bezwiednie wyciągała ku niemu ręce płonące pragnieniem pieśczoły. Major pochylił się ku niej ruchem przyczajonego rysia.

- Tak - powtórzył głosem nabrzmiałym tęsknotą - w innym wymiarze. Bo pani jest istotą z gwiazd, ową antyczną westalką, która, jeśliby miała nagrodzić kogoś miłością, musiałaby znaleźć w sobie poryw niezwykły, przedziwny, jakąś porywającą melodię! Tak o pani marzyłem...

Po jej kuszących wargach prześliznął się zagadkowy uśmiech.

- Ale to nie przeszkadzało panu kochać innych kobiet, prawda?

- A tak! To jedno drugiemu nie przeszkadzało - odparł z pewną

dozą sarkazmu. - Człowiek jest półdziką naturą i półduchem. Półzwierzę spełnia swoje czynności, półduch swoje. Taniec na linie akrobatycznej nad przepaścią trywialności i wzniosłości.

- I co dalej? - rzuciła pytanie prawie szeptem. Chłonęła jego wyznania z niecierpliwą ciekawością.

- Od owego epizodu wojennego utkwiała mi pani w duszy jak cudowny cierń, którego nie mogłem się pozbyć. Próbowałem wyrwać go z serca zębami innych kobiet, lecz to się nie udawało. Dźwięk pani imienia szedł za mną wszędzie. Stała się pani tematem mojego drugiego życia, które było tajemnicą dla wszystkich. Tak! Kochały mnie inne kobiety i ja je kochałem w tym moim zwykłym, codziennym życiu. Ale w tym drugim życiu, zamkniętym na sto spustów, obcowalem sam jeden, drżący, pokorny, z moim ideałem. A teraz ideał siedzi ze mną przy ognisku w Dolinie Pięciu Stawów w zimną, krystalicznie czystą noc i ja spowiadam się i nie wierzę mym oczom, że to szczęście jest tak blisko... Wszyscy śpią już w schronisku, a ja przy mojej bogini marzę i tęsknię...

Obiema dłońmi objęła twarz i przeciągłym ruchem musnęła swe policzki, płonące podwójną czerwienią: krwi napływającej z serca i krwi buchającej z ogniska. Ważyła długo słowa, zanim je rzuciła w pustkę, która czarnymi aksamitami nocy osnuła ich postacie.

- A wie pan - odezwała się wreszcie stłumionym głosem - że nieraz było mi bardzo źle w duszy? Moje alabastrowe myśli, które mi wszyscy przypisują, miały często smak odurzającej trucizny, za którą trop w trop szło pragnienie, aby przerwać tę grę i odejść na zawsze... na zawsze...

Spojrzał w jej oczy przenikliwie.

- Aż tak pani cierpiała?

Odparła oschłym tonem:

- Niech pan zapamięta sobie, że panowanie na wyżynie gwiazd za drogo kosztuje!

- A ja sądziłem - mówił gorączkowo - patrząc na to cudowne ciało pani, na te usta dojrzałe jak słodkie winogrona, na te otchłanie wyglądające z pani oczu, że pani wypila już do dna kielich radości i miłości, straciła wszystko i teraz snuje się po ziemi ze swą boską melancholią.

- Przecież pan mówił sam - zaśmiała się - że takie istoty jak ja, takie jak ja nierealne westalki nie są w stanie kochać.

- To trzeba inaczej wyrazić - zaprotestował Jawicki. - Trzeba powiedzieć, że nie są w stanie rozmieniać się jak chleb powszedni, lecz mogą spotkać na swej drodze wielką miłość, która ma owe głębie i owe tony z gwiazd. I ja właśnie sądziłem, że taką wielką miłość pani spotkała na swej drodze, że jest pani nią syta i że pani już od niej odeszła, a teraz na nowo tęskni i... ucieka.

- Tak - westchnęła - pan ina dobrą intuicję. Tego, co dzieje się obecnie ze mną, nie moina nazwać inaczej jak tylko ucieczką... Ucieczka przed samą sobą, aby nie stać się łupem niesamowitej miłości, takiej szczególnej i dziwnej, o jakiej nikt z ludzi nie ma pojęcia - i przed tą inną, drugą, która zaczęła mi się narzucać z nieprzewartą siłą, a mogła stać się tak pospolita, tak trywialna, jak te wasze miłostki na co dzień. Tak jest... uciekam dlatego od tej męki mojej... choćby na kraj świata... ale to jest moc, którą przeklinam i którą uwielbiam. Czuję jej siłę nawet tu, w tej chwili.

Major poruszył się niespokojnie. Dostrzegł w jej oczach błyski przerażenia.

- Na Boga! Niech pan nie odchodzi, bo ja tu oszaleję.

Głos jej drżał. W oczach zaślniły łzy i spłynęły powoli po rozognionych policzkach.

- Męka! Męka! - wydarł się okrzyk z jej piersi.

Jawicki ujął jej drżące dłonie w swoje ręce i delikatnie je głaskał. Rozumiał, że teraz każde słowo z jego ust będzie zbytne, puste, zdawkowe.

Blanka oparła się o jego ramię, jakby upatrywała w nim obrony.

- Jestem - zaczęła mówić po chwili - jak każda kobieta stworzona do miłości. Wyciągam do niej ramiona na jawie i we śnie. Do tej miłości wielkiej, którą pragnę spotkać na mojej drodze. Szłam dotychczas dumna, nieustępliwa, mściwa wobec siebie i jeszcze bardziej wobec tych mężczyzn, którzy mogliby zbliżyć się do mnie. Stawiałam sobie i im wymagania, które miały stworzyć przynajmniej iluzję, że będzie to coś na nieprzeciętną miarę, coś z boskiego zachwyty. I tak doszłam do szaleńczych eksperymentów, które dawały mi złudę, że wspinam się na szczyty nadbytowe, w regiony

niedostępne zwykłym śmiertelnikom. Ale ta gra z niewiadomym stała się wampirem mego życia... wampirem.

- Spotkałam ostatnio mężczyznę - ciągnęła po chwili - który mógłby w zwykłych warunkach stać się dla mnie jedynym, który by mógł wziąć całą moją miłość niepodzielną, żarliwą. Ale ten właśnie przeraził mię, bo był uosobieniem żywym zjawy zaświatowej, tej zjawy, która wypijała moją krew gorącą i moje tęsknoty. Ach, męka! Męka!

Urwała nagle.

- Pan... pewnie śmieje się ze mnie?

- Przeciwnie, pani Blanko - zaprzeczył. - Słucham pani słów jak cudownej bajki, niech pani mówi dalej. Ma pani we mnie słuchacza wzruszonego i porwanego, niech pani mówi...

Odchyliła w tył głowę, wstrząsnęła grzywą błyszczących włosów i mówiła dalej:

- Spotkałam tego jedynego mężczyznę, który mógł stać się moim ideałem. Ale przeraziłam się tej rzeczywistości, która wlokła się za jego postacią. On ukradł rysy mojej zjawie. On jest wstrząsającym sobowtórem mojej płomiennej wizji, która materializowała się coraz bardziej na seansach i właśnie dlatego przeraziłam się. On jeden mógł mię porwać całkowicie i opanować doszczętnie, lecz moja duma nie mogła na to pozwolić. Nie! Nie! Ja, wieczna buntownica niewolnicą pana w monoklu? Pana żonatego? Pana z przeszłością, z tą całą pospolitością, która wlokła się za nim? Dlatego uciekłam. Tak, po prostu uciekłam. Nie chciałam rozmieniać mego ciała na chleb powszedni, a przy nim tak by być musiało. Miłość wielka i ta powszedniość! Za żadne skarby świata nie! Raczej wszystko inne, choćby pospolite szaleństwo, byle jak najdalej od tej męki nerwów, od tego spalania się w bezsenne noce, od tej upiornej miłości, która szła za mną, wlokła mię za włosy i rozpalonymi różgami siniła moją skórę.

Z jękiem pochyliła się gwałtownie w tył tak, że zaczęła słańać się w upadku. Jawicki porwał ją mocno w ramiona i długo przytrzymał. Pochwyciła wyraz jego oczu. Dostrzegła i zanotowała w

mózgu: I on, ten wielbiciel czysty, stuprocentowy - łąknął jej ciała.

Zaszumiała w jej skroniach krew. Nie miała siły, by uwolnić się z jego ramion. Demon ryzyka kazał jej wyzywać to niewiadome, które dotychczas stale odtrącała.

Czy on się odważy? Jak się odważy? Do jakiego stopnia?

Była wściekła na siebie, lecz nie chciała nic cofnąć z tego, co było wyzwaniem i ryzykiem z jej strony. Przekorna ciekawość wiekustej Ewy pracowała w niej nieustannie i rozpaliała jej zmysły. Słyszała bicie własnego serca.

Byli sami. Ognisko dogasało, kusząc wszystkie moce tajemne, aby sięgały po swą własność.

Zła myśl podsuwała jej najostrzejsze porównania:

Dwie apokaliptyczne bestie - ironizowała w duchu - on i ja!

Bestie utemperowane przez cywilizację! Hahaha! On czyha, a ja czekam! Hahaha! Taniec szatanów, demonów, które zbudziły się i krzyczą o żer! Hahaha!

Jawicki ujął ją silnie za rękę i przyciągnął ku sobie.

Owoc dojrzał - błyskawica myśli przeszła jego mózg.

Blanka opierała się z całej mocy, łąknąc równocześnie, aby jego siła była stokrotnie większa od jej sprzeciwu. Drwiła w duszy sama z siebie, że broni się, a pragnie. Chwytała się na tej autoanalizie z szyderczym zadowoleniem.

Spojrzała mu w oczy wzrokiem kpiącym, a przy tym kuszącym. Jego chwyt potęgował się z sekundy na sekundę. Była coraz bardziej bliska jego ust, których płomień zdawał się przeskakiwać na jej wargi i parzył je, choć dzieliła ich jeszcze jak włos cienka warstwa czerwonej nocy.

Jeszcze jeden zryw oporu, lecz słabnący coraz bardziej. Jeszcze jedno spojrzenie zabójcze a drażniące i już nie była zdolna do żadnej obrony. Opuściły ją wszystkie siły. Słodka niemoc ogarnęła jej ciało. Aparat mózgowy przestał pracować i analizować.

Uśmiechnęła się bezwolnie, łaskawie.

- Blanko! - zabrzmiał cichy okrzyk w jego gardle. - O tej chwili marzyłem od lat! Bądź moja! To ja jestem ten, który widział w tobie

panią z gwiazd i który chce poznać, jak się ta miłość z gwiazd przepięta w rozkosz!

Ustami szukał jej ust. Wessał się w jej wargi rozpalonym pocałunkiem, długim jak wieczność. Omdlewała w jego ramionach. Za ten jeden jego pocałunek oddała mu milion w swym jednym ekstazyjącym pocałunku, który rwał się i przypadał na powrót do źródła pożądania.

Popadła w stan półomdlenia.

W urywkach sekund usta jej szeptały nieprzytomnie zaklęcia niezrozumiałe dla majora:

- A więc jesteś przy mnie! Jesteś! Ty, na którego czekam, zawsze z utęsknieniem przez tyle godzin... ty nieobecny a obecny... ty nieistotny a prawdziwy...

Ja czy nie ja? - zadawał sobie major pytania w błyskawicznych skrótach. - Majaczy czy fantazjuje? Wszystko jedno! Jest moja!!!

Zamknął szept jej ust natarczywymi pocałunkami, które sięgały od warg do oczu, do szyi i włosów. Rozchylił serdak opinający jej kształty, wpił się w jej ramiona i piersi.

Sprężyła się w sobie. Gwałtowny okrzyk wydarł się z jej wstrząśniętej do głębi istoty:

- Nareszcie jesteś! Jesteś! Niepodzielny! Dotykalny, ty mój!

Objęła go uściskiem nadludzkim i z jękiem radości zawisła na jego rękach.

Major podniósł ją ostrożnie, jak duże dziecko, wzrokiem wpił się w otchłań nocy, szukając drogi dla swej zdobyczy - kędy mógłby ją ponieść i osiąść.

Zrobił ostrożnie jeden krok i drugi, bacząc, by nie potknąć się na głazach, rozrzuconych piorunami żywiołów. Niósł ją jak demon.

Zadrzał. Noga zsunęła mu się niespodziewanie po oślizłym od rosy kamieniu. Zachybotał się, podrzucił Blankę mimo woli, lecz zdołał utrzymać równowagę.

- Do stu diabłów - zaklął - byłbym runął.

Blanka, zbudzona tym wstrząsem i przekleństwem, popatrzyła na niego półbłędym wzrokiem. Błysk przytomności jeden i drugi przeszył jej mózg. W ostatnim refleksie ogniska dostrzegła jego twarz,

pochyloną nad nią. Wyczuła, że niesiona jest jak własność, jak zdobycz.

Apokaliptyczna bestia ludzka! - zaśmiała się w niej jadowita świadomość.

Otrzeźwiała. Błyskawicznym ruchem, ostrożnym, jakby chciała jeszcze bardziej do niego się przytulić, wyjęła z ukrytej kieszonki mały rewolwer, który zawsze nosiła przy sobie.

- Niech mnie pan postawi - szepnęła podstępnie - inaczej upadniemy oboje.

Nie miał wyboru.

Ledwie dotknęła nogami kamiennego gruntu, odskoczyła pół kroku w tył, wymierzyła w niego broń i krzyknęła stłumionym głosem:

- Niech się pan cofnie lub strzelam!

- Co się stało? - spytał zaskoczony.

- Dwie apokaliptyczne bestie - zadrwiła - miały się ku sobie, lecz nic z tego! Niech się pan natychmiast cofnie!

Uderzyła mu krew do głowy. Kpił w głębi duszy z jej pukawki. Wiedział, że Blanka może ważyć się na wszystko, lecz zdobyczy nie myślał wypuścić. Wszak i takie momenty przeżywał już w życiu. Nabita broń groziła, a on mimo to sięgał po zdobycz i brał ją w posiadanie.

Blanka zaczęła z wolna cofać się z rewolwerem skierowanym w jego głowę. Zaskoczony major bezwiednie posuwał się za nią krok w krok. Burzył się, lecz nie mógł powziąć żadnej decyzji. Ona przejęła inicjatywę i ona narzuciła dalszy rozwój wypadków.

Byli coraz dalej od schroniska. Każdy krok Blanki go przerażał. Każdy krok mógł przynieść nieszczęście. Mogła potknąć się. Broń wypali, kula trafi jego lub ją...

- Na Boga - błagał - niech pani nie naraża życia! Niech się pani zatrzyma! Przecież nie użyję przemocy! Sądziłem, że pani...

Właśnie dlatego, że mógł tak sądzić - upominała sama siebie w duszy - właśnie dlatego muszę uciekać! Jak najdalej od siebie... i od niego!

Jeszcze w jej żyłach grały płomienie krwi, rozpalone pocałunkami.

Jeszcze jej ciało drżało od wstrząsów nerwowych. Jeszcze jej piersi dyszały porywami rozbudzonej żądz.

To nie on! - upominała sama siebie. Jakże inny! Jakże mało subtelny i wnikliwy!

Okrutna zimna przytomność kazała jej uciekać od tego mężczyzny, który trafił na chwilę jej załamania i słabości psychicznej.

Szła coraz dalej w głąb doliny, w bladym, nikłym świetle gwiazd, potykając się co chwila.

Oglądała się za siebie. Za nią sunął czarny cień - jej pogromca!

Bóg czy szatan jest ze mną? - powtarzały jej wargi dygoczące.

A jednak uciekała dalej. Instynkt szeptał jej brutalną prawdę i właśnie tej prawdy nie chciała dopuścić do siebie, nie chciała się jej poddać. Gdyby jeszcze raz znalazł się major tuż przy niej, nie miałaby już siły, żeby mu się oprzeć!

Równocześnie pracowała w niej inna potęga, wyższa, która posiadała jej psyche wyłącznie dla siebie i wyłącznie dla siebie chciała zachować jej całą istotę materialną i duchową. Ta niesamowita potęga wżarła się w jej fibry, pilnując wszystkich jej odruchów i czynów.

W krótkich chwilach, które przeżyła w ramionach majora, zdobyła porównanie między tą przedziwną słodyczą i harmonią wzruszeń, których doznawała na seansach ze zjawą Roberta, i tych bezpośrednich wzruszeń, którymi zaczęły ją nasycać usta Jawickiego.

Ciało krzychało w niej o pełne zadośćuczynienie zmysłów lecz w jej wnętrzu zbudziła się na nowo tęsknota paląca do tej przedziwnej symfonii wzruszeń zmysłowych i psychicznych, których rozkosz piła wszystkimi fibrami swej istoty w czasie niesamowitych seansów ze zjawą Roberta.

A więc on żyje we mnie - świadomość wyblysnęła w niej świetlistą, niemal widzialną w mózgu smugą.

Zadrzała z niepomiernej radości i równocześnie z lęku. Tam w dali włókł się za nią cień mężczyzny, który polował na chwilę jej słabości. Bała się jeszcze siebie, bała się tym bardziej jego. Postanowiła przerwać wszelką łączność między nim a sobą i jakąkolwiek możliwość zbliżenia.

Czuła, że tylko fizyczny gwałt mógł położyć kres tym wahaniom. Podniosła broń. Musi go sterroryzować!

Podniosła do góry broń. Strzeliła raz i drugi. Zamieniła się cała w słuch. Po chwili wróciło echo jedno i drugie, dziesiąte i setne, jakby w całej dolinie zagrały strzelby demonów

Wyteżyła wzrok. Cień ludzki przepadł.

Znużona uklęka pod olbrzymim głazem, który stanął w poprzek jej drogi. Z dala dochodziło słabe, coraz bardziej słabnące nawoływanie majora:

- Blanko! Blanko!

Jeszcze trzy kule w lufie - pomyślała z okrutną zjadliwością.

- Blanko! Blanko! - zaklinał ją Jawicki, który zgubił jej ślad i coraz bardziej oddalał się od niej. - Przysięgam, że ciebie nie dotknę, tylko odezwij się! Odezwij!

Z wolna wszystko ucichło.

W skroniach przyspieszonym tętnem pulsowała jej krew. Była sama w bezmiernym obszarze przyrody. Sama! Z nią tylko ta przemoc wewnętrzna, która trzymała jej serce i zmysły na uwięzi i mózg przepęniała krzykiem radosnego buntu przeciw całemu światu, przeciw wszystkim ustalonym kanonom i przeciw tej materialistycznej prawdzie, obowiązującej w życiu, która przeczy, jakoby istniała inna rzeczywistość prócz tej wymierzonej praktyką wegetacji ludzkiej i doświadczeniami oficjalnej nauki!

A jednak istnieje ta druga rzeczywistość! - powiedziała sama do siebie. - Wyższa! Piękniejsza!

Zamknęła oczy. Zapłakała z radości, iż przewyciężyła sama siebie i nie dała wziąć się jak łup należy brutalnej zmysłowości. Że ocaliła to piękno i te skrzydła alabastrowe, które przyprawiła jej fanatyczna idea profesora Gordona!

Nienawidziła uczonego, a jednocześnie uwielbiała! W chwili rozdrażnienia mogłaby wymierzyć w niego rewolwer i posłać mu trzy kule pozostałe w magazynku, lecz równocześnie padłaby mu do stóp korna i cicha.

XV. WIEKUISTA ZAGADKA

W przedziale dla niepalących siedział profesor Gordon i jego asystent Orwicz. Byli sami.

Przeglądali pilnie zapiski z ostatnich seansów z Blanką, ponieważ profesor nagle przypomniał sobie pewien ważny szczegół, który obecnie mógł odegrać decydującą rolę, w dalszych doświadczeniach.

- Czy pan pamięta - mówił do Orwicza - że w czasie ostatniego seansu z Blanką duch, który zapowiadał zwykle przybycie Roberta, nasz gadatliwy Tobiasz, najwyraźniej dał nam do zrozumienia, że Robert i Blanka przeżywali już wspólnie swą wielką miłość przed wiekami, a może przed tysiącami lat, w jakichś niezwykle tragicznych okolicznościach i w innej inkarnacji?

- Tak, tak! - potwierdził Jacek. - To powinienem mieć zaprotokołowane. Nie mogłem pominąć tak ważnego szczegółu.

Gordon nerwowo poprawił okulary.

- Naturalnie. Ten szczegół powinien być zaprotokołowany. Lecz mnie chodzi teraz o coś innego. Tobiasz, jeśli się nie mylę, powiedział nam także, gdzie oni przeżyli swoją ówczesną inkarnację, w jakim kraju czy na naszej planecie, czy na Marsie, czy też w innym systemie słonecznym. Na ten szczegół nie zwróciłem wówczas baczniejszej uwagi, lecz dziś ma on dla mnie pierwszorzędne znaczenie.

- Panie profesorze - zapewnił go asystent - każde słowo stenoграфowałem! Wszystko! Do przesady wszystko!

Gordon spojrział na niego surowo i ostro go upomniał:

- W naszej pracy nie można mówić nigdy o żadnej przesadzie! Drobiazgowa ścisłość to żadna przesada! Pracujemy na odcinku wiedzy pogardzanym aż do obrzydzenia. Nasi potentaci umysłowi nie chcą myśleć o takich podrzędnych sprawach, że się urodzili i że umierają. Oni są okrutnie poważni. Dla nich szkiełko powiększające

i retorta w pracowni chemicznej to alfa i omega wiedzy. Prawda, plus matematyka! Orwicz zaśmiał się.

- Ale jak się to stało - dowodził dalej Gordon - że urodzili się z taką mózgowicą, która chce wgrzyźć się w tajemnice wszechświata, albo jak to się stało, że oprócz chuci szympansov mają jeszcze chuć intelektualną, która ich sadza przy szkiełku powiększającym i przy retorcie, to ich nic a nic nie obchodzi. Skąd bierze się chuć intelektualna (wyrażam się brutalnie, bo mnie diabli biorą), skąd bierze się to coś, co im każe ślęczyć całe dnie i noce, nieraz o głodzie i chłodzie, dla nich to jest nonsensowne pytanie!

Zbyteczne! Humorystyczne! Niegodne szanującego się uczonego!

Po co się nad takimi zagadkami zastanawiać? To przecież tatu-sie i mamusie złożyli się na ich geniusz, bo się mocno kochali lub jeszcze mocniej nienawidzili, a chuć szympansov dokonała reszty. Hahaha! Bałwany! Bałwany!

Jacek obserwował niespokojnie profesora. Widywał go nieraz mocno podnieconego, lecz ton, jakim wypowiadał obecnie swoje jadowite uwagi, był szczególnie zgryźliwy i namiętny.

- Panie profesorze - przekładał mu ściszym głosem - szkoda pańskich nerwów! Nie zmienimy świata. Będzie tak samo kręcił się dokoła słońca jak dotychczas, nie zwracając uwagi na familię i rodów naszych obskurantów naukowych!

- A tak, a tak - wykrzykiwał uczoney - będzie się dalej kręcił, ale on się kręci dokoła słońca dopiero od czasów Kopernika. Przedtem nasi obskuranci stali - słyszy pan? - stali razem z ziemią w centrum świata! Rozpierali się na globie, a słońce musiało się dokoła nich kręcić. Dopiero Kopernik wybił im to z głowy. Teraz nasze uczone bałwany raczą stać w centrum naszego duchowego systemu słonecznego i gotowi twierdzić, że to słońce intelektu obraca się dokoła ich głupich retort i szkiełek powiększających. A nie dokoła nadbytowego ogniska wszechintelektu!

- Cudownie! Cudownie, mistrzu! - piał Jacek, podniecony słowami Gordona.

Uczoney odrzucił w tył grzywę siwych włosów i kontynuował swój wywód:

- A ja chcę właśnie im dowieść, że jest wprost odwrotnie. Że ich tatusie i mamusie byli tylko narzędziami fizjologicznymi, potrzebnymi do wytworzenia ich powłoki cielesnej, lecz że technicznie genialne wstępują w ich mózgownice z innych sfer, które by ich wykłęły do dziesiątego pokolenia, gdyby mogły przewidzieć...

Nastąpiło chwilowe milczenie. Pociąg piał się teraz powoli w górę po szeroko rozpostartym wyżu. Przez okno wpadał huk lokomotywy. Żelazny smok sapał ciężko.

Asystent przewracał pilnie kartki protokołów.

- Mam! - zawołał nagle ucieszony. - Pod datą dziewiątego marca bieżącego roku!

- Czytaj pan!

Jacek pochylił się nad skryptami i zaczął skandować słowo po słowie z wielkim przejęciem:

„Tobiasz, zapytany przez profesora, dlaczego Robert okazuje tak wielkie zainteresowanie osobą Blanki, odparł: „Znali się dawniej”. „Jak dawno?” spytał profesor. Tobiasz uchylił się od odpowiedzi, po czym z widoczną niechęcią oświadczył, że nie wolno mu mówić wszystkiego. Profesor jednak pytał dalej: „Czy znali się na naszej planecie, czy gdzie indziej?” Tobiasz odparł: „Gdzie indziej”. A wówczas profesor postawił pytanie: „Czy w naszym systemie słonecznym?” „Dla duchów wszystko jedno” brzmiała odpowiedź. „Dlaczego?” znowu zagadnął profesor. Tobiasz jednak uchylił się od odpowiedzi. Wtedy profesor naurągał duchowi, że źle wywiązuje się ze swych zadań i że w swym ziemskim żywocie musiał być skończonym leniem i brać knuty w szkole i w domu. Wówczas Tobiasz...

Gordon przerwał mu czytanie, śmiejąc się głośno:

- Pamiętam! Pamiętam! Tobiasz porwał syfon ze stołu i polał mię obficie wodą sodową. Ale nauka nie poszła w las. Nauczył się odpowiadać solidnie. No i co dalej?

- Nie tak zaraz się poddał, panie profesorze - odparł Jacek. - Musiał mistrz stoczyć z nim jeszcze niejedną potyczkę. Tobiasz wciąż się buntował.

- A tak. Te duchy pomocnicze są często bardzo krnąbrne. Czytaj pan dalej. Musimy dojść do owego ważnego szczegółu.

Młody asystent czytał dalej z patosem:

„Profesor zapytał „Przecież światło potrzebuje jednej sekundy na przebycie trzystu trzydziestu trzech tysięcy kilometrów, więc i duch potrzebuje jakiegoś większego lub mniejszego czasu na pokonanie przestrzeni, jaka go dzieli od naszej ziemi. Pytam, ile czasu potrzebuje Robert”. Tobiasz zaprotestował: „Zadajesz mi niepotrzebne pytania”.

Tu Gordon nie mógł powstrzymać się od głośnej uwagi:

- Niepotrzebne! Transcendentalny osioł! Niepotrzebne!

- Za ostro, panie profesorze! - wtrącił uwagę Orwicz. - On dał nam wreszcie wyczerpującą odpowiedź.

- Bo go przyparłem do muru. Te duchy zaświatowe to awanturnicy! Chytre jak koty!

- O tak - potwierdził Jacek. - Ale przygniecione logiką, jak w tym wypadku, potrafią śpiewać jak kanarki kanaryjskie...

- Gordon poprawił się na siedzeniu, zaśmiał wesoło, po czym, udobruchany studenckim tonem asystenta, rzucił pytanie:

- I cóż nam obwieścił wówczas Tobiasz Niedolega w tej materii? Doprawdy wszystko mi wywiało z głowy, to jedno pamiętam, że była to odpowiedź godna mieszkańca Universum. Niechby go wtenczas posłuchali nasi obskuranci nadęci wiedzą oficjalną. Nasz Tobiasz Niedolega ma ich całą wiedzę za paznokciem swego małego palca. No, dlaczego pan nie czyta? Słucham.

- Powiedział tak - głosił z namaszczaniem młody uczonek - „Duch wszelki jest sam w sobie przestrzenią! Posiada wszelkie jej atrybuty. Stawa się wynurza tani, gdzie chce sam lub gdzie mu każą wyższe duchy, bez względu na odległość. Czas dla niego nie istnieje. Przestrzeń również. Czas i przestrzeń dla ducha to jedność. Pomyślane przez niego w najodleglejszym punkcie stawa się dokonany tam, gdzie zapagnie”.

Gordon dał Jackowi ręką znak, aby przerwał czytanie.

Gordon przeciągnął dłonią po czole, zamarł w tym geście na chwilę, po czym ściszone głosem starał się wyjaśnić Jackowi swój pogląd na poruszone dylematy.

- Prawdopodobnie rozumieć to trzeba tak, że wymiary, jakie nasz mózg stworzył, chcąc ująć w stałe formuły pojęcia i przejawy

czasu i przestrzeni, nie obowiązują istot duchowych. Światło biegnące miliony lat z jakiejś gwiazdy słonecznej do naszej planety musi biec tyle czasu dla naszego mózgu, inaczej pogubilibyśmy się całkowicie w kosmosie, nie mając wzroku transcendentalnego. Ale dla ducha... który jest częstką Stwórcy, nieznanego ani czasu, ani przestrzeni, czyli nieznanego żadnych ograniczeń... ta przestrzeń, którą promień świetlny przemierza przez miliony lat, aby dolecieć do nas na przykład z Wielkiego Obłoku Magellana... jest prawdopodobnie spacerem takim, jakim dla pana byłoby przejście z naszego przedziału na korytarz...

- Dziękuję. - zauważył Jacek - króciutki spacer, lecz z wewnętrznym przyspieszeniem tak fantastycznym, że w tym króciutkim spacerze mógłbym zamienić się w parę wodną.

- Niewątpliwie - stwierdził z całą powagą Gordon. - Nawet nie wiadomo, czy byłoby tej pary tyle, aby mógł pan osiąść na szklach moich okularów jako słaba mgielka.

- Śliczna pozostałość! - zawyrokował Jacek.

Profesor, wprowadzony w dobry nastrój, kończył swą myśl z emfazą:

- Jednym słowem istność Roberta nie potrzebuje się liczyć z przestrzenią i może przebywać nawet na Doradusie, jeśli taki ma przydział w armii gwiazd. Ale nie o to mi chodzi. W tych protokołach nie znalazł pan rzeczy najważniejszej. Przypominam sobie, że w czasie jednej z moich utarczek z duchem Tobiasza ten Niebieski Niedolega wykrztusił bardziej konkretne szczegóły o miejscu pobytu Roberta z Blanką w poprzednim ich bycie. Nie przywiązywałem wówczas do tego większej wagi, bo nam nic nie groziło... po prostu było mi to obojętne, skoro na każde zawołanie zjawa Roberta osadzała się na astralu Blanki. Ale teraz! To musi się znaleźć, jeśli pan nie przegapił tych wynurzeń Tobiasza.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Orwicz. - Urodziłem się od razu stuprocentowym pedantem.

Szukając pilnie w zapiskach, mówił wesołym tonem, aby nie dopuścić do zniecierpliwienia się mistrza.

- Jedno mnie tylko zastanawia, czy pedantyzm jest cechą dodatnią,

czy ujemną. Czy jest darem z nieba, czy też pospolitą przyziemną funkcją? Co pan profesor o tym sądzi?

- Mój młody człowieku - zachnął się uczony - zadajesz mi nieprzyzwoite pytanie. Pedantyzm w badaniach Newtona to funkcja genialna, pedantyzm w kładzeniu pantofli na nogi, to funkcja szympansa ludzkiego. Jedni ludzie mają pedantyzm szympansów i ci powstałi ze skrzyżowania szympansów ludzkich... drudzy mają pedantyzm Newtona dzięki wmieszaniu się wyższego ducha w akt pospolitych urodzin. Stąd wyskok genialnej jednostki nieraz z bardzo przyziemnego stadła, bardzo słabo intelektualnie rozwiniętego. Ale dość tego, dość, pan mię wciąż ciągnie za język.

- To nic nie szkodzi, panie profesorze. Takie prawdy trzeba do znudzenia powtarzać. To niby takie proste, a takie złożone. Pańska teoria krystalizuje się w panu i we mnie coraz bardziej, coraz jaśniej. Toteż potrzeba do niej wracać, aby jej forma myślowa udoskonalała się dzięki nieustannym nowym odlewom.

Spojrzał spod oka na mistrza, czy przyłapał go znowu myślowo. Uśmiechnął się, bo profesor poddał się ulubionej pasji głośnego wnioskowania i gotów do mówienia, pochrząkując, trząsał palcami na znak zadowolenia z siebie i asystenta.

- Tak - powiedział, patrząc na błękitnawe kontury Rysów za oknem - moja teoria jest na razie tylko czystą hipotezą. Ale czy w tej dziedzinie mamy jakiegokolwiek pewniki? Nic, nic... Człowiek, jego powstanie, jego cel ostateczny to ciągle niewiadoma. Religia podaje nam tezy wiary, rzeczą wiedzy jest własną drogą dotrzeć do prawdy nieśmiertelnej. Ale to wszystko, co dotychczas nauka odkryła w tej dziedzinie, jest tak minimalne i blahe, że nie mamy na czym się oprzeć. Człowiek obserwuje, gromadzi doświadczenia, odkrywa prawa rządzące przyrodą, lecz sam dla siebie jest w dalszym ciągu nieprzeniknioną zagadką!

- O tak! O tak! - zachęcał go asystent do dalszych głośnych wywodów.

Gordon, który wsiadł już na swego ulubionego konika, przytknął oczy.

Orwicz jednym uchem łowił pilnie wywody swego mistrza, drugie nadstawił dla swych własnych spostrzeżeń, które notował w

mózgu, przeglądając strony protokołów. Nagle pokraśniał. Wpadł na ustęp pożądaný przez profesora. Odetchnął głąboko. Teraz mogly juź bić gromy. Teraz profesor nie będzie potrzebował się denerwować. Założył potrzebną stronę w aktach i z tym większą radością wsłuchiwał się w tok wywodów Gordona.

- Mogę się, panie Jacku, mylić, mogę pana i siebie wciągać na ścieżkę, na której nie znajdziemy może żadnego rozwiązania. Trudno. Mylić się nam wolno. Ale nie stoimy w miejscu. Nie oddegnujemy się od klęski, byle móc zwyciężyć. Chcemy posuwać się w nocy Niewiadomego w kierunku wytyczonym przeze mnie. Chcemy odkryć prawa rządzące powstaniem duchowej wartości w człowieczej drobnie przychodzącej na świat... Intuicja, a następnie łańcuch wnioskowań, doświadczeń i przypadkowych odkryć naprowadził nas na tę ścieżkę, po której dotychczas kroczyliśmy i mamy dalej kroczyć. Jeśli załamamy się my sami lub załame nas zbieg okoliczności, mimo naszych najusilniejszych zabiegów, trudno! Klęska, jak powiedziałem, nie hańbi. Hańbi tylko tchórzostwo. Teraz pan wie, dlaczego ścigam Blankę!

- Jak to ścigam? - spytał zdumiony Jacek.

- A tak właśnie, po prostu ścigam. Poluję na nią! Nie daję jej żyć normalnie, choć ona, jak każda kobieta, ma prawo także żyć swym życiem intymnym... Ale o tym potem. Miał mi pan znaleźć ten ważny ustęp. Czy jest?

- Jest, drogi mistrzu. To naprawdę ewenement! Ho, ho! Wszystko zaczyna być jasne jak na dłoni.

- Czytaj pan.

Jacek rozłożył szeroko karty protokołu i dzielił się z profesorem ich treścią:

„Protokół z dnia ósmego marca. Po całym szeregu kontrowersji między duchem Tobiasza a profesorem pada żądanie z ust uczonego: „Namyśl się dobrze, Tobiaszu, nie uda ci się wymigać. Masz mówić pełną prawdę. Nie chrząkać ze złości, tylko mów to, o co mi chodzi. Gdzie Robert i Blanka żyli w poprzednim życiu?” Tobiasz odparł: „Śmiertelni nie wszystko muszą wiedzieć”. Profesor zgromił go: „Przestań mędrkować, mów pełną prawdę, inaczej poskarżę się Robertowi. Juź on ci uszu natrze”. Na ten argument Tobiasz

zmiękł całkowicie i posłusznie oświadczył: „Robert i Blanka żyli w państwie Atlantydy”. Gordon aż podskoczył na siedzeniu.

- Słyszysz pan? W państwie Atlantydy! Jak ja mogłem przegapić tak ważny szczegół! A więc kilkanaście tysięcy lat temu. A może nawet kilkadziesiąt! To nie mrzonka, panie Jacku. Atlantyda istniała. Potężne państwo na kontynencie położonym w pobliżu dzisiejszej Afryki. Mamy prawo przypuszczać, że cywilizacja Atlantydy była najwyższa, jaką dotychczas ludzkość osiągnęła w swoim rozwoju.

- Przecież nie wyższa od obecnej - wtrącił Orwicz.

- Co takiego? Myśmy niemowlęta w porównaniu z nimi. Osobiście doszedłem do przekonania, że mieszkańcy Atlantydy odkryli tajemnice potężnych sił przyrody, o czym nam nawet się nie śni, i że nimi władali.

- Na czym mistrz opiera swoje przypuszczenia?

- Przypuszczenia? - odrzekł ironicznie Gordon. - To żadne przypuszczenia! To niemal pewność! Czy pan wie, że Egipt był kolonią Atlantydy?

- Pierwszy raz słyszę.

- Czy pan wie, że kolosalne bloki głazów, użyte do budowy kilku piramid, ważą po dwa tysiące ton każdy i nie można wyobrazić sobie siły, która potrafiłaby dźwignąć te niesłychane ciężary w górę nawet za pomocą naszych technicznych środków. Otóż inżynierowie egipscy potrafili tego dokonać. Ale jak?

- No właśnie, jak? - dopytywał Orwicz.

- Zanim panu odpowiem, dodam jeszcze jeden emocjonujący szczegół - powiedział uczony. - Czy pan wie, że geologiczne pokłady ziemi egipskiej nie zawierają takich skalnych tworów, z jakich wycięte zostały głazy tamtejszych piramid? Skąd zatem zostały tam przetransportowane? Jak? Kto je dźwigał w górę!

Jacek otworzył szeroko oczy z zadziwienia.

- Niech pan słucha dalej - mówił profesor z rosnącym ożywieniem. - Otóż słynnemu Solonowi miał powiedzieć pewien kapłan egipski, że Egipt powstał jako kolonia Atlantów przed dwunastoma tysiącami lat, czyli razem będzie to już czternaście tysięcy lat temu.

Podaje te szczegóły Plato w swym „Timeusie”. Wówczas już budowano piramidy. Jak pan myśli? Zanim ludzie doszli do takiej doskonałości, do takich wyżyn techniki, ile latek pańskim zdaniem dojrzewało niemowlę ludzkie?

- Gubię się w tym wszystkim, panie profesorze - odparł asystent z całą otwartością. - Nasze myśli kręcą się stale koło trzech, czterech, maksimum sześciu tysięcy lat.

- No to ja panu powiem! Moim zdaniem ludzkość, aby osiąść taką kulturę techniczną, potrzebowała na to kilka milionów lat! Pan się dziwi? Ja także się dziwiłem, zanim przestudiowałem te rzeczy i wgrzyłem się w obliczenia, w jakim tempie narastała wszelka cywilizacja. Dam panu żywy przykład. Otóż w rękach uczonych znajduje się hinduski katalog gwiazd zwany katalogiem Suria Shiddanta. Jak pan zapewne wie, według pozycji gwiazd z ich wzajemnego stosunku można obliczyć dokładnie, w jakim roku dany układ gwiazd zachodził. Otóż w rzeczonym katalogu znajdujemy zanotowane pozycje ośmiu gwiazd stałych, które dowodzą, że dane obserwacje poczynione zostały... niech pan zgadnie... naturalnie pan nie zgadnie... lat temu wstecz pięćdziesiąt osiem tysięcy! Głupiuchne pięćdziesiąt osiem tysięcy lat. No, a ile latek musiało upłynąć, zanim ówcześni ludzie bez naszych lunet mogli dojść do sporządzenia podobnych murowanych zapisków? Miliony, miliony lat... Rozumie pan teraz, czym musiała być Atlantyda, jeśli Egipt był jej kolonią, czyli ot, takim sobie wypędkiem, ubogim krewnym, któremu daje się w podarunku to, co już macierzy jest najmniej potrzebne.

- Panie profesorze! Panie profesorze!

- Cicho! Nie siedzi pan w sztubie powszechnej! Skończyłem! Czytaj pan dalej, jak zreferował te rzeczy nasz Tobiasz?

Orwicz spojrział na mistrza z wyrzutem i posłusznie wrócił do odczytywania notatek:

„Robert i Blanka żyli w państwie Atlantydy”...

- Już pan to czytał! - skoczył na niego uczony.

- Warto jeszcze raz przeczytać - oświadczył Jacek z jowialnym uśmiechem. - Teraz dopiero rozumiem, co to znaczy.

- No więc Tobiasz...

- Mówił dalej: „Robert był wielkim uczonym, miał brata bliźniaka, fenomenalnie do niego podobnego,..”

- Aha! Tu go mamy! - wtrącił Gordon. - Fenomenalnie do niego podobnego! Czy pan wie, jakie to otwiera perspektywy wśród naszych znajomych?

- Wiem! Wiem! - wykrzykiwał Orwicz i już chciał wyłuszczyć swój punkt widzenia, kiedy uczony oblał go zimną wodą:

- Bez dyskusji! Tylko bez żadnej dyskusji! Czytamy dalej.

Jacek posłusznie zaczął odcyfrowywać zapiski:

„Tobiasz oświadczył na dalsze zapytanie profesora z widoczną niechęcią: „Robert i brat jego Ames...”

- Robert i Ames! Ames w porządku, ale skąd to imię. Robert w owych czasach? - przerwał uczony.

- Jest, jest wyjaśnione! - triumfująco wykrzyknął Orwicz. - Przeczytam później. Otóż nasz Tobiasz dodał, co następuje: „Między braćmi wybuchnął konflikt. Ames był rządcą państwa Atlantydy. Kochał Blankę. Ona mu odpłacała uczuciem...”

Profesor gwizdnał przeciągle. Oznaczało to, że jakieś ogniwo myślowe w jego mózgu związało się z drugim i stworzyło nową koncepcję, której przedtem na próżno szukał.

- Co dalej? - nastawał niecierpliwie.

- Tobiasz: „Konflikt przybrał rozmiary tragiczne z chwilą gdy wódz sił zbrojnych Atlantydy, imieniem Bomeak, porwany pięknoscią Blanki, uczynił zamach na obu braci, porwawszy przedtem” Blankę”. Tu Tobiasz zamilkł i nie chciał ani słowa więcej powiedzieć. Tłumaczył się, że wielu szczegółów nie wolno mu wyjawiać, bo dopuściłby się zdrady tajemnic ósmego stopnia...

- Skłamał! - irytował się Gordon. - On często udawał ważnego i brał nas na kawał ósmym stopniem tajemnic. Ostatecznie na czym się skończyło?

Jacek, zajrzawszy do zapisków, stał się nagle sztywny i surowy. Miał widocznie coś niezwykle ważnego do powiedzenia.

- Tobiasz - kończył lekturę - z widoczną złością dorzucił następującą uwagę: „Konflikt miał charakter państwowy. Szło o sprawę najwyższej wagi. Inne ludy na innych lądach wyzwalaly się wówczas spod hegemonii Atlantydy. Bomeak chciał utworzyć nowe

państwo zbuntowanych ludów i osadzić Blankę ze sobą na tronie”.

Orwicz podniósł oczy na profesora, aby zobaczyć, jakie na nim wywrze wrażenie ostatnia enuncjacja mistycznego rozmówcy:

- Odtąd Tobiasz stał się lakoniczny. Mówił urywanymi zdaniami: „Atlantyda znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie... Tajemne moce w ruchu, by zgnębić zbuntowanych... Dno oceanu otwarte... Kosmiczne zło... Zamach... Atlantydy nie ma... Potop... Potop...”

Zapadło milczenie. Młody uczonek ze wzruszenia sapał. Profesor bębnił palcami w blat stolika.

- No tak! No tak! - powtarzał w kółko Gordon. - Wiemy dużo. To nam wiele wyjaśnia. A więc pasmo tragedii w wysokim stylu. No tak! To tłumaczy istność Blanki i Roberta! Ale dość o tym. Jeszcze jedno. Dlaczego nasza zjawy w owych czasach zwie się Robertem? To nie pokrywa się z jego ówczesnym otoczeniem...

Jacek pospieszył z natychmiastową odpowiedzią.

- Na jednym z dalszych seansów Tobiasz wyjaśnił nam tę zagadkę. Według niego Robert żył po raz drugi w średnich wiekach jako dowódca oddziału krzyżowców i wtenczas otrzymał imię Robert. Poprzednio miał inne imię. Jakie, tego jeszcze nie wiemy.

Uczonek zagłębił się w myślach.

- Mistrzu, daruj, że wtrącę słówko - przerwał mu po chwili Jacek. - Czy my jednak nie bylibyśmy w stanie skłonić Tobiasza, to jest, czy pan profesor nie byłby w stanie zmusić Tobiasza, aby odtworzył całkowicie owe tragiczne dzieje w państwie Atlantów?

Przecież to byłaby historia, jakiej równej nie ma na świecie! Ta nadludzka atmosfera! Ta kolosalna cywilizacja! Owe demoniczne potęgi, kierowane ręką ludzką!

Gordon spojrział na niego spod oka. Uśmiechnął się.

- Idę do zakładu, że zgadnę - rzekł - o kogo panu w tym wypadku najbardziej chodzi. O Blankę, prawda?

- Po części tak - bronił się Jacek lekko zmieszany, czuł bowiem, do czego mistrz zmierza.

- A dlaczego o Blankę? - zagadnął profesor. - Powiedzieć panu?

Bo pan się w niej kocha po uszy! No przecież tak! Przyznaj się wreszcie!

Orwicz stanął cały w płomieniach. Nie zdobył się na żadne słowo odpowiedzi.

- Naturalnie, kocha się jak student! Jeszcze jedna katastrofa miłosna! Mało mam tamtych!

Jacek zrobił rozpaczliwy wysiłek, aby odwrócić od siebie uwagę profesora. W tym celu nagle zaskoczył go pytaniem:

- Ale panie profesorze, kto jest tym trzecim? Tym Bomeakiem? Na takiego jeszcze nie natrafiiliśmy! Ani na seansach, ani w życiu.

Gordon spojrzał zdumiony. Uderzenie było silne.

- Gdzie jest ten trzeci? - nie ustępował. - Przecież zwykle tego gatunku duchy wloką się za sobą jak dziady całą kawalkadą! A takiego właśnie w naszej ziemskiej ewidencji nie mamy. No, więc kto jest tym trzecim?

Gordon zerwał się na równe nogi.

- Istotnie, ma pan słuszność! Do stu tysięcy diabłów, kto jest tym trzecim?

Orwicz uśmiechnął się triumfująco. Podstęp się udał.

- Podejrzanie na moją osobę paść nie może! - wykrzykiwał. - Kocham się w Blance, lecz cóż z tego? Postać wodza Atlantów, wielkiego, nieustraszonego atlety, nie może mieć nic wspólnego z moją mizerną osobą o wąskich piersiach i bardzo kiepskich nogach!

Profesor usiadł zamyślony przy oknie. Nie mógł rozgryźć problemu, który nagle wynurzył się. Na ślad bliźniaka brata Roberta natrafił. To pokrywało się z rewelacjami Tobiasza. Ale ten trzeci, ten trzeci?

- Widzi pan, panie Jacku - przerwał w pewnej chwili milczenie - nie znaleźliśmy inżyniera Rosławskiego, a znalazł się. Ręczę panu. że i ten trzeci, ów Bomeak, gdzieś się płacze w pobliżu Blanki, tylko więcej przed nami ze strachu.

- O, to bardzo prawdopodobne! - wykrzykiwał Jacek. - Tak nawet musi być. Pan profesor wnioskuje z matematyczną ścisłością.

- Bardzo dziękuję za uznanie. Aby być jeszcze bardziej ścisłym, to zgodnie z naukowym wnioskowaniem w tej materii oświadczam panu, że pan w takim razie jest tym czwartym!

- Ja?! - wykrzyknął asystent, znów cały w płomieniach. - Ja? Taki mizerota!

- A cóż to pan myśli - huczał uczony - że takich załęcznionych amantów, co na widok damy serca zapominali języka w gębie, brakowało w tamtych mitycznych czasach?

- Panie profesorze! Panie profesorze!

Ale Gordon był nieubłagany.

- Chciałem panu już dawno powiedzieć verba veritatis - mówił, śmiejąc się kącikami ust - lecz pan zawsze wykręcał mi się jak pi-skorz. Zawsze pan zaskakiwał mnie czymś „niesłuchanie ważnym” i tak pan brał mnie na kawał! Ale do czasu, młody człowieku, do czasu...

- Panie profesorze... Gdzieżbym śmiał... Boże...

Gordon poklepał go po ramieniu.

- No, no - uspokajał go - nie zetnę panu głowy. Ale że się pan kocha w naszej Blance, to nawet ślepy widzi.

- Niemożliwe, panie profesorze - jękał się asystent. - Ja przecież nawet przed samym sobą... Ja, ja przecież nic takiego... Kto to widział?

- A ja to co? Nie widziałem może, jak pan w czasie jednego z seansów wziął ukradkiem... było już ciemno, lecz niebieska lampka paliła się na szczęście... jej malutki nocny pantofelek, który przyniosła ze sobą, i jak pan wpił się ustami w ten koniuszek, gdzie wielki palec lubi się rozpięrać? Hahaha!

Jacek zbladł. Jasny grom strzelił w niego. Był święcie przekonany, że ten jego wyczyn erotyczny pozostanie na wieki wyłącznie jego tajemnicą.

- Panie profesorze, gdybym wiedział... to jest, żeby, żeby - jękał przerażony - ja... ja... Panie profesorze! To się więcej nie powtórzy! Ja chciałem tylko sprawdzić, czy ten pantofelek nie jest zbyt ciastny... bo Blanka ma taką delikatną nóżkę...

- Hahaha! Doskonale! Wyśmienicie mi pan to wytłumaczyłeś! - śmiał się Gordon. - Ale pociesz się, młody człowieku, że ja w twoim

wieku obcałowałem niejedną raz piętę pończoszki pewnego damskiego ideału... Hahaha!

Jacek usiadł spocony jak mysz.

- Panie profesorze - wykrztusił z siebie po długiej chwili przygnębiającego milczenia - czy ja po tym, co zaszło, będę mógł brać jeszcze udział w pańskich dalszych eksperymentach z Blanką?

Uczony spojrział na niego uważnie, przeciągle i nagle wybuchnął serdecznym śmiechem. Przyciągnął go do siebie i pocałował w głowę.

- Kochany Jacku! Właśnie takiego asystenta mi potrzeba - zapewniał go ciepłym głosem. - Tylko atmosfera przesiąknięta fluidami erotycznymi jest pożądana, a nie konwencjonalnie sztywna. Kochaj się pan w Blance na zabój. Pozwalam ci z całego serca. Ona to także dostrzegła. Hahaha!

- O Boże - wydarł się okrzyk z ust Orwicza - jak ona musi mną pogardzać!

- Człowieku, opamiętaj się! - przekładał mu Gordon. - Miłość tak niewinna jak twoja to zapach mimozy! Kobiety to lubią!

- Lubią?

- A tak, panie Jacku, lubią! Taka miłość cicha, kontemplacyjna jak twoja robi je w ich własnych oczach świętymi.

Orwicz rozchmurzył się.

- Jak się cieszę! - zawołał z zapalem. - Nareszcie oddycham! A więc nie gniewała się na mnie?

- Za ten pantofelek? Nie, tego jej nie powiedziałem. Musiałem ratować prestiż ludzi nauki. Cóż znowu! Ona tylko wiedziała, że pan poszedłby za nią nawet do piekła, jak się to mówi gwarą ludową. Prawda to?

- Oj tak, panie profesorze. Pięćdziesiąt razy...

- No, skoro pan to już tak dokładnie obliczył - śmiał się uczony - to jesteśmy w domu. Jest pan tym czwartym i to murowanym!

- To niemożliwe! - zaprotestował znowu Jacek. - Nie żyłem na Atlantydzie! Ja jestem nowicjuszem na naszej kiepskiej planecie.

- Z czego pan wnosi?

- Z całego mego zachowania się - upewniał go Jacek. - Z mojej

nieśmiałości, braku przedsiębiorczości w dziedzinie... w dziedzinie... - urwał zmieszany.

- Dokończę za pana - Gordon podchwycił jego myśl z pewną złośliwą satysfakcją. - Chciał pan powiedzieć: „w dziedzinie erotycznej” panie Jacku! Od początku jedni mężczyźni i kobiety to dobrze potrafią, a drudzy kiepsko lub wcale. Pan należy do tych ostatnich. I dlatego pański wywód jest błędny! Typuję pana na czwartego.

- Panie profesorze - pół żartem, pół serio zaklinał go Orwicz - ja nie będę sypiał po nocach. Niech pan odwoła te słowa. Ja nie mogę kochać się w Blance. Mnie nie wolno! Ja nic chcę!

- Trudno, młody człowieku, nam trzeba takiego jak pan, bezinteresownego, kontemplacyjnego amanta... aby sparaliżować zakusy Bomeaka! Hahaha! - Zawiesił głos, zamyślił się i po chwili dodał: - Żarty na bok, panie Jacku. Sens cały tkwi w tym, że pan i ja jesteśmy jej oddani. Pan pięćdziesiąt pięć razy poszedłby za nią do piekła, a ja sto razy, byle ją móc ocalić dla naszych dociekań. Jesteśmy wszyscy potrzebni. Nawet bardzo. A ta pańska miłość, z której tyle mieliśmy przed chwilą uciechy, kto wie, czy we właściwej chwili nie odegra swojej roli. Gotowość do poświęcenia to potężna moc!

Jacek spojrział mu w oczy z uwielbieniem.

- Ja tu się rozpląnę z radości! - rzekł. - A jeśli już o piekło mowa, to za panem, mój mistrzu, przeszedłbym się tam dwieście razy!

- Świetnie! Znakomicie! - wykrzyknął profesor. - To mi się przyda, bo piekielne moce sprzysięgły się, aby nam wyrwać tę prometejską iskrę, która tlić się zaczęła w naszych dociekaniach. I dlatego zajadłe ścigam Blankę, bez pardonu! Ona chce mi się wymknąć, bo przeżywa własną, osobistą awanturę. Domyślamy się obaj, jaką. Spotkała sobowtóra Roberta. To musiało zrobić na niej piorunujące wrażenie. Wszak porównaliśmy fotografie ich dwóch. Materializującej się zjawy Roberta i inżyniera Rosławskiego. Pamięta pan? Piekielne podobieństwo! Olśniewające! Blanka nie mogła się dość napatrzeć na fotografię Roberta. Wyprosiła u mnie

odbitkę. Nosiła ją zawsze przy sobie. Kazała nawet zrobić jej miniaturę i oprawną w mikroskopijny medalion nosiła na sercu.

- Nosiła medalion na piersiach? - zdumiał się Jacek.

- Tak. Podpatrzyłem ją. Ona się z tym kryła. Podpatrzyłem, gdy przebierała się do seansu. Mogła mi napluć w oczy! Ale mnie było wszystko jedno. Ja wiedziałem to tylko, że muszę posiadać wszystkie jej tajemnice, choćby najtajniejsze.

- Platynowy medalion! - wykrzyknął Jacek.

- Tak jest. Platynowy. A... a pan to skąd wie? Więc pan także podglądał! Pewnie, pewnie! Jak tu nie podglądać! Tyle wdzięków, ile ona posiada, i to takich... oszałamiających... Mógłby pan zemdleć...

Nie skończył zdania, bo właśnie lokomotywa wydawała ostatnie potężne sapnięcia. Pociąg wjeżdżał na stację Zakopane.

XVI. NIECH ON WPADNIE W MOJE RĘCE!

Od kilku dni, od powrotu z wycieczki górskiej, Blanka stała się niewidzialna w pensjonacie. Nie schodziła do wspólnego stołu. Nie brała udziału w dansingach. Nie przyjmowała wizyt. Tłumaczyła się przeziębieniem, którego nabawiła się w Dolinie Pięciu Stawów. Noc była wówczas przejmująco zimna, nie mogła spać w przepelnionym schronisku. Woląла spędzić czas na spacerze i rozmowie, lecz teraz za to pokutuje.

Pani Helena była zdumiona zachowaniem przyjaciółki. Blanka, zwykle wobec niej szczerą, teraz unikała rozmowy. Grymas niechęci i goryczy osiadł na jej twarzy.

Helena nie mogła dociec, co było przyczyną tej przemiany. Uderzyło ją jedno: major kilkakrotnie próbował widzieć się z Blanką, lecz na próżno. Nie pomogło nawet jej wstawiennictwo. Blanka była nieubłagana.

- Cały świat przestał mię interesować - tłumaczyła swą odmowę.

- Co takiego się stało, moja droga? - nastawała przyjaciółka. - Przecież zaziębiona nie jesteś! Major wyraża się o tobie z takim szacunkiem, że chyba z jego strony nie doznałaś żadnej przykrości. Wróciłaś z wycieczki sama, przyłączywszy się do innej grupy turystów. Nawet ze mną nie porozumiałaś się przed odejściem. Rano już cię nie było w schronisku. Major tłumaczył twoją decyzję ekscentrycznością charakteru. Owszem, rozumiem ekscentryczność, lecz daruj... był to pewien afront wobec naszych wycieczkowiczów. Mówię ci tak, jak jest. Ja mogę ci wszystko wybaczyć...

- A major skąd wie, że przyłączyłam się do innej grupy? - zapytała Blanka z przekąsem. - Nie pytałam go ani o radę, ani o pozwolenie.

Helena spojrzała na nią spod oka. Dostrzegła w jej źrenicach ciemny blask gniewu, który zgasł momentalnie. Postanowiła już

więcej tego tematu nie poruszać. Intuicja mówiła jej, że między majorem a Blanką doszło do ostrej rozmowy, która zakończyła się fatalnie.

- Właśnie - próbowała Blanka sprowadzić rozmowę na inne tory - wystąpiło u mnie przygnębienie psychiczne... fatalne przygnębienie. W takiej chwili mogę być nawet bardzo okrutna i niesprawiedliwa. Majorowi także się dostało - dodała z naciskiem - choć nie zasłużył na to.

Energiczne pukanie do drzwi przerwało jej wynurzenia.

- Kto tam? - zapytała Blanka.

- Profesor Gordon - zabrzmiał głos Jacka - i jego asystent Orwicz.

Podniosły się obie nerwowym ruchem. Była to niespodzianka najmniej oczekiwana i najmniej pożądana. Blanka podeszła do drzwi i bez szelestu przekręciła klucz w zamku. Profesor nacisnął klamkę i z wolna uchylił drzwi.

- Jesteśmy - oświadczył wesółym tonem - jak pani widzi, zdrowi i cali.

- Witam panów - odezwała się chłodnym tonem, który wykluczał wszelką dalszą poufalskość - lecz teraz absolutnie nie mogę panów przyjąć. Czuję się bardzo źle. Nie jestem jeszcze ubrana. Leżałam w łóżku. Może jutro, profesorze? Dziś nie...

To rzekłszy, próbowała przymknąć drzwi, by uczoney nie miał czasu rozejrzeć się w topografii pokoju.

- Nie mogę czekać do jutra - zaprotestował Gordon. - Zebrałem informacje na dole. Pani nie jest chora, tylko spleen napadł panią. Ja to znam na pamięć. Sprawa, o której muszę z panią natychmiast pomówić, jest bardzo ważna. Policja mię śledzi w związku z owym wypadkiem na moście. Pani wie dobrze, z jakim. Chodzi o panią.

Blanka oburzyła się ogromnie.

- I dlatego pan profesor - dowodziła, wyparłszy profesora za drzwi i przekręciwszy ponownie klucz - przyjechał do Zakopanego, aby wskazać im drogę do mnie? Jeszcze by tego brakowało, aby moje nazwisko było szarpane w gazetach. Niechby moi bracia dowiedzieli się o tym. Ładnie by pan profesor wyglądał!

Podniecona rozmowa toczyła się dalej poprzez zamknięte drzwi.

- Raz kozie śmierć - odparł Gordon.

- A poza tym jak pan zdobył adres? - irytowała się. - Jak pan mógł mnie śledzić? Przecież zaklełam pana na wszystkie świętości, żeby pan dał mi kilka tygodni spokoju...

- Świętości poszły spać! - wykrzykiwał profesor. - Nie ja winien, że wyłowiono trupa z Wisły. Że znaleziono sweter i broszkę szmaragdową i że znalazł się rodzimy Sherlock Holmes, który chce wyspać panią i mnie. Tylko patrzeć, jak tu się zjawi i zacznie legitymować panią i jej łaskawą towarzyszkę, która, jeśli mnie wzrok nie myli, znajduje się również w pokoju...

Blanka wpadła w gniew:

- Profesorze, ciszej! Cały pensjonat pomyśli, że pan i ja popełniłszy jakąś straszliwą zbrodnię. Wykrzykuje pan na cały głos.

- Nie umiem mówić cicho za drzwiami - bronił się uczony. - Mam źle ustawiony głos. No, ale ładnie pani mnie przyjmuje! Ja nawet włączęgi tak nie traktuję, jak pani mnie, profesora honorowego pięciu uniwersytetów, laureata dwóch konkursów zagranicznych. Czy mam jeszcze dalej wyliczać swoje wspaniałe odznaczenia naukowe?

- Już dobrze, dobrze! - zawołała. - Tylko na Boga ciszej! Cały pensjonat gotów wylegnać, aby ujrzeć taką znakomitość. Już otwieram!

Nie czekając na nowy potok słów Gordona, otwarła z pośpiechem drzwi.

- Proszę, proszę! Pan profesor potrafi terroryzować swoje ofiary! Proszę panów do środka.

Uczony wszedł energicznym krokiem. Jacek zatrzymał się za progiem, speszony gwałtowną dyskusją, w której bał się wziąć udział.

- O, co widzę - rzekł Gordon rubasznym tonem. - Obie damy w pełnych toaletach. Łóżko zasłane. Przerwana konsumpcja owoców. I to się nazywa szacunek dla mojej siwej głowy! Tak zwiąć z Warszawy i tak mię trzymać stęsknionego pod drzwiami jak wiejskiego

kundla. Przyznam się otwarcie, że nie spodziewałem się takiego przyjęcia. Zrobiłem zakład z panem Jackiem, że Blanka padnie mi w ramiona jak ukochanemu wujowi z Ameryki i... zakład przegrałem! Prawda, mój wystraszony asystencie?

Jacek przestępował z nogi na nogę, nie wiedząc, jak zachować się w tak wyjątkowej sytuacji.

Pani Helena uśmiechnęła się zdawkowo:

- Widzę, że tu będzie burza z piorunami i słodyczami. Wolę zniknąć.

To mówiąc, wymknęła się z pokoju, nie witając się z przybyłymi ani czekając na przedstawienie ich sobie. Gordon dążył do oczyszczenia placu boju.

- Panie Jacku - rzucił mu rozkaz - niech pan zaraz zbiegnie na dół i wybierze dla mnie i dla siebie dwa pokoje. Koniecznie na dole. Nie znoszę pięter. To tylko nasza gwiazda astralna lubi te podobłoczne wysokości. Na moje nogi wystarczy najniższy poziom ziemi.

Asystent milcząco skłonił się, zamknął dyskretnie drzwi i szybko zszedł na dół, aby spełnić polecenie profesora.

Uczony rozsiadł się wygodnie w fotelu. Pierwszy impet już minął u niego. Wobec świadków był aż nadto śmiały. Wiedział, że mu wszystko ujdzie. Ale znał Blankę dobrze. Zostawiony z nią sam na sam nie chciał zbyt wiele ryzykować. Wolał zabawić się w parlamentariusza swej misji. Spoglądał na nią ukradkiem. Badał sytuację. Bładość Blanki i surowy wyraz jej twarzy kazały mu trzymać się na baczności.

- Przepraszam za ten najazd - uderzył w pokorę, próbując wywołać uśmiech na jej obliczu - lecz po prostu stęskniłem się za panią. Przez tych kilka dni nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Ja teraz dopiero widzę, jak bardzo „wdepnąłem”. Wychowałem sobie despotkę i muszę teraz tańczyć, jak ona mi każe.

Uśmiechnęła się przelotnie. Rozgrzeszyła go całkowicie. Cóż on ostatecznie był winien? Nie trzymał jej na sznurku. Zawsze podkreślał jej niezależność i prawo do powzięcia decyzji. Mogła każdej chwili odejść, rzucić go i cały ten świat kuszącej ułudy. A że walczył o nią, o jej współdziałanie w seansach, to tylko świadczy, jak bardzo ją

ceni. Walczy zaś dla celów szlachetniejszych i wyższych niż major.

- Profesorze - odezwała się ze smutnym uśmiechem - jest pan najniebezpieczniejszym kochankiem pod słońcem.

- Kochankiem? - zaśmiał się profesor. - Aż tak awansowałem za ten afront pod drzwiami? Robię zawrotną karierę... z kundla wyskoczyłem na niebezpiecznego Don Juana! Odkąd to twoja łaskawość zauważyła we mnie te szczególne przymioty?

- Odkąd inni mię uwodzą. Mój mistrz nie okazuje żadnego bliższego, osobistego zainteresowania.

- Czyżby jaki nowy Romeo zjawił się na horyzoncie? Odpaliła go pani, a ja za to obrywam.

- Jakby pan zgadł. Ale należy się panu wyjaśnienie. Jest pan najniebezpieczniejszym kochankiem na świecie dlatego, że pan umie uwodzić duszę! Ciało najłatwiej. Duszę najtrudniej, a pan to właśnie potrafi.

- Jak widzę, kochana Blanko - odparł z uśmiechem - prawimy sobie nawzajem komplementy. Jestem ci bardzo wdzięczny za to uznanie. Zaraz z niego korzystam i proszę cię, żebyś nie zapominała o tych twoich słowach, gdy przejdę do właściwej materii, która mię tu sprowadza.

- Na Boga! Tylko nie mówmy, profesorze, o seansach! Sądziłam, że tu przynajmniej dacie mi spokój. Dla mnie wszystko, i to, co było, i te doświadczenia, i te zamachy na moją cnotę to jeden potworny koszmar, o którym wołałabym zapomnieć. Pozwól mi, profesorze, choć przez kilka tygodni być zwykłą kobietą. Ja nie chcę kochać! Nie chcę urządzać seansów! Chcę po prostu wegetować... jak trawa... jak najzwyklejszy badyl, który cieszy się słońcem i tym, że żyje. Profesorze, chciej zrozumieć wagę tych słów: że żyje!

Gordon spojrzał na nią przenikliwie.

- Jestem przewrażliwiona. Boję się tych seansów. Dawniej bawiły mię, porywały swą niesamowitą treścią... czymś niezwykle tajemniczym, olśniewającym. Teraz, ile razy pomyślę, że to ma się powtórzyć, nie mogę opanować lęku i czegoś, co bym nazwała...

obroną mej osobowości cielesnej... fizjologicznej... mojej najwewnętrzniejszej kobiecości...

- Aha, rozumiem - bąkał uczony - zdaje sobie pani sprawę z tego, że w razie całkowitej materializacji zjawy Roberta jego fizyczne ucieleśnienie może zdobyć się na całkiem przyziemną demonstrację erotyczną... Proszę darować mi ten cynizm, ale...

Blanka mimo woli stanęła cała w płomieniach. Piekły ją policzki. Zwiesiła głowę, jakby waga słów Gordona przytłoczyła ją nadmiernym ciężarem.

- Tak - padła z jej ust przenikliwa odpowiedź.

Uczony przeczekał pierwszą chwilę jej wewnętrznego wzburzenia, po czym jak mógł najostrożniej postawił jej pytanie:

- Pani Blanko, proszę mi wierzyć, nie chcę w niczym pani dotknąć, nawykłem jednak prowadzić z panią dyskusje jak lekarz z pacjentem... tak było przynajmniej dawniej. Czy i teraz zgadza się pani, że pozostaniemy na tej samej platformie, czysto naukowej?

Czekał na odpowiedź. Od jej słów zależał układ dalszego postępowania ich dwojga. Albo plan jego ulegnie spaceniu, albo on, profesor, będzie mógł liczyć na dalsze seanse, choć w innych może, zmienionych warunkach.

Blanka jeszcze niżej opuściła głowę. Ważyła swe słowa. Albo wymierzy śmiertelny cios idei profesora, lub on i ona nie porzucą tych dociekań, które w świetle prozy życiowej i trzeźwości racjonalnej zdają się być potworną chimerą. Podniosła z lekka rękę, uprzedzając słowa, które za tym gestem nadbiegły.

- Tak - padło z jej warg krótkie potwierdzenie, lecz jakże wymowne.

Uczony aż zachłysnął się z radości. Nie dał tego poznać po sobie, lecz kilka haustów powietrza, które wciągnął gwałtownie w płuca, starczyło za odpowiedź. Szybko pochwycił wydłużone palce jej ręki i ścisnął je delikatnie, długo, serdecznie.

- To rozumiem - oświadczył, przerywając milczenie. - Taka kobieta tworzyć może naprawdę nową epokę!

Wstał podniecony i rozradowany.

- A teraz, skoro wiąże nas znów przymierze wiedzy szalonej,

możemy się klócić jak studenci o drobiazgi, o taktykę. Tamto na nas czeka i zawsze nas pogodzi. Zatem pierwsze pytanie, pani Blanko. Czemu mam przypisać tę wielką depresję u pani? Czy naprawdę Rosłowski wywarł na pani tak kolosalne wrażenie? Jak pani widzi, jestem już świadom ostatnich zdarzeń w pani życiu...

Blanka spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem. Tego najmniej się spodziewała.

- Pan go poznał?

- Obaj złożyliśmy mu wizytę. To jest ja i Jacek. Po prostu stanęliśmy osłupieni, gdyśmy go po raz pierwszy ujrzeli. Podobieństwo wprost oszalamiające. Sfotografowałem Rosłowskiego. Ani się spostrzegł, kiedy to się stało. Musiał się zgodzić na ten gwałt, bo już było za późno. Oto jego fotografia...

Wyjął portfel i podał jej odbitkę.

- Wszak to on, prawda? Wspaniały mężczyzna! Doprawdy, gdybym był kobietą...

- Cicho - szepnęła.

Zmieszana, blada wzięła w drżące palce fotografię i utkwiała w niej wzrok. W jej oczach zalśniły łzy. Nieruchomo trwała w kontemplacji dłuższą chwilę, aż profesor przerwał jej zamyślenie nową relacją:

- A oto pierwsza fotografia materializującej się zjawy Roberta... proszę...

Wręczył jej portret astralnej zjawy. Blanka, spojrzawszy na nią, nie mogła stłumić okrzyku przerażenia i podziwu.

- Blanko - rzekł uczony wzruszonym głosem, widząc, jak wstrząsające wrażenie zrobiły na niej te dwie fotografie, których autentyczności nikt nie mógł zaprzeczyć - w medalionie nosisz podobiznę zjawy Roberta już od dłuższego czasu. To przecież nie ulega najmniejszej wątpliwości. Byłaś sama obecna przy wywołaniu kliszy po jednym z udanych seansów, gdy zjawy Roberta ukazała się nam zmaterializowana w osiemdziesięciu procentach. Zaprotokółowaliśmy ten wypadek i położyliśmy swe podpisy. Wszak tak? A tu mamy fotografię żywego mężczyzny, inżyniera Rosłowskiego. Wywołałem ją na papierze specjalnym, aby nadać

jej taką samą mglistość, jaką ma zdjęcie Roberta. I co? Wszak to ten sam mężczyzna!

- Ten sam - szepnęła zeszytwniałymi wargami, patrząc kolejno osłupiałym wzrokiem na obie podobizny. - Podobieństwo zdumiewające. Dostrzegłam to od pierwszej chwili, gdy go poznałam, lecz nie przypuszczałam, że takie niesłychane... takie zabijające...

Spojrzała na profesora wprost nienawistnym wzrokiem.

- W tym kryje się jakieś potworne kłamstwo! - krzyknęła. - Ja nie wierzę... ja nie mogę uwierzyć... pan mnie chce osaczyć... pan...

- Blanko - rzekł poważnie uczony - spodziewałem się tego wybuchu. Uczyniłbym na twoim miejscu to samo. Ale wiedz, że po wizycie u Rosławskiego i po wywołaniu tego zdjęcia, przeciw czemu on nie zdołał zaprotestować, spisałem z Jackiem Orwiczem protokół i obaj położyliśmy pod nim podpisy. Byliśmy obaj tak samo zmiążdzeni jak ty obecnie. Przemówiło do nas z tego zdjęcia Niewiadome i Nieogarnione całą potęgą wstrząsającej tajemnicy. Zakryła twarz jedną dłonią, a drugą podała nerwowym ruchem obie fotografie Gordonowi.

- Blanko, zatrzymaj je dla siebie.

- Nie, nie - wyrzuciła słowa potargane burzą wzruszenia. - Dopóki nie miałam fotografii Janusza Rosławskiego, mogłam się łudzić, że uległam jakiejś halucynacji, lecz teraz, patrząc na te dwie podobizny... Gdybym sama pozostała z nimi, mogłabym popaść w obłęd albo w furję.

Rzuciła oba kartony na podłogę i łkając, ukryła głowę w obu dłoniach.

- Ten sam mężczyzna jako zjawia i jako żywa istota! - mamrotała. - A ja teraz tkwię w tej potwornej prozie życiowej, tak intensywnie czuję wszystkimi fibrami tylko tę ziemską rzeczywistość, że tamto mię przeraża jak nigdy dotychczas. Przecież to nie mieści się w mózgu... tu na ziemi i tam w regionach Praprzyczyny i Wszechbytu on! Ten sam! W dwóch postaciach... ja chyba mają czę...

- Dosyć! - skarcił ją Gordon. - Praprzyczyna i Wszechbyt byłyby tylko karykaturą mądrości, gdyby logika i nieubłagana prawda w nich także nie rządziły. Otóż rządzą! Nie ma takich samych dwóch

tworów we wszechświecie. Zjawa Roberta i Rosławski to dwie inne istoty. Całkiem inne, choć tak przedziwnie, tak nieprawdopodobnie podobne! Mam na to dowody.

- Dowody? - rzuciła z niedowierzaniem. - Jakie?

- W protokołach z naszych seansów. Z ust Tobiasza dowiedzieliśmy się, że Robert w swej poprzedniej inkarnacji, czy jak to nazwiemy, miał brata bliźniaka. Byli podobni jak dwie krople wody.

Z ust Blanki wyrwał się okrzyk niesamowity.

- Oni dwaj i ty, Blanko, przeżyliście wspólnie wielkie tragedie. Którego z nich darzyłaś miłością, nie wiemy. Może jednego z nich, może obu, nie wiemy. Może kiedyś, na jednym z dalszych udanych seansów, Tobiasz powie nam coś więcej na ten temat. Sam wychoďte ze skóry, aby dowiedzieć się całej prawdy. Na razie, jak widzisz, obracamy się znów wśród wymiernych wartości, choć na skalę kosmiczną. Nie ma w tym, co w związku z seansami, ze zjawą Roberta i z osobą Rosławskiego przeżywamy, żadnego nonsensu boskiego. Jest wspaniała tajemnica w każdym calu logiczna. Ot i wszystko. Jak widzisz, miałem z czym przyjechać i miałem czym podzielić się z tobą...

Blanka oddychała głęboko. Rewelacje Gordona przyniosły jej treść porywającą i odtrutkę na wszystkie błędne wnioski, w których labiryncie dotychczas męczyła się i błędziła. Teraz rzeczywistość, w której tkwiła, i rzeczywistość nadbytowa, w której kręgi wciągał ją profesor, stapiały się w harmonijną jedność o blaskach niesamowitych.

Stała na gruncie kołyszącym się jak pokład statku na wzburzonym morzu. Ale na tym morzu wszechbytu zaczęły drgać błyskawice olśniewającej prawdy!

Po dłuższej chwili milczenia postanowiła rozmówić się z profesorem w sprawie, która nie powinna być jej zdaniem pozostać w zawieszaniu i niewyjaśniona.

- Mistrzu - zaczęła zmęczonym głosem - szczerść za szczerść. Jeżeli mamy wcześniej czy później wrócić do naszych eksperymentów, trzeba aby praca pańska odbywała się w warunkach czystych, klasycznych, jak pan się wyrażał...

- A tak, koniecznie! - przytaknął skwapliwie.
- Warunkiem, aby tak było, ma być moja, jakby to powiedzieć najciszej... moja dyspozycja duchowa, całkowicie pochłonięta osobowością Roberta...

- A tak.

- Seanse dawały coraz lepsze rezultaty, dopóki ta dyspozycja u mnie trwała. Dopóki nie wmieszały się żadne uboczne sprawy, które wytrąciły mię z tego nastawienia psychicznego.

- A tak! A tak!

- Zetknięcie się moje z Rosławskim wywołało całkowity przewrót w tym układzie sił psychicznych i w mojej dyspozycji, jakie gwarantowały w stu procentach całkowitą realizację pańskiego eksperymentu.

Uczony nie wytrzymał w angielskiej flegmie, jaką sobie narzucił. Pasja go porwała na samo wspomnienie inżyniera.

- Diabli go przynieśli! - wybuchnął.

- Źle mój mistrz wnioskuje - odezwała się ze smętnym uśmiechem. - Przecież dzięki temu doszedł pan do wniosku, że moja historia terazniejsza ma jakiś związek z wypadkami na Atlantydzie... że osobowość Rosławskiego jest może identyczna z bratem zjawy Roberta... jego bliźniakiem w zamierzchłej epoce. Powiem szczerze, że uczułam ulgę, gdy to usłyszałam. Dotychczas rozpierała mój mózg obawa, że padam ofiarą halucynacji, że osobowość inżyniera Rosławskiego dzieli się i że to jego astral jest zjawą Roberta... lub że w moim mózgu powstają jakieś chorobliwe fantasmagorie, które doprowadzą mię w końcu do obłądzenia. Dlatego, powtarzam, uczułam ulgę. Bo to, co mistrz powiedział, jest istotnie wymierne, choć na skalę kosmiczną. Jest logiczne. Ja sama wreszcie znalazłam przydział... nareszcie wiem, skąd pochodzę, jaki jest mój mistyczny rodowód. Inaczej byłabym jakimś chorobliwym typem, który chroni swą cnotę przed zamachem mężczyzn wskutek usterek organicznych lub psychicznych.

Gordon uniósł się na krześle wzburzony.

- Co znowu! - zaprotestował. - Jak możesz pleść podobne herezje! Blanko... pani Blanko... - czy jak do diabła mam mówić...

- Najlepiej: Blanko - uśmiechnęła się życzliwie. - Upoważniłam pana do tego wielokrotnie.

- Sądzę! —mruknął uczony. - To mi się należy! Jesteś właściwie moją uczennicą!

- Otóż, wracając do wątku mojej myśli - podjęła dyskusję - mogłam powziąć takie ujemne o sobie wyobrażenie, bo ta moja „wyjątkowość” musiała budzić we mnie samej podejrzania codo mojej stuprocentowej odpowiedzialności życiowej. Byłam w mym własnym przekonaniu jakimś dziwotworem chorobliwym. Przynajmniej teraz rewelacje profesora dają mi prawdziwie fantastyczną, lecz w każdym razie jakąś istotną metrykę psychiczną... jestem damą z Atlantydy... to mi się nawet podoba. Przy innej sposobności opowiem mistrzowi pewien sen zadziwiający, który powtórzył się w mym życiu kilka razy, a który pokrywa się z tą baśnią o Atlantydzie.

Na chwilę zawiesiła głos, zasluchana w bicie własnego serca.

- Jak widzę - mówiła dalej - życie moje tkwi w terażniejszości bardzo krucho... Srebrnołuska muszka na prądzie mistycznego Wszechbytu! Bije skrzydełkami, łamie je, próbuje oprzeć się uderzeniom jednym i drugim, tym prozaicznym, brutalnym, naszej rzeczywistości i tym drugim... z tamtej strony frontu... gdzie śmierć staje się nowym życiem.

- Nie tylko u ciebie, Blanko, jest ten rozłam, ta dwoistość. My wszyscy jesteśmy tymi muszkami, trutniami lub motylami unoszonymi niepowstrzymanym prądem Praprzyczyny boskiej! Tylko większość, i to gruba większość, po prostu niemal wszyscy ludzie tak toną w tej doczesności, która wygrywa swoje melodie przyziemne na miliardowych dudach ludzkich, że odrzucają wszelką myśl o tej drugiej rzeczywistości nadbytovej z namiętnością pijaków, zapitych na śmierć alkoholem trzeźwości życiowej! Oni odtrącają od siebie z odrazą lub pogardą wszelką myśl niepokojącą, że ich hiperkombinacje życiowe to bańki mydlane i że dopiero po tym qui pro quo tu na ziemi, gdy wydadzą ostatni dech, zacznie się prawdziwe życie!

- A więc właśnie dlatego - wpadła mówiącemu w słowa - muszę być szczerą. Bardzo szczerą! Otóż osoba Rosławskiego wniosła, jak

powiedziałam, straszliwy ferment w moje zmysły. Tamto na seansach miało blask nadziemski. Tamto było miłością niewymierną, przedziwnie lotną, błogą, seraficzną... we mnie grała muzyka jakby z gwiazd, jakby z mgławic niebieskich. Słyszałam niemal dźwięk mych nerwów naciągniętych na struny harfy, na których archanioł grał porywającą melodię... i nagle... ta burzliwa proza!

- Wszystko to wiem - zapewniał ją Gordon. - Domyślałem się wszystkiego. Wszak jesteś ulepiona z gliny ziemskiej, naszej, tej wulgarnej. Masz krew i zmysły, które krzyczeć mogą o źer. I masz do tego pełne prawo. Masz! Masz! I tu właśnie zaczyna się skala twego poświęcenia. Skala nadludzka! Fanatyzm! Ofiarność! Każdy nowy krok wiedzy to wydarta wszechmocnym potęgą nowa iskra prometejska... Sęp rwie serce Prometeusza, rwie bez miłosierdzia, lecz to musi się powtarzać milion razy! Musi! Owa ofiara wiekuista to istotny, najprawdziwszy wykładnik ludzkiego rozumu nadbytowego w jego nieustannej walce o prawdę życia ludzkiego, o jego tajemnice! Wszak tak? Wszak ty to rozumiesz? I ja po to tu przyjechałem, aby ci znowu wszczepić dozę wiadomości z tamtej strony frontu. Nową porcję fanatyzmu!

Głębokie westchnienie wyrwało się z piersi Blanki.

- Niestety! Właśnie do tego nie jestem zdolna. Wszystko, lecz nie to. Właśnie jestem chora na przyziemność! Zbudził się we mnie głód zwykłej miłości. Mogę nim gardzić, lecz on pracuje we mnie. Kradnie mi trzeźwość! Kradnie spokój! Mogę łać sama z sobą, mogę odtrącać wyciągnięte do mnie ramiona, lecz ten głód szaleje we mnie. I dlatego, mój mistrzu, nie ma mowy o klasycznej czystości naszych seansów. Wmieszał się w nie czynnik brutalny, który będzie niszczył twoje działo na każdym kroku. Jestem zepsuta oddechem tej zwykłej namiętności, jakiej każda kobieta ulega. Blanka z innej planety skończyła się bezpowrotnie.

- Przecież zerwałaś znajomość z Rosławskim - rzekł Gordon zniecierpliwiony. - Uciekłaś od niego i ode mnie, lecz w każdym razie uciekłaś. Czyli chcesz zerwać ten nieszczęśliwy kontakt z jegomościem, który nie ma do ciebie żadnego prawa, który nie może rościć sobie pretensji do twojej miłości.

Blanka obrzuciła go długim spojrzeniem.

- Owszem - oświadczyła - ja sama miałam długo wątpliwości, czy właśnie on, ten ziemski Robert, jak wówczas sądziłam, nie odegra tej decydującej roli w moim uświadomieniu zmysłowym. Z objąć zjawy móc przejść nagle w ramiona mężczyzny żywego... kto, pytam, nie oszalałby na moim miejscu? Która kobieta?

- Ale to się nie stało - zawyrokował uczony - bo stać się nie mogło! Cała natura twoja, ta wewnętrzna, musiała zaprotestować!

- Tak, to się nie stało - odparła z przekąsem - ale odtąd krążą koło mnie zbudzone fluidy szału nieustannie. Czyhają na mnie! I ja je bezwiednie, a czasem z całą świadomością wyzywam! Bawię się postęпами mego rozdrażnienia, wyzywam niebezpieczeństwo! Chcę, aby było silniejsze od mojej woli! Abym raz przestała być nimfą utkaną z galarety i promieni, a wzięła w siebie ogień szaleństwa.

Gordon przygryzł wargi na samą myśl, że Blanka dopuszcza do siebie takie myśli.

- Nikt nie ośmieli się zbliżyć do ciebie! - zaryzykował twierdzenie. - Każdy mężczyzna odczuwa wewnętrzny respekt przed tobą!

Obserwowałem to niejednokrotnie. Pod tym względem nic się nie zmieniło! Jeśli sama nie upoważnisz takiego śmiałka do ataku, nie znajdzie się podobny wariat!

Apodyktyczny ton profesora zirytował ją. Postanowiła dać mu bolesną nauczkę.

- Rozprawia pan o mnie jak o króliku doświadczalnym! - przerwała jego wywody. - Głosi pan zbyt śmiałe sądy. Blanka jest niedotykalna! Tylko wariat może się do niej zbliżyć! Blanka choćby chciała oszaleć, nie potrafi! Bo jest kobietą z innej planety! Bo jest ulana z innych pierwiastków! No, toja oświadczam panu, że ten mój cały ekshibicjonizm astralny straszliwie mnie już nudzi. Niech pan profesor zrozumie mnie dobrze: nudzi! A w takiej chwili może znaleźć się śmiałek, który zechce zaryzykować, i właśnie dlatego, że zaryzykuje, może osiągnąć to, czego normalnie nie mógłby się spodziewać.

- Nie powiesz mi - krzyknął - że taki się znalazł!

Podniosła się leniwie z krzesła i idąc powoli na balkon, rzekła wyzywającym głosem:

- Właśnie taki się znalazł! Miał tę odwagę! Nie dalej jak przedwczoraj!

- To niemożliwe! - zawołał uczony. - Przedwczoraj byłaś na wycieczce w Dolinie Pięciu Stawów. Zebrałem informacje o tobie.

- Hahaha! - śmiała się. - A czyż góry nie są mieszkaniem demonów? Dlaczego ja nie mogłabym właśnie tam, pod opieką tych demonów, raz wreszcie zapomnieć się?

Profesor szybko przebiegł w myśli możliwości takiego obrotu rzeczy. Zestawił jej zgnębienie niezwykle, w jakim ją zastał, jej wywody o zbudzeniu się w niej zmysłowości, nieprzyjmowanie żadnych wizyt...

- Kogo takiego poznałaś? - krzyknął, nie panując nad swym wzburzeniem. - Pokaż mi takiego śmiałka, a ja go nauczę rozumu!

- On ma go więcej od nas obojga! - wycodziła. - To mistrz w polowaniu na cnotę kobiet. Specjalista od dam mających kontakt z gwiazdami.

Gordon zbladł. Uwierzył słowom Blanki.

A więc jest w pobliżu sobowtór Bomeaka! - błysnęła myśl w jego mózgu. - Płacze się to monstrum!

W mgnieniu oka opanował się całkowicie. Znalazł się w swoim żywiole. W ręce miał nić Ariadny, która go powiedzie przez labirynt dalszych wypadków. Postanowił nie płoszyć Blanki wynurzeniami Tobiasza o wodzu Atlantów.

Zaśmiał się tym szczególnym śmiechem, który zdradzał poczucie jego wyższości w danej sprawie.

Blanka zwróciła na to uwagę. Gordon wiedział coś więcej, niż jej wyjawiał. Znając profesora, zdała sobie z tego sprawę od razu.

- Przecież pan profesor nie zna go! Pan nie miał jeszcze czasu!

- Już go znam! - rzucił triumfująco. - Żebym nie chciał, już go znam. Sam wpadł mi w ręce. Nie wymknie mi się teraz! Już ja z nim pogadam!

Oburzyła się.

- Zabraniam panu wtrącać się w moje prywatne życie! To nie

młokos ani pierwszy lepszy homo! To mężczyzna atletycznej budowy! Niesłuchanie agresywny! Był w stu bitwach!

- Toć to! To właśnie! - wykrzykiwał Gordon. - O takiego mi chodź! O takiego atletę! O takiego lucyferycznego wojownika! Hahaha! Jak ta cała banda lazi za sobą po ziemi! Hahaha! Żeby o centymetr niższy lub o odrobinę wężlejszy! Nie! Od razu atleta i bestia demoniczna! Buzi mu dać!

Zaczął krążyć po pokoju niesłuchanie podniecony. Zacierał ręce z radości. W chwili najmniej oczekiwanej przyskoczył do niej, porwał jej obie dłonie i okrywał pocałunkami. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Wychodził sam z siebie.

- Profesorze! Profesorze! - zaklinała go Blanka. - Co pan robi?

- Jesteś bezcennym skarbem! - piał uczony swoje zachwyty. - Powinienem się wściekać, że wszedł mi w drogę nowy nicpoń, lecz w tych szczególnych okolicznościach, w jakich się pojawił, błogosławię jego pojawienie się! Zobaczysz! Uściskam go jak rodzonego brata! Jak najukochańszego kuzyna! Ten chłop w czepku się urodził! Toż on wlecze za sobą całą mgławicę duchów! W każdym innym wypadku zadusiłbym go z podwójną przyjemnością, ale tak to będę się z nim cackał jak z brylantowym rarytasem!

Przycisnął ją do piersi i wycałował siarczyście w oba policzki.

- Panie profesorze - śmiała się rozbawiona Blanka - pan mię uwodzi! Pierwszy raz widzę pana w takim podnieceniu!

- Naturalnie, że pierwszy raz! - wykrzykiwał Gordon na cały głos. - Zobaczysz, jaki ja teraz sabat urządzę! Zjazd duchów na górze tajemnic! Hahaha! Blanko! Blanko! Błagam cię o jedno: zgódź się od razu choć na jeden tylko seans! Niech się nawet nie uda. Niech wypłoszony Robert zastrajkuje! Na razie nie o niego mi chodzi.

- A o kogo?

- O tego kochanego niedołęgę Tobiasza. On musi nam wyśpiewać daleko więcej niż dotychczas. To mogą być rewelacje takiej wagi... takiej wagi...

Blanka była również podniecona. Rozmowa z Gordonem rozbudziła w niej na nowo płomień mistycznej gorączki. Wyczuwała

wszystkimi fibrami, że tuż tuż, za ścianą pozornej, zimnej rzeczywistości, huczy ocean tajemniczy, przeogromny, który niesie na swych falach szalejących i w huraganach kosmicznych inną, głębszą, nadbytową rzeczywistość.

Ale krytycyzm, który pracował w niej od wielu dni ze zdwojoną mocą, chichotał w jej mózgu i naigrawał się z jej złudnych porównań.

- Panie profesorze - odezwała się, wlepiając w niego roziskrzone źrenice - jak pan może przywiązywać jakąś wagę do wynurzeń takiego totumfackiego jak Tobiasz. Nie słyszałam go, niestety, lecz z tego, co panowie opowiadali mi o nim, wnoszę, że ta zabawa nie ma nic wspólnego z dociekaniem naukowymi. I dziwię się, że właśnie pan profesor takie uboczne rewelacje bierze pod uwagę.

Gordon niecierpliwił się coraz bardziej.

- Moja droga Blanko! - przerwał jej) ironiczne uwagi. - W naszej dziedzinie wszystko dzieje się po omacku. Nie wolno nam gardzić niczym. Pamiętaj, że my nic nie wiemy, i to jest nasz punkt wyjścia. Każde ziarnko piasku, każda wiadomość z tamtej strony frontu, choćby jak najbardziej pokraczna, może kryć w sobie diamenty najczystszej wody. Pomyśl: nie umieliśmy wytłumaczyć sobie ani ty, ani ja, skąd bierze się szalone podobieństwo Rośławskiego do zjawy Roberta. Same nonsensy pchały się nam do głowy. A właśnie zapiski Jacka odkryły nam prawdopodobieństwo... musisz to sobie dobrze uzmysłwić... prawdopodobieństwo nadbytowe tej zagadki ezoterycznej. To trzyma się kupy. To ma sens. Tobiasz okazał się w tym właśnie punkcie krynicą nadzwyczajnych rewelacji. Nie chciał biedak wykrztusić tych cennych wiadomości, lecz tak przyparłem go do muru...

- Hahaha! - zaśmiała się Blanka. - Że też ten mur w pańskim gabinecie, mur materialny, wytrzymał takie ciśnienie metapsychiczne! Hahaha!

- Nie śmieć się, moja kochana - upominał ją uczony - ja sam chwilami wściekam się, że skaczę koło tych obiboków zaświatowych jak pajac...

- Pssst - przestrzegła go - bez wyzwisk. Zobacz pan, że Tobiasz

odpłaci się panu za te wymyślania. Znowu rzuci panu na głowę najgrubszy tom encyklopedii!

- Ja już się z nim pogodzę. Niech on mi tylko wyśpiewa to, co wie o twoich losach i tych trzech ananasów zaświatowych.

Gwałtowny huk w kącie pokoju rozległ się momentalnie. Oboje spojrzeli zdumieni po sobie. Zdawało im się, jakby biaława smuga mignęła obok nich, po czym wypłynęła przez balkon, rozświecając się gwałtownie. Silny zapach ozonu rozpląnął się w powietrzu.

- Piorun kulisty - szepnęła Blanka, mocno zmieszana.

- Hm - mruknął uczony - byłby to piorun kulisty, żeby to nie była smuga astralna. Jeden z duchów dał nam znać o sobie, że jest i czuwa.

Podszedł do niej skupiony, uśmiechnięty.

- Blanko - prosił ją jak mógł najczulej - zgódź się na ten jeden seans. Oni są gotowi. To był znak. Od wielu dni przerwany został wszelki kontakt między nimi a nami. Ale już są! Dają znać o sobie! Chcą nam dużo powiedzieć! Blanko, zaklinam cię.

Ona aż cała wstrząsnęła się nerwowo. Opanował ją lęk nieznanym jej dotychczas. - Nie mogę! Nie mogę! - broniła się. - We mnie wszystko dygocze! Jestem chora! Całkowicie rozbita! We mnie zbudził się nieopisany strach przed tym, co może stać się ze mną. Ta niesamowita, straszna chwila, że on... Robert... Nie, nie! Za żadne skarby świata nie! Ja teraz wiem, co to może być! Ja teraz już wiem. Przedtem nie wiedziałam. Bawiła mnie sama możliwość. Brał mnie ten cud słodki, bezwiedną i tęskniącą. Teraz wiem, że moje ciało zapłaci za to straszliwie. Tamten płomień może mnie spalić doszczętnie! Bo jeśli te nasze zwykłe żądze mają w sobie potęgę piorunów... to cóż dopiero...

Uświadomiona - pomyślał Gordon z goryczą. - Już mi ktoś figla wypłatał! Zdobył ją! Teraz Blanka naprawdę się boi. Pewnie! Romans z Robertem to nie przelewki! Boi się. A to ładny kwiat!

Usiadł ciężko w fotelu. Westchnął głęboko. Rozumiał, że w takim nastroju na próżno będzie się wysilał, aby ją przekonać. Kapituluję - rzekł w duchu z rezygnacją.

Nagle błysnęła mu w mózgu idea: A więc to ten trzeci! Ten ją uświadomił! Ten ją zdobył!

Jeśli ją zdobył... otóż jeśli ją zdobył...

Spojrzał spod oka na Blankę, jakby chciał wydrzeć jej tajemnicę, tak skrętnie skrywaną.

Poznała miłość mężczyzny czy nie? Widocznie poznała! Porwała go pasja niepohamowana.

- A to łajdak in summo grado! - wybuchnął mimo woli na cały głos.

- Kto? - spytała zdziwiona.

- Ten twój ekspropriator! - Mówiąc to, bił pięścią w poręcz krzesła coraz gwałtowniej. - Już ja go dostanę w swoje ręce! Choćby się pod ziemię ukrył, już ja go znajdę!

- Ahahaha - śmiała się Blanka serdecznie - to mistrz aż tak boleje nad upadkiem Ewy? Ahahaha! A przecież to się dzieje miliony razy na sekundę!

Gordon zerwał się na równe nogi, wziął ją za obie ręce i przyciągając do siebie, szepnął cicho, aby nie spłoszyć jej zbyt ostrym głosem:

- Blanko, wyznaj mi całą prawdę, jak na spowiedzi! Czy on, ten Boemak zmaterializowany... tfy, tfy... co ja gadam... czy ten ostatni, ten tatrzański Romeo, zalał mi sadła za skórę... tfy, tfy... nie mnie... co ja gadam... to jest... czy nauczył cię abecadła erotycznego?

Ale ona konała ze śmiechu.

- Mistrzu - zaklinała go przez łzy - proszę tak pociesznie nie pleść głupstw, bo umrę ze śmiechu. Jaki Boemak? Ahahaha!

Padła na sofę i wskazując na niego palcem, wykrzykiwała:

- Otello nowoczesny! Nadbytowa zazdrość! Ahahaha!

Uczony wyłowił uchem w jej śmiechu tony takiej szczerzej naiwności, takiej beztroski, iż momentalnie powziął przekonanie, że się myli i że owa eskapada w góry skończyła się na piorunach w obłokach. Ani jeden z nich nie osiągnął jej ciała.

- No to już dobrze - mruczał zadowolony. - To już dobrze. Więcej mi nic nie trzeba, tylko twego śmiechu dziecinnego! Jesteś cudowną kobietą z innej planety - zdecydował głosem ciepłym, pełnym wzruszenia. Była to najcięższa batalia, jaką dotychczas z nią stoczył.

- A więc do zobaczenia jutro - rzekł, wyciągając do niej rękę na pożegnanie. - Będę czekał na twą decyzję z niecierpliwością. Pamiętaj o jednym, Blanko! Trzeba kuć żelazo, póki gorące...

- Nawet w świecie astralnym? - zażartowała.

- Oni tam także się spieszą. Chcą się pozbyć swej wiedzy na naszą rzecz. Tylko my nie umiemy z tego w porę skorzystać...

Nagle zaskoczyła go pytaniem:

- Wchodząc do pokoju wspomniał profesor, że jesteście ścigani. Czy mi co grozi?

- Owszem, gdybym ja nad tym nie czuwał. Dziś nie będę cię nękał tymi głupstwami. Masz ważniejszą sprawę na głowie. Możesz być pewna, że wszystkie zatrute strzały wezmę w moje ciało. Ani jedna ciebie nie dotknie!

Uścisnął jej rękę i z wolna skierował się do wyjścia.

- Panie profesorze - zatrzymał go głos Blanki.

Obejrzał się zdziwiony. Uderzyła go intonacja jej głosu. Podeszła do niego, ociągając się, jakby walczyła z myślą, która ją opamnowała.

- Mam dużą prośbę do mistrza mojego - rzekła bardzo serdecznym tonem.

- Słucham, uczynię wszystko, co będę mógł.

- Otóż... to człowiek niebezpieczny... profesor wie, o kim mówię... ten Romeo tatrzański... dlatego właśnie proszę, aby pan nie zawierał z nim znajomości. Nie umiem określić, dlaczego to poruszam... mam jednak jakąś dziwną obawę... wewnętrzny głos każe mi przestrzec pana... Jest w nim coś dziwnego... boję się go i... boję się o pana.

W oczach jej, szeroko otwartych, grały fosforyczne blaski, które zgasły po chwili. Na dnie jej źrenic dostrzegł żywiolowy lęk. Dłonie jej drżały.

Uścisnął mocno jej rękę.

- Dziękuję - rzekł z przejęciem. - To mi się przyda.

Wyszedł spokojnym krokiem, nie dając poznać po sobie, że słowa jej miały dla niego znaczenie najwyższej wagi.

Stał na schodach, próbując skupić myśli. Otworzył szeroko okno, za którym rozścielał się potężny masyw szczytów tatrzańskich.

Przymknął oczy. Zawirowały mu w źrenicach czerwone granie górskie. Zamigotały posępne tafle Pięciu Stawów...

Znieruchomiał. Zdało mu się, że świetlista smuga, która przed chwilą wypłynęła z pokoju Blanki przez balkon, wraca lekkim zwiewem ku niemu i w powietrzu tężeje coraz bardziej w kształt ludzkiej postaci...

Astral - przemknęło mu przez myśl - krąży koło nas!

Zadrzał z radości. Z zamkniętymi oczami, patrząc przez powieki wzrokiem drugim, wzrokiem wewnętrznym, którym nauczył się sekundalnie władać, śledził bieg krystalizującej się smugi.

Powoli, powoli zniżała się z przestrzeni ku ziemi, zatoczyła lekki łuk i wsiąkła w następnej chwili przez okno zamknięte na parterze do dużego pokoju.

Gordon zadrzał.

Przez zamknięte powieki dojrzał mężczyznę o atletycznej budowie, stojącego przed lustrem w kształcie gigantycznej tarczy. Krótka purpurowa tunika obciskała jego kształty. Na piersiach miał pancerz ze złotych łusek.

Dojrzał twarz. Wrył się w nią oczami, aby ją zapamiętać na wiek wieków.

W tej samej chwili zjawisko rozplynęło się jak mgła srebrna.

Gordon powoli otworzył oczy, niesłuchanie czujny i skupiony. Uśmiechnął się sam do siebie. Rzucił wzrokiem w przestrzeń. Potężne fale blasków słonecznych zalewały regle i szczyty tatrzańskie. Był pełny dzień...

Lekkim krokiem zszedł na dół. Gotów był przysiąc, iż zniosła go jakaś siła tajemnicza, która zmniejszyła ciężar jego ciała.

- Są! Są! Wracają! Po tyłu dniach wracają! - szeptał sam do siebie.

Uczucie niewysłowionej radości rozpierało jego piersi.

Muszę z nim mówić - powziął w głębi duszy nieugięte postanowienie.

XVII. NOWOCZESNY FENICJANIN

Rosławski zajechał w Krynicy do „Patrii”. W wielkim gmachu czuł się najlepiej. Mógł nikogo nie znać i sam przestawać ze sobą. A o to chodziło mu najwięcej.

Odkąd wyrwał się z murów Warszawy, pękło w nim dotychczasowe bolesne napięcie nerwowe. Miał podświadomą pewność, że odtąd popłyną inaczej jego dnie, że idzie ku nieznannej, lecz nowej całkiem treści swego życia.

Póki siedział w masie interesów swej instytucji, dopóty trzymały go w swych kleszczach wszystkie tak zwane nieodzowne względy życiowe i społeczne. Tresura, jakiej uległ w ciągu swej kariery, tresura na wskroś materialistyczna, ważąca każdy czyn ludzki wartością zysku domniemanego lub już osiągniętego, nie pozwalała mu na żadne odskoki od ustalonych norm życia. Każde wychylenie od *savoir vivre*'u groziło kompromitacją. Znajomi pokazywaliby go palcami...

Paniczny lęk przed jakimś krokiem fantastycznym lub ekstrawagacyjnym towarzyszył mu dotychczas stale we wszystkich jego poczynaniach. Dysproporcja między tym, co nazywa się trzeźwością życiową, a tym co jest fantasmagorią godną cyganów życiowych, nigdzie bardziej jaskrawo nie uwypuklała się niż właśnie w tej dziedzinie komercyjno-produkcyjnej, jakiej on się poświęcił po ukończeniu politechniki.

Szybką karierę zawdzięczał głównie swemu niezwykle czujnemu nastawieniu praktycznemu, jakie przejawiało się we wszystkich jego projektach i ich realizacji. Umiał, jak mówiono, cudownie dostosowywać się do danej koniunktury i wyciągnąć korzyści tam nawet, gdzie nikt nie mógłby się ich spodziewać. To dało mu markę biznesmena mającego szczęśliwą rękę. Wszystko mu się udaje - głośiła fama o Rosławskim.

Toteż pchali się do niego ludzie, którzy za każdą cenę pragnęli zwiększyć swój stan posiadania. Mieli to najgłębsze przekonanie, że on nigdy ich nie zawiedzie i że nawet w razie najgorszej passy jeszcze wyłąduje z minimalnym zyskiem. A o cóż może bardziej chodzić w tych niepewnych czasach jak o ten efekt ostateczny!

Skóra tresury, w którą Rosłowski porósł w ciągu swej zawrotnej kariery, chwilami mu dokuczała. Czuł się za bardzo w niej skrępowany, lecz były to tylko przemijające refleksy jego bogatej natury, która w błyskawicznie krótkich momentach przejaśnień psychicznych ukazywała mu inne strony życia i inne wartości. Przechodził nad tym zwykle z ironicznym wzruszeniem ramion.

Ale poznanie Blanki wpuściło iskry buntu w jego jaźń duchową. Zwłaszcza gdy przeczytał w pamiętniku Blanki, który mu ona kiedyś w porywie wielkiego zaufania wręczyła, zwrot bardzo ostry o sobie: „Nowoczesny Fenicjanin”, nie mógł bez sarkastycznego uśmiechu wspominać o tym, że bądź co bądź był tym Fenicjaninem i że ta cecha w oczach głębszych istot ludzkich jest straszliwym wyrokiem, piętnującym jego nicość duchową...

Znalazł również w tym pamiętniku zdanie, które utkwilo mu w głowie na zawsze. Ile razy zapadł sam w siebie, wracało wyraziste, jak rzeźbione litery na pomniku lub sarkofagu: „Śmiałabym się, gdyby pewnego razu ten Fenicjanin i ten biznesmen stateczny wziął w rękę małą walizkę obitą skórą rekina i zniknął ze swej rzeczywistości... On nie wie o tym, że w nim drzemie potęga chaldejskich kapłanów...”

Teraz, gdy błdził w Krynicy po pobliskich lasach, szły za nim te słowa jak mgły przenikliwe. Osnuwały jego istotę swymi splotami i napawały go atmosferą buntu.

W czasie nieobecności męża zajęchała do Patrii całkiem nie spodziewanie żona Rosłowskiego, chcąc przekonać się naocznie, jakie postępy robi kuracja.

W apartamencie zajmowanym przez Janusza panował wzorowy porządek. Uśmiechnęła się na ten widok. Pod tym względem mąż jej był pedantem. Wszystko na swoim miejscu! Wszystko we właściwych szufladach!

- Czy mąż mówił, kiedy wróci? - zagadnęła pokojową.

Pytanie było niewłaściwe, zadała je jednak umyślnie, aby wysondować, czy takie eskapady zdarzają się częściej choremu...

Służąca nie umiała dać żadnej odpowiedzi. Cicho wymknęła się z pokoju.

Maria postanowiła czekać na męża, choć czuła się bardzo znużona podróżą. Kazała podać flakon, do którego wstawiła pęk kwiatów zakupionych na dworcu. Wspaniałe róże śmiały się bogatymi koronami kwiecica i rozpylały subtelny zapach w pokoju. Szukała dla nich najodpowiedniejszego miejsca. Zdecydowała się postawić je na nocnym stoliku przy łóżku męża.

Wtem w półuchylonej szufladzie spostrzegła pęk kartoników o złocistych brzegach, związanych fiołkową wstążką.

Ostrożnie postawiła flakon z kwiatami. Całą uwagę skupiła na zagadkowym pakieciku. W pierwszym odruchu chciała zamknąć szufladę, lecz pokusa była zbyt silna. Szybko podeszła do drzwi, przekręciła klucz w zamku i po chwili wahania wyjęła ostrożnie tajemniczą korespondencję.

Rozwiązała wstążeczkę, po czym nerwowo przejrzała kartoniki. Było ich kilkadziesiąt. Aha, pamiętnik kobiety! Jakaś nowa znajomość Janusza. Dama, która się zwierza ze swych najtajniejszych myśli. A to ciekawe...

Z sarkastycznym uśmiechem zaczęła odczytywać jeden kartonik po drugim. Ironiczny skurcz warg zaostrzał się coraz bardziej, im dalej wczytywała się w te zwierzenia, drobnouchnym pismem notowane.

Uderzyło ją powtarzające się imię „Janusz”.

A więc to mowa o moim mężu. Z dat widzę, że znajomość dawniejsza, nie z Krynicy! To musi mieć coś wspólnego z ostatnimi wypadkami w Warszawie... Przecież to chyba nie romans! Janusz przysięgał, że nie. A więc co?

Im dalej przeglądała pamiętnik Blanki, tym większe ogarniało ją zdumienie.

Jakaś zwariowana intelektualistka! Narzuca się widocznie sama. To nie ulega wątpliwości! Wręczyła mu ten pamiętnik, aby go zainteresować swą ekscentrycznością. Że też nasza ziemia nosi na sobie takie dziwactwa! Wyraża się tak, że nie można jej zrozumieć.

Po kilku stronach lektury stwierdziła, że nieznajoma kpi w żywe oczy z jej męża.

To dziwne, że Janusz tych głupstw nie spalił. Co za tolerancja! Co za kurtuazja! Prawda! Dżentelmen nie może postępować inaczej. Dama się wymądrza, trzeba udawać, że to bawi.

Ale im dalej czytywała się w niezwykle wynurzenia Blanki, tym większy zaczął ją ogarniać niepokój. Przemawiał z tych drobnych kolumnienek pisma intelekt kobiecy bardzo żywy, interesujący i śmiały. Z dużym zadowoleniem przekonywała się, że tajemnicza osóбка wcale nie robiła zamachu na wierność małżeńską Janusza. Przeciwnie - tak jakby kpiła z jego niefortunnych zabiegów.

Nowoczesny Fenicjanin - czytała gorzkie uwagi Blanki - który dba o bogactwo domu i o najmodniejsze futro dla swej samiczki! Żona jest jego własnością! Żona jest reklamą i szyldem jego prosperity... Materialistyczny wykładnik życia na każdym kroku! W każdym poruszeniu i słowie! Janusz Rosławski, członek rad nadzorczych w różnych towarzystwach akcyjnych, znakomicie honorowany Papa w monogamicznej rodzinie! Autorytet idealny dla wszystkich osób poszukujących dochodów, a w gruncie rzeczy skamieniała indywidualność pod względem twórczo-duchowym! Atmosfera domowa i specjalna, w której egzystuje, to tłok podobny ciśnieniu warstw geologicznych, pod którymi żywy, buchający życiem las zamieniał się w użytkowy węgiel.

Pani Maria obraziła się za męża, za siebie i za swoich znajomych.

- Błaźnica! - wykrzykiwała mimo woli. - Janusz powinien dać jej nauczkę taką, żeby się jej odechciało krytykować i wyśmiewać najświętsze sprawy! Przecież ona kpi sobie z jego pozycji socjalnej! Kpi z rodzinnego życia! Ze mnie! Proszę! Co za cnota intelektualna! Ona jest wyzwolona z żądz ziemskich! Ona się nie oddaje! Ona czeka na cherubina z nieba! W takim wypadku każda kobieta musi rozgrzeszyć swego męża!

Postanowienie zemsty dojrzało w pani Marii jak jabłko w upalne dni sierpniowe. Sprawa przedstawiała się dla niej zupełnie jasno. Autorka pamiętnika sama wyjęła się spod kodeksu towarzyskiego i winna być ukarana w sposób jak najbardziej dotkliwy.

Niech Janusz pobawi się z nią jak za kawalerskich czasów. Ona, Maria, w tym wypadku nie ma nic przeciwko temu. Nie będzie w tym żadnej zdrady małżeńskiej. Ona sama powie potem w oczy tej zwariowanej kobiecie, że to, co się stało, stało się za jej zgodą. To będzie jej zemsta!

Taką to jadowitą ideę wylęła pani Maria w swej pięknie ondulowanej główce. Prysnęła zazdrość, a z nią i wszelkie względy etyczne.

Czekała na powrót męża z niecierpliwością. Rozmówi się z nim szczerze i z góry go rozgrzeszy.

Czy on się ucieszy? A jeśli się ucieszy? Pozwolić czy nie pozwolić? - hamletyzowała w rozterce wewnętrznej.

W tym momencie otwarły się drzwi i służba wniosła na rękach Rosławskiego, po czym ostrożnie położyła go na sofie.

- Co się stało? - zapytała pani Maria, mocno zaniepokojona.

Wygi hotelowe spojrzały po sobie, po czym jeden z nici wynużył opinię swoją i kolegów:

- Pan dyrektor trochę się zabawił. Powietrze było wilgotne, bo to lało w nocy niemilosiernie! Zaczem takie zabezpieczenie alkoholowe przed reumatyzmem to rzecz zdrowa.

Krótki gest pani Marii zahamował dalsze wywody specja hotelowego.

- Czy rozebrać pana dyrektora? - padło oficjalne pytanie starszego kelnera.

- Nie trzeba!

Służba opuściła pokój.

Pani Maria zła, a po części rozśmieszona, natarła skronie mężowi wodą kolońską. Wreszcie dała mu powąchać amoniaku z pewną dozą złośliwości.

Poskutkowało. Rosławski otworzył oczy, poznał żonę i momentalnie zaczął trzeźwieć.

- Maryś! To ty? Przyjechałaś?

- Jak widzisz. Ładnie się prowadzisz, nie ma co. Nie robię ci wyrzutów. Można się naprawdę zapomnieć, gdy jest się bombardowanym różnymi głupstwami przez zwariowaną anarchistkę.

Janusz otworzył oczy jeszcze szerzej. Nic nie rozumiał.

- O jakiej anarchistce mówisz? - zapytał zdumiony.
- Zostawiłeś na wierzchu pakiecik kartoników - tłumaczyła mu Maria. - Wiesz, tych związanych fiołkową wstążeczką. Sądziłam w pierwszej chwili, że to moje bazgroty, bo ja także pisywałam do ciebie na takich arkusikach złożonych na brzegu, więc przeczytałam...

- Pomyślałeś od razu, że romans!

- Ależ ani przez chwilę! Przecież ona kpi z ciebie bezgranicznie. I ze mnie także.

- A tak, kpi. I co? Zrozumiałaś, o co chodzi tej anarchistce?

- Zrozumiałam. Przecież na tyle jestem inteligentna, żeby rozróżnić plewy od sensu. Nie przeczytałam wszystkiego, lecz gotowa jestem przysiąc, że ona albo jest lesbijką, albo propaguje nudyzm. Czy tak? Zgadłam?

- Zgadłaś. Co do joty!

- Co myślisz zrobić?

- Nic.

- Nic? - zdziwiła się. - Przecież tego tak zostawić nie możesz. Ona leci na ciebie najwyraźniej. Udaje, że kpi, ale leci! Taki jej fason.

- Sądzisz? - mruknął, nie wiedząc, do czego Maria zmierza. Miał się na ostrożności. Miał jeszcze świeżo w pamięci jej ostatnie wybuchy zazdrości.

- Czy to ta, która się topiła? - zapytała.

Udał, że nie słyszy pytania. Maria powtórzyła obcesowo:

- Czy to ta, która się topiła?

- Moja droga - zaatakował ją Rosławski. - Przecież widzisz, że wypilem trochę więcej niż zwykle. Nie poruszaj tej makabrycznej sprawy. Ogółem nie rozumiem, o co ci chodzi. Znowu zazdrość?

Maria zaśmiała się na cały głos.

- Zazdrość? O kogo? O tę histeryczkę napompowaną filozofią od siedmiu boleści? Hahaha! Ty mnie nie znasz. Powinieneś raz zrozumieć, że o taką kobietę nie mogę być zazdrośna. Przeciwnie!

Daję ci carte blanche! Rób z nią, co ci się podoba. Z góry cię rozgrzeszam. Takiej należy się dobra lekcja poglądowna. Taką ty i

twoi koledzy powinniście ściągnąć z obłoków i nauczyć, jak się chodzi po ziemi... z Adamem pod pachę. Janusz aż podniósł się na sofie.

- Mówisz to serio?

- Jak najbardziej! A ty myślałeś, że zrobię ci awanturę? O każdą inną, ale nie o nią. Wystarczyło przeczytać niewiele tych kartoników, aby poznać, co to za typek. Wamp uduchowiony! Taka mnie złość porwała na te górne frazesy, że ja sama, gdybym była mężczyzną, to bym jej dała taką szkołę, że no! Ona wykpiwa moje futro! I że się o to troszczysz! Ona nazywa cię Fenicjaninem! Ja bym jej oczy wydrapała!

Rosławski opadł na sofę i zaczął się śmiać do rozpuku.

- Zrozumiałaś ją na wylot! - wykrzykiwał. - Pojęłaś dokładnie! Hahaha! Ona śmiała wykpić twoje futro! Co za bezczelność! Hahaha!

Maria oburzyła się na serio.

- Nie żałowałaś sobie koniaku! - napadła na niego znienacka. - Ogromnie przez to zmądrzałaś! Co za ironia! Jaka swada! O, ty ją zrozumiałaś, jak widzę, na wskroś! Połknąłeś jej mądrości jednym haustem i leżysz plackiem przed tą wizjonerką! Gratuluje, ale nie zazdroszczę!

- Hahahaha! - zanosił się spazmatycznym śmiechem. - Moja rodzona żona daje mi carte blanche! Hahaha!

Pani Maria zaniemówiła. Szyderstwo Janusza, wyrażone w tej formie, ugodziło ją do żywego. Nie tylko nie przyznawał jej racji, lecz drwił z niej niemilosiernie, choć miała najlepsze intencje i ujmowała się za jego honorem...

Jak pantera skoczyła do niego i rzuciła mu w twarz obelgę:

- Błazen!

Rosławski znieruchomiał. Ten jeden wyraz sprowadził go na grunt rzeczywistości. Tak! Tak! Jest tylko błaznem!

Przebiegł błyskawicznie w mózgu wszystkie fazy, jakie przeżył ostatnio. Pospolitość! Pospolitość!

Spojrzał na żonę, która obrażona usiadła przy otwartym oknie.

Zamknął oczy. Dyszał ciężko.

- I cóż? Wytrzeźwiałeś? - rzuciła Maria po dłuższym milczeniu.

Nie usłyszała odpowiedzi. Rosławski nie mógł zdobyć się na żadną. Dyskusja z żoną doprowadziłaby do bardzo śmiesznych konkluzji. Nie czuł się na siłach, aby ją wszczynać. Te dwa fronty! Jeden, na którym on żeruje i inni jemu podobni, i ten drugi front, koło którego zaledwie się prześliznął i zachłysnął przez moment jego atmosferą, te dwa różne światy, które nie mają ze sobą nic wspólnego.

Zatem milczeć! Milczeć!

Ale Maria domyślała się, że Janusz błędzi wyobraźnią w tej dziedzinie, której perspektywy przemknęły przed jej oczami przez tę krótką chwilę, kiedy czytała pamiętnik Blanki. Miotła ją wewnętrzna pasja, że właśnie te chorobliwe majaczenia miały przystęp do jej męża, którego uważała za ideał realistycznego, trzeźwego sposobu myślenia.

- Słuchaj, Januszu - odezwała się przyciszonym głosem - wiem, że jesteś przemęczony nerwowo i że powinnam unikać wszelkich niepotrzebnych dyskusji z tobą. Przepraszam cię nawet za to, że uniosłam się gniewem. Ale nie chcę, abyś wyobrażał sobie, że tylko takie zwariowane damy, jak twoja znajoma z mostu, myślą głębiej. Ja także zastanawiałam się nieraz nad problemami życia...

Rosławski drgnął. Przechylił głowę w jej stronę, aby lepiej słyszeć te niespodziewane wynurzenia.

- Ty nad problemami życia? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak, mój drogi. A wiesz, do jakich doszłam konkluzji?

- Do jakich?

- Że wartość człowieka, czy chcemy, czy nie, wyraża się w tym, co potrafi zdobyć realnie! Naocznie! Sam w życiu przekonałeś się o tym po tysiąc razy. Ty znaczysz tylko tyle, ile posiadasz! Na ile ciebie cenią. Tamto, o czym ta dama myśli i co ty teraz rozważasz, to zabawa w mądrość, której nikt jeszcze nie rozgryzł. Po co więc tam się tłuc, gdzie się jest intruzem? Mamy kanony religijne i to nam powinno wystarczyć! Świętym Augustynem nie będziesz... musisz zadowolić się tym, co mądrzejsi od nas przemyśleli i nam jako objawienie podali.

Zdumiał się. Nie przypuszczał, że Maria, której zmysł realny

wysoce cenili, potrafi logicznie i konsekwentnie określić swoją postawę rozumową wobec głębszych zagadnień, wiążących się z życiem ludzkim. To, co mu teraz oświadczyła, była to twarda, zimna, naturalistyczna prawda, która przedstawiała stan rzeczy taki, jaki panuje powszechnie na powierzchni zjawisk. W głąb ich nikt schodzić nie chce, zostawiając wszystkie niepokoje przed bramami wiary objawionej.

Zbudził się w nim bunt człowieka, który zaczął myśleć niezależnie.

- Wielkość religii, zdaje mi się - dowodził - na tym polega, aby prawdy przez nią przewidziane i głoszone potwierdziła wiedza nie ta sucha, formalistyczna, lecz ta żywa, twórcza. Przyznasz chyba, że wspaniałe odkrycia astronomii powiększają wielkość Stwórcy, a nie pomniejszają jej bynajmniej...

- Nie będę na ten temat z tobą dyskutowała, bo to zaprowadziłoby nas za daleko. Wiedza co innego, a chorobliwe majaczenia co innego. Ty na tym polu nic nie odkryjesz. Jak widzę, to ta dama głębiej ci wpadła w serce, niż przypuszczałam, a to zmienia postać rzeczy. W takim razie będę musiała domagać się, abys odkrył mi jej incognito.

- Ależ Marysiu, ja jej na oczy nie widziałem od dłuższego czasu...

- Wozisz ze sobą jej pamiętniki!

- Mogła okazać się nagle potrzeba, aby zwrócić je komuś z rodziny lub jej samej, jeśli się zgłosi.

- Ona się zgłosi osobiście do ciebie! Na pewno! - oświadczyła Maria. - Wobec tego pytam się, to jest chcę wiedzieć z góry, czy masz zamiar dalej podtrzymywać tę znajomość, czy też ja ją mam zlikwidować?

- Ty? A w jaki sposób?

- W taki, że powierzysz mi te pamiętniki i w razie jeśli się zgłosi, odeślesz ją do mnie. Czy zgadzasz się na takie załatwienie sprawy?

Rosławski struchlał. Znał porywczosć żony. Wiedział, że nie licząc się z żadnymi względami, może potargać pamiętniki Blanki i rzucić je do kosza. Na samą myśl o tym gniew go porywał. Nie dał jednak poznać po sobie, że takie myśli przychodzą mu do głowy.

- Pomówimy o tym kiedy indziej - odezwał się, ziewając przeciągle. - Przecież widzisz, że koniak dał mi radę. Kiepsko kombinuję. Może masz rację, może nie masz... Ach, żebyś wiedziała - postanowił skierować rozmowę na inne tory - jaki był śmieszny ten nasz ginekolog z Warszawy, wiesz, ten, który był przy naszych dzieciach. Upił się jak bela... hahaha! Pomyśl! Płakał, że tyle dzieci wyprowadził na świat, a dotychczas nie może rozgryźć zagadki, skąd się biorą dzieci! Ahahaha! Skąd się te dzieci biorą! Ahahaha!

- Przecież nie jest aż takim idiotą, żeby stawiać podobne pytania! Zmyślasz bajki, byle tylko nie mówić ze mną o tamtej sprawie!

- Ależ Marysiu, mylisz się. Nasz ginekolog wcale nie jest takim idiotą, jak myślisz. Jemu nie chodzi o to, skąd się biorą dzieci w sensie fizjologicznym, tylko o tajemnicę istnienia ludzkiego... o ten problem najwyższy... o te zdumiewające sprawy...

- Przestań! - przerwała mu gwałtownie. - Powiedziałam ci już raz! Zagadki zostaw do rozwiązywania szaleńcom. Twój mózg i doktora Fulskiego nie ma w tej dziedzinie nic do roboty. Dla takich istot jak my istnieją kanony objawione i to musi mnie i tobie wystarczyć. Zresztą ty jesteś i tak niedowiarkiem i na ten temat nie mamy ze sobą co gadać. Powiedziałam ci już raz: twoim celem w życiu jest zebrać jak największy majątek dla nas i dla naszych dzieci... mówiłeś to sam...

- Hahaha! - śmiał się ironicznie Rosławski - jak największy!

- A tak! Albo ty go zbierzesz, albo kto inny, który go tobie zabierze! Takie jest prawo życia! Nie wymyślisz nic mądrzejszego!

- Czyli wyznaczasz mi karierę Fenicjanina... a tak się oburzałaś!

- Nieprawda! Nie Fenicjanina! - protestowała. - Fenicjanin to szachrajstwo, a ja ciebie do tego nie namawiam!

- Ten jak największy majątek - bronił się - jeśli nie jest szachrajstwem, to jest zawsze czyjąś krzywdą!

- Trudno! Jednym Bóg daje mało, drugim dużo. Takie jest prawo naszego niedoskonałego życia - dowodziła Maria. - Jeśli nie znasz tego, którego krzywdzisz, to cię reszta nie obchodzi. To już zło, które idzie trop w trop za ludzkimi działaniami. Jest to następstwo

grzechu pierwородnego. Dlatego ty masz siac, aby moc zbierac
Masz siac jak najwiecej, aby cie inni nie ubiegali i twojej czastki nie
zabrali.

Roslowski milczal. Wywody Marii uprzytomnily mu jaskrawo,
ze oboje sa ulani z innej materii. On nalezy do zjadaczy chleba, lecz
burzy sie i przez to jest inny. Pokutuje w nim jakaś przedziwna
rozterka, która przedstawia mu konieczności życia w innych wy-
miarach... w kształtach wybiegających poza rzeczywistość bieżącą.

Przez mózg jego przemknęło wspomnienie snu, który kilka razy
powtórzył się w jego młodzieńczych latach, a ostatnio wystąpił
obrazowo jako zjawia. Leżał w lesie, a przez zielony witraż rozsło-
necznionej sosny dojrzał siebie w całkiem innym otoczeniu...

Uśmiechnął się sam do siebie. Miał wrażenie, jakby odkrył
szczerozłotą drobinę prawdy, której dotychczas nie dostrzegł na
swej drodze.

Snuł myśli: dwa różne światy - ja i Maria. Nie mamy sobie nic
więcej do powiedzenia.

Błyskawiczny pęd myśli urwał się. Roslowski wyczuł z przeni-
kliwą mocą, że od tej chwili oni oboje są dla siebie po raz pierwszy
całkiem obcy!

Myśli Marii biegły w innym kierunku. Podświadomie wyczuła,
że w mózgu jej męża pokutuje myśl o pamiętniku. Postanowiła
rzucić wszystko na jedną kartę. Nieraz już udało jej się sterroryzo-
wać Janusza. I tym razem powinna wygrać.

Szybkim ruchem podniosła się z krzesła, otworzyła szufladę,
wyjęła lekceważącym gestem pakiecik kartoników, związanych
fiolkową wstążeczką, podeszła do męża, po czym wycedziła swoje
imponderabilia życiowe:

- Przypuszczałam, że dojdziemy łatwo do porozumienia, lecz
widzę, że wsiąknąłeś w atmosferę tej pani bez reszty. Trudno! „Za-
chłystujesz się duchowo”, jak doskonale to zdefiniował jeden z
mądrzejszych publicystów. Ale cię ostrzegam, że to wsiąkanie w
obcą zupełnie dla ciebie atmosferę ezoteryków... nie śmieję się...
skończy się dla ciebie fatalnie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że to jest, jak czytałam, haszysz psychiczny, który truje duszę tak jak opium nerwy. Przeżyłeś już jedną katastrofę, nie wiem bliżej jaką, lecz przeżyłeś. Zaklinałeś się, że nic nie zawiniłeś, a pomimo to wpadłeś. Strzeż się, abyś nie wpadł całkiem.

- Czy to wszystko, co miałas do powiedzenia?

- Nie, muszę ci wyłożyć bez ogródek, co myślę! Nie po to opuściłam pierwszego męża dla ciebie, aby paść teraz ofiarą twego „zachłystywania się duchowego”. Ani mi się śni. Przy tobie mam taką pozycję towarzyską i społeczną, jaką miałam przy pierwszym mężu. Nie myślę nic z tego utracić.

Janusz rzucił niespokojnym wzrokiem na palce żony, w których kołysał się nerwowo pakiecik kartoników, związanych fiołkową wstążką.

Pani Maria pochwyciła przelotny błysk oczu męża i odgadła jego intencję.

- Nie przypuszczaj - odezwała się ironicznie - że urządzę ci jakąś spazmatyczną scenę lub potargam te idiotyczne kartki... choć mogłabym... ale dlatego właśnie, że traktuję tę sprawę bardzo poważnie, nie uczynię tego. Proszę, oddaję ci do dyspozycji te egzotyczne kartki.

To mówiąc, podała mu pamiętnik Blanki z gestem wielkiej nonszalancji.

- Dziękuję ci - rzekł Rosławski, szybko chowając pakiecik do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Muszę przyznać, że zrobiłaś wielkie postępy w kierunku tolerancji.

- Mylisz się - przerwała mu suchym głosem - żadnej tolerancji! Wybij to sobie z głowy! Po prostu nie mam zamiaru przywiązywać żadnej wagi do drobiazgów. Natomiast musimy porozumieć się w sprawie dalszego ciągu twojej ezoterycznej eskapady.

- Marysiu, nie przesadzaj!

- Mów, co chcesz, ja wiem swoje, a właściwie ja to wyczuwam. Być może, że między tą damą a tobą jeszcze do niczego nie doszło, to jednak nie ma znaczenia. „Nie było winy materialnej - jak powiada głośny Russell - ale była stokroć większa wina moralna”.

Odszedłeś ode mnie od dłuższego czasu. To jest fakt, którego nie przeinaczają żadne tłumaczenia. Mam męża, a nie mam męża. Jestem jednak dość młoda, aby upomnieć się o swoją krzywdę. Stała się nad nim z rozbłyśniętymi żenicami.

- Ja - oświadczyła głosem wzburzoną, lecz jeszcze opanowaną - nie mam zamiaru sprawić sobie kochanka oficjalnego, choć może na to czekasz. Mogłabym, lecz nie uczynię tego. Już wyrosłam z romantycznych porywów. Dlatego żądam od ciebie...

Zawiesiła głos, aby jak najostrzej zdefiniować swoją decyzję.

- Abyś - kończyła Maria swoją filipikę - całkowicie wrócił do mnie, abyś przestał tłumaczyć się wyczerpaniem nerwowym i fizycznym. Tu na kuracji potrafisz, jak widzę, mocno protegować Bakchusa. Abyś stał się na nowo stuprocentowym Adamem! Nie po to wysłałam za mąż, żeby uprawiać ascezę małżeńską! A więc?

Rosławski zamknął oczy. Przyznawał żonie całkowitą rację, lecz jakaś przemożna siła zamykała mu usta. Dziwny, podskórny wstyd obiegał go dreszczem, że takie sprawy omawia się tak otwarcie, bez osłonek, jak transakcję kupiecką na towar, będący w obiegu. Czuł swoją śmieszność, bo przecież takim językiem nawykł pospolicie mówić, a teraz budzą się w nim dziwaczne skrupuły, subtelne zastrzeżenia, niemające życiowego sensu...

Nie mógł jednak pokonać wewnętrznego oporu, wobec tego milczał.

- Jak widzę, nie masz mi nic do powiedzenia - odezwała się znowu Maria. - Doskonale! Nie potrzebujemy wzajemnie się łączyć. Ty odszedłeś ode mnie i masz zamiar tak dalej postępować. W takim razie dowiedz się, że ja ani myślę ustępować z placu. Mam do ciebie wszystkie prawa. Mam nawet podwójne, bo wyrwałeś mnie z mojego środowiska, w którym było mi dobrze, i poślubiłeś mnie, przyrzekając złote góry. Odsunąłeś mnie od pierwszego męża, który był dżentelmenem w każdym calu, wprawdzie głupim, lecz dżentelmenem. Dlatego nie pozwolę ci bawić się w duchowe flirty. I zabronię tej damie utrzymywać z tobą jakikolwiek kontakt. Rozumiesz?

- Mniej więcej tak - rzucił przez ramię szorstką odpowiedź.

- A teraz do rzeczy - to mówiąc, wzięła krzesło i usiadła naprzeciw

niego, aby patrzeć mu prosto w oczy. - Oddałam ci pamiętnik tej zwariowanej osobki. Wszak tak?

- Przecież podziękowałam ci serdecznie...

- Całkiem niepotrzebnie. Bo musisz za mój krok, pełen poświęcenia, uczynić również odpowiednią ofiarę.

- Najchętniej...

- Zagalopowałeś się, kochanie. Zbyt chętnie tego nie zrobisz...

- O co ci chodzi?

- Abyś, mój drogi - wycedziła słowo po słowie - dał mi adres tej damy. Pomówię z nią jak kobieta z kobietą...

Rosłowski zdrętwiał. Podniósł się powoli na sofie, oparł na łokciach i spojrzął na żonę.

- Po co? - spytał. - Ty nie masz jej nic do powiedzenia. Ty i ona to dwa różne światy. Żadnych stycznych. Możesz tylko uczynić krzywdę komuś, kto... jest... zjawiskiem niezwykłym... dalekim od wszelkiej naszej podławej etyki. Słyszałaś, co powiedziałem? Od naszej podławej etyki! Od tej naszej wspólnej, codziennej, w której wymienia się wszystkie wartości duszy za umówioną cenę zysku, w której kupuje się sumienie i honor zależnie od wymagań... za groźsze albo za tysiące, albo za setki tysięcy! Honor i sumienie, nawet miłość!

- Daj mi jej adres! - syknęła Maria. - Ja jej krzywdy nie zrobię. Kobiety porozumieją się zawsze tam, gdzie głupota mężczyzn przegrywa. Daj mi jej adres!

Janusz opadł na sofę ciężko, bezwładnie, lecz z jego zaciętych ust nie padło ani jedno słowo odpowiedzi.

Maria krążyła chwilę po pokoju jak rozdrażniona pantera, od czasu do czasu zatrzymując się w pobliżu męża. A gdy on w dalszym ciągu na żadne jej zapytania i groźby nie odpowiadał, oświadczyła zdławionym głosem swoje bezwzględne postanowienie:

- Ani na chwilę nie wyobrażaj sobie, że ja ustąpię z mego domu lub pozwolę, abyś ty opuścił nasz dom. Moich praw do domu, losu, który mam prawo mieć jak najlepszy, nie zrzeknę się za żadną cenę, nawet za miliony...

Rosłowski drgnął. Duch opozycji podniecił go.

- Za ile milionów? - rzucił niespodziewanie pytanie hałaśliwym głosem.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Nie rozumiem!

- Pytam serio. Za ile milionów dasz mi wolność? Płacę każdą cenę. Namyśl się od razu! Jutro może być za późno. Jutro moja wolność będzie miała niższą cenę. No więc za ile milionów porzucisz to uprzywilejowane stanowisko przy mnie?

Maria mieniła się na twarzy. Nienawiść, błysk wielkiej fortuny, własne życie w nowych blaskach, jeszcze świetniejszych niż dotychczas przerzucały ją od jednego nastroju do drugiego. W myślach szalała. Ach, żeby móc wiedzieć, ile jest w tym prawdy, a ile szaleństwa Janusza?

- Przecież ty nie jesteś tak bogaty - słowa wydarły się jej z gardła niskim altowym głosem.

Zamieniła się cała w słuch.

- Mam w angielskich bankach duży majątek w funtach szterlingach.

Oniemiała.

- Nie mówiłeś nigdy...

Zżerała ją nerwowa gorączka.

- Jak to, Januszu, ty masz tak wielki majątek? Ty mógłbyś...? Ja nie wiem, co odpowiedzieć... ja tracę świadomość... Jeżeli tobie wolność naprawdę tak potrzebna, jeżeli od tego zależy twoje szczęście... przecież i tak możemy się widywać. Przecież taka rozłąka dwojga najlepszych przyjaciół jak my może mieć nawet duży urok. Ja... ja po prostu nie wiem, nie jestem w stanie panować nad moimi myślami... ja... ja...

Wybuchnęła nerwowym płaczem. Upadła przed nim na kolana. - Januszu! - wołała obejmując go za szyję. - Ty wszystko możesz ze mną zrobić, co tylko ci się podoba. Nigdy nie stałam ci na zawadzie, ale... jak mam to sobie wyobrazić? Jakie to miliony? Jak to chcesz, najdroższy, urządzić? Czy u rejenta?

Zamknął powieki. Usłyszał odpowiedź przeraźliwie jasną. Spodziewał się jej, lecz mniemał, że nie usłyszy jej tak wprost z ust Marii. Może dopiero po dłuższym namyśle...

Wzgarda wstrząsnęła nim do głębi. Nie do Marii - ona jest przecież tylko produktem - ani lepszym, ani gorszym od innych - zakładania powszechnego. Ale ta rzeczywistość, w której ona i on, i wszyscy jego znajomi tkwią po gardła jak w lepkiem, grząskim, ohydny bagnie, szarpnęła jego jestestwem aż do bólu.

W jednej jaskrawej sekundzie zdemaskowała się cała ta wyniosła, ceniona, wspaniała kultura życia współczesnego.

Uwolnił się od jej uścisków powoli, lecz bezwzględnie. Potem spojrział jej przenikliwie w oczy.

- Tak, Mario - syknął - nasz świat jest na wskroś podły. Można w nim wszystko kupić, zależnie od ceny i od wymagań. Wszystko! Nawet miłość, tak twoją, jak moją. Słyszysz? Ja także nie oszczędzam siebie... mówię tylko straszliwą prawdę. A mogę mówić dlatego, że otarłem się o ten inny świat, „zwariowany”, w którym pieniądź nie ma żadnej wartości... ani moralnej, ani duchowej. U nas ma i materialną, i duchową, i moralną. Hahaha! I ty mówisz tylko to, co my wszyscy czujemy! Bo u nas można wszystko kupić! Hahaha!

Patrzyła na niego z rosnącą wściekłością. Czekwała na to ostatnie słowo, które uderzy ją w głowę jak obuch ciężkiej siekiery...

- No mów! Mów! - wyrzucała ze zduszonego gardła poszarpane słowa. - Mów tę całą twoją prawdę!

Zaśmiał się nerwowo.

- Marysiu - westchnął - przecież ja nie mam żadnych milionów...

Nastąpiło długie, fatalne milczenie. Ona dyszała, jakby ją pudami przywalono do posadzki. Krew uderzyła jej do głowy. Czowała na swej twarzy setki policzków, tysiące policzków piekących.

Janusz wydarł z jej jestestwa najohydniejszą prawdę, do jakiej nigdy by się nie przyznała. Jakiej istnienia w swej duszy nie przypuściłaby jeszcze przed pięcioma minutami.

Zerwała się blada na równe nogi.

- Błazen! Nikczemnik! Nędznik! Szantażysta! Podły komediant! - wyrzuciła z siebie potok obelżywych słów.

- Ależ tak, tak - potwierdzał jej wyzwiska, doprowadzając ją

przez to do tym większej wściekłości. - To wszystko mało, co mówisz. Nie ma tak silnej obelgi, która by mogła napiętnować dość mocno naszą nicość... takich osób jak ty, jak ja i nam podobni.

Otarła łzy, które płynęły ze złości, po czym oświadczyła krótko:

- Skoro nie możesz stworzyć mi tego lepszego bytu, za jaki chciałeś kupić mój ból, zostanie wszystko tak, jak jest. Przysięgam ci, że ta szantażystka ezoteryczna nie potrafi odpędzić mnie od ciebie. Będę walczyła do upadłego o moje szczęście i o szczęście moich dzieci. Ty mnie jeszcze nie znasz! Zadrwiłeś sobie z moich uczuć w sposób okrutny, lecz to nic nie szkodzi. Teraz wiem, że muszę walczyć bez pardonu i bez litości! Niech ona się strzeże! Taka kobieta jak ja, doprowadzona do rozpacz, waży się na wszystko! Zapamiętaj to dobrze!

Ciemny błysk w jej oczach mówił więcej niż słowa.

XVIII. NIEBEZPIECZNE DROGI

Po wielu usilnych staraniach majora, aby widzieć się i rozmówić z Blanką, gdy ani listy, ani prośby za pośrednictwem pani Heleny nie skutkowały, postanowił Jawicki użyć podstępu, aby wdrzeć się do jej pokoju.

Porywała go głucha złość, że tak niefortunnie zakończyła się eskapada do Pięciu Stawów. Płomienie, które go ogarnęły wówczas, gdy trzymał ją w swych objęciach i scałowywał z jej ust upajający czar, nie wygasły w nim ani na chwilę. Przeciwnie - im dłużej trwała walka o to, aby zdobyć choć minutę rozmowy z nią sam na sam, trawiła go coraz większa gorączka rozdrażnionych zmysłów.

Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Wybuchał z lada przyczyny. Stał się niezdolny dla otoczenia i opryskliwy tak dalece, że nawet osoby z nim zaprzyjaźnione zaczęły go unikać.

On, zdobywca tylu kobiet, z których prawie żadna nie oparła się jego atakom, prowadzonym z mistrzowskim znawstwem duszy kobiecej, został przez Blankę pobity na głowę.

Ale nie tylko pobity. Po prostu wzgardzony i potępiony bezapelacyjnie, choć część winy na nią również spaść winna. Wszak to ona w czasie owej pamiętnej nocy wyzywała go do najśmielszych kroków.

Jeśli później cofała się, to już rzecz jej kaprysu, lecz tym bardziej nie wolno pomiatać nim, jeśli on padł ofiarą wyrafinowanej zabawy z jej strony.

Ale czy była to tylko zabawa? - zadawał sobie po tysiąc razy pytanie.

Mysł o tym nie dawała mu spokoju. Dałby dziesięć lat życia, aby móc się przekonać, że tylko to jego przekłete potknięcie się i wytrącenie jej z transu erotycznego, w którym poddawała się całkiem jego władzy samczej, było przyczyną klęski.

Budził się, nieraz w nocy jak szalony i z tą jedną roziskrzoną myślą, aby za każdą cenę wdrzeć się do jej pokoju, wybiegał ze swego numeru do ogrodu i całymi godzinami krążył pod oknami jej sypialni, które majaczyły na trzecim piętrze, jak cela zaczarowanej nimfy w wysokiej baszcie.

Porwać ją i uciec na koniec świata! - zrywał się w nim krzyk buntu.

Bywało, że pił do późna w nocy i właśnie kiedy zabawa w licznym towarzystwie dochodziła do szczytu napięcia, on nagle posepniał, porywał za kapelusz i zniknął wszystkim z oczu.

Kobiety zaczęły szeptać sobie na ucho, że major popadł w ciężką melancholię na tle chorobowym i że o tym nie można mówić inaczej, jak tylko bardzo dyskretnie.

Opinia nieosobowa wydała na niego wyrok nieubłagany, „z przyczyn dyskretnych niebezpieczny”.

Zaczął go powszechnie unikać.

Opanowała go nieodparta myśl, aby bezwzględnie rozmówić się z Blanką w cztery oczy.

Rozumiał, że tylko przez podstęp będzie mógł to osiągnąć. Postanowił przede wszystkim zbadać teren. Drzwi prowadzące do pokoju Blanki były przedostatnie na korytarzu trzeciego piętra. Obok jej sypialni znajdował się pokój letniczki, która spędzała całe noce na dancinach i dopiero nad ranem wracała do domu. Tak z pokoju Blanki, jak i jej sąsiadki prowadziły drzwi na wspólny balkon, przedzielony dość wysoką przegrodą. Wystarczyłoby dostać się do pokoju sąsiadki, aby następnie przez balkon wdrzeć się do sanktuarium Blanki.

Przesadzę przegrodę z pewnością - upewniał sam siebie.

Ach, jedna noc w jej objęciach i choćby potem zginąć!

Białe wilcze zęby wychyliły się spod jego warg w drapieźnym uśmiechu.

Przez znajomego w Warszawie kazał nadać depezę do siebie, aby natychmiast przyjechał, ponieważ brat jego ciężko zachorował i jest już w agonii. Otrzymałszy telegram, podrzucił go umyślnie w czytelni tak, aby cały pensjonat dowiedział się, że on bezwzględnie musi wyjechać przynajmniej na kilka dni.

Liczył na to, że wiadomość o tym dotrze przez służbę do Blanki, która nie wychodzi obecnie tylko dlatego z pokoju, aby się z nim nie spotkać.

Ze względu też na niego ta dumna istota ma się na baczności i pewnie zamyka na noc pokój od balkonu, choć mieszka na trzecim piętrze.

A tak, być może, zapomni o tej ostrożności, dzięki czemu on będzie mógł wtargnąć do jej sypialni.

Postara się również o to, aby pokojowa z trzeciego piętra widziała go pogrążonego w rozpacz i wyjeżdżającego. Tego samego dnia w nocy niespodziewanie wróci.

A potem niech się dzieje, co chce! On gotów jest nawet kulą rewolwerową skrócić swoje życie! Dla tej jednej chwili szaleństwa i posiadania cudu warto wszystko poświęcić...

*

Profesor Gordon zamknął się z Jackiem w swym pokoju i odbywał z nim nieustanne narady. Dzięki asystentowi zebrał wszystkie informacje o przebiegu wycieczki do Doliny Pięciu Stawów i o osobach, które brały w niej udział.

Zacierał ręce z radości, bo intuicja, jak mu się zdawało, nie myliła go i w tym wypadku.

Jakiś tajemniczy splot wiązał osobę Blanki z majorem Jawickim, który towarzyszył jej przez całą drogę na wycieczce, siedział z nią przy ognisku...

A potem ta nagła ucieczka Blanki... bo to musiała być ucieczka, skoro z inną grupą nieznaną jej bliżej wycieczkowiczów wróciła do Zakopanego. I to jej obecne unikanie majora!

Teraz trzeba było dopaść Jawickiego i zawrzeć z nim znajomość.

- Co to za człowiek? - powtarzał często pytanie wśród rozmów z Orwiczem lub nawet sam do siebie.

Ta myśl nie dawała mu spokoju. Musiał rozgryźć wszelkie wątpliwości.

Jacek nieustannie wypadał na teren pensjonatu, aby stwierdzić, czy nie zaszły jakie pomyślne okoliczności, które pozwolą profesorowi zaskoczyć Jawickiego i wysondować jego zamiary.

- Co to za człowiek? - rzucił swoje zwykłe pytanie, patrząc przenikliwie w oczy Orwicza, jakby z jego źrenic chciał wyczytać jakieś bliższe dane. - Wszak pan go widział wczoraj...

- Przelotem, panie profesorze. Przez mgnienie oka. Spieszył się jak do pożaru. Wpadł do swojego pokoju na moment, napisał kartkę i znów wypadł jak huragan. Wsiadł do taksówki i tyle go widziałem.

- To bardzo mało. Bardzo mało. Trzeba było potknąć się Wpaść mu pod nogi, narobić krzyku, a ja byłbym nadbiegł i uciął z nim rozmowę. Pan wie, że mi niewiele trzeba.

- Wiem, panie profesorze, lecz z tego nic by nie wyszło. On by mię kopnął i uciekł. To człowiek bezwzględny!

- Kopnął? Brawo! Miałby pan prawo tym bardziej go przytrzymać. Proszę! On by kopnął mojego asystenta! Hoho, niechby spróbował! Nie wypuściłbym go przez godzinę z mych rąk. Już by on wyśpiewał wszystko.

Orwicz zachnął się.

- Mistrzu, z nim nie ma przelewki. Ja także trochę znam się na fizjonomiach. Z takim jak Jawicki, bałbym się spać jedną noc w górach, a przecież nie boję się żadnej zjawy, ani Tobiasza, ani Roberta, ani tych innych złośliwców, którzy nas nawiedzają na seansach. Pamięta pan profesor tego, który mi rzucił fotel na głowę?

- Fotel był lekki, nie ma o czym wspominać!

- Lekki? - protestował Orwicz. - Chodziłem z okładem dwa tygodnie!

- Powiada pan - przerwał mu profesor - że człowiek o budowie atletycznej, masywnej, spojrzaniu gwałtownika?

- Atletę tak - odparł Jacek - lecz twarz skupionego dyplomaty, baczego na każdy krok. Ja jego wzroku nie zapomnę. On wyczytał od razu w moim spojrzeniu, że chcę go zaczepić.

- No i co? No i co? Nic mi pan o tym nie wspominał.

- O takich głupstwach miałbym gadać panu profesorowi?

- Cicho! Cicho! - wykrzykiwał uczony. -: Co za niepoprawny z pana człowiek! Czy ja pana nigdy nie nauczę tej metody badawczej, że w dziedzinie naukowej nie ma szczegółów podrzędnych,

małowartościowych, dopóki nie zostanie opanowane meritum zagadnienia. Właśnie w tym jednym rysie, jak on zareagował na chęć rozmowy, wyczytaną w twoich oczach, kryje się klucz do jego psychiki. No i co? Kończ pan do stu tysięcy diabłów... czekam i czekam od pół godziny, aż się pan wysłowi. No i co?

- Ależ powiem wszystko, tylko nie mogę dojść do słowa. To było tak.

Gordon wychodził ze skóry.

- Opuść pan ten nonsens: „to było tak”. Mów pan gołą, sencjonalną treść!

- To było tak - Jacek, wytrącony z równowagi przez Gordona, chciał nawiązać tok myśli.

- A niechże cię! - pienił się profesor. - Ale co dalej? Co dalej?

Jacek chwycił w płuca metr kubiczny powietrza, by móc wypowiedzieć wszystko co do joty.

- Otóż, panie profesorze, spojrzał mi w oczy, aż się cofnąłem. To nie było spojrzenie! To było fizyczne uderzenie wzrokiem!

- Brawo! - zawołał Gordon. - Genialne spostrzeżenie! Już go widzę! Jak szpicrutą! No i co?

- I nie czekając, zanim usta otwarłem, odepchnął mnie na bok.

- Odepchnął?

- To nie było właściwie odepchnięcie - Orwicz starał się oddać ściśle odniesione wrażenie - tylko dotknięcie krótkie jak spojrzenie. Lecz waga tego dotknięcia, psychiczna waga tego dotknięcia równała się gwałtownemu pchnięciu popartemu jego miazdzącym spojrzeniem.

- No i co?

- Mruknął przez zęby: „nie mam czasu”, po czym jak huragan wsiadł do samochodu i kazał się wieźć do Kuźnic.

- Brawo! Brawo! - piał profesor pean na cześć asystenta. - Ucałowałbym pana za te szczegóły. Jakbym go widział! Pojechał do Kuźnic! Jak huragan były jego ruchy. No tak, trzęsie nim wewnętrzna pasja! I te fluidy w jego wzroku i w gestach! I to wrażenie huraganu. Tak! Tak! To on! On!

- Kto, panie profesorze?

- Człowieku! Naucz się myśleć apriorystycznie. To nasz - kończył na ucho, szeptem - Bomeak! Bomeak!

Usiadł wzruszony. Ręce mu się trzęsły. Nagle wstał i oglądając się, czy ich kto nie podsłuchuje, wcisnął w asystenta stłumionym głosem uwagę:

- Twierdzę z całą stanowczością, że to on, ten nasz znajomy z Atlantydy. Mało łajdak nadokazywał się przed potopem, to jeszcze teraz łązi po ziemi i chce nam swoje sztuczki pokazywać! Już ja z nim zatańczę!

W tej samej chwili rozległo się wielokrotne natarczywe pukanie do drzwi.

- Proszę zaczekać - krzyknął profesor. - Panie Jacku, czy pan zapłacił służbie, aby dała nam natychmiast znać, gdy tylko major pokaże się na terenie naszej willi?

- Dałem sute napiwki i przyrzekłem jeszcze większe, żeby tylko nie przegapili.

Ktoś nacisnął klamkę i nie czekając na wezwanie, wszedł do pokoju za plecami rozmawiających.

- Przepraszam - rzekł przybyły - zdawało mi się, że słyszałem: „Proszę wejść”.

- Owszem, owszem - odparł zgryźliwie Gordon. - Miałem właśnie tak powiedzieć, lecz pan już moją myśl usłyszał. Ma pan doskonały słuch.

Przyjrząwszy się nieznajomemu, poznał twarz, którą widział kilka razy na dworcu w Zakopanem.

Ta sama kreatura, która nas śledziła! - przeleciało mu błyskawicą przez mózg.

- Ja pana skądś znam - odezwał się Gordon z niechęcią. - Aha, przypominam już sobie dokładnie! Posterunkowy Pordoba...

- We własnej osobie - oświadczył przybyły.

- W cywilnym ubraniu? Na wakacje pan przyjechał?

- Gdzie tam, panie profesorze. Nie stać mnie na taki luksus. Przywlokłem się za panem, panie profesorze...

- Proszę, proszę - drwił uczonej - jaka niespodzianka! A ja już byłem po prostu niespokojny, że pana tak długo nie widziałem.

- I ja też — odparł skromny przedstawiciel władzy.

- Widzę, że pan naprawdę przeniósł się do służby śledczej - zaszczytał sarkastycznie profesor. - Czy mam panu gratulować, czy...

- Prosty przypadek, panie profesorze - wyjaśniał przybyły swoje zjawienie się. - Ja nie chcę pana profesora prześladować! Przecież wiem, że w tamtej sprawie na moście Poniatowskiego pan nie maczał palców. Trup żaden tego gatunku nie wypłynął. To widocznie był jakiś kawał. Przynajmniej ja tak myślę.

Gordon mimo woli uśmiechnął się. Bądź co bądź posterunkowy nie zdradza! zamiarów agresywnych.

- A więc co się stało, panie posterunkowy? - rzekł cieplejszym głosem, wskazując mu krzesło.

Ale przybyły nie usiadł. Nie czuł się jeszcze na swoich śmieciach.

- Miałem dużo kłopotu z wyszukaniem pana profesora - rzekł Pordoba. - Znikli mi panowie obaj na dworcu. Przy tym żaden z panów nie jest jeszcze zameldowany.

- Owszem, już jesteśmy! - pospieszył Orwicz ze sprostowaniem.

- Ja nie z zarzutem! Przeciwnie, tęsknię do pana profesora jak kania do deszczu. W rękach pana profesora mój los...

- Moich? Aha, dostał pan pewnie wciry za tę natarczywość wobec mnie?

- O, nie, panie profesorze. Wszystko było zgodnie z instrukcjami. Chodzi całkiem o co innego. Tamto śledztwo to inna sprawa i ja już od niej odskoczyłem. Inni niech łamią sobie nad nią głowę. A to, co tu mię sprowadza, łączy się wprawdzie z tamtą historią, lecz tylko przypadkowo...

Uczony zachodził w głowę, jakiego figla płała mu znów los, lecz posterunkowy od razu rozciął wszystkie wątpliwości.

- Rzecz się ma tak - odezwał się, pochrząkując z przejęcia. - Pan profesor zna przecież pannę Blankę?

Gordon struchlał. Zamienił z Orwiczem niespokojne spojrzenie.

- Pan to już tak dokładnie wyniuchał? Przepraszam, chciałem powiedzieć...

- Nic nie szkodzi, panie profesorze, nie ma żadnej obrazy.

Powiedziałem od razu panu profesorowi, że przypadek dał mi w ręce duże szanse, jakby to powiedzieć, do wygryzienia się z dna społecznego, z tej mojej przysłowiowej nędzy...

- Nic nie rozumiem - oświadczył uczony pełen rezerwy, nie wiedząc jeszcze, co spadnie na niego za chwilę. Gotów był zaprzeczyć, że nie zna żadnej Blanki, lecz już wsypał się niepotrzebnie i miał złość o to do siebie, do Orwicza i do całego świata.

- Słucham, słucham - zachęcał posterunkowego do dalszych wynurzeń.

- Otóż - wyluszczał rzecz Pordoba - zjawili się w Warszawie dwaj bracia panny Blanki. Podobno z Wilna.

Gordon z lekka pobladł. Tego się najmniej spodziewał.

- Panie Jacku, słyszał pan? - zachnął się zirytowany.

- Tak, tak, panie profesorze. Sam nieraz dziwiłem się, dlaczego bracia...

- Nie było czemu się dziwić - zaprotestował Gordon. - Pan zawsze się dziwi, kiedy tego najmniej potrzeba!

- Panie profesorze - pospieszył z obroną posterunkowy - pan asystent ma niby zupełną rację. Powinni byli się zainteresować!

- Proszę - wykrzykiwał uczony - co za mędrcy z Mysich Kiszek! Oni obaj spodziewali się... oni obaj.

- Zaraz wszystko wytłumaczę - przerwał mu Pordoba potok złości. - Otóż ci bracia przyjechali do Warszawy i zaofiarowali sporą kwotę, aby zająć się bliżej osobą ich siostry. Boją się, że to ona właśnie buchnęła z mostu do Wisły, bo od dłuższego czasu nie mają od niej wiadomości, a jej ostatnie listy do braci były podobno strasznie niezrozumiałe, jakieś wściekle histeryczne. No i właśnie od tej afery z topielicą nie dała znaku życia. Bracia przypuszczają, że widocznie padła ofiarą jakiegoś szantażu lub mordy na tle seksualnym. Bo to niby panna Blanka trzymała się w ryzach, lecz chłopcy leciały podobno na nią jak ćmy... No i nieszczęście z taką gotowe...

- Tylko niech pan sobie tak źle nie wyobraża o panie Blance! - zaatakował go niespodziewanie Orwicz.

Był czerwony na twarzy jak piwonია.

- Cicho! Po co pan się wyrywa ze swymi uwagami! - skarcił go uczony, a zwracając się do Pordoby, rzekł:

- No i co pan o tym myśli?

- Ja? - odparł tamten. - Cóż ja! Ja się o jej życie nie boję. Mnie głos wewnętrzny mówi, że przy łaskawej pomocy pana profesora nie będę przegrany. Chyba żeby kara boska na mnie spadła!

- Niech pan raz już siada! - krzyknął Gordon. - Sto razy mam pana zapraszać?

Teraz dopiero Pordoba rozsiadł się wygodnie. Przy nogach postawił małą walizkę. Nowy garnitur, świeży krawat, dobra bielizna świadczyły, że fortuna zaopiekowała się nim dość szczerze.

Dostrzegłszy badawcze spojrzenie uczonego, uśmiechnął się i rzekł poufale:

- Ta cała wyprawa i ta walizka to za pieniądze tych dwóch braci.

- Rozumiem - potaknął Gordon, udobruchany jowialnym tonem przybyłego. - Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Bardzo dużo, panie profesorze! - odparł Pordoba. - Choćby to, że dzięki panu mogę otrzymać tysiąc złotych znaleźnego, prócz zaliczki, którą już zainkasowałem. Pomyślałem sobie, że nikt inny, tylko pan profesor ma w rękach mój los. Policja to dobra, by szukać i znaleźć zbrodniarza, lecz ja wiem, że w tym nie ma nic zbrodniczego, no a te pieniądze mogę lyknać tylko przy łaskawej pomocy pana profesora. Bo ja mam znaleźć pannę Blanę żywą lub umarłą i dać im znać. Tak prosili, tak molestowali, że władza zlitowała się i mnie wyznaczyła do tej roboty na moją własną rękę. Dostałem urlop bezpłatny, żebym wytchnął, bo już cały tydzień nie spałem przez tę choleryczkę... przepraszam... niech jej Bóg da zdrowie... Taki już jestem roztrzęsiony, że sam nie wiem, co plotę! No i tu przyjechałem za panem profesorem. Forsę mam w kieszeni, no i świat mi się uśmiecha jak nigdy przedtem. Tysiąc złociszów nagrody! Czy pan to rozumie? Cały tysiąc złociszów dla takiego biedaka jak ja?

Gordon kiwał głową pełen uznania dla szczęśliwej passy w życiu Pordoby, udawał jednak w dalszym ciągu Greka.

- Czy pan bawi w Zakopanem w charakterze prywatnym, czy oficjalnym? Chyba pan rozumie, o co mi chodzi? Otóż... czy trzeba być z panem sztywno równo, czy też można do kroćset diabłów całkiem po przyjacielsku?

- Jak Boga Kocham! - zawołał Pordoba. - Jak mię pan żywego widzi, jestem tu tylko prywatną osobą i niczym więcej!

- Hm - mruknął uczony - byłoby mi to nawet bardzo na rękę. Pytanie, czy tu na miejscu nie dostałby pan innej dobrej roboty... ot, takiej prywatnej inwigilacji... rozumie pan... i forsa wpadłaby panu także do kieszeni...

- Panie profesorze! - wykrzykiwał posterunkowy. - Krew mię zaleje ze szczęścia! Niech pan mi tylko but pokaże tego ananasa, odcisk nosa, a ja go wytropię za siedmioma lasami i górami.

- No, tak daleko nie trzeba - oświadczył Gordon wesoło.

- Zwłaszcza że Atlantyda utonęła już dawno - śmiał się Orwicz, uradowany, że znajdzie w Pordobie rutynowanego pomocnika w trudnym zadaniu, jakie mu powierzył profesor.

- Jak to! - wykrzyknął posterunkowy. - Jeszcze jedna utonęła? Ta... ta... Atlantyda?

- Później to panu wyjaśnimy - rzekł rozbawiony Gordon. - A teraz musi pan dać słowo honoru, że przyjechał pan tu wyłącznie w charakterze prywatnym i że zrobi pan tyle użytku z moich informacji, ile ja panu pozwolę.

- Przysięgam! Słowo honoru! - rzekł Pordoba, zrywając się na równe nogi. - Ja za panem profesorem pójdę w ogień. Och, jak ja poważam uczonych! Przecież ja od pierwszej chwili wiedziałem, że pan profesor to nie żaden hołysz, tylko godna figura, profesor, mądry do szpiku kości. Mówią po prawdzie ludziska, że pan jest zwariowanym uczonym, ale niech wszyscy będą tacy zwariowani jak pan, to będzie dobrze na świecie.

- Dał pan słowo honoru, to wierzę! - zdecydował profesor. - A teraz nóżki na stół. O co panu właściwie chodzi? W czym mam panu pomóc?

- Chodzi o to panie profesorze: bracia tej pani chcą się upewnić, gdzie znajduje się ich siostra. Czy żyje, czy utonęła. Ja wiem, że nie utonęła. Jakiś głos wewnętrzny mówi mi to tu, w piersi. I dlatego

kropnąłem się za panem profesorem. Pomyślałem sobie: kto jak kto, ale pan profesor jest bliżej panny Blanki niż ja, czyli że jak będę bliżej pana profesora...

- Pańskie tłumaczenie - śmiał się uczony - jest przekonywające...

- To jeszcze nie wszystko, panie profesorze - oświadczył tamten.

- Ja muszę panu profesorowi do wszystkiego się przyznać jak na spowiedzi. Otóż moim marzeniem jest niezależność finansowa. Pan wie, że w naszym policyjnym fachu nie zostaje nic nigdy z pensji, chyba że okroi się przypadkiem gulasz i pieprzówka pod rybkę.. Ot i cała frajda. A ja mam wielki plan handlowy. Jak dostane, te tysiąc złotych, to założę, sklepik z nabiałem, pieczywem i warzywami, posadzę za ladą moją babę i córkę. Jak interes się rozwinie, a ja nie będę widział dla siebie przyszłości w fachu policyjnym, to pożegnaj się z mundurem i będę sam odstawał handlowca trzeciej gildy, jak się patrzy! To sen mojego życia. Jak pan profesor widzi, w pana rakach cała moja brylantowa przyszłość...

- Ani mniej, ani więcej, tylko brylantowa? - przekomarzał się z nim profesor.

Pordoba zerwał się z miejsca, złożył race jak do modlitwy i błagał profesora oczami o łaskę.

- No, już dobrze, dobrze. Nie będę stał panu na przeszkodzie. Złożyło się tak, że poznałem w Zakopanem pannę Blanką, o którą panu chodzi. Nie jest jeszcze wprawdzie zameldowana - śmiał się dyskretnie - ale to nie szkodzi, byle się znalazła, wszak tak?

- W niebie lub na ziemi - zawołał rozradowany Pordoba - byle się znalazła!

- No więc pod tym względem pomogą panu, ile mnie na to stać. Ale pozostaje względ ważny, który z tym pierwszym się łączy. Przecież sprawa owego wypadku na moście jest przedmiotem dalszego śledztwa, wszak tak?

- To dwie rzeczy różne - zaprotestował Pordoba.

- Pozornie! Pozornie! - wyjaśniał mu uczony swój pogląd. - Tak się złożyło, że moja osoba jest w to wszystko wplątana.

- Nie przeze mnie - bronil się gorąco przybyły. - Klnę się na wszystkich świętych, że nie przeze mnie!

- Wiem, że nie przez pana - uspokajał go Gordon. - Jakiś gorliwy dureń wtrącił swoje trzy grosze i pochwalił się, że widział mię w tym czasie na moście jadącego z kobietą. Panu znów śni się, że ja koniecznie muszę znać tego rzekomego zbrodniarza, który porwał panu sweter, broszę i list, czy tak?

Pordoba gwałtownie zareagował:

- Ja tego nie podałem do protokołu! Broń Boże! Ja tak wprawdzie przypuszczałem i pan profesor wie sam najlepiej, czy źle przypuszczałem, ale ponieważ w tej sprawie pan profesor może się mylić - dodał filuternie - to ja się widocznie pomyliłem.

- No, widzę, że pan jest lebski człowiek i nie chce robić bigosu tam, gdzie nie ma potrzeby. W ten sposób dochodzimy do sedna sprawy. Widzi pan, ja dlatego zastrzegłem się, że mogę z panem pertraktować tylko w tym przypadku, jeśli pan przyjechał do Zakopanego w charakterze prywatnym, ponieważ chodzi mi o spokój panny Blanki. Nie chciałem, aby jej osoba była wpłątana w tę aferę. Właśnie ze względu na jej braci, którzy obiecali panu tysiąc złotych.

Pordoba stał bezradny.

- Nie rozumiem - rzekł - o co bracia mogą gniewać się na swoją siostrę. O to, że jechała sama w nocy z panem profesorem? A cóż to, czy ona dziecko, a pan profesor handlarz żywym towarem?

- Doskonale pan to określił! - oświadczył uczony. - Jej rodzina zrobiłaby ze mnie handlarza żywym towarem, a z niej upadłą dziewczynę. Jej bracia to purytanie. Najmniejszy skandal koło jej nazwiska, a wyprą się siostry i panu sprzed nosa zdmuchną owe tysiąc złotych. Dają te tysiąc złotych za czystą dziewicę... nieskazitelnie białą... rozumie pan?

- A to wariaci! - wyrwało się z ust Pordoby. - Oni naprawdę coś takiego pletli. Rozumiałem piąte przez dziesiąte, bo mię zażyli tym tysiącem złotych.

- A widzi pan! - triumfował Gordon. - Z takimi nie ma żartów. Czy spisali z panem umowę?

- Dali forszę z góry, to im uwierzyłem - brzmiała odpowiedź.

- Czyli te tysiąc złotych zależy od ich kaprysu! - podtrzymywał uczony swoje twierdzenie.

Posterunkowy przestępował z nogi na nogę. Miał do rozwiązania problem najwyższej dla niego rangi.

- Jak mi pan profesor radzi? - zapytał z pokorą w głosie. - Mogliby mię bardzo uderzyć po kieszeni. Bogiem a prawdą śledztwa w tamtej sprawie nie jestem w stanie zatrzymać. Mówię, uczciwie. A swoją drogą chciałbym zarobić.

Gordon przemierzył pokój kilka razy tam i z powrotem, wreszcie stanął przed nim i zdecydował:

- Zrobimy zatem tak: ja skłonię pannę Blanę, aby porozumiała się z braćmi, przesyłając im w liście pański bilecik. Skoro otrzymają jej pismo i adres, to pan spełnił swoje zadanie w stu procentach, czy tak?

- Ależ tak! Tak - wykrzykiwał uradowany Pordoba.

- Czy ma pan coś takiego drukowanego jak bilecik wizytowy? - zagadnął go profesor.

- Mam - odparł z pewnym zażenowaniem. - Zanim się wybrałem w drogę, zamówiłem sobie pięćdziesiąt sztuk biletów wizytowych u znajomego drukarza. - To mówiąc, wręczył Gordonowi białą kartę pokrytą czarnymi literami: „Michał Pordoba, przodownik Policji Państwowej”.

- A wiesz, wiesz, wiesz! - manifestował Gordon swą radość. - Panie Jacku, niech pan również gratuluje awansu naszemu znajomemu! Został przodownikiem. Brawo! Brawo!

Profesor i jego asystent ściskali rękę oszołomionemu Pordobie, który nie spodziewał się takiej owacji.

- Doskonale! - oświadczył Gordon. - Pierwszorządna rekomendacja. Zatem sprawa jest już tak jakby załatwiona. Przyrzekam to panu. Sklepić z nabiąłem ma pan już w kieszeni. Ale tym bardziej panna Blanka nie może być wmieszana pod żadnym pozorem w tę głupią aferę na moście.

- Wszystko zrobię - zaklinał się uszczęśliwiony Pordoba - co tylko będzie w mojej mocy, byle to nie weszło w kolizję z instrukcjami mej służby.

- To już pańska rzecz, nie moja - gderał profesor. - Ja nie znam

się na tym. Nawiasem mówiąc, podoba mi się pańska uczciwość i służbistość. Co się tyczy panny Blanki, to nie ona jechała ze mną samochodem, tylko obecny tu mój asystent, pan Jacek Orwicz. Jak pan widzi, ma bujną czuprynę, pięknie ondulowaną, niczym Fryne, i buzię bardzo kobiecą.

W tym miejscu Jacek skłonił się żartobliwie.

- Prawda, że bardzo kobiecą? - nastawał Gordon.

- Tak, tak - potakiwał przodownik skwapliwie - żeby tego pana przebrać w sukienkę, byłaby całkiem niczego sobie dzierlatka...

- Hahaha! - śmiał się uczony. - A co, panie Jacku, nie mówiłem panu już tysiąc razy? Prawdziwa kobieta z profilu et cetera! Wobec tego, panie przodowniku, może pan śmiało zaraportować, że samochodem jechał w ową fatalną noc i godzinę profesor Gordon ze swym asystentem. Może pan nawet zrobić nieprzyzwoitą uwagę, że podobno podkochuję się w tym tu mężczyźnie... rozumie pan?

- Ja tego tak bardzo nie rozumiem - bronił się Pordoba - ale te warszawskie wycieruchy, polujące na sensację, to owszem. W to im graj. Skoro jednak ma już tak być, jak pan profesor powiada, to zechcą obaj panowie zgłosić się do sędziego śledczego i złożyć protokolarnie oświadczenie w tej sprawie.

- Ależ naturalnie - zareczał Gordon - krwią nawet własną gotów jestem podpisać ten cyrograf!

Pordoba zapisał skrzątnie w notatniku imię, nazwisko i adres Jacka Orwicza, przy czym zastrzegł się tonem urzędowym, żeby obaj panowie nie zrobili mu kawału, lecz spełnili swój obowiązek.

Uczony wyciągnął do niego rękę.

- Podoba mi się pan! - rzekł ciepłym głosem. - Jest pan cholera, to prawda. Jak pan się przypije do człowieka, to ani tchu złapać nie można. Ale chłop z pana zacny.

Pordoba promieniał ze szczęścia.

- Nic mię tak nie ucieszyło - stwierdził z przejęciem - jak słowo „cholera”. Przynajmniej wiem, że to z serca pochodzi. A więc, panie profesorze, mogę liczyć na pańskie słowo?

- Będzie tak, jak w bajce - oświadczył Gordon. - Stoliczku, nakryj

się, i stoliczek się nakryje i na ten stoliczek wjedzie cały sklepik z nabiałem, warzywami i pieczywem.

Pordoba wyprostował się Służbiście, trzasnął obcasami i zasalutował jak przed komendantem oddziału.

- Panie profesorze - wyłuszczył swą ostatnią prośbę - śmiem zapytać, jaką robotę tu na miejscu mam wykonać? Kogo inwigilować? Jak się ten typek nazywa i gdzie nocuje?

- Hahaha! Pysznie się składa! Jak widzę, to pan w sam raz się nadaje do naszego kółka. Brakowało nam tylko symbolu jakiegokolwiek władzy. No i teraz jest. Prawda, panie Jacku?

- Ależ tak, mój mistrzu! - piał z radości Orwicz. - Samo niebo zsyła nam pana Pordobę! Takiego właśnie jak on trzeba puścić na tamtego prahistorycznego atletę. Bo nasz Pordoba niczem Zagłoba, a przy tym odważny i zajadły jak Podbipięta! Ja sam nie dałbym rady. Za wielkie chuchro ze mnie.

- Ale żar poświęcenia w panu jest - dopingował go profesor. - A to wielki atut w naszym ręku!

- Mistrzu! Za tobą i za panną Blanką pójdę na dno piekła! Dam się zamordować! Dam się na kawałki pociąć!

- Nie trzeba! Ja tu jestem - przerwał tę ekstazę przodownik. - Proszę wyznaczyć mi stanowisko i funkcję!

- No to dobrze! - zawyrokował Gordon. - Skoro pan ma dwutygodniowy urlop, angażuję pana jako prywatnego detektywa na ten okres czasu. Wynagrodzenie: pełne utrzymanie i gotówką dwieście złotych. Przyjmuje pan?

- Jak stoję na tym miejscu, już go mamy! - wykrzykiwał Pordoba, podniecony atmosferą, w której się znalazł. - Warunki przyjmuję z podziękowaniem.

- Wobec tego - rzekł Gordon - zainstaluje się pan w tym samym pensjonacie i od razu przystąpi do swych czynności. Usiądźmy. Rzecz się ma tak...

Profesor razem z Orwiczem wtajemniczyli nowego sprzymierzeńca w tok całej sprawy, w swoje kłopoty i intencje.

Pordoba nadspodziewanie inteligentnie wczuł się w subtelność swojej „roboty” i przejął się jej naukową stroną.

Uczony promieniał radością.

XIX. LEW W POTRZASKU

Blanka miała bardzo niespokojny sen. Kilka razy budziła się z krzykiem. Obrazy, które przewijały się przez jej mózg, nosły ze sobą atmosferę nasyconą gwałtownymi wybuchami namiętności. Czuła, że ktoś krąży koło niej, że chce ją przemocą porwać, że ona broni się zajadle, lecz siły jej są zbyt wątłe.

Wszystko to było skąpane w barwach i kształtach, do jakich nie nawykła w swym codziennym życiu.

Nie mogła zdać sobie sprawy, gdzie toczyła się akcja tych potwornych wypadków, których była ofiarą, lecz nie opuszczało jej ani na chwilę wrażenie bardzo silne, że wszystko to było nasycone jakąś przerażającą bezpośredniością!

Kiedy nad ranem zmęczona zasnęła ponownie, obrazy, które ją przez całą noc ścigały, stały się jeszcze bardziej natarczywe, jeszcze bardziej niesamowite.

Oto ponosił ją jakiś żywiołowy huragan, który tumanami kurzu, wyrwanych krzewów, drzew i kamieni zasłaniał cały widnokrąg.

Czuła, że trzyma ją wpół jakieś męskie silne ramię, a ona stoi na ruchomym pomoście, który ponad dziwnymi ruinami, pełnymi obalonych kolumn i rozwalonych murów pędzi z rosnącą szybkością w czarne otchłanie horyzontu, raz gwałtownie uciekającego przed nią w ciemną czeluść nieprzeniknionej przestrzeni, to znowu zbliżającego się ku niej w błyskawicznych skokach z całą zawartością swego tajemniczego, potwornego wnętrza.

O, bo to wewnątrz musiało być potworne! Wyczuwała to wszystkimi fibrami swego organizmu!

Z tych przerażających przestrzeni wiało na przemian to arktycznym zimnem, to znów spiekotą bez tchu, bez powietrza, duszącą, wrzącą jak ukrop!

Drżała w febrycznej gorączce.

Ratunku! - chciała krzyknąć.

- Cicho! Spokojnie! - usłyszała głos tuż obok siebie, lecz nie widziała postaci, tylko stalowe ramię jeszcze mocniej przycisnęło ją do siebie Zwisła na ramieniu cyklopa, którego głowy nie mogła dojrzeć, ukrytej w chmurach wichru...

Potęźną lewicą ogarniał ją całą. W prawicy dzierzył lejce plecione ze złotej skóry.

Od czasu do czasu wydawał przeciągły, przeraźliwy gwizd, na którego rozkaz podrywały się w biegu gigantyczne centaury. Tylko ich zady masywne i rozwichrzone kłębiaste ogony mogła dostrzec w sekundach błyskawic, rozdzierających od góry do dołu czarne etapy, przestrzeni.

- Ratunku! - krzyknęła.

- Cicho! Spokojnie!

I nagle w jednej oślepiającej błyskawicy, kiedy wpiła wzrok w noc, która nad nią była, dojrzała twarz jego... tytana, który dzierzył ją przewieszoną na jego przegubie jak zerwany na głębinie fioletowy nenúfar.

To była jego twarz, którą zapamiętała na wieki wieków kiedyś w mrocznej przeszłości. Przerazająca, wspaniała twarz.

Nagle spojrzała w dół...

Dostrzegła gigantyczną kwadrygę. Przed nią gnały cztery centaury, jak krew ogniste, sadzące siedmiometrowymi susami, aż jęk szedł od tej potęgi kopyt, aż snopy wielkich iskier wyskakiwały z głązów, o które uderzał w szalonym biegu kuty z brązu rydwan... ciężki jak góra swą niesłychaną wagą, a lekki jak źdźbło, niesione przez powietrze muskularni tych czterech olbrzymich półludzi, półzwierząt.

- Ratunku!

- Cicho! Spokojnie! Tyś moja!

- Puść...

- Dokonane zostało to, com postanowił. Już nic z twej przeszłości nie wróci!

- Ratunku! Ratunku!

Szarpnęła się nadludzkim wysiłkiem. Zębami wpiła się w tętnicę jego ręki. Usłyszała syk bólu. Pchnęła kolanem jego spizowe kolano i jak wąż wyśliznęła się z jego objęcia.

Runęła przez koło mknącej kwadrygi w dół, w charczącą huraganem przepaść. Leciała jak kamień po ostrych głazach z rosnącym przyspieszeniem, aż wreszcie uderzyła o grunt twardy, nieustępliwy.

Z jękiem zbudziła się spocona, zmaltretowana.

Niebieskawy świt wcinał się w okno i w szyby drzwi prowadzących na balkon.

- Żyję! - mimowolny krzyk wydarł się z jej piersi.

Leżała na podłodze w potarganej piżamie. Łokieć stłukła o kant metalowego łóżka. Z rany sączyła się krew...

Dusiła się.

Z trudem przyczołgała się do balkonu, pchnęła drzwi i łakomie poila się rzeźwymi podmuchami górskiego powietrza. Zimny poranek wypędzał z niej sen i przeraźliwą dotykliwość niesamowitych obrazów!

- Żyję! - stwierdziła z dziwną pasją gniewu i triumfu. - A więc on nie zwyciężył!

Chłód wstrząsnął nią całą. Szybko zerwała się z podłogi. Wydobyla wate i buteleczkę z rozpuszczonym chinosolem, opatrzyła ranę, po czym, uśmiechając się złowrogo, zanurzyła się w miękką pościel. Powoli zdrowy sen zamknął jej powieki.

*

Kiedy zbudziła się ponownie, zaczęła snuć kapryśne myśli, które prozaiczne rano niosło ze sobą pomieszane razem z przeżyciami sennymi.

Wyrwać się z tych szponów, które mię zewsząd opadają - tłukło się w niej postanowienie. - Przestać drzeć i choć kilka dni spędzić normalnie.

Ale gdzie? Ale z kim? - zbudziła się w niej drwiąca opozycja. - Jak to? Sama uciekniesz od siebie? Ani jednej godziny nie wytrzymasz w samotności. Od razu opadną cię zjawy, majaczenie, rozterki wewnętrzne.

Zatem uciec. Ale z kim? Do kogo? - powtórzyła pytanie.

Przebiegła myślą koło znajomych, lecz wszędzie pojawiało się jakieś zastrzeżenie, jakiś psychiczny niedobór, który ją z góry raził.

Ktoś, kto byłby z tego realnego świata - rozważała - a jednak nie stuprocentowo schematyczny. Ktoś w dużym stopniu wrażliwy na subtelne wychylenie życia...

Ale kto?

Nagle drgnęła. W wyobraźni jej zarysowała się postać Rosławskiego...

Realista do szpiku kości. Tak, to on! Mądry Fenicjanin - uśmiechnęła się do własnego określenia, które umieściła w pamiętniku.

Prawda, pamiętnik! Powinnam go odebrać... mam powód... tamto minęło, zatem możemy znowu mówić ze sobą.

Przeciągnęła się leniwie, słodko, jak pantera rozmiłowana w słońcu. Miała wrażenie, że z jej palców wychylają się różowe, ostre pazury.

Rzuciła okiem w lustro. Dojrzała błysk białych, lśniących zębów.

To ja, ta prawdziwa - upewniła sama siebie. - Mam różowe, lśniące pazury.

Próbowała uciec myślami od osoby Janusza, lecz jego sylwetka stale wychylała się z mgieł podświadomości.

On myśli o mnie - stwierdziła z dziwnym zadowoleniem, na którym przyłapała się niespodziewanie. - Widocznie myśli bardzo intensywnie.

Tak, to prawda. Rozmowy z nim miały smak niecodzienny. Jest w nim coś, co daje radość.

To nie była miłość, od której chciałam uciec... - biegły dalej nieuporządkowane myśli. - Wszak on jeden nie polował na mnie...

A więc dlaczego uciekłam?

Skupiła uwagę na tym jednym pytaniu.

Pamiętasz - nagle z boku wyskoczyła myśl ironiczna - co mówił profesor o Atlantydzie, o dwóch braciach bliźniakach?

A ten sen potworny? - zaświeciła błyskawica w jej mózgu. - Czy to ma coś wspólnego ze zjawą Roberta albo z Rosławskim?

Ogarnął ją niepokój. Była zła na siebie, że znowu zbacza myślowo na niebezpieczne tory. Wszak chciała za każdą cenę wyskoczyć

z tej zagadkowej atmosfery, która nieustannie wciągała ją w swoje głębiny...

I znowu myśl nadbiegła, niosąc na swych skrzydłach mglistą sylwetkę Rosławskiego.

Jak on musi mocno myśleć o mnie w tej chwili! Czuję to wszystkimi nerwami.

Próbowała otrząsnąć się z wrażenia.

Na próżno. Obraz wracał uporczywie coraz jaśniejszy i pełniejszy.

Tak - zbudziło się w niej nagle postanowienie. - Muszę z nim mówić. Ale gdzie on przebywa obecnie? Czy wyjechał z Warszawy? Czy przeczytał pamiętnik... hahaha... topielicy? Wszak mu pozwoliłam pod tym jednym warunkiem, a on przecież mógł myśleć... hahaha...

Byłaby teraz ciekawa z nim rozmowa. Z pamiętnika wie dokładnie, co ja naprawdę myślałam o nim.

Zdecydowała się działać.

Muszę iść do czytelni - biegły myśli jedna za drugą - tam połączę się telefonicznie z Warszawą. Spotkanie nasze jest konieczne.

Obiegł ją dziwny chłód.

Nie możesz zejść do czytelni - nadbiegła myśl ostrzegawcza. - Tam czyha na ciebie major Jawicki.

Dreszcz przebiegł ją od stóp do głów. Mgławice senne wynurzały się z jej wyobraźni. Potężna kwadryga, kuta z brązu, cztery centaury, które sadzą potwornymi susami, i ta postać tytana!

Przetarła rozpalone czoło. Zerwała się z łóżka.

Ja jestem naprawdę chora - utyskiwała zdenerwowana. - Trzeba stąd uciec! Uciec za każdą cenę! Muszę pomówić z Rosławskim! To jeden trzeźwy i realny człowiek w tym całym niesamowitym towarzystwie.

*

Profesor spał tej nocy również bardzo źle. Wyczuwał instynktownie, że pierścień wypadków koło niego i Blanki zacieśnia się coraz bardziej. Nie wiedział jednak, z której strony nastąpi główne, niespodziewane uderzenie.

Tak, Blanka to jeden las zagadek - snuł gorączkowe myśli. - To, co urządziła mi na moście, może powtórzyć się w każdej chwili.

A Robert! Robert! Z tym mam najwięcej kłopotów.

A może ja naprawdę, przeżywam jakąś halucynację, która nie ma żadnych istotnych podstaw?

Zaśmiał się sucho, ironicznie.

Gordon wariat! - wymyślał sam sobie. - Gordon pyta się o podstawy w tej dziedzinie, o którą ocieramy się bezpośrednio raz przy przyjściu na świat i drugi raz przy śmierci.

Poczekaj, stary, na zgon, a zobaczysz naocznie podstawy!

Hihih, podstawy! Gordonowi zachciewa się betonowych podstaw!

Nagle z boku wyskoczyła kąśliwa, ostra jak lancet myśl;

A fotografia zjawy to nic? A wynurzenia Tobiasza to nic?

Czy te wynurzenia nie mają logiki przenikliwej i sprawdzianu istotnego w życiu? Czy Blanka... Robert i ten Rosławski to nie zdumiewająca zagadka, która jednak tłumaczy się wewnętrznie sama w sobie? Wszak bez tej spójni nadbytovej byłaby to tylko zwiariowana chimera bez składu i ładu!

A ten trzeci?

Nonsens! Nonsens! - krzyczała w nim jadowita opozycja. - Że jakiś donżuan w mundurze majora przystawia się do Blanki, to właśnie ma być ten, o którym plótł twój Tobiasz?

Upadłeś na głowę! - beształ znowu sam siebie. - Gdzie tu jakiegokolwiek pozory hipotetycznej prawdy? Gdzie? Gdzie?

Ze złości rzucił książkę, traktującą o Atlantydzie, o przeciwległą ścianę.

No dobrze - nadbiegła myśl-pocieszycielka - nie trzeba tak zaraz się irytować. Bo jeśli przyjmiemy, że tamten gmach trzyma się kupy... to jest, jeśli przemawia milion pozornie nic nie znaczących szczegółów, lecz istotnych, że Robert, Blanka i Rosławski mają jakąkolwiek nadbytową łączność ze sobą... jeżeli tamto przyjęliśmy na podstawie relacji Tobiasza i te jego wynurzenia pokrywają się z faktami realnymi przez ciebie zaobserwowanymi, to dlaczego hipoteza o majorze Jawickim, oparta na tych samych źródłach, których

nie udało się nam unicestwić, nie ma tej samej hipotetycznej możliwości?

Nie znasz Jawickiego! - zachichotała opozycja.

Tak - począł bronić zajętego przed chwilą stanowiska - lecz to, co wiem o nim, ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Podniósł się na posłaniu. W mózgu jego wyblysnęła idea, od której aż jasno zrobiło się w jego sypialni. Miał wrażenie, jakby w kątach jego pokoju ktoś pozapalał drobne, lecz niesłychanie intensywne światełka.

Już nieraz zaobserwował ten fenomen, gdy znalazł się w rozterce.

Idea- obraz!

Ujrzał w niesamowitym oświetleniu kilka postaci.

Tak, on sam, asystent Orwicz... Blanka uśpiona oddycha dziwnie lekko... uśmiecha się... jest i zjawą Roberta... przejmująca materializacja narasta z sekundy na sekundę... Ale kto oni, ci dwaj inni? Jak oni tam weszli?

- Kto śmiał? - krzyknął mimo woli.

Wpił się oczami w obraz-ideę.

Poznaję!

Zanurzony w fotelu jak skamieniały siedzi Rosławski, ukryty za zasłonką, niewidoczny dla nikogo.

A ten drugi kto?

Gordon męczył się długą chwilę. Nie mógł rozeznaczyć rysów, nie mógł odgadnąć, czy to zjawą, czy ciało żywego człowieka.

Ciemna, czarna plama o kształtach ludzkich...

- Kto jesteś? - zawołał zduszonym głosem.

Ciemna plama drgnęła... zaczęła się rozjaśniać... zarysy munduru... błysk ostróg...

Po chwili wynurzyła się wielka tarcza, jak lustro świetlista, i powstać w tunice czerwonej...

Ja gdzieś tę twarz już widziałem? - upewniał profesor gorączkowo sam siebie. - Ale gdzie?

Wiem! Wiem! Ujrzałem ją wówczas, kiedy schodziłem do Blanki. Pamiętam! Smuga świetlista wpadła do pokoju, który zajmuje Jawicki... i wtenczas ujrzałem...

Opadł na poduszkę uśmiechnięty zwycięsko. Obraz-idea zwarł się w sobie. Wszystkie wątpliwości odpadły. W pokoju pogasły mistyczne światełka, które przed chwilą roztoczyły niesamowitą jasność.

Idea twórcza! - stwierdził z wewnętrzną radością - wskazuje mi drogę! Środki działania!

Wiem! Wiem!

Aby osiągnąć wytyczony cel, muszę zgromadzić na seansie ich wszystkich: Blankę, Roberta, Jawickiego, Rosławskiego, wszystkich...

Ale czy to jest osiągalne?

Nie wiem - odpowiedział sam sobie - lecz mam wskazaną drogę, przedziwnie mądrą.

Pojawienie się Rosławskiego zniszczyło ostatnią dyspozycję Blanki.

To tylko hipoteza, lecz przemawia za nią mnóstwo danych.

A major?

Jeśli jest tylko intruzem, nic nie może zaszkodzić. To obcość, którą ukryję za zasłoną.

Jeśli jednak jest tym, którego odkrył Tobiasz, jego obecność może wytworzyć pełnię tak intensywną w napięciu promieni Mo, iż wówczas to, do czego dążę od tylu lat, może stać się faktem dokonanym. Dokonanym!

A za to gotów jestem dać życie!

Zapadł myślami w siebie. Analizował metodę, jaką powinien obrać, aby móc zrealizować ów obraz-ideę.

Wyczuł, iż wszystko jest osiągalne, jedynie major pozostawał wielką niewiadomą, której nie mógł rozgryźć.

Szaleniec, który może zgotować nieszczęście - nadbiegła myśl ostrzegawcza.

Ważył w swym mózgu pojęcie nieszczęścia i pojęcie zwycięstwa swej zasadniczej idei.

Nieszczęście? - zauważył sarkastycznie. - W każdym razie nie większe, niż gdy dwie gwiazdy wpadną na siebie.

Oddychał gwałtownie. Słyszał nad sobą łomot gigantycznych skrzydeł.

Zwycięstwo! Choćby za cenę, największej ofiary!

Tak! Wszystko możliwe! - wołała myśl niecierpliwa, żądna odpowiedzi. - Ale jak podejść do majora? On jeden jest nie do opanowania!

Powział ostateczną decyzję.

W rękawiczkach! Tylko w rękawiczkach! Niech szaleje, do niego tylko w rękawiczkach! To chory z tamtego frontu. Cierpliwości nadludzkiej wymaga, lecz i on będzie chodził w cuglach!

Plan miał gotowy.

Zadzwoił na służbę. Kazał podać śniadanie i poprosić do siebie Orwicza oraz Pordobę. Musi wydać nowe instrukcje. Zmienić taktykę, omówioną poprzednio.

Bitwa zaczęła się na horyzontach tego i tamtego frontu!

Lew w moim potrzasku!

Zaśmiał się do własnej myśli. To go podniecało. Wszak sam w sobie musiał szukać optymizmu ideowego.

On będzie szalał, a ja będę pogromcą łagodnym, czułym, przymiłym... aż go w pętach zapędzę do potrzasku. Tam zobaczymy, kto zacz. Symulant... bez własnej winy... czy ten oczekiwany... ten przewidywany pan z Atlantydy...

Oczy rozświeciły mu się niesamowitym blaskiem. Znalazł się w swoim żywiole.

*

Pordoba okazał się nieocenionym wykonawcą zleceń profesora. Dwoił się i troił. Był wszędzie, a zawsze tam, gdzie najmniej mógł się go ktoś spodziewać.

Orwicz poddał się jego komendzie bez słowa protestu. Wyczuwał w nim fachowca w każdym calu, a przed takimi miał zawsze respekt.

- Przede wszystkim chodzi nam o to - dowodził Pordoba - aby przeprowadzić obserwacje nie tylko nad tym, czy major Jawicki przybył do pensjonatu, czy też już się z niego wymknął, lecz głównie gdzie spędza czas poza willą, z kim się spotyka, co planuje...

- Przecież w mózgu mu nie siedzimy - ośmielił się wtrącić swoją uwagę Jacek. - To człowiek nieobliczalny!

- Tak - tłumaczy! mu z zapalem przodownik - ale z pewnych oznak możemy wnosić, czy wybiera się na wycieczkę górską, czy będzie na koncercie, czy pojedzie do Jaszczurówki, Morskiego Oka czy Nowego Targu.

- Ale jak? Jak? - dopytywał zdumiony asystent.

- Bardzo prosto - upewniał go Michał. - Po prostu trzeba mu deptać po piętach. Trzeba iść za nim do cukierni, w której kupuje ewentualnie bilet na koncert. Na dworzec, aby podsłuchać, gdzie jedzie. Indagować górala, z którym umawia się na wycieczkę...

- To tak można? Przecież to łażenie komuś drugiemu po piętach. A to jest nieprzyzwoite.

Profesor nie posiadał się ze złości.

- Opatrzność czuwała nade mną - besztął Jacka - że pan Michał w samą porę się tu zjawił. Toż ja bym przegrał całą kampanię z tym cyklopem Jawickim. W łeb wzięłaby moja teza naukowa, rozumie pan?

- Rozumiem, panie profesorze - odparł asystent zgnębiony - lecz przecież major może takiego natręta kazać aresztować...

- Nie będę z panem na ten temat dalej dyskutował. Bo by mnie żółć zaląła. Pan ma tylko słuchać naszego naczelnika w tej wyprawie na grubego zwierza, słuchać ślepo i więcej nic.

- Tak, panie profesorze, lecz nie może mi się w głowie pomieścić...

- Zaraz się zmieści - syknął Pordoba - bo właśnie w bramie pensjonatu mignęła mi postać majora. Idzie szybko do drzwi wejściowych. W dłoni trzyma jakiś papier czy kopertę, którą ostentacyjnie potrząsa.

- Na stanowisko, panie asystencie! - wydał komendę. - Niech pan obserwuje klatkę schodową, czy major nie będzie próbował wejść na trzecie piętro. Ja postaram się zaatakować go w jego legowisku.

Orwicz wyskoczył jak oparzony. Z Pordobą nie było żartów.

- A ja? A ja? - dopytywał się Gordon.

- Pan profesor pozostanie niewidzialny. Major nie będzie znalazł pana do ostatniej chwili. Pan profesor jest tu głównym sztabem. My nosimy raporty z terenu.

Uczony zacierał ręce z radości. Czuł żywioł koło siebie, który się burzył, lecz pętla zaciska się powoli, nieznacznie, aż osiągnie swój cel...

Przodownik zdecydowanym krokiem wyszedł na korytarz. Dostrzegł, że major wszedł... nie, nie wszedł... wśliznął się do czytelnicy.

Pordoba przypadł tuż do okna, które z korytarza pozwalało obserwować to, co działo się na sali. Oparł się o framugę i patrzył spod oka na czynności majora.

Ten zakręcił się po czytelnicy, zajrzał do tego i owego pisma, lecz widoczne było, że lektura nic go nie obchodziła.

Pretekst! - zanotował w mózgu przodownik. - Aha, śledzi, czy go kto nie obserwuje... O! Nic, braciszku, nie dostrzeżesz! Jestem za firanką, a tu w korytarzu jest ciemniej niż na sali.

W czytelnicy były tylko dwie osoby, które nawet nie zauważyły wejścia majora.

Oho - obserwował dalej Micha! - teraz kładzie na stoliku ów papier, którym ostentacyjnie potrzasał. Robi to tak, aby każdy go dostrzegł. Oho! Kładzie na wierzchu gazetę. Ktoś, kto ją weźmie do czytania, musi zauważyć pismo. Czyli podrzuca coś, na czym mu zależy, aby wpadło w ręce trzeciej osoby niby przypadkiem. Zrobił swoje! Teraz pewnie wybiegnie jak furia z czytelnicy.

Przewidywania Pordoby sprawdziły się co do joty. Major wybiegł na korytarz i natknął się na Michała, który podstępnie schylił się i czegoś szukał na podłodze, tak że zatarasował sobą całe przejście.

- Proszę mi zrobić miejsce - mruknął podirytowanym tonem Jawicki.

- Zaraz, łaskawy panie! - odparł przodownik, nie usuwając się ani na włos. - Czy pan przypadkiem nie ma latarki elektrycznej? Tu w korytarzu ciemno, a ja zgubiłem dwadzieścia groszy...

- Do kroćset piorunów - zaklął Jawicki - dla dwudziestu groszy tyle kramu!

- Może łaskawy pan posiada latarkę? - obstawał Pordoba przy swoim.

- Proszę mi nie zawracać głowy! Proszę mię przepuścić! - złościł

się major. - Mnie się spieszy na pociąg, a tu mi każą świecić latarką!

- Dwadzieścia groszy to pieniądz! - dowodził Pordoba nieustępliwie. - Bardzo pana proszę o latarkę!

- Służba! - ryknął major, doprowadzony do białej pasji. - Światła dla tego pana! Zgubił dwieście złotych!

Przodownik szybko zrobił miejsce Jawickiemu.

- Dziękuję - rzekł. - Już znalazłem moją zgubę. Jestem zawsze do usług! Pańska uprzejmość...

Nie dokończył zdania, bo major zdecydowanym ruchem odsunął go na bok i mruknąwszy pod nosem „przepraszam”, podążył szybko do pokoju zarządzającej pensjonatem.

- Łaskawa pani - oświadczył pospiesznie - otrzymałem przed chwilą depeszę. Muszę najbliższym pociągiem jechać do Warszawy. Brat mój bardzo ciężko chory... Reguluję rachunek za ubiegłe dni.

- A co z pokojem?

- Zatrzymuję. Naturalnie płacić będę pełny koszt. Myślę, że tu wrócę. W każdym razie uśmiechnął się - będę miał swój kąt w Zakopanem, do którego w każdej chwili wolno mi będzie zajrzeć.

- Dla takich gości, jak pan major - zapewniała go zarządzająca - nasz pensjonat jest zawsze cały do rozporządzenia. Prawda! Pan major pragnął przed kilku dniami dostać ów pokój na trzecim piętrze, zdaje się ten ostatni, obok... obok...

Major niecierpliwym gestem przerwał jej wynurzenia na ten temat.

- Już nie reflektuję - odezwał się chłodno - za wysoko dla mnie!

- Dla takiego taternika? - padło nieogłędne pytanie z jej ust.

- Właśnie dlatego! - zachnął się. - Ale przepraszam. Nie mam czasu na gawędę. Muszę się pakować.

Z tymi słowami opuścił pokój zarządzającej. Tymczasem Pordoba wszedł do czytelnicy. Na gazecie znalazł depeszę, podrzuconą przez majora. Przeczytał ją szybko. Namyślał się, co dalej uczynić,

lecz w tej chwili błysła mu idea. Szybko pospieszył do pokoju Gordona.

- Panie profesorze! Mam depeszę symulowaną do majora!

- Skąd pan wie, że symulowana? - pytał uczony, studiując telegram. - Przeciwnie! Jak najbardziej autentyczna!

- Proszę, niech pan profesor przeczyta jeszcze raz!

Gordon głośno skandował:

- Major Jawicki, Zakopane, Rysica. Przyjeżdżaj. Brat Eustachy ciężko chory!

Profesor jeszcze raz popatrzył i nie stwierdził w depeszy nic anormalnego.

- Panie profesorze - triumfował Pordoba - depesza ma odpowiedź opłaconą. Na depeszy podano adres warszawski: Eustachy Jawicki. Czyli brat Eustachy depeszuje o chorobie brata Eustachego. Przesolił nadający. Proszony był o depeszę sfirowaną, ale zrobił to zbyt dokładnie. Nie spostrzegł, że sam o swojej chorobie depeszuje.

- Wspaniale! - zawołał uczony. - Intryga szyta grubymi nićmi! W jakim celu mu to potrzebne?

- W tym samym - wyjaśniał Michał - w jakim podrzucił ten telegram w czytelnicy. On chce, aby wszyscy dowiedzieli się o jego wyjeździe, aby widocznie uspić czyjaś czujność.

- Uspić czyjaś czujność? Przecież jedzie do Warszawy...

- To się pokaże, panie profesorze. Pędzę na dworzec. Tam się dowiem, gdzie jedzie nasz kanarek. Ale nie ma już ani chwili do stracenia. Najbliższy pociąg odchodzi za godzinę. Przecież panu profesorowi chodzi o nawiązanie bezpośredniego kontaktu z majorem. Ta depesza otwiera panu drogę. Niech pan profesor zaraz idzie do niego! Uda pan naiwnego, że pan znalazł tę ważną depeszę z opłaconą odpowiedzią, że on ją widocznie przez roztargnienie zostawił, że pan profesor uważa za swój święty obowiązek...

- Panie Michale - uczony promieniał z radości - ja pana ozłocę! Pan prześcignął swoich nauczycieli... Co za dar orientacji! Już leczę do tego... jak pan się wyraził? Aha... wiem... kanarka. Nareszcie utnę z nim króciutki dialog...

- Życzę powodzenia! - rzucił Michał na odchodnym i jak wicher wypadł z pokoju.

Profesor złożył starannie depesze. poprawił włosy i trucheikiem pospieszył do pokoju majora. Po drodze szepnęła tajemniczo do Jacka, patrolującego wiodące na trzecie piętro schody.

- Spiesz się na wywiad do smoka z Doliny Pięciu Stawów.

- Na Boga - upominał go Orwicz - tylko ostrożnie! Niech pan profesor koniecznie splunie za siebie, przestępując jego próg!

- Co za styl staroświecki! Pluć za siebie... Pan już całkiem zdziecinniał!

- Nie, panie profesorze. To asekuracja w świecie Wielkiej Niewiadomej. Wyczytałem to w jednej ze średniowiecznych kronik. Trzeba koniecznie pluć za siebie. W każdym razie to nic nie szkodzi, a pomoc może ogromnie. Ci ludzie średniowieczni wiedzieli więcej od nas, jak trzeba tańczyć z tą... z tą...

- Cicho, już dobrze - odparł profesor.

W minutę później stanął pod drzwiami Jawickiego, wciągnął w płuca powietrze, po czym zapukał mocno.

- Prosz! - usłyszał wezwanie, rzucone ostrym tonem.

Nacisnął klamkę. Przez plecy przeszedł mu dreszcz. W ustach poczuł dziwny smak piółunu. Mimo woli odwrócił się i splunął za siebie.

Był zły. Co za osioł ten Jacek!

Ale nabrał zaraz tupetu i wtoczył się uśmiechnięty do pokoju.

- Panie majorze, przepraszam! Słyszałem, że pan wyjeżdża...

Jawicki spojrzał groźnie na intruza i nie przerywając pakowania, mruknął niechętnie:

- No i co? Niepokoi to pana? Przede wszystkim proszę mi nie przeszkadzać.

- Nigdy bym się nie ośmielił - przymilał się profesor - ale znalazłem pańską zgubę. Przez roztargnienie zostawił pan tę depeszę w czytelni...

- Kto pana prosił? - krzyknął ze złością major - Zostawiłem, to zostawiłem. Niepotrzebna. Znam treść, a pan przyszedł zawracać mi tu głowę!

- Przecież odpowiedź jest opłacona! - udawał naiwnego Gordon.

- Bez tego papierka nie mógłby pan wysłać depeszy do... do... zaraz panu przeczytam... do Eustachego Jawickiego. Brat Eustachy chory prosi brata, aby przyjechał do Eustachego...

Major zatrząsł się z irytacji. Rzucił walizkę, którą pospiesznie napelniał bielizną, pudełkami i tym, co mu wpadło pod rękę, zdecydowanym krokiem podszedł do Gordona, aby w kilku ostrych słowach zlikwidować ten najazd, lecz natknął się na dwie błyszczące niesamowitym blaskiem źrenice profesora. Głos, który huczał mu w gardle, nie wybiegł z krtani, sparaliżowany siłą ujarzmiającą jego wolę.

Uczony stał wyprostowany, uśmiechnięty, wpatrzony przenikliwie w jego oczy. Wykonał obu rękami nieokreślony ruch, jakby chciał przetrzeć czoło, ale dłonie nie dosięgły celu.

Jawicki z półotwartymi ustami, na których zamarło przekleństwo, czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, czego nie zaznał nigdy w życiu. Ogarnęło go słodkie półomdlenie. Oddech stał się krótki, urywany... Mimo woli uśmiechnął się również, jak na powitanie znajomego, który nagle się zjawił...

Chciał wykonać rozpaczliwy ruch wyzwalający, zerwać tę sieć, która skrępowała mu ręce i nogi, lecz napływ gwałtowny światła do źrenic profesora udaremnił wszelką próbę buntu.

Lekko zachwiał się.

Gordon wykonał półruch ręką, jakby chciał go musnąć po twarzy, równocześnie lewą rękę położył mu na ramieniu i rzekł przenikliwym szeptem:

- Panie majorze, trzeba usiąść... ten gwałtowny wstrząs przed chwilą wyczerpał pana. Człowiek najbardziej atletyczny nie jest niewyczerpaną studnią energii. Pan musi na siebie uważać...

Jawicki nie spostrzegł, jak to się stało, że usiadł, i skinieniem głowy podziękował profesorowi. Gordon zajął miejsce na krzeselku, które przysunął tuż do majora, i nie spuszczać ani na chwilę wzroku z jego źrenic, mówił przyjaznym tonem:

- Widzi pan, nie mieliśmy się poznać, a poznaliśmy się... Od kilku dni pańska postać wydała mi się fascynująco podobna do kogoś bardzo mi drogiego i bardzo bliskiego. Nie mogłem ani rusz sobie przypomnieć. I teraz, kiedy tak patrzę na pana, nie mogę

pozbyć się przekonania, że pana znam. Może pan dopomoże mej pamięci, osłabionej wiekiem...

Major prosił o szklankę, wody.

Profesor uśmiechnął się zachęcająco.

- Koniecznie, panie majorze... jest bardzo parno.

- Przepraszam - bąknął Jawicki, czując całą niestosowność wyrażonego życzenia.

- Bez skrupułów, panie majorze - sugestywnym głosem włączył uczony w niego słowa pocieszenia. - Niech pana nie krępuje to, że jestem nieznanym. Bo my się znamy. Znamy od dawna, prawda?

Zręcznym ruchem nalał szybko wody do szklanki ze stojącej na stole karafki i podał Jawickiemu.

- Ale pan już teraz nie będzie pił... prawda? - powiedział raczej tonem twierdzącym niż pytającym. - Pan już nie odczuwa pragnienia?

- Istotnie - odparł zmieszany major - pragnienie minęło.

Gordon odstawił szklankę, uśmiechając się wciąż dobrotliwie.

Patrzył w niego wzrokiem skupionym, w którym tkwiły dwa punkciki niesłychanej energii świetlnej, po czym zapytał cichym, stłumionym głosem:

- Czy pan nie przypomina sobie naszej znajomości... kiedy to mogło być?

Jawicki westchnął głęboko. To było ponad jego siły.

- Nie mogę zebrać myśli - odparł zmienionym głosem.

- Ja panu pomogę... niech pan przymknie oczy... niech pan spróbuje widzieć mię przez zamknięte powieki. Przez te szybki czerwone, które nas w tej chwili oddzielają.

Major czuł, że nie może oprzeć się życzeniu nieznanego. Przymknął powieki i w tej chwili chciał krzyknąć z wewnętrznego poruszenia.

Przed nim stała postać jakby utkana z niebieskawej poświaty. Twarz miała uczonego i te same oczy o fosforyzującym wzroku. On tę postać znał. Przysięgłby, że kiedyś znał...

Powoli otworzył oczy, bojąc się spłoszyć zjawisko, które chciał porównać z rzeczywistością.

- Ja kiedyś pana znałem - szepnął ze zdumieniem. - Lecz kiedy?
- A więc nie myślę się - odparł Gordon. - Dziś nie możemy sobie jeszcze przypomnieć szczegółów, ale to przyjdzie.

To mówiąc wstał. Wykonał znowu nieokreślony ruch, jakby chciał spędzić z czoła smugę światła słonecznego, które wdarło się przez firankę i «sadowiło aureolą na jego srebrnej głowie. Wyciągając do Jawickiego kordialnie dłoń, rzekł przyjaznym tonem:

- Pozwoli pan, że się przedstawię wreszcie: Gordon, profesor. Przepraszam za to najście, lecz nie żałuję. Poznałem kogoś, kto już nie zgaśnie w mej pamięci.

- Ani pan, profesorze, w mojej - zapewnił go Jawicki, czując nieodparty mus wywnętrzenia się przed uczonym.

- Żegnam pana - odezwał się Gordon. - Panu się spieszy, lecz nie wątpię, że to nieszczęście, które pana spotkało, nie jest groźne i że pan wróci. Wówczas powetujemy sobie tę chwilową rozłąkę. I jeszcze jedno. Od pierwszej chwili poczułem do pana wielką sympatię. Zawsze pan może liczyć riałą moją szczerą pomoc.

Major wstał. Odzyskiwał swą sprężystość i śmiałość decyzji.

Profesora już nie było w pokoju. Jawicki przeciągnął ręką po czole. Miał wrażenie, że na jawie przeżył dziwny sen. Jeszcze przez chwilę tańczyły przed jego oczami rozbłyśnięte źrenice uczonego.

Gdzie ja go poznałem? To musiało być bardzo dawno...

Szybkimi ruchami dokończył pakowania, ale w nastroju już bardzo niechętnym. Nie poznawał sam siebie. Czuł bezcelowość swego wysiłku.

Błazen! - zbeształ sam siebie. - Ale trudno! Nie cofnę się. Nigdy!

Piekielne żądło ukłuło go w serce.

Jak ona śmiała tak zadrwić ze mnie?

Wypadł z małą walizką przed willę, zawołał taksówkę i kazał się wieźć na dworzec.

Gordon odprowadził go triumfującym wzrokiem.

- Lew w potrzasku - szepnął sam do siebie.

XX. ODKRYCIE

Pensjonat „Rysica” został zaalarmowany wiadomością o niebezpieczeństwie, jakie spotkało majora. Mimo iż Jawicki naraził sobie w ostatnich dniach wiele osób przez swe opryskliwe zachowanie się, ale nie wygasła pewna solidarność, która wiąże niedostrzegalnymi węzłami ludzi wspólnie spędzających wywczasy. Zwłaszcza na wybiegach w góry nawiązuje się łączność psychiczna, która istnieje, dopóki ta sama aura wiąże turystów.

Wiadomość o wyjeździe majora dotarła również do Blanki. Przyniosła ją pani Helena.

- Patrzysz na mnie z takim niedowierzaniem - odezwała się - jakbym chciała cię w błąd wprowadzić.

- Nie to! - odparła Blanka. - Lecz dziwi mię, że major nie próbował pożegnać się ze mną... zobaczyć mię...

- A więc cię interesuje?

- Owszem - brzmiała odpowiedź - jak każdy, kto w nas budzi niepokój. Jeżeli nagle źdźbło tego niepokojenia znika, powstaje podświadoma obawa... przynajmniej teraz we mnie, skąd nowy atak wyskoczy. Przecież wiesz, że nie było dnia, aby Jawicki nie starał się wdrzeć do mego pokoju lub przez ciebie ze mną skomunikować. Nie umiem tego określić, co się ze mną dzieje, lecz odjazd majora stwarza koło mnie pustkę. Czegoś mi nagle zabrakło...

Pani Helena zaśmiała się serdecznie.

- Ależ to dowód silnego wrażenia - rzekła - jakie on wywarł na tobie.

- Nie zaprzeczam - odparła Blanka - że jest ono silne, lecz niemniej pełne obawy. Instynktownie unikam tego człowieka.

Helena pocałowała ją serdecznie.

- Nareszcie, kochana, odpoczniesz - mówiła. - Tak się skazać

na dobrowolne więzienie. Pogoda wymarzona, a ty siedzisz od pięciu dni w pokoju i nigdzie się nie ruszasz. Zupełnie jakby czyhali na ciebie za progiem gangsterzy. W nocy nawet drzwi od balkonu zamykasz. Brak świeżego powietrza nie wyjdzie ci na zdrowie.

- Jakiś lęk, który mię samą śmieszy - tłumaczyła się Blanka - każe mi się zamykać. Za to dziś odetchnę pełną piersią. Zmora spadła mi z serca. Zejdziemy zaraz do czytelni. Musisz, moja droga, w moim imieniu zamówić rozmowę telefoniczną z Warszawą. Bardzo ważna...

- Do kogo?

- Połączysz się z dyrekcją Zakładów Wiertniczych. Zapytasz, gdzie przebywa teraz dyrektor Rosławski.

Helena zaskoczona była tą wiadomością.

- Mówiłaś mi, że postanowiłaś zerwać tę znajomość raz na zawsze...

- Tak się mówi, gdy się dobrze nie rozważy wszystkiego. To był ktoś, do kogo powzięłam pełne zaufanie. Jeżeli postanowiłam go unikać, to właśnie dlatego, że wywierał na mnie olbrzymie wrażenie. Po prostu wstrząsające już przez samo porównanie. Ten sam człowiek w dwóch postaciach. Dopóki nie otrząsnęłam się z tych wrażeń, które szarpały mną w Warszawie, gotowa byłam popełnić największe szaleństwo. Ale teraz odetchnęłam.

Pani Helena nie mogła ukryć swego zdziwienia.

- Rozumiem - rzekła - lecz to nagle twoje zerwanie z nim, długie milczenie...

Blanka uśmiechnęła się zagadkowo.

- To wszystko będę umiała mu wytłumaczyć - oświadczyła. - Przede wszystkim chcę odebrać od niego moje pamiętniki.

Przyjaciółka spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Pożyczyłaś mu twój pamiętnik? Przecież strzegłaś tajemniczych wynurzeń jak oka w głowie...

- Tak, dopóki miałam żyć - zaśmiała się. - Lecz wtenczas, kiedy mu je powierzyłam, nosiłam się z tą szaloną myślą, aby przeciąć ten cały bałagan ziemski. Wówczas, pomyślałam, byłoby dobrze, żeby Rosławski dowiedział się, kim jestem naprawdę... Rozumiesz?

Teraz tym bardziej muszę odebrać od niego te zapiski.

Blanka wyprostowała się, jakby komuś chciała mocno spojrzeć w oczy.

- On wie wszystko o mnie i o tobie - rzuciła uwagę stłumionym głosem. - Zna całą prawdę. Rozmowa między nami będzie teraz rozmową dwóch osób, które spotykają się w życiu po raz drugi, w całkiem innym nastroju. Nie wiem, jak on to przyjmie, lecz ja muszę się z nim widzieć. Jeśli trzeba będzie, pojedę nawet do Warszawy...

- Hahaha - zaśmiała się Helena. - Major spotka cię na Nowym Świecie i powie, że przyjechałaś za nim.

- No to nie pojedę do Warszawy, ale muszę widzieć się z Rolsławskim i odebrać pamiętnik. To moje nieodwołalne postanowienie.

- A więc chodźmy do czytelnicy. Twoje pojawienie się zrobi jeszcze większą furorę niż odjazd majora...

*

- Panie profesorze! Panie profesorze! - wykrzykiwał zdyszany Pordoba, kiedy zamknął za sobą drzwi w pokoju Gordona. - Wiem już wszystko. Wie pan dokąd pojechał major?

- Słucham, niech pan już raz powie - niecierpliwił się uczonec.

- Wykupił bilet do Nowego Targu!

- Co pan wnioskuję z tego? Czy to samo co ja?

- Nie wiem, jakiego zdania jest pan profesor, lecz to najoczywistszy dowód, że cały ten wyjazd jest mistyfikacją i że major zjawi się w naszym pensjonacie dziś jeszcze późno wieczorem.

- Z czego pan to wnosi?

- Wykupił bilet powrotny do Zakopanego.

- Aha, widocznie chce zaskoczyć Blankę! Nie może uzyskać z nią rozmowy normalnie, więc uciekł się do wybiegu...

- To okropne! - zatrząsł się Jacek. - Panie profesorze, nie możemy do tego dopuścić.

Pordoba potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Gorzej, panie profesorze. Obawiam się, że on chce popełnić jakieś szaleństwo. Dla jakiejś tam głupiej niespodzianki nie robi się takich przygotowań. Jemu coś strzeliło do głowy. To człowiek gotów porwać się na czyn nieobliczalny.

- Co pan ma na myśli? - gorączkował się Orwicz.

- Kto go wie - wypowiedział swą opinię przodownik. - Moje informacje, zebrane tu na miejscu wśród służby, mówią, że Jawicki krążył po parku pensjonatu, obserwując wciąż trzecie piętro, to jest balkon panny Blanki. W tym coś musi być.

- Niewątpliwie - zawyrokował uczony. - On jest cały pogrążony jakby w jakiejś halucynacji. Miałem z nim rozmówkę i to mi wystarczy. Wchłania w siebie promienie astralne jak gąbka.

Asystent wychodził ze skóry.

- A więc pannie Blance grozi niebezpieczeństwo? - dopytywał się Michała.

- Naturalnie - brzmiała odpowiedź. - Jeżeli major został dźgnięty w serce, a służba mówiła mi, że widziano go, jak kąsał sobie ręce, krążąc po parku...

Rozgorączkowany Orwicz chwycił go za rękę.

- Panie Michale - wykrzykiwał - pan mówi to sobie tak spokojnie i my tu stoimy jak niedołęgi, ale tu trzeba przede wszystkim ostrzec pannę Blankę!

Gordon spiorunował go wzrokiem.

- Ani kroku - osadził na miejscu Jacka. - My sami sobie damy radę bez niej. Niech lew wejdzie do potrzasku.

Zwracając się następnie do Pordoby, rzucił pytanie:

- Jakie pan stawia przypuszczenia?

- Sądzę - odparł Michał - że także przygotował sobie możliwość powrotu. Zostawił pewnie jakieś ważne papiery lub coś podobnego, bo przecież tak wrócić jak pajac z Nowego Targu nie mógłby. Zróbmy wizję w jego pokoju, a przekonamy się, czy się myślę, czy nie...

- Dobrze - zdecydował Gordon. - Zostawiłem umyślnie w tym pokoju moją papierośnicę, aby mieć pretekst do wizji lokalnej. Czy postąpiłem dobrze?

To mówiąc, mrugnął porozumiewawczo na Pordobę.

Michał rósł we własnych oczach. Profesor uważał go za wyrocznię. Odwoływał się do jego opinii.

- Panie profesorze - wygłosił z dumą swe przekonanie - pan mógłby zrobić karierę w urzędzie śledczym.

- Dziękuję panu za uznanie - rzekł uczonego wesołym tonem. - A teraz do roboty. Ja z panem idziemy na wizję lokalną do pokoju majora, a pan Jacek ma obserwować schody. Jeśli Blanka po odjeździe Jawickiego czuje się bezpieczna, to z pewnością zejdzie na dół. Wyrwie się z dobrowolnego więzienia. Będzie to oczywisty dowód, że i ona symuluje tylko chorobę i że główną chorobą była obawa przed majorem.

Pokój Jawickiego był otwarty. Numerowa skończyła właśnie sprzątanie.

- Ależ pan major narobił nieporządku - narzekała. - Powywracał wszystko do góry nogami. Bielizna, ubranie, trzewiki, wszystko porozrzucił. A to mu ten telegram dogodził. Panna ma go w pięcie, brat wziął i zachorował... Można stracić głowę. A panowie co, przyszli zobaczyć pogorzeliśko?

- Nie - odparł Gordon. - Zostawiłem papierośnicę w pokoju pana majora i jeszcze pewne papierki.

- A to niech panowie poszukają, a potem przekręcą klucz w zamku. Nie mam czasu pomagać.

To rzekłszy, wyszła z pokoju.

- Nie ma nigdzie papierośnicy - odezwał się Pordoba, rozglądając się po pokoju.

- Naturalnie, że nie możemy jej znaleźć - śmiał się Gordon - bo siedzi u mnie w kieszeni. To miał być tylko pretekst, aby tu wejść.

- Panie profesorze, pan ma chleb w ręku! - wykrzykiwał Michał.
- Co za zmysł detektywistyczny!

Gordon mruknął zadowolony, po czym rzekł:

- Mnie chodzi o jakiś ślad, choćby najmniejszy, pisma majora. Chciałbym mieć w ręce list lub coś podobnego.

Ale ani na stoliku, ani na toalecie nie znaleźli żadnych papierów. Profesor wyduł wargi.

- Wizja lokalna nam nie wyszła.

- Jest! Jest! - zawołał nagle Pordoba, wyjmując z koszyka na pół rozerwany i pokreślony arkusz. - Coś bardzo ciekawego, panie profesorze. Widzi pan? Major rysował plan sytuacyjny...

- Aha! Nasza willa... tu park... zarys schodów... aha... myślał rysunkowo. A to co?

- To balkon, panie profesorze, przedzielony na dwie części.

- Aha! Balkon przy pokoju Blanki. Czy tędy braciszek chce się dostać do niej?

- Przez balkon, panie profesorze!

- Po drabinie?

- Nie. Przez pokój obok. Zbadałem. Sąsiadka panny Blanki całe noce spędza na dancingach. Jej pokój jest zawsze otwarty. Widocznie major zdecydował się popełnić jakieś wariactwo w ten sposób.

Pordoba w dalszym ciągu robił rewizję. Zajrzał pod poduszkę, podniósł materac, odchylił obraz, lecz nie znalazł nic godnego uwagi. Był bardzo niezadowolony.

Nagle, znalazłszy się w pobliżu szafy, postanowił ją otworzyć.

- Panie profesorze, proszę na chwilę odwrócić się ze względów formalnych. Pan nie może widzieć tego, co teraz zrobię...

Gordon wydał wargi ze wzgardą.

- A mnie co to obchodzi, co pan będzie robił...

Obrócił się na pięcie i podszedł do okna. Pordoba momentalnie otworzył szafę i zajrzał do wnętrza. Na półce leżała paczka jakichś dokumentów. Wziął pierwszy z góry.

- A co, nie mówiłem? - informował Gordona o swoich obserwacjach. - Zostawił dowód osobisty i papiery wojskowe. On dlatego powróci. Musi wrócić. Bez tych papierów nie może jechać. Aha, jest także książeczka Kasy Oszczędności...

- To nas nic nie obchodzi! - protestował uczony.

- Tak jest, panie profesorze. Ale jedno i drugie składa się na konieczność powrotu. Za kilka godzin tu będzie.

W tej samej chwili otwarły się drzwi i wsunął głowę Jacek.

- Panie profesorze, panna Blanka jest w czytelni z panią Hele-
ną. Bardzo ożywiona. Przywitała się ze mną serdecznie. Prosiła,

abym im nie przeszkadzał, bo będą telefonowały w ważnej sprawie. Musiałem się wynieść.

- Panie Michale - zakomenderował Gordon - niech pan spieszy na stanowisko. One pana nie znają. Przy panu nie będą się krępować.

Wywiad Pordoby w czytelnicy wypadł ku wielkiemu zadowoleniu uczonego. Pani Helena uzyskała połączenie z Warszawą, opłacając potrójną takse za rozmowę natychmiastową. Dopytywała się o dyrektora Rosławskiego. Ten jest na urlopie zdrowotnym w Krynicy. Mieszka w hotelu „Patria”. Ma wrócić do Warszawy za dwa tygodnie.

Uczony zacierał ręce z radości.

- Naturalnie chce się z nim widzieć - dowodził. - Ucieknie stąd do Krynicy. Mogłem się tego od dawna spodziewać. Doskonale, kochanie - mruzczał. - Ale mnie nie wywiedziesz w pole. Możesz się kochać, ile ci się podoba, tylko nie możesz mnie zdradzić. No, panowie - podniósł głos - zbliżamy się do punktu zwrotnego. Rzecz się przedstawia tak: sprawy prywatne chcą nade mną zatriumfować. Nie chcą dopuścić, abym się zbliżył do swego celu. Panowie, ja mogę się mylić. Poszukiwaczowi wolno się mylić. Lecz skapitulować wolno mu dopiero wtedy, gdy uczyni wszystko, co w jego mocy, aby zrealizować swój plan. W moim sumieniu jestem czysty. Życzę jak największego szczęścia Blance. Lecz na Boga, niech nikt nie wymaga ode mnie, abym się cofnął, gdy ja całe moje szczęście widzę w tym, aby zdobyć jeden drobniuchny promyk prawdy.

Widząc, że Orwicz popadł w depresję z żalu, że profesorowi los rzuca pod nogi kamienie i że wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności rozbijają się jego zabiegi, Michał zżymał się i klął siarczyście:

- Do cholery! Taki profesor to powinien mieć prawo wybrać sobie każdego, kto mu się podoba, zabrać do pracowni na kleik i barszczyk, i wyczyniać wszelkie z nim doświadczenia. Bidulce jakiejś spieszy się do chłopca? Owszem, proszę, jak będzie po wszystkim i gdy się bidulko wysłużyłz należycie, to idź do rajy z Adamem, lecz wpiery niedoczekanie! A ty, chłopie, chciałbyś sobie poskakać

z dziewczuszką? Owszem, prosimy bardzo, lecz draniu nie włącz przez balkon na złamanie karku, bo dziewczę możesz przetrząść, sobie nerkę uszkodziś na amen i profesorowi wyrządzisz szkodę!

Orwicz promieniał z radości. W tym prostym człowieku, którego los sprowadził na ścieżkę profesora, tkwiła elementarna siła, która niewiele ceremoniowała się z tak zwanymi subtelnościami życia, lecz gotowa była stosować gwałt tam, gdzie trafiała na bezmyślność lub złą wolę. A właśnie profesorowi przy całym jego fanatyzmie i sile woli brakowało nieraz elementów bezwzględności. I on zarażony był skrupułami etyki „zewnątrznej”, i on ugiął się pod ciśnieniem dziedzictwa pseudokultury, która dzieli sprawy dnia na to, co wypada, a co nie wypada.

Gordon, który jak przez mgłę patrzył na swoich współpracowników, tylko na brzegu swej świadomości chwycił słowa, które płynęły z ich ust. Dźwigał się z krzesła i wyprostowywał ramiona, jakby chciał zrzucić z siebie nadmiar ciężaru.

Był blady i smutny. Naszła go chwila słabości.

- Profesorze, avanti! - wyrzucił z siebie Jacek z ogromną furią.

- Wiem, kochany kolego...

- Profesorze, na pazury! - dodał mu ognia Michał.

Uczony spojrział na nich rozrzewniony, uśmiechnął się i uściśnął im ręce.

- Wiem kochani - rzekł - że tak muszę. Ale wiercie mi, gdy ta głupota ludzka, jak Morze Martwe rozległa, usiłuje zadławić wszystko, i gdy człowiek widzi, jak ordynarne kozy wdrapują się na drzewo, na którym dojrzewa owoc prometejskiego natchnienia... a przecież z tych owoców składa się cała prawdziwa cywilizacja, i jak te ordynarne kozy ogryzają liście na tym drzewie i podcinają gałąź, na której ma owoc dojrzeć, wówczas pęka w duszy jedna, druga i trzecia struna, i wreszcie może tych strun zabraknąć... I tak ginie idea... ginie jej pionier...

- Pan profesor musi zwyciężyć! - upominał go Jacek.

- Ja tu będę jak brytan warował - zapewniał go Pordoba. Białe kły zaświeciły jak u wilka.

Gordon szybko podszedł do okna. Chciał ukryć przed nimi łzy, które zakręciły mu się w oczach.

- Dziękuję wam, kochani, za te słowa życzliwości - odezwał się po chwili. - To pokrzepia! To jest dla mnie coś więcej, niż nawet przypuszczacie. To doping elementarnej woli zwycięstwa, która przez wasze usta podświadomie przemawia.

Stanął przed nimi, rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć coś najważniejszego, lecz zamilkł. Zwiesił głowę i tak chwilę trwał w milczeniu. Kiedy znów podniósł na nich swe oczy przenikliwe, grały w nich już płomienie. Usta zaciskały się skurczem nieustępliwości.

- No, chłopcy! Wróciłem już do formy - oświadczył twardym głosem. - Teraz już widzę drogę. Idę do Blanki. Wy w moim pokoju poczekacie na mnie.

*

Mocne pukanie do drzwi.

- Kto tam?

- Gordon!

- Ach, profesorze - zabrzmiał ożywiony głos Blanki - pragnęłam z panem się widzieć. Przed chwilą intensywnie myślałam o panu.

- Myśleliśmy o sobie równocześnie - rzekł uczony, wchodząc do pokoju. - Pani jest sama?

- Tak. Do Heleny przyszli znajomi, a ja nie lubię nowego towarzystwa.

- To doskonale, będziemy mogli pomówić swobodnie.

Usiadł w pobliżu balkonu, przetaił kilka razy czoło, objął ją wzrokiem i wreszcie odezwał się:

- Droga Blanko... wolno mi tak mówić po imieniu?

- Ależ koniecznie. Wielokrotnie upoważniałam pana do tego.

- Dziękuję. Zwłaszcza dziś nie potrafiłbym mówić inaczej. Żyliśmy się ze sobą. A teraz do rzeczy! Wszystko może okazać się pomyłką, to jedno nie jest pomyłką, że ty, Blanko, jesteś ulepiona z innych elementów. Jesteś fenomenem w tej dziedzinie, w której pracujemy. Takich fenomenów jest na świecie bardzo mało. Nie będę powtarzał rzeczy, które znasz aż nadto dobrze. Wylamałaś się

z dalszej pracy nie ze swej winy. Ale moment przełomowy zbliża się...

Spojrzała mu w oczy bystro, uważnie.

- Chcę mówić z tobą bardzo jasno i szczerze - kontynuował profesor - i proszę cię gorąco, bądź ze mną również szczerza i jasna.

Zmieszła się, lecz nie dała tego po sobie poznać.

- Blanko - rzucił nagle pytanie - ty chcesz stąd uciec do Rosławskiego! Wszak tak?

Pobladła. Nie odpowiedziała ani słowa.

- A więc tak! - zdecydował profesor. - Nie robię ci żadnych wymówek. Masz pełne prawo rozporządzać swoją osobą. Szukasz teraz ostoi w tej całej udręce, jaka cię spotyka...

- Nie wiem dlaczego - odezwała się zmienionym, cichym głosem - lecz, profesorze, jakaś wewnętrzna moc pcha mię do tego...

- Wyjaśnię ci to później, Blanko, dlaczego tak się dzieje, dlaczego nawet musi tak się dziać. Ale nie po to tu przyszedłem, aby ci robić wymówki. Przeciwnie, twój krok jest nawet celowy. Rozproszone linie pozabytowej akcji zbiegają się. Pozornie nie, pod powierzchnią zjawisk tak.

Oparła głowę o poręcz krzesła, przymknęła oczy zgnębiona i skruszona.

- Z czym ja tu przyszedłem do ciebie? - snuł dalej wątek swych myśli. - Aha! Otóż chcę ci oświadczyć, że major Jawicki jest kluczem do gmachu tej tajemnicy, koło którego ja krążę i ty razem ze mną. Pytanie, czy on nie rozwiąże jeszcze więcej zagadek, niż mógłbym pomyśleć... czy nie wpłynie nawet na ustalenie linii twego życia...

Wyprostowała się zdumiona.

- Mojego życia? - rzuciła pytanie. - Major?

- Tak - brzmiała surowa odpowiedź Gordona.

- Mnie nic z nim nie łączy! - zaprotestowała. - Tylko pamięć zniewagi! A ta nas rozdzieliła na zawsze.

Uczony wstał powoli z krzesła, zbliżył się do niej i, pochylony, rzekł po chwili twardym głosem: - Major będzie dziś tu u ciebie...

- Dziś u mnie? - spytała drwiąco. - Po pierwsze wyjechał do Warszawy. Po drugie zastanie drzwi mego pokoju zamknięte.

Profesor energicznym krokiem podszedł do balkonu. Stwierdził, że drzwi były na rozścież otwarte. Wrócił do niej uśmiechnięty.

- Major chce popełnić szaleństwo - powiedział. - Nie wiem, co zaszło między wami, lecz jego stan psychiczny jest anormalny. On tu chce się wedrzeć przemocą.

- W jaki sposób?

- Przez ten balkon. Przez pokój sąsiadki.

Zadrżała. Dziś po raz pierwszy otworzyła drzwi na balkon. Instynktownie podniosła się, aby je zamknąć.

- Zostaw Blanko - prosił ciepłym głosem - to niepotrzebne. On tędy powinien przyjść...

- Panie profesorze! To przecież szaleństwo! Ja nie będę narażała się na podobny gwałt. Ja zresztą nie rozumiem, jak pan może coś takiego twierdzić... Major, który wdziera się w nocy do mojego pokoju jak... jak...

- Blanko, to żywio! To już tylko żywio! Nie tą drogą, to inną dotrze do ciebie. On już tej myśli nie porzuci!

- A więc wyjeżdżam natychmiast z Zakopanego!

- To jeszcze gorzej. To go tylko utwierdzi w tej szalonej idei, że ty naprawdę poczuwasz się do winy względem niego. Widzisz, Blanko, rozmawiamy o tym, co ma się stać, jakby to już się stało. Naturalnie, że może być całkiem inaczej w rzeczywistości. Ale prawdopodobieństwo tego, co ja przypuszczam, jest tak wielkie, iż nie zawahałem się przyjść do ciebie i postawić jasno całą sprawę.

- Co mam zrobić? - spytała zgnębiona. - Mnie już to wszystko tak dojadło, że nie mogę znaleźć sobie miejsca. Mnie jest źle! Bardzo źle na świecie! Jestem przemęczona, osaczona. Dlaczego? Dlaczego uwzięliście się wszyscy, aby mię zgnębić? Ja mam przecież takie samo prawo do życia, jak każda inna kobieta. Ja chcę znaleźć to minimalne szczęście, czy złudę szczęścia, ale chcę, aby ta choćby złuda była moja! Tylko moja! Bez niczyich praw do moich myśli i uczuć...

Rozplakała się głośno.

- Profesorze! Profesorze! - skarżyła się - ratuj mię! Miej litość nade mną! Ja wszystko rozumiem i doceniam, lecz jestem w tak okropnej rozterce, że mogę popełnić nowe szaleństwo, tym razem już nieodwołalne...

Zerwała się z krzesła podniecona.

- Czego major chce ode mnie? Nie będę ani jego kochanką, ani jego żoną! Nie będę! Raczej śmierć!

Gordon podszedł do niej, ujął ją tkliwie za obie dłonie i posadził na sofie.

- Moja droga - tłumaczył jej cichym, poufnym głosem - nie jesteśmy w stanie zabronić innym ludziom, że reagują tak czy inaczej na naszą osobowość. Na przykład major! Stało się! Zbudziłaś mimo woli żywiół, który może ważyć się na wszystko. Dlatego tu jestem, aby cię ostrzec i omówić z tobą rzecz całą.

- Więc co mam robić? - płakała jak dziecko.

- Widzisz, Blanko, on oprzytomnieje dopiero wtenczas, gdy dokona swego szaleństwa, gdy dostrzeże całą śmieszność i brutalność swego postępu, gdy skompromituje się we własnych oczach. Ty go przyjmiesz zdumiona, lecz grzeczna i pobłażliwa, jakby nie zaszło nic strasznego, przeciwnie, coś takiego, czego mogłaś się po nim spodziewać. A ja będę czuwał w pobliżu. W kilka sekund przyjdę do ciebie, bo umówiliśmy się, powiesz mu, że zaprowadzę cię na dancing. Dlatego czekać będziesz na mnie w wieczorowej toalecie... Zgasiłaś światło, bo chciałaś w ciemności wypocząć, taki jest mój plan.

Chciała zerwać się z krzesła, lecz powstrzymał ją łagodnie.

- Profesorze! Do czego to wszystko zmierza? - wybuchnęła. - Co pan chce przez to osiągnąć? To przecież ma jakiś ukryty cel! Ja chcę wiedzieć! Jeżeli mam płacić nerwami, to chcę wiedzieć! Żądam wyjaśnień!

- Zupełnie słusznie - odparł spokojnym głosem - powinnaś wszystko wiedzieć. Zawsze mówiłem z tobą otwarcie i tym razem tak samo postąpię.

- Słucham, profesorze.

- Blanko, major już nie jest niebezpieczny. On ma już spętaną wolę. Ja już się z nim zetknąłem. Uzyskałem nad nim przewagę.

On już spełnia moje życzenia. Nie odwiódłem go od jego postanowienia, bo to nie prowadziłyby do celu, lecz on już obraca się w próżni... on już stracił pęd żywiołu. Będziesz go mogła poprowadzić jak lwa obłąskawionego tam, gdzie zechcesz.

Zaśmiała się przez łzy.

- Na pańskie podwórko? - spytała.

- Tak, Blanko. Przeczuję, że major to medium niezwykle bogate. Moje wstępne badanie dało pozytywne wyniki. Możemy mieć z niego wielką pociechę.

- Major jako medium? Hahaha! To niemożliwe!

- Zobaczysz! Będziesz świadkiem niesłychanych manifestacji. Jestem przekonany, że ujrzysz razem ze mną fenomeny, wywołane za sprawą jego ekto plazmy.

Przetarła czoło. Nie dowierzała swojemu słuchowi.

- Mistrzu - odezwała się z wahaniem - pan przypuszcza...

- Tak - odparł uczony. - I nie tylko przypuszczam, lecz twierdzę, że przy pomocy majora powinniśmy posunąć się naprzód w naszej głównej pracy. Dzięki jego obecności i przy jego współdziałaniu manifestacje zjawy Roberta mogą wejść w decydującą fazę.

Otworzyła szeroko oczy. Wstrząsnął nią silny dreszcz.

- Profesorze - odezwała się prawie szeptem - czy pan nie chce zbyt wiele ryzykować? Obawiam się... nie umiem tego tak ściśle określić... mam przeczucie, że spętany żywioł, jak pan profesor wyraża się o majorze, może wyłamać się i, spowodować wielkie nieszczęście.

- Droga Blanko - odparł Gordon - zapobiec uformowaniu się pioruna w łonie chmur nie jesteśmy w stanie, lecz możemy zbudować dobry piorunochron, który nas ocali. Takim piorunochronem będzie moja wola ujarzmiająca i intuicja przewidująca. Dlatego bądź spokojna i zaufaj mi. My musimy wyzyskać majora jako siłę medialną. Powiem ci otwarcie, Blanko... ta właśnie jego siła medialna szukała ciebie we wszechświecie, dążyła do ciebie, aż cię wreszcie znalazła jako swoje uzupełnienie. Dodatnie promienie i ujemne. To się musiało stać.

Pochyliła głowę przybita tym oświadczeniem uczonego.

- Tak, mistrzu! Nie mylisz się! Znam majora od dawna - wyznała z silnym wzruszeniem. - W czasie wojny uratował mi życie. Tak twierdziła moja matka. Odtąd nie widzieliśmy się, aż dopiero tu spotkałam go znowu. Jak to wszystko się wiąże i płacze... Co za męka...

Wyciągnęła do niego drżące ręce.

- Profesorze - błagała - proszę mię stąd wywieźć, dokąd pan chce, lecz niech ten świat odejdzie ode mnie... ten świat drugi... ja mam go dość!

Padła na fotel, łkając po cichu.

Gładził jej włosy pieśczołliwie. Całował delikatnie w czoło.

- Blanko droga - uspokajał ją - jakże może ktokolwiek odejść od tego, co jest w nim samym? Po tylu latach spotkałaś majora. On ciebie nie zapomniał ani ty jego. Jedyne wybawienie od męki urojonej czy prawdziwej to iść w oczy swemu przeznaczeniu. Idąc mu w oczy, kierujemy swą wolą i możemy nagiąć do swej woli to, co nam zagraża. Posłuchaj mię, a zwyciężysz. Jutro jedź do Rosławskiego. Pomów z nim. Pozwolisz, to przyjadę za tobą.

Głos mu zadrżał. Spojrzała na niego ze wzruszeniem. Jeszcze go nigdy takim nie widziała. U rzęs zawisły mu lzy... prawdziwe lzy...

- Profesorze - wybiegły z jej ust słowa, przepojone wstrząsem wewnętrznym - ja nie zasługuję... ja przepraszam...

Usiadł obok niej. Długo walczył ze sobą, zanim opanował bolesną mękę, która rozdzierała mu piersi. Wreszcie urywanymi - zdaniemami powiedział jej całą prawdę o sobie:

- Moja droga Blanko... nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo przywiązałem się do ciebie. Jest to uczucie jakieś święte... Gdybyś była moją córką, nie kochałbym ciebie więcej. Tak się złożyło, że jesteś moją najdroższą współpracownicą w tej niewdzięcznej pracy badawczej, której się podjąłem. Tym bardziej moje uczucie dla ciebie spotęgowało się. Drzę o twoje zdrowie i twój los, a nie mogę pozbyć się tego namiętnego pragnienia, aby na tym skromnym odcinku, na którym pracuję, dojść do pierwszych jakichś wyników przy twojej pomocy, dzięki twemu poświęceniu...

Ujął jej dłoń i serdecznie, czule ją głaskał.

- Mistrzu - odezwała się wzruszona - nie odejdę od ciebie... przysięgam... nie zdradzę twojej pracy...

Oparła z wielkim oddaniem i ufnością głowę na jego ramieniu. Uczony przyłgął ustami do jej włosów i długo ją pieścił, uśmiechając się do niej promiennie.

- Widzisz, droga Blanko - mówił - tą dziedziną, której się oddałem, u nas niemal się pogardza. A przecież są już jednostki wśród uczonych, które poświęcają się badaniom zjawisk medialnych z całą ścisłością i rygorystycznością naukową. Tak, Blanko, to jest naprawdę drugi świat, o którym ludzkość zapomniała. Chciałbym to wyrazić jak najściślej, abyś mogła mię łatwo pojąć. Otóż nasza współczesna cywilizacja w pogoni za doraźnym podniesieniem materialistycznego dobrobytu zgubiła kontakt ze światem pozabytowym, zna tylko i chce tylko znać ten, w którym się obraca. Empiryczność stała się dogmatem! Poza dogmat empiryczności boją się uczeni wyjść! Tylko religia wiąże jeszcze ludzi z życiem pozagrobowym, lecz i w tej dziedzinie nastąpiła bolesna mechanizacja. Brak nam bezpośredniości! Ludzie, nawet nabożni, jak najmniej pragną rozmyślać, pozostawiając Bogu rozwiązanie łamigłówek, które mogłyby ich niepokoić...

- Wiem, wiem - potakiwała.

- Ogi, w odległych epokach - ciągnął dalej Gordon - kiedy ludzkość zaczęła się dopiero wynurzać z powijaków przyrody, ta bezpośredniość między życiem pozagrobowym a doczesnym była istotna. Marzeniem Hindusa do dziś dnia jest jeszcze, aby ukończywszy zakres swych obowiązków rodzinnych, to jest wychowawszy dzieci i spłaciwszy dług krajowi, udać się w zacisze lasów i spędzić ostatnie lata na przemyślaniu prawd i zbliżaniu się w ten sposób do Boga... Wiemy również, że kapłani chaldejscy i egipcscy władali siłami przyrody nieznanymi dotychczas naszej wiedzy.

Blanka zaszłuchała się w jego słowa.

- Ale to wszystko - mówił dalej - zamuliła nasza materializacja. Nie tylko nie rozwinęła, lecz zabiła źródła tych potęg medialnych. Nam przypadło dźwigać się powoli z upadku. Ośmieszona dziedzina pozabytowa zaczyna odżywać. Coraz częściej rozlegają się

nawoływania o nową, pogłębioną psychologię, fizjologię i biologię witalistyczną...

Spojrzał jej w oczy z niepokojem.

- Czy nie nużę cię? - zapytał troskliwie.

- Nie, mistrzu. Zachowywałam się w ostatnich czasach jak krnąbrna uczennica, która nie wiedziała, co traci... Teraz wracam do ciebie, mistrzu, z tym samym, dawnym zapalem. Rozporządzaj moją osobą!

- Dziękuję ci gorąco - oświadczył z przejęciem. - Jesteś wspa-
niała! Jesteś prawdziwą córką Wiedzy. Dzięki tobie dokonam dziś
wielkiego odkrycia!

- Odkrycia? - spytała zdumiona.

Gordon uśmiechnął się tajemniczo. Poprawił grzywę srebrnych
włosów i pochylając się ku niej, mówił:

- Jestem głęboko przekonany, że major okaże się nadzwyczaj-
nym medium. W ten sposób przybędzie nam nowa siła. A tych
nigdy nie jest za dużo. Każda siła medialna wyczerpuje się. Trzeba
nią ostrożnie szafować. Dlatego nowe medium, bogate w przejawy
różnogatunkowe, to szansa nowych możliwości, to odciążenie sił
nadmiernie wyzyskiwanych, a do takich ty, Blanko, dotychczas
należałaś.

- Jakie są, profesorze, dyspozycje na tę noc?

Uścisnął jej dłoń serdecznie.

- Ubierzesz się w suknię wieczorową, zostawisz drzwi na kory-
tarz otwarte. Gdy major przejdzie przez balkon, zapalisz światło i
udasz, jakby on przyszedł wprost z korytarza.

- Rozumiem... jestem bardzo wdzięczna... ach, jak to dobrze...

- Pomówisz z nim, jak to ty umiesz... potem zakaszlesz, ja za-
pukam i wejde. Reszta należy do mnie. Spętany żywioł pójdzie w
służbę wiedzy. A jutro, jak powiedziałem, pojedziesz, dokąd chcesz.

- Jeżeli żywioł nie oszaleje - śmiała się. - Ale przyznaję otwar-
cie, że to ryzyko zaczyna mię podniecać. Jest w tym nowoczesny
romantyzm.

- Już idę! - rzekł Gordon. - Wielka akcja w toku!

*

Przewidywania Pordoby spełniły się co do joty. Ostatnim pociągiem wieczornym powrócił Jawicki z Nowego Targu, lecz ponieważ było jeszcze dość wcześnie, nie udał się od razu do pensjonatu, lecz wstąpił do podrzędnej restauracji, aby nie natknąć się na znajomych.

Był blady, zdenerwowany. Aż złość go brała na samego siebie. Nie przypuszczał, że ten zamach będzie go tak drogo kosztował. Tak wiele nieraz ryzykował, tyle razy patrzył śmierci w oczy, tyle razy chwycił lufę pistoletu, wycelowaną w siebie, i wykręcał ją z ręki szalonej kobiety, lecz nigdy nie przeżywał podobnej udręki jak obecnie.

Czuł, że utracił swobodę ruchów. Działał niemal automatycznie. Rozpłynęła się w nim zawziętość.

Tak, tak - upewniał sam siebie - stało się ze mną coś dziwnego. Może to początek obłądki? Lekarz przestrzegł mię przed trzema laty, kiedy przeżywałem katastrofę z Alicją... Jest coś niedobrze ze mną. Miałem piekielne pragnienie. Profesor Gordon podał mi wodę, lecz kiedy powiedział, że nie mam pragnienia, to rzecz zdumiewająca: pragnienie od razu minęło...

Wypił parę koniaków, aby się uspokoić.

Profesor Gordon - powtarzał w kółko - profesor Gordon... Ja go istotnie kiedyś poznałem... Te oczy jego, te oczy...

Musiało to być bardzo dawno...

Przysięgłbym, że kiedyś posuwałem się z nim jakimś podziemnym korytarzem, w jakimś potwornym labiryncie... Gdzie to mogło być? Czy na froncie w przeciwigazowych schronach?

Obfity pot zrosił mu czoło.

Nagle z boku wyskoczyła myśl:

A może powinienes zasięgnąć jego rady? On niczemu się niejzdziwi! Zapytaj go, czy wolno ci zaskoczyć we śnie Blankę...

Zgrzytnął zębami, aż przy sąsiednich stolikach zwrócono na niego uwagę. Nie spostrzegł jednak tego. Wychylił znowu parę kieliszków, lecz alkohol nie działał. Zwykle po spożyciu trunków następowało u niego słodkie odprężenie nerwów, tym razem koniak miał właściwości wody. Nie szedł do mózgu.

A jednak powinieneś - ta sama myśl zaatakowała go bezbron-
nego - zwierzyć się profesorowi ze swego szaleństwa!

Nigdy w świecie!

Zerwał się od stolika.

- Płacić! - wrzasnął.

Spojrzał na zegarek.

Północ blisko - zanotował w mózgu.

Drżał jak w febrze. Wypadł z restauracji, nie odbierając reszty, i drogą okólną szedł szybko do pensjonatu. Boczna furtką, od której miał klucz, wszedł do parku otaczającego „Rysicę”. Wąską ścieżką, nie zapalając latarki elektrycznej, niepostrzeżony zbliżał się do celu.

Mijał ostatnie drzewa w młodym zagajniku. Kilka razy gałęzie uderzyły go boleśnie w twarz. Był wściekły. Czuł, że krwawa ranka otworzyła się pod okiem.

Potężny fronton pensjonatu zarysował się jak w gęstej mgle. Tu i ówdzie błyskały światelka w pokojach letników-maruderów.

Prześliznął się skrajem parkowych drzew i stanął na wprost okien pokoju Blanki. Światło na trzecim piętrze w jej pokoju jeszcze się paliło. Stwierdził, że drzwi na balkon były otwarte... W pokoju sąsiadki było ciemno. Czarne szyby krzyczały, chodź!

Zaniepokoił się:

Dlaczego jeszcze nie śpi? Może przyjaciółka jest u niej?

Poczuł jakby ulgę w sercu. Może nie będzie mógł iść...

Ale w tejże chwili światło w pokoju Blanki zgasło. Czarne szyby okien chwytały odbłask poświaty księżyca. Oparł się o pień drzewa. Otarł pot z czoła.

Zaklął siarczyście - na chustce dostrzegł wyraźny ślad krwi...

Gałąź zdarła mi naskórek pod okiem, będę wyglądał jak bandy-
ta.

Tymczasem wygasaly światła w innych pokojach jedno po dru-
gich.

Idź! Idź! - wewnętrzny głos popychał go do czynu. - Jeśli tak bardzo cię unikała, to najlepszy dowód, jak jest niepewna swego oporu. Pragnie, a lęka się. Idź! Idź!

Postanowił nie ryzykować wejścia frontowymi drzwiami pensjonatu. Obszedł boczne skrzydło budynku i znalazł się pod oknem swego pokoju. Było uchylone. Ostrożnie przełożył rączkę, otworzył je i wsunął się do pokoju.

Drżał na całym ciele.

Febra? Zmęczenie? - próbował zdać sobie sprawę.

Idź do profesora Gordona! - wołał w nim przenikliwy głos.

Idiotyzm! Wyrzuci cię za drzwi! - chichotała inna myśl. - O północy prośba o radę, czy wdrzeć się do donny w nocy, czy poczekać do rana? Hahaha!

Stwierdzi!, że w szafie leżały zostawione przez niego papiery... poza tym porządek...

Zwymyślał sobie od ostatnich, bo z rąk leciało mu wszystko, czego się dotknął. Najwyższym wysiłkiem woli opanował rozdygotane nerwy, włożył do kieszeni elektryczną latarkę, sprawdził, czy nie zawiedzie, kamieniem wypalił ranę pod okiem, skropił włosy wodą kolońską, poprawił grzebieniem zaczesanie, spojrział w lustro, poprawił marynarkę...

Nagle zdawało mu się, jakby w lustrze przemknęła biaława smuga, która oddalała się w głąb i w wielkim od niego oddaleniu przemieniła się w dwoje oczu zielonych, które ciskały błyskawice światła.

Te oczy... Te oczy...

Po chwili zjawisko znikło. Wzdrygnął się. Owionęło go , przejmujące zimno. W ustach miał smak piołunu. Jakaś niewidzialna siła porozstrajała mu wszystkie nerwy...

We mnie czai się choroba - usiłował znaleźć wytłumaczenie. - Tak, tak... lekarz przed trzema laty...

Iść czy nie iść?

Ogarnęło go wielkie zniechęcenie. Ale nakaz wewnętrzny nie dał mu spokoju: Musisz iść, ona czeka... ona wie, że przyjdiesz... Zdziwi się, gdy się nie zjawisz... Co za śmieszność... tyle zabiegów i w nogi przed nieprzyjacielem... hahaha...

Zaciął zęby, wyprostował się i z tą chwilą przekształcił się w ryś.

Wyszedł ostrożnie na korytarz. Wytężył słuch. Panowała bezwzględna cisza, tylko w końcu korytarza tykał wiszący zegar.

Zapalił elektryczną latarkę i szybko podszedł do schodów. Wchodził na górę zdenerwowany. Kiedy minął pierwsze piętro, miał wrażenie, że ktoś położył mu ciężkie, ogromnie ciężkie dłonie na ramionach i przytłacza go do ziemi. Przed nim wyrósł niewidzialny olbrzym. Przysiągłby, że dostrzegł jego szaro-niebieskawe kontury, sięgające pod strop klatki schodowej.

Zwidzenie - zaklął i parł dalej naprzód.

Ale już po kilku krokach zmęczył się. Zlał go obfity pot.

- Widocznie osłabienie - mruknął sam do siebie, ledwie słyszałnie. A w mózgu znowu zachichotał głos:

Lekarz mówił ci przed trzema laty...

Uderzył pięścią w poręcz, aż jęk poszedł po korytarzu. To go uprzytomniło. Z pochyloną naprzód głową i całym korpusem, jak do ataku na bagnety, wspinał się po schodach, nie zatrzymując się ani chwili. Chciał ruchem zgnieść opadające go zwidzenia.

Przecież to do niczego niepodobne! - upominał sam siebie. - Nie w takich byłem opresjach, a zawsze przełamane opór... Każda dzierlatka jest do drugiej podobna. Niedostępna dopóty, dopóki nie przestąpi granicy. Przysiągłbym, że Blanka miała niejedną tęgi romans. Tylko ja jak dureń i nią się ceremoniuje...

- Avanti! - zachęcał siebie. - Mam zaostrzony apetyt, hahaha...

Minął już drugie piętro i zaczął wchodzić na trzecie. Nagle uczuł jakby silne uderzenie w głowę. Nie mógł się zorientować, skąd otrzymał cios. Był tak silny, że zachwiało się i, aby nie upaść, musiał oprzeć się o balustradę.

Dotknął ręką głowy, lecz nie mógł ustalić, gdzie został ugodzony. Przy dotknięciu nie wyczuwał żadnego bólu.

Uderzenie krwi do głowy! - szepnęła bojaźliwa myśl. - Pośpiech był wielki. Ostatnie przejścia... wstrząsy nerwowe...

Latarką elektryczną oświetlił klatkę schodową w górę i w dół. Nikogo nie dostrzegł, ani żywej duszy. Przymknął na moment oczy i znów nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kiedyś po jakichś gigantycznych schodach wspinał się i pochodnią oświetlał sobie drogę. Ta droga wiodła do księżniczki pałacu... Drzemała we wspaniałej

sukni... nawet jej twarz dostrzegł w mrokach, które słały się tuż za wąskim kręgiem latarki... twarz bardzo znajomą...

Wrażenie spotęgowało się z potworną wyrazistością. Twarz nabierała konturów coraz jaśniejszych... promieniała niebieskawą poświatą... Tali? Tak! On tę twarz zna... z wszelką pewnością zna... tylko teraz to uczesanie dziwne... te oczy głębsze... jak przepaść zawrotne... ruchome...

Idą na niego... te oczy... idą!!!

Okrzyk wydarł się z jego rozpalonych ust:

- Blanka!!!

Przeraził się własnego głosu. Usta niesforne zatkał dłonią. Serce biło mu gwałtownie. Mógł ktoś usłyszeć... wybiec na korytarz... i będzie skandal... on tu, na drugim piętrze, i to słowo: Blanka...

Czy trzeba większego dowodu prawdy?

Wyteżył słuch, lecz żaden szelest nie doszedł do jego uszu. Nikt się nie przebudził. Także ta, której imię wykrzyczał.

Wszyscy spali. Muszą spać. Jemu zawsze w takich chwilach szczęście idzie na rękę. Żeby ona nawet krzyczała, kiedy wedrze się do jej pokoju lub kiedy ją nierozbudzoną pochwyci w objęcia i pocałunkiem strasznym zamknie jej usta... nikt jej nie usłyszy... nikt... ani ona samej siebie...

War krwi uderzył mu do głowy. Oczy zaszyły czerwoną mgławicą. Tam ona śpi w swym pokoju... nie czuwa... nie lęka się... i nie przełęknie, aż dopiero w jego ramionach... lecz na krótko, na błyskawiczny moment... a potem będzie taka powolna jak wtenczas, kiedy ją niósł na rękach w Dolinie Pięciu Stawów... albo wtenczas, kiedy, ją trzymał na rękę zwisającą... a pod jego nogami drżały jak grzmoty piorunów koła ciężkiej, z brązu kutej kwadrygi...

Ocknął się. Skąd znowu ten obraz? Nigdy go nie miał w pamięci... nigdy... dziś po raz pierwszy...

Na rękę jego zwiślała kobieta... tak, kobieta, której kształty czuł dotykem... wspaniale, boskie... i ta twarz, znowu ta twarz...

Chciał krzyknąć znowu: Blanka! - lecz zdławił głos w krtani.

Obłąd... tak... obłąd...

Bo za dużo ceremonii z tą jedną szaloną... dlatego...

Zebrał się w sobie i zdecydowanym krokiem przebiegł schody na trzecie piętro. Przed nim jeszcze korytarz długi. Ostatni pokój... naciśnie klamkę... pokój pusty...

Gruby chodnik tłumiał jego kroki. Zdawało mu się, że stąpał ciężko, aż podłoga ugięła się pod nim. Położył ostrożnie rękę na klamce.

Nigdy nic się nie wie - zachichotała przekorna myśl w jego mózgu. - Sąsiadki nie ma, lecz ktoś inny tu śpi... może zmieniła pokój... dla tej nocnej damy najlepiej na dole.

Nacisnął klamkę. Poddała się miękko. Powoli pchnął drzwi. Ustały.

Jest przejście... Wszedł. Latarką oświetlił wszystkie kąty pokoju. Nic się nie zmieniło. Wszędzie porozrzucane drobiazgi żeńskiej garderoby w wielkim nieładzie. Ktoś się przebierał i po wszystkich kątach i meblach posiał to, co ściągnął z siebie.

Co za gorączka! - mruknął. - Czy one wszystkie są takie same? Widać, że na tę damę czekał mężczyzna... Na ciebie czeka tamta! - przeszła mu mózg myśl lubieżna. - Spiesz się! Czeka we śnie, w łóżu białym, pachnącym!

Nie! - syknęła ironia. - Czeka na ciebie jak królowa na tronie! Pamiętasz, jak ongi gnałeś po gigantycznych schodach do jej komnaty, a ona we wspaniałej szacie czekała na ciebie i całkiem nie zdziwiła się, gdy wdarłeś się do jej sypialni?

Zazgrzytał zębami.

Przekłęte chimery! - klął w duszy.

Ostrożnie, powoli wszedł na balkon, zgasiwszy latarkę. Światło mógłby ktoś dostrzec. Drzwi do pokoju Blanki były otwarte. Tylko przejść przez przegrodę. A tam ona...

Wpadnie! Ustami zdławi jej krzyk...

Fale krwi wrzającej siekły go jak biczyskami palącymi. Podszedł do przegrody. Latarkę włożył do kieszeni. Ujął oburącz przegrodę. Może da się ruszyć...

O dziwo! Nie była przybita. Dała się usunąć. Centymetr po centymetrze, bez hałasu, bez skrzypienia ustępowała jak brama piekielna, którą szatan podparł, a ludzka wola ramionami tytana wyważa.

Odetchnął. Wciągnął kilka głębokich, ożywczych haustów powietrza. Rzucił okiem na park, w dół na ścieżką ogrodową. Wszędzie pustka, milczenie.

Nad nim kopuła nocy migotała nerwowymi blaskami gwiazd, które zawisły bliska tuż nad nim, jakby chciały być jedynymi świadkami tego gwałtu, jaki niósł w swych mięśniach, żądy i krwi.

Prędej! - syknęła myśl. - Noc nie jest wiekiem... odpływa... ucieka....

Serce zabiło w nim gwałtownie. Czerwone płatki zakołowały przed oczyma. Wyprostował się, pochylił w karku, rzucił rysie - spojrzenie przed siebie i z wolna, krok za krokiem, zbliżał się do otwartych drzwi sypialni Blanki.

Czarna jego sylwetka zarysowała się jak demon na tle ciemnych fioletoń nocy, zaniepokojonych błyskami gwiazd.

Postawił stopę na progu. Wsunął nogę do pokoju. Ostrożnie wyjął latarkę.

Chciał błyskawicznie oświetlić wnętrze, by dostrzec, gdzie spoczywa Blanka, a potem w jednym susie dopaść do jej łóżka i porwać ją w ramiona...

XXI. WYJŚCIE Z LABIRYNTU

Ostatnia rozmowa Rosławskiego z żoną stała się punktem zwrotnym w jego wegetacji duchowej. Na zewnątrz był on organizacją niezwykle czynną. Przez mózg jego i nerwy przelewały się niezliczone sprawy handlowe, techniczne i administracyjne.

Wszystkie miały na względzie jeden cel: jak największą wydajność finansową.

Rosławski czuł dojmująco, że dominanta względów materialnych, od których się zaczyna i na których kończy się normalnie egzystencja ludzka, przerosła swoje przeznaczenie i zdegenerowała się zupełnie.

Na to coś, co uderza oślepiającą błyskawicą ludzkie oczy w chwili, kiedy pierwszy krzyk wybiega z piersi noworodka lub ostatni dech ucieka z płuc umierającego człowieka... brak czasu i miejsca w obrębie ludzkich zainteresowań. To coś spycha człowiek i odsuwa od siebie z minuty na minutę na później... byle dalej... jak najdalej... Aż wyrosły z niemowlęcia twórcy zwali się wreszcie do trumny lub na stół prosektorium, nie pochwycając ani jednej wolnej sekundy dla porachunku wewnętrznego, dla wiwisekcji duchowej, dla swoistej próby przewartościowania załapanych na drodze kariery lub zdychania owych niewzruszonych maksym praktycznego żywota.

Ale czy z tego praktycznego żywota doczesnego da się coś przygotować dla dalszego, wyższego, uszlachetnionego bytowania po jazgocie śmiertelnym i po ostatnich konwulsjach agonii... nad tym problemem nie ma nigdy czasu się zastanawiać... Nikt nie czuje nawet takiej potrzeby, każdy zostawia te sprawy do załatwienia ceremoniom religijnym.

O parodio uduchowienia!

Coś stąd, z tego życia, zabrać w tamto życie - snuł myśli. - To co jest wartością nieprzemijającą, nieśmiertelną.

Gdy ta idea raz dziesiąty i setny przewaliła się przez jego mózg, zdobywając coraz więcej terenu dla siebie, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dokonała się w nim jakaś wielka przemiana, że zbudował po raz pierwszy własną busolę, która pozwoli mu kierować łodzią doczesnego życia według układu innych gwiazd.

Jego rozmowa z Marią potoczyła się teraz innymi torami. Po kilku dniach nienawistnych spojrzeń żony, które chwycił w przelocie, po krótkich spięciach z powodu najbliższych przyczyn, wieczorem, kiedy siedzieli oboje w pokoju, pozornie zaczytani w gazetach, zwrócił się do niej z pytaniem:

- Jak sądzisz? Dzisiejsza poczta przyniosła różne oferty z propozycjami objęcia obowiązków członka rad nadzorczych w kilku różnych instytucjach, naturalnie wysoko honorowanych... czy zgodzić się i objąć?

Spojrzała na niego podejrzliwie. Ale twarz jego była zimna. Nadał jej wyraz bezmyślności.

- To zależy - odparła - ale dlaczego mnie o to pytasz?

- Zwykle radziłem się ciebie w takich wypadkach - rzekł spokojnym, oschłym tonem.

- Dawniej, kiedy byliśmy w najzupełniejszej zgodzie - odparła zła i chmurna.

- Ale żyć trzeba, cokolwiek nas dzieli. Jak zatem myślisz?

- To już twoja rzecz. Zależy, co ci dają...

- Dochód mój wzrośnie o dwa tysiące miesięcznie.

- To jest coś...

Uśmiechnęła się mimo woli. Zawirowały jej w głowie możliwości, o których dotychczas nie mogła marzyć. Przecież mąż jest od tego - snuła błyskawiczną myśl - aby robił pieniądze. Tym bardziej skoro oddała się ode mnie. Niech za to da mi pełnię środków materialnych.

Otarła szybko zabląkaną łzę w oku i lekko drżącym głosem wyraziła swój pogląd:

- Rób, jak chcesz, lecz pamiętaj o tym, że dobra passa nie wraca.

Urwała. Dostrzegła uśmiech lekceważenia, błąkający się po jego wargach. Zakipiła w niej krew.

- Dlaczego wyciągasz mię na słówka, a w głębi duszy drwisz ze mnie? - zasypała go stekiem wyrzutów. - Przecież dostrzegłam twój ironiczny uśmiech. A mnie co to wszystko obchodzi? Odrzuć te przekłete oferty! Zabaw się w apostoła życia prymitywnego, wewnętrznego, hahaha... przy misce soczewicy... hahaha... przy rozpamiętywaniu grzechów... hahaha... przy psychicznym obłąkaniu. A tak, obłąkaniu! Bo obłąkaniem jest to wszystko, co wygadujesz, co ci ta donna mistyczna wkręciła w mózgowicę...

Wstał spokojnie, przeszedł przez pokój miarowym krokiem, rozważając konsekwencje słów, które miał wypowiedzieć. Czy warto, czy nie warto? - zadawał sam sobie pytanie. Warto!!! - krzyknął w nim ból. Podszedł do niej opanowany, skupiony.

- Moja droga, sama czujesz doskonale, że my oboje nic a nic siebie nie rozumiemy.

- Dotychczas rozumieliśmy się...

- Dotychczas... bo i ja, i ty wpatrzeni byliśmy w jeden punkt: w używanie. W używanie we wszystkich formach i okolicznościach. Jak najwięcej haszyszu, jak najwięcej pianki szampańskiego życia...

- No więc czego chcesz? Co możesz postawić lepszego na miejsce tych wykpiwanych przez ciebie, wartości, bez których żaden apostoł... prawdziwy apostoł, nie taka imitacja apostołska jak ty... także się nie obejdzie! Co? Co postawisz? Seans z mistyczną Blanką w jednym łóżku? Ale to także wartość szampańskiego życia!

- No tak - odrzekł z przekąsem - jesteśmy na właściwej drodze do porozumienia. Zwłaszcza to łóżko udało ci się nadzwyczajnie!

- Nie drażnij mnie, to nie będę lżyła słowami.

- Nie dokończyłem, moja droga, mojej myśli...

- Opuść to słowo „droga”, przeżytek z dobrych czasów...

- Otóż szliśmy oboje wpatrzeni w tę piankę szampańskiego życia, ty z najwewnętrzniejszej potrzeby, bo ty tym oddychasz jak ryba w wodzie. To jednak twój wielki plus. Jesteś konsekwentna bez żadnego odchylenia. Ja szedłem wpatrzonej w ten sam punkt z przyzwyczajenia, z treningu wychowawczego, ze ślepej manii

naśladownictwa. Tak jak inni, tak i ja. To mój minus, moja dyskwalifikacja. Byłem wewnętrznie innym, a stawałem się innym, utalentowanym zjadaczem chleba... Skoczyła jak oparzona.

- Wariacie! - wykrzykiwała. - Czego ty właściwie chcesz od siebie i od tych mądrzejszych od ciebie? Co ty nowego zbudujesz? Na co się porywasz? Gadasz jak pijany! Żółć może człowieka zalać, gdy słyszy, jak przywoity człowiek, zrównoważony, porządny, wzorowy mąż nagle bawi się w Diogenesa, z latarką szukającego prawdy, której nie zgubił... hahaha... prawdy!

Rosławski spojrział na nią bystro:

- A wiesz, że stworzyłaś doskonale porównanie? Z latarką szukam prawdy, której nie zgubiłem... Czy powiedzieć ci, kto ją zgubił?

- Mistyczna Blanka...

- Ona nie, ja nie. Ani ty.

- Wiem - odezwała się sarkastycznie. - Lokatorzy Kulparkowa, Tworek. Słyszałam o takim jednym. W dzień śpi, a w nocy chodzi po pokoju i szuka. A kiedy się go pytają, dlaczego nie robi tego w dzień, odpowiada z wielką powagą, że słońce jest także zakłamanie i przeszkadza mu, a on prawdy szuka i znajdzie ją bez pomocy fałszywych promieni.

- Genialny biedny umysł - rzekł. - Wycucie potwornego kontrastu zabiło w nim zdolność poszukiwania.

Żachnęła się i krzyknęła:

- No to jedź do Tworek i pomagaj mu. Jesteś na najlepszej drodze. Winszuję.

Usiadł zamyślony. Maria wyczerpała temat całkowicie. Ułatwiła mu drogę.

- A wiesz - oświadczył po chwili - że znalazłaś bardzo trafną definicję... to wszystko nadaje się do Tworek... nowoczesny Diogenes, szukający z latarką elektryczną po nocy prawdy, której nie zgubił. Zgubiła ją nasza cywilizacja.

- A ty zabawisz się w archeologa - docinała mu - i będziesz kołpał.

- W każdym razie bez ciebie, Mario. Bez ciebie.

Błyskawicznie podeszła do niego:

- Co to znaczy?

- To znaczy, że zawarliśmy spółkę małżeńską z dobrej woli, lecz nie znając się zupełnie. Znały się nasze instynkty, żądze, popędy, pożądaniami... z dodatkiem etyki i zblazowania.

- Aha! Gdy mię odbijałeś memu mężowi, to to było zblazowanie etyczne. Czy tak?

- A co to było? Zblazowanie. Chodziło nam o podniecenie znużonych nerwów.

- A miłość? - rzuciła gwałtownie pytanie.

- Marysiu, powiedz tak z ręką na sercu, czy gdybym nie był dyrektorem wielkich zakładów metalurgicznych z pensją sześć tysięcy złotych miesięcznie, czy ty poczułabyś dla mnie miłość?

- Znowu wariat! A czy jako zwykły hołysz miałbyś dostęp do mnie i mógłbyś mię uwodzić pod bokiem męża? Miłość jest uwarunkowana okolicznościami realnymi, a nie bzdurami mistycznymi. Chyba wiesz dobrze, że ze studencikiem ani buchalterem ja, taka jaką mię znasz, nie zadawałabym się nigdy. Tylko równość materialna, na stopie mojego życia takiego, jakie wiodłam u boku męża, mogła mię zbliżyć do ciebie.

- W innych warunkach nigdy - śmiał się w kącikach warg.

- Może w koszuli zgrzebnej? - szalała. - Taką byś mię pokochał? No to ja zrzuciłabym takiego niewymagającego amanta z trzeciego piętra na zбитy łeb!

- O to mi właściwie chodziło - przerwał dyskusję. - Wyjaśniłaś istotę rzeczy, i to z taką dokładnością, iż ja nie mam nic do dodania.

- A więc? - rzuciła pytanie wzburzona, wściekła na siebie, że dała się porwać nerwom i powiedziała za dużo. - Jakiż wynik tej oryginalnej rozmowy Diogenesa humorystycznego z damą, która nie rozumie ludzi z Tworek?

Wstał spokojnie i rzekł do niej:

- Jaki wynik? Bardzo prosty. Przed kilku jeszcze dniami niosła nas ta sama fala. Mieliśmy jeszcze wspólny język wspólnych interesów. Ale teraz, kiedy właściwie zrozumieliśmy istotny sens, a właściwie nonsens naszego pożycia małżeńskiego, którego siłą

przyciągającą dla ciebie jest i była stopa materialna życia, a odpychającą koszula zgrzebna, przez którą nigdy nie przecisnęłaby się żadna miłość do twego serca, żadna głęboka miłość, możemy powiedzieć sobie: minęło!

- Rozwód? - wykrztusiła słowo ze ściśniętego gardła.

- Mniej więcej tak...

- Warunki???

- Jak najlepsze dla ciebie! Ułoży adwokat.

- Przyczyna?

- Nie chcę ciebie oszukiwać.

Nie mogła opanować wzburzonych nerwów.

- A więc romans z Blanką na boku ci nie wystarcza, czy tak? A prawda, ty jesteś ten solidny mężczyzna, który nie chce się bawić w podkradanie komuś drugiemu tego, co mu smakuje i chce mieć to coś na swój wyłączny użytek. Tak jak to było ze mną. Czy tak, solidny dżentelmenie?

- Nie. Mógłbym wprawdzie powiedzieć, że tak, cóż by mi to teraz szkodziło, lecz, choć cię to bardzo zdziwi, nie. Istotnie nie.

Oczy jej rozpały się gniewem.

- To dla mnie tym większa obraza! - krzyczała. - Obraza! Wszystko mogłabym zrozumieć, najgłupszy romans, najdziksze zacierzewienie erotyczne, najbardziej plugawą żądzą czy nawet zboczenie, ale rzucać mię dla jakiegoś psychicznego widzimisie, dla jakiegoś mistycznego uduchowienia, to obraza, której ci nie daruję. Nawet mówić z tobą nie będę o rozwodzie! Żebyś mi złote góry obiecywał! Żebyś mi wszystko, co posiadasz, zapisał, nie ma rozvodu! Nie ma! Nigdy! Patrzcie, co za parka uduchowiona, co za etyka ezoteryczna... Kretyn! Wariat! Wariat!

Darla na sobie bluzkę, rozszarpała haftowaną koszulę, padła na fotel i biła piętami o dywan jak małe dziecko, doprowadzone do szaleństwa.

Stał nad nią i patrzył struchlały na tę kobietę miotającą się w paroksyzmie zawiedzionej dumy.

- Ja jej wypalę oczy! Ja ją zastrzelę! Mistyczna gęś! Kiwnęła palcem uduchowionym, napisała madrygał o psyche pozabytowej, a on na kolanach czołga się i liże ślady jej stóp!

Zdarła z siebie całe okrycie i naga biegała po pokoju w histerycznym ataku.

Dopał ją, chwycił w pól, zaniósł do łóżka i nakrył kołdrą, trzymając jej ręce w jednej dłoni, drugą zakrywając usta.

- Słuchaj, Marysiu - mówił stłumionym głosem - ty kochasz życie, kochasz jego upojenia, jego blask. Na to potrzeba pieniędzy. Ja przy tobie tych pieniędzy robić nie będę, bo na każdym kroku razić mię będzie dysproporcja między tym, co staje się teraz moją namiętnością, a tym groszorbstwem. Odrzucę wszystkie oferty, jakie dziś przysły, bo zabijać się dla pieniędzy nie będę. Ale jeżeli wrócisz mi wolność, a ja zobowiązę się dać ci dostatanie uposażenie, to robienie pieniędzy stanie się moim honorowym obowiązkiem. Zatem będę je robił. Inaczej - zrozum to dobrze, co powiem teraz - palnę sobie w łeb, bo takie życie, jakie wiodę, stało się dla mnie nonsensem. Wówczas ty sama nie wybrniesz z moich zawikłanych interesów i możesz w spadku nic nie otrzymać. Wszystko zjedzą adwokaci, licytacje, kuratorzy i hieny pozgonne. Wszystko! Zostaniesz z długami, bez emerytury, bez zaopatrzenia. Tak! Mam miliony w zawikłanych interesach, ale to wszystko runie, gdy mnie zabraknie. Rozumiesz? Zastanów się dobrze. Rozumiesz?

Puścił jej obie ręce, zdjął dłoń, która zaciskała jej usta.

Leżała długo z zamkniętymi oczami, dysząc gwałtownie. Powoli uspokoiła się. Po wargach jej przebiegł leciuchny uśmiech. To, co mówił, miało treść przerażająco prawdziwą. Musiał żyć dla jej materialnego dobrobytu.

- Przecież ja cię kocham, Januszu - szepnęła. - Przecież będziesz zawsze potrzebował kobietki miłej, wykwintnej, pięknie zbudowanej. Ja nie jestem taka zła, jak ty myślisz. Przeciwnie, mogę poświęcić się nawet dla twojej chimery...

Wyciągnęła do niego obie ręce, wabiąc go zalotnym spojrzeniem.

Spokojnym ruchem okrył ją kołdrą.

- Marysiu, zostaw, to niepotrzebne. Ja i tak będę pamiętał o tobie. Ubierz się. Powinnaś wrócić do Warszawy. Tam omówimy całą naszą transakcję.

Odwróciła głowę wściekła.

Znów się skompromitowałam - syknęła w duszy.

Ze złości wbiła sobie w uda paznokcie.

- Schodzę na dół do holu - rzekł wstając. - Muszę wysłać kilka listów w związku z ofertami, które nadeszły. Ty ubierz się i zaczekaj na mnie.

Wyjął z biurka pamiętnik Blanki, schował nieznacznie do bocznej kieszeni i krokiem równym, miarowym opuścił pokój.

Postanowił odszukać profesora Gordona. Tylko on jeden może go skomunikować z Blanką. Wysłał list ekspresem do przyjaciela w Warszawie, prosząc go, aby telegraficznie podał mu adres obecnego pobytu Gordona.

Maria wyskoczyła z łóżka. Jak raniona pantera obiegnęła kilka razy pokój, chwytając w przelocie w lustrze obraz swych nagich wdzięków.

- Błazen! Błazen! - syczała. - On już nie widzi mojego ciała! Sokrates!

Rzuciła się do biurka w poszukiwaniu pamiętnika Blanki.

- Zabrał go! Jestem idiotka! Dlaczego wcześniej nie zniszczyłam tych piśmideł? Tym lepiej! Teraz z nią osobiście pomówię! A to będzie rozmowa!

Wybuchła spazmatycznym płaczem. Padła na sofę obitą aksamiitną, szafirową materią. Jej złociste ciało, opalone nad morzem w ciągu ubiegłych dwóch tygodni, wiło się w nerwowych skrętach, aż wyczerpana i zziębnięta zarzuciła na siebie pled, zaciągając go pod szyję.

Starła się obmyśleć strategiczny plan dalszego postępowania z mężem.

Swoją pozycję małżeńską przegrała. Brała to w rachubę jako fakt dokonany. Chodziło jej teraz o to, aby ocalić z tego rozbicia jak najwięcej materialnych korzyści dla siebie.

- Ułożę się z tą Blanką - powzięła postanowienie. - Dwie kobiety najlepiej mogą się zrozumieć. Zemsta zemstą, ale najlepsza zemsta będzie ta, za którą Janusz najdrożej zapłaci...

XXII. ŚWIATŁO W CIEMNOŚCIACH

Major stał na tle fioletowej poświaty nocnej w obramowaniu oszklonych drzwi pokoju Blanka jak słup czarnego głazu. Latarka elektryczna zacięła się. Na próżno naciskał guziczek.

Blanka obudzi się i dostrzeże błazna! - syczała ironia.

Najlepiej rzuć się z trzeciego piętra w dół - szeptała rozpacz. - Tam na kamieniach spokój i ukojenie...

W tej chwili silne światło zalało cały pokój.

Major osłupiał.

Na fotelu, zasłanym czerwoną aksamitną materią, w czarnej wieczorowej sukni, owinięta srebrnym węzłem, siedziała Blanka jak księżniczka z bajki. Na szyi jej i włosach płonęły kamienie rzucające zielonawe błyski.

Przetarł oczy. Sen czy jawa?

Blanka uśmiechnęła się do niego, podnosząc lekko w górę długie palce.

Jawicki zadrżał. On już kiedyś widział ten sam gest w takiej samej pozycji... Biegł wówczas po olbrzymich, gigantycznych schodach do sypialni księżniczki...

- Blanka! - krzyk zrodził się w jego gardle i zamarł na wargach.

Był półprzytomny.

- Panie majorze - odezwała się melodyjnym głosem - jak to dobrze, że pan przyszedł. Profesor Gordon spóźnia się. Miał mię zaprowadzić na dancing... Czy może on przysłał pana?

Jawicki nie był w stanie odpowiedzieć ani słowa. Gotów był przysiąc, że, co widział, było halucynacją jego chorego mózgu.

- Zdrzemnęłam się - mówiła dalej. - Drzwi na korytarz nie są zamknięte na klucz, zatem pan wszedł... Chciał pan zapalić latarkę elektryczną, jeszcze pan trzyma ją w ręku... ale uprzedziłam pana. Zapaliłam światło, aby pan mógł mię szybciej znaleźć.

W tej samej chwili latarka w ręce majora błysnęła snopem światła. Nachylił ją ku sobie. Zmieszany nie mógł oderwać od niej oczu. Wołę miał sparaliżowaną. Ktoś rządził jego ruchami i myślami.

- Obłąd! Obłąd... - upominał go instynkt ostrzegawczy.

Blanka skinęła przyjaźnie głową.

- Panie majorze - rzekła ciepłym głosem - brak w moim pokoju powietrza. Wprawdzie drzwi na balkon otwarte, ale niech pan będzie tak dobry i szeroko otworzy drzwi na korytarz. Trochę przewiewu się przyda.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Istotnie niezamknięte - zdziwił się.

- Dzięki temu mógł pan wejść i w samą porę obudzić mię z drzemki.

Spojrzał na zegarek.

- Punkt dwunasta. Pora duchów - mówiła lekkim, żartobliwym tonem. - Najlepsza dla nas, prawda?

Rozśmieszało ją jego osłupienie.

- Ale ja tak mówię i mówię, a zapomniałam o panu. Proszę usiąść i proszę nie gniewać się na mnie, że byłam taka nieznośna przez kilka ostatnich dni. U mnie tak bywa. Ale właśnie dziś chciałam się widzieć z panem i stąd powstała myśl o dancingu. Głos wewnętrzny mówił mi, że pan wróci. Proszę usiąść... o, na tym krześle, bliżej mnie.

Spełnił posłusznie jej życzenie zmiażdżony, zdruzgotany. W ręce trzymał machinalnie latarkę, to gasząc ją to zapalając.

- Duże dziecko się bawi - śmiała się swobodnie. - Proszę odłożyć latarkę i pomówić ze mną tak serdecznie i szczerze, jak to pan potrafi.

Major w dalszym ciągu milczał. Czuł, że w krtani uwięzły mu wszystkie słowa. Rozłożył bezradnie ręce.

W mózgu jego zawirowały złe myśli:

Siedzi obok ciebie... ona!!! Tylko wyciągnąć ramiona, porwać ją w objęcia i rzucić bezbronną na dywan!

Patrz, jaką żądzą płoną jej oczy!

Przeczuwała, że przyjdiesz. A więc...

Korzystaj! Korzystaj! Jedna chwila i będzie twoja!

Powoli obrzucił wzrokiem całą sypialnię.

Otwarte są drzwi na korytarz! - syknęła w nim rozdrażniona myśl. - Idź i zamknij!

Powstał jak kolumna wielki, ponury.

- Chłodno... pani się zaziębi...
- Rzeczywiście... Proszę, niech pan zamknie drzwi balkonowe.
Giewont dmucha przymrozkiem...

Zawahał się.

- Wpierw na korytarz - mruknął.

Spokojnym krokiem zbliżył się do drzwi na korytarz i już kładł rękę na klamce, kiedy nagle dostrzegł w głębi ludzką postać o płonących niesamowitym blaskiem oczach.

- Kto tu? - zapytał wściekły.

Blanka zakasłała.

Z ciemności wyłonił się profesor Gordon.

- Pan tu? - warknął Jawicki.

- Mówiłam przecież - odezwała się - że profesor ma mi towarzyszyć na dancing... Pan przecież także pójdzie z nami?

Nie mógł opanować wściekłości, która nim trzęsła.

- Nie pójdę na żaden dancing!

Gordon uśmiechnął się wyrozumiale.

- Doskonale, panie majorze - powiedział. - Miałem nawet zamiar odwieść pannę Blankę od tego zamiaru, bo zrywa się wichur i będzie ulewa, ale pan mnie uprzedził...

- Niech i tak będzie - zawyrokowała. - Przeczekamy deszcz, a tymczasem pogwarzyśmy.

- Będzie nas wkrótce więcej - oświadczył Gordon. - Przyjdzie jeszcze mój asystent Orwicz i atleta Pordoba. Miły człowiek.

- A to co za jeden? - śmiała się Blanka.

- Wyśmienity tancerz! Pozwoliłem sobie zaprosić go bez pani zgody, bo przecież ktoś musi panią obwozić po parkiecie, a ja i mój asystent jesteśmy analfabetami w nogach.

- Siadajcie, panowie - zapraszała ich Blanka, posyłając serdeczne spojrzenie Jawickiemu.

Major usiadł ciężko w fotelu. Był posepny jak gradowa chmura.

Profesor zamknął drzwi od balkonu i usiadł naprzeciw majora.

Jawicki odwrócił od nich głowę. Wlepił oczy w ciemne fioleły nocy, które przewalały się za szybami. Pracowały w nim myśli zjadliwe:

Jesteś skompromitowany - wyła w nim rozpacz. - Zachowujesz

się jak opryszek. Każdy w twoich oczach może wyczytać, po co tu przyszedłeś! Oni wszyscy drwią z ciebie!

Trzy susy na balkon! Pchniesz drzwi, skok za balustradę w dół, na kamienie... A potem spokój. Spokój na zawsze!

Podniósł ciężkie powieki i powoli skierował wzrok na nich. Natknął się najpierw na uśmiechnięte usta i rozblęśnione źrenice Blanki. Wyczytał w nich dobroć.

Przekłęta! - wybuchnęła w jego mózgu obrażona duma. - Udzielna księżniczka! Czekala na ciebie! Hahahaha! I ty błaznie w to uwierzyłeś!

Z kolei utkwił wzrok w oczach Gordona. Zadrzał.

Te oczy już kiedyś widziałeś! - syknęła myśl buntownicza. - One mają władzę nad tobą! Uciekaj... uciekaj...

Drgnął całym ciałem, chciał dźwignąć się, lecz nie mógł. Wzrok jego sprzął się ze wzrokiem uczonego, z którego źrenic przelewał się w jego jestestwo prąd mocny, ożywczy, uśmierający całą jego potworną mękę. Poddawał się tej sile, próbując najpierw oporu, a potem coraz skwapliwiej ulegając jej.

Gdy major popadł w lekkie zamroczenie świadomości, profesor podszedł do drzwi wiodących na korytarz, uchylił je i cichym głosem wezwał osoby stojące na zewnątrz, aby weszły do pokoju. Sam podszedł do balkonu i zamknął drzwi na klucz.

Po chwili wsunął się ostrożnie do sypialni Blanki asystent Orwicz, a za nim Pordoba. Przynieśli ze sobą nafosforyzowany ekran, mały aparat fotograficzny i dziwnego kształtu niewielką maszynę, którą Jacek ustawił na biurku.

Wszyscy stosownie do wydanych poprzednio instrukcji zachowywali się cicho.

- Panie majorze - rzekł Gordon - to moi współpracownicy. Bardzo życzliwie usposobieni do pana... jak ja... jak panna Blanka... mój asystent Orwicz i pan Pordoba.

- Dobrze - bąknął Jawicki. - Czy wszyscy idą na dancing?

- Nie, panie majorze - odparł uczone - zerwał się wicher, nie pójdziemy.

- Już nawet leje - upewnił zebranych Orwicz.

- Jak na zamówienie mamy deszcz - śmiał się profesor. - Abyśmy

mogli zawrzeć jeszcze bliższą znajomość. Czy pani - zwrócił się do Blanki - pozwoli nam rozgościć się w swym pokoju?

- Ależ najchętniej. Wprawdzie już północ minęła, jestem jednak wyspana i gotowa do wszelkich ekstrawagancji. A pan, panie majorze?

Jawicki skłonił się jej głęboko, zmieszany napływem osób obcych i swym stanem psychicznym. Czuł się onieśmielony, skrępowany, pozbawiony możliwości protestowania. Miał wrażenie, że przy największym wysiłku nie byłby w stanie wyjść z pokoju.

Tymczasem Gordon zamknął na klucz również drzwi prowadzące na korytarz, po czym zajął miejsce znowu naprzeciw majora.

- Panie Jacku - zwrócił się do asystenta - niech pan wstawi w środek pomiędzy nas, tak jak siedzimy, stół.

- O, doskonale. Teraz utworzymy łańcuch...

- Przepraszam - Jawicki zwrócił się z pytaniem do profesora - do czego to wszystko ma służyć? W jakim celu ten stół?

Gordon uśmiechnął się rozbijając, patrząc mu w oczy przenikliwie.

- Jak to? Pan nic nie wie? Panna Blanka jest fenomenalnym medium. Często urządzamy u niej seanse.

- Seanse? - zdziwił się. - Jakie seanse?

- Spirytystyczne - brzmiała odpowiedź uczonego. - Hoho! Rozmawiamy z duchami, utrzymujemy kontakt z tajemnicami tamtego świata.

Major spojrział na Blankę pełen zdumienia.

- A więc pani jest medium? Coś mi pani mówiła...

Skinęła przyjaźnie głową.

- Tak, panie majorze - odparła - i dlatego mogliśmy się spotkać po tylu latach niewidzenia i nie zapomnieć o sobie. Moja organizacja psychiczna i pańska są podobne.

- Moja? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak, majorze. Bo pan ma również ukryte w sobie wielkie siły medialne. Ma pan zwidzenia nawet na jawie, pan wspominał mi.

Wstrząsnął się w duszy. Przypomniały mu się zjawy, które przed chwilą napastowały go na schodach i ten huk kół ulanych z brązu, i ta wisząca na jego rękę postać kobieca o twarzy Blanki.

Rzucił wzrokiem dokoła, aby sprawdzić, czy nie ulega halucynacji, czy to są istoty żywe, które z nim razem siedzą wokół stołu.

Uspokoił się od razu, kiedy uczony wziął go za rękę i jakby czytając w jego myślach, zapewniał go ciepłym głosem:

- My tu wszyscy jesteśmy panu szczerze życzliwi. Cieszymy się, że w naszych pracach naukowych pan również weźmie udział.

- Ja? Skąd ja?

- Bo tak jest, jak mówiła panna Blanka - dowodził Gordon. - Pan ma istotnie ukrytą w sobie wielką siłę medialną i ona przyprowadza pana o wiele kłopotów. Pan nawet często nie potrafi wytłumaczyć sobie różnych stanów swej duszy. Pan może nawet przypuszczać, że ulega jakimś stanom anormalnym, że to są objawy obłądu...

Jawicki aż pokraśniał z radości. Zmora, która od dawna dręczyła go niewypowiedzianie, została nagle wyjaśniona. Wyrazy wdzięczności cisnęły mu się na usta.

- Tak, tak - wyrwało się wyznanie z jego ust - w dzieciństwie przychodziły do mnie często zjawy, z którymi rozmawiałem bardzo poufale. Rodzice gniewali się na mnie. Wzywali lekarzy. Wszystko na próżno. Zjawy były coraz bardziej plastyczne...

- Czy pan przeżywał jeszcze inne wrażenia? - zadał mu pytanie Orwicz.

- Owszem. Zwłaszcza lubiłem wieczorną godziną wyprawę na „lisa”. Wtenczas zbierały się w moim pokoju inne dzieci i one także widziały to wszystko co ja.

- Na lisa? - zagadnął Pordoba, - A cóż to było za polowanie?

Major uśmiechnął się.

- Owszem, to było polowanie na bardzo ciekawe wrażenia za pomocą mojego lisa...

- Żywego? - nastawał przodownik.

Gordon pospieszył z wyjaśnieniem:

- To była tylko zjawa. A jak panu ukazywał się ów lis? - zwrócił się z pytaniem do Jawickiego.

Ten ożywił się na wspomnienie zjawisk, o których nikomu nie lubił mówić, bo bał się ośmieszenia. Tu dopiero po raz pierwszy mógł się wypowiedzieć z tej tajemnicy, która go zawsze dręczyła.

- Ach, to wszystko działo się samo z siebie - mówił z rosnącym ożywieniem. - Ja najpierw sam, a potem z towarzyszami zabawy zamykaliśmy się w pokoju dzieciennym. Siadaliśmy pod stołem w pobliżu kaflowego pieca. W piecu się paliło. Najpierw rozlegały się trzaski, stuki... potem gasła lampa... potem z pieca wylaniała się niebieskawa smuga, która leciała na mnie, opływała mię i wkrótce harcowała po pokoju. Ta smuga nabierała wkrótce kształtów srebrnego lisa. Ach, jak on buszował po wszystkich kątach! Powiedziałbym, że polował na duchy.

- Z całą pewnością polował - oświadczył uczony.

- Istotnie, działo się coś dziwnego - kontynuował major. - Pod stołem, gdzie siedzieliśmy jak w jakiejś pieczarze, robiło się jasno od niebieskiego światła... dzieci, które ze mną siedziały na czatach... tak tę zabawę nazywaliśmy... widziały swoich zmarłych braci i siostrzyzki, które je całowały po główkach i głaszały po policzkach.

Profesor promieniał z radości. Intuicja nie myliła go. To, co mówił major, dowodziło, że miał potężną siłę medialną.

- Czy oprócz tych zjaw - postawił pytanie - zapamiętał pan jeszcze inne obrazy?

- A tak - spowiadał się ze swych wspomnień Jawicki. - Naszą najulubieńszą zabawą było oglądanie wnętrza pałacu przez świetlistą szparę.

- Nie może być! - dziwował się Pordoba. - Wnętrze pałacu?

Major poprawił się na krześle. Atmosfera życzliwości, która go otaczała, rozwiązywała mu język.

- Prosiłem dzieci, by zachowały się bardzo cichutko i patrzyły uporczywie w ten punkt, gdzie zniknie lis. Zaraz potem w ciemnościach rozwidniał się mały punkcik, który rozszerzał się, aż wreszcie tworzyła się szpara świetlista. Przez tę szparę oglądaliśmy śliczne obrazy. Musiało tak być, bo w sekrecie przed mamą brała w tych zabawach udział moja młoda cioteczka, która zginęła później na wojnie. Ach, jak ja ją kochałem. Jak pragnąłbym ją zobaczyć...

- Mam nadzieję, że pan ją zobaczy - rzekł Gordon z przejęciem. - I cóż dalej?

Jawicki przetarł czoło, zbierając myśli.

- To było tak - opowiadał - ja, dzieci i ta cioteczka przez szparę, oglądaliśmy prześliczne widoki, jakby w jakimś zaczarowanym ogrodzie. A potem oglądaliśmy w pałacu wspaniałe, oświetlone korytarze... W tych salach unosiły się w powietrzu dziwne postacie w długich złocistych szatach, jakby greckich czy asyryjskich, czy jeszcze bardziej starożytnych. A potem znikало wszystko i my wzruszeni siedzieliśmy długo pod stołem, przytuleni do siebie.

Po chwili milczenia Gordon postawił majorowi nowe pytanie:

- Czy pan miał wrażenie, że własna istota, ta wewnętrzna, odrywała się od ciała i szła przed siebie tam, gdzie zapragnęła?

- Ależ tak. W dzieciństwie zdarzało mi się to często. Później coraz rzadziej. Nauki, ciągle życie zewnętrzne zabijało we mnie tę właściwość. Ale wówczas, kiedy rodzice zabronili mi bawić się w lisa z dziećmi, to często w nocy wychodziłem z łóżka. Moje ciało zostawało na pościeli... widziałem je wyraźnie, a ja przez świetlista szparkę przesuwalem się poza doczesną rzeczywistość i wędrowałem w mój świat zaczarowany. Ach, z jaką przykrością wracałem „do siebie”, nie dlatego, że mi żal było zabawy, ale że zawsze wyjście z ciała, a zwłaszcza powrót, były bardzo przykre.

- Z jakiego powodu? - zainteresowała się Blanka. - Czy odczuwał pan jakieś przeszkody?

- O, tak. Gdy stanąłem nad moim ciałem, to z bólem wielkim mogłem wejść z powrotem w moją powłokę cielesną. Ona była... ja to czułem wyraźnie... jakby źle skrojona dla mnie, nie na mój wymiar. Ale mimo wszystko były to chwile cudowne, dla których gotów byłem wszystko poświęcić. Obecnie miewam tylko zwidzenia, które szczerze powiem, uważałem za pierwsze objawy obłądki.

- To się bardzo często zdarza - wtrącił uczoney. - Ludzie nieświadomi sił medialnych, które posiadają, uważają zwidzenia za chorobliwe majaczenia, za dowód rozstroju nerwów. Leczą się na chorobę urojoną i rzecz naturalna giną, bo nie wyzwalają z siebie tej potęgi, która w nich drzemie. Ryzykowałbym nawet twierdzenie, że połowa tak zwanych wariatów to ludzie obdarzeni właściwościami mediumicznymi. Ale wróćmy do naszego seansu. Mamy moment szczególnie pomyślny. Proponowałbym losowanie... mamy wśród siebie dwie potęgi medialne...

To mówiąc, skłonił się Blance i majorowi.

- Ja? Jeszcze obecnie? - zdziwił się Jawicki.

- Z całą pewnością - odparł uczony. - Dzięki obecności drugiego medium...

Orwicz odgadł intencje profesora. Pospieszył mu z pomocą.

- Najprościej byłoby - mówił - aby pan major w obecności panny Blanki zechciał zademonstrować swe zdolności mediumiczne...

Zrobiła się cisza. Wszyscy skupili uwagę na majorze. Ten mienił się na twarzy - to bladł, to gwałtownie czerwieniał, walczył sam z sobą.

- Panie majorze - rzekła do niego Blanka, uśmiechając się przyjaźnie - jako kolega mój w tej samej dziedzinie ma pan pierwszeństwo. Jestem niesłychanie zainteresowana. Niech pan pomyśli, że nasze spotkanie przed tylu laty związało nas już wówczas. Sami nie wiedzieliśmy, co się działo z nami, i dopiero to spotkanie tu i ten niespodziewany przyjazd profesora zbliżyły nas do siebie na właściwej, najistotniejszej płaszczyźnie...

- Panie majorze! Panie majorze! - błagał Pordoba.

Jawicki zamknął oczy. Ciężko oddychał. Miał ważyć się na rzeczy, które w oczach szerokiego ogółu uchodziły za błagę i tumanianie ludzi. Ale w głębi duszy zrywał się w nim krzyk rozkazujący: „Bądź jak dawniej!”. Gordon przyszedł mu z pomocą.

- Panie majorze - zachęcał go - pan nie tylko przekona się, czy te niesłychane właściwości, które pan posiadał w dzieciństwie, nie przepadły, pan nie tylko odda wielkie usługi nauce, lecz... a to pana szczególnie zainteresuje... będzie pan miał prawo wziąć następnie udział w naszych seansach z panną Blanką, na których mamy do rozwiązania problem o znaczeniu epokowym.

- Epokowym! - wykrzykiwał Orwicz z entuzjazmem. - Wchodzimy na piąty zagadce bytu!

Blanka zbladła. Do serca jej zbiegła fala krwi z gwałtownego wstrząsu. W uszach słyszała wyraźnie jęk dzwonów, które biły na alarm. Przed zamkniętymi powiekami przemknęło niesamowite widzenie atlety, który trzyma ją zwieszoną na rękę, a w drugiej

dzierży cugle czterech kolosalnych centaurów, gwizdże na nie prze-
raźliwie, a ona... i ten jęk dzwonów... wyraźny, wyraźniejszy niż w
rzeczywistości.

Otworzyła szeroko źrenice, aby zabić w sobie wrażenie lęku,
które przeniknęło całą jej istotę. Potoczyła po wszystkich wzrokiem
niemal nieprzytomnym, aż jej spojrzenie zatrzymało się na majo-
rze.

Dwie pary oczu sprzęły się na sekundę w przenikliwym wy-
wiadzie psychicznym i niemal równocześnie odpadły od siebie.

Z kolei zbladł major.

Los was skuł razem! - zahuczał w głębi jego duszy głos przejm-
jący.

Bierz w swoje ręce, co ci los daje! - wołała żądza zatajona.

Nie uszła uwagi uczonego błyskawiczna wymiana myśli pod-
świadomych między oboma mediami. Wyczuł, że rozegrało się w
ich duszach tragiczne spięcie instynktów jasnowidzenia i rozdraż-
nionej potęgi woli.

Fanatyzm nie pozwalał mu zastanawiać się nad konsekwencja-
mi przyszłych wypadków, „cokolwiek stać by się mogło”! Miał naj-
głębsze przekonanie, że na tej drodze, która niespodziewanie przed
nim się otwarła, zbliżyć się może gwałtownie do celu.

Nie chcąc dopuścić, aby jedno z nich podjęło samoistną decyzję,
która mogłaby przekreślić jego plany, zwrócił się z nagłym wezwa-
niem do Jawickiego:

- A więc, panie majorze? Pan się zgadza?

Mówił to tonem nieznośnym sprzeciwu. Wpatrywał się rów-
nocześnie w jego oczy fascynującą światłością swych źrenic. Lekki
ruch rąk, jakby chciał odsunąć z czoła fale srebrnych włosów, do-
konał reszty. Wola Gordona podparła wewnętrzną chęć Jawickie-
go.

- Zgadzam się! - rzekł mocnym głosem. - Jestem do pańskiego
rozporządzenia, jak również pani...

To rzekłszy, pochylił się w głębokim pokłonie w stronę Blanki.
Ruch ręki, który towarzyszył temu gestowi, był przedziwny.

Blanka pobladła. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że z tej ręki
oniósł stoczyła się pod koła rydwanu, które przeszły po jej ciele.

Zamknęła oczy. Jeszcze długo słyszała huk kół kutych z brązu, dudniących po olbrzymich głazach.

Stało się! Decyzja zapadła. Już nic nie powstrzyma losu, na przeciw którego pędziła.

- Panie Jacku - odezwał się dyskretnym głosem profesor - niech pan przygotowuje wszystko.

Orwicz zakrzętał się żywo. Na stole postawił fosforyzujący ekran, na bocznej etażerze umieścił mały aparat fotograficzny.

- Zapalamy go elektrycznie! - objaśniał Gordon majora i Pordobę.

Wreszcie z niezwykłą ostrożnością asystent umocował na drewnianym stołku tajemniczy mikroskopijny przyrząd, który za pomocą kontaktu złączył z prądem elektrycznym, obsługującym pensjonat. Wkręcił słabą ciemnoczerwoną żarówkę do lampy stojącej z boku. Inne światła wygasił. Szczelnie zasłonił okno.

- Jesteśmy gotowi! - oświadczył z wyraźną tremą w głosie.

Wówczas Gordon zwrócił się do Jawickiego:

- Panie majorze, zabieram panu wolność. Wnioskuje na podstawie tego, czego pan doznawał w dzieciństwie, że w transie, w który pan zapadnie, będzie pan mógł towarzyszyć podświadomie wszystkim zjawiskom, które dzięki panu wywołamy. Podajemy sobie ręce. Łańcuch zamkniemy w ten sposób, że ja będę trzymał prawą, a panna Blanka lewą rękę pana majora. Nie będziemy czekali długo.

Istotnie major szybko zapadł w trans. Zaczął silnie rzezić. Kiedy przez ciało jego przebiegały drgania, wszyscy uczestnicy seansu, uprzedzeni, co trzeba robić, głębokim oddychaniem, równoczesnym, zapobiegali wzmożeniu się objawów. Dzięki temu Jawicki szybko uspokoił się i począł miarowo oddychać.

Po kilku minutach wystąpiły pierwsze świetlne zjawiska. Nad głową majora zjawily się mgliste promieniujące punkciki, które mnożyły się coraz bardziej. Wkrótce nad głowami zebranych krążyła duża ilość większych światełek, które wykonywały ruchy falujące, to zbiegając się, to rozpraszając.

Pod oknem ukazała się postać. Słysząc było kroki. Postać zwiewnie okrążyła stół i położyła rękę na ramieniu Pordoby.

Dzielny przodownik mocno zadrżał.

- Ktoś mię aresztuje! - szepnął z przejęciem. - Jak Boga kocham! Ręka taka ciężka, że muszę się ugiąć. No, no, to nie przelewki.

- Zapewne! - mruknął Orwicz.

Od majora szły tymczasem silne chłodne powiewy wzdłuż łańcucha rąk. Wyraźny zapach ozonu dał się wszystkim wyczuć.

- Ta sama ręka klepie mię po twarzy! - meldował Pordoba. - Tylko żeby nie za bardzo, bo mi zęby uruchomi...

- Doskonale - oświadczył Gordon. - W takich wypadkach najlepiej z humorem. Pan Michał od razu utrafił we właściwy ton. Zjawy nie lubią kwaśnego humoru.

- Mogą na łeb zrzucić szafę - pospieszył z wyjaśnieniem Jacek - lub inny równie lekki przedmiot.

Coraz silniejsze szmery towarzyszyły zjawiskom. Nagle światełka przeniosły się na środek stołu, wykonały lekki wiraż koło twarzy zebranych, po czym znikły. Wówczas ekran fosforyzujący wzniosł się w górę i nad głowami potoczył się spiralnym ruchem ku górze i znów lekko ku dołowi, wreszcie oświetlił postać pięknej młodej kobiety, której kształty przechodziły dołem w ciemne smugi.

Postać uśmiechnęła się do Blanki, z kolei podpłynęła do Jawickiego, pocałowała go w twarz i pogłaskała mu włosy.

Major zadrżał.

- Moja cioteczka! - szepnął z wielkim przejęciem.

- Tak, to ja jestem! - potwierdziła zjawa.

- Czy jesteś szczęśliwa? - spytał major.

- O tak, jestem szczęśliwa. A ty, mój drogi?

Usta poruszały się, lecz głos już był niedosłyszalny.

Powoli zjawa traciła swą świetność i postawiwszy ekran na stole, rozplynęła się całkowicie. Wszyscy uczyli zapach przedziwnie świeży, jakby ambry i heliotropu...

Major był głęboko wzruszony. Zapadł w głęboki trans.

Z kolei mgławice i stukanie odezwały się przy drzwiach wejściowych z korytarza. Stamtąd wyłoniła się dużego wzrostu ciemna postać, która, zbliżając się do stolika, coraz bardziej rozjaśniała się w oczach zebranych. Była to postać mężczyzny w sile wieku, czarno

ubrana. Oczy głęboko osadzone, brwi gęste. Postać posuwała się z głową nisko pochyloną. Kapelusz ściągnięty na czoło zasłaniał rysy twarzy.

Zjawia wydawała zgłuszone dźwięki, jakby zachłystywała się oddechem.

Blanka śledziła ją z rosnącym niepokojem. Sylwetka postaci, jak i sposób zachowania się przypomniały jej bliskiego znajomego, który przeciął swe życie kulą rewolwerową pod progiem jej mieszkania.

- Boże! - wyrwał się okrzyk z ust pobladłej Blanki. - To mąż Heleny! Nie żyje... odebrał sobie życie...

- Jestem... jestem... - mówiła zjawia. - Szukałem cię długo, odpędzały mnie inne duchy, mocniejsze ode mnie... Jesteś... jesteś...

- Gdzie przebywałeś? - spytała cała drżąca.

- Krążę ciągle koło domu, gdzie rozstałem się z moim ciałem.

- Czy zachowałeś pamięć swego losu?

- Zachowałem. To boli... to bardzo boli... Szedłem w orszaku pogrzebowym, który odprowadzał moje ciało. I ty byłaś wśród innych. Jakże byłaś dobra... Nad mogiłą podałaś rękę mojej żonie... Twej winy w mej śmierci nie było!

- Dlaczego to uczyniłeś?

- Żałuję... ciało cierpiało! Duch był nieczynny! Tak bywa wśród śmiertelnych. Dlatego cierpią nad miarę, jak ja obecnie.

- Czy masz życzenie jakie? - spytała jeszcze.

- Pozdrów Helenę. Powiedz, że nie przestałem jej kochać. Proś, aby szła często za mną dobrym westchnieniem... Wy nie wiecie, jakim to lekiem dla nas jest westchnienie tych, co żyją... Już odchodzę... muszę...

Postać zachwiała się w powietrzu, zniżyła swe falowanie i nagle zaczęła wsiąkać sama w siebie. Ekran zadrżał raz i drugi, i lekko opuścił się na stół.

Zjawia zniknęła. Silny powiew szedł od miejsca, w którym rozplynęło się widzenie.

Równocześnie rozpoczęło się gwałtowne kołatanie na korytarzu,

jakby ktoś dobijał się do drzwi. Wreszcie z hukiem otwarły się zamknięte na klucz podwoje, klucz upadł na środek stołu.

Potężny kłęb niebieskawych mglistych brył przewalał się i posuwał naprzód... Wszyscy słyszeli wstrząsający chóralny śpiew na ogromnej dali, prawie niedosłyszalny, lecz mimo to pełen ogromnej mocy.

Major zaczął rzeźić i rzucać się niespokojnie.

- Nie chcę... nie chcę - wybiegały bezładne słowa z jego ust.

Nagle wielka postać wyrosła na oczach zebranych. Zatrzymała się na środku pokoju, po czym oświetliła się własnym światłem, płynącym z jej dłoni.

Natężenie tych snopów promiennych było bardzo silne. Przewyższało wielokrotnie moc świetlną ekranu fosforyzującego.

Była to postać arcykapłana, ubranego w szaty o kroju bardzo starożytnym. Twarz surowa, pełna majestatu. Zjawa zrobiła nad głowami obecnych znaki w kształcie trójkątów świetlnych.

Uczony szepnął do Blanki:

- Słyszysz, jak major rzeźi? Zapadł w głęboki trans. Jego coś wiąże z tą postacią. On już nic nie słyszy. Zapytaj zjawy, czy może mówić. Duchy, gdy zechcą, mówią tymi językami, w jakich otrzymują pytanie.

Zebrani głębokimi, równoczesnymi oddechami wywołali pożądane odprężenie. Major przestał się męczyć, lecz już nie zbudził się z głębokiego transu.

Blanka była silnie wzruszona. Po raz pierwszy brała udział w seansie w roli obserwatorki i czynnej uczestniczki.

- Odezwij się - nalegał Gordon. - Twoja wielka siła mediumiczna rozwiąże zjawie język.

Blanka zwróciła głowę w stronę arcykapłana.

- Czy możesz mówić? - spytała.

Zjawa skinęła głową.

- Czy znasz mię? - padło pytanie z jej ust.

- Znam - zabrzmiał głos głęboki, niski.

- Jak dawno?

- Nasza ziemia wielekroć zmieniła swą postać! - płynęły słowa przenikliwe. - Olbrzymie wody zalały lądy i góry wyniosłe. Morze

pochłonęło wielką stolicę i wielkie państwo, które było światłością i mądrością ziemi...

Profesor objaśnił obecnych szeptem:

- Ma na myśli potop...

- Ile tysięcy lat upłynęło - pyta dalej Blanka - od czasu, kiedy widziałeś mnie ostatni raz?

- Długie tysiące lat?

- Ile?

- Minęło więcej niż osiemdziesiąt tysięcy...

- Jak zwała się stolica twego państwa?

- Atlantis...

Gordon pospieszył z wyjaśnieniem:

- Usłyszeliśmy wielką rewelację. Atlantis była zapewne stolicą mitycznej Atlantydy.

Arcykapłan obszedł stół wokół. Słysząc było stuk sandałów o posadzkę. Wreszcie zatrzymał się tuż obok Blanki.

- Czuję przenikliwy chłód! - odezwała się cichym głosem, wstrząśnięta niesamowitym uczuciem, jakiego doznawała, patrząc na postać arcykapłana.

Zjawa oświeciła się mocniej blaskiem, który płynął z jej dłoni.

- Kim jesteś? - spytała Blanka.

- Wielkim ofiarnikiem...

- Kim byłam wówczas ja? - padło pytanie z jej ust.

- Tego nie wolno mi powiedzieć.

- Czy spotkałeś mnie później?

- Jestem twym duchem opiekuńczym...

- Nie odpowiedziałeś na pytanie. Czy spotkałeś mnie później, po tym kataklizmie, kiedy lądy i góry były zalane?

- Spotkałem.

- Gdzie?

Zjawa milczała. Blask jej przygasł gwałtownie.

- Nie uchylaj się od odpowiedzi - nastawała.

- Daleko stąd - uciszonym głosem odparła zjawa.

- Mów całą prawdę...

Arcykapłan spotęgował światło swych rąk, aż jasno zrobiło się wokół jego postaci, po czym rzekł:

- Daleko stąd... na innej planecie, w innym systemie słonecznym...

Gordon promieniał radością.

- A więc przecucie nie myliło mię - podzielił się z obecnymi swymi myślami. - Nie wiedziałem jeszcze nic o Atlantydzie, ale byłbym przysiągł, że nasza Blanka jest „kobietą z innej planety”. Stąd jej wyjątkowość... O! Takich gości jest niemało wśród Ziemi. Ale my o tym nic nie wiemy, najwyżej... prześladujemy ich i tępiemy. Za bardzo wyrastają nad nasze głowy...

Nagle Blanka powzięła ryzykowną decyzję. Błagalnym wzrokiem spojrzała na zjawę i wskazując majora, spytała z naciskiem:

- A jego znasz?

Nastalo długie milczenie. Zjawa odchyliła w tył głowę i z góry oświetliła swe rysy, pełne surowego wyrazu.

- Czy jego znasz??? - powtórzyła Blanka z mocą pytanie.

Arcykapłan poruszył wargami, jakby się modlił.

W tym momencie Gordon szepnął do Jacka:

- Dokonasz zdjęcia fotograficznego w chwili, kiedy nastąpi naj- silniejsze napięcie jego naświetlenia. Skinę głową na znak.

Orwicz położył palec na guziku aparatu fotograficznego.

- Pytam po raz trzeci! - nastawała Blanka.

Zjawa drgnęła, jakby zbudziła się z głębokiej kontemplacji, i utkwivszy wzrok w majorze, rzekła posępnym głosem:

- Ten ci jest, za którym szło zawsze nieszczęście! Ten ci jest, który zniszczył wielkość mojego państwa! Ten ci jest, który zabił...!

- Kogo? - zadrżały jej wargi pytaniem.

Jawicki rzucił się gwałtownie w transie. Zerwał łańcuch rąk, rozwarł szeroko źrenice i patrząc osłupiałym wzrokiem w postać arcykapłana, krzyknął rozpaczliwym głosem na pół przytomny:

- Precz! Precz z moich oczu! Zabiję!

- Już raz zabiłeś! - krzyknęła zjawa.

Straszliwy śmiech wtórował słowom arcykapłana.

- Porachunki zagrobowe! - szepnął Gordon do obecnych. - Nie wolno nam z tego ani słowa powtórzyć majorowi, gdy się ocknie. Teraz jest nieprzytomny. Patrzcie, patrzcie, jaki blask!

Postać arcykapłana rozplómięła się nadzwyczajnym światłem, które drgało, syjąc deszczem drobniuchnych iskier niebieskich. Zjawa stała się niemal dotykalna.

- Zdjęcie! - szepnął nagle uczoney.

W tej samej chwili Jacek nacisnął guzik aparatu fotograficznego. Buchnęło potężne światło elektryczne, utrwalając na błonie niesamowite zjawisko.

Major jęknął rozpaczliwie, pochylił się naprzód i rzucił ku zjawie. Padłby na podłogę, gdyby nie to, że profesor pochwycił go w silne ramiona.

Czerwona żarówka, wkręcona przez Jacka do stojącej lampy, pękła na drobne kawałki, które posypały się z brzękiem na posadzkę.

W mgnieniu oka zjawa zamieniła się w czarny słup, który ze śmiechem sunął ku drzwiom. Stukot oddalających się sandałów zwiastował jej odejście. Wreszcie z hukiem zatrasnęły się drzwi wiodące na korytarz.

Kiedy Pordoba zapalił kieszonkową latarkę, klucza już nie było na stole. Tkwił jak poprzednio w zamku.

Gordon przy pomocy Jacka ułożył ostrożnie majora na sofie. Ocierając pot z czoła, rzekł do zebranych:

- Byliście państwo świadkami niezwyklej emanacji mediomicznej majora. Proszę zachować w tajemnicy wszystkie szczegóły tego seansu, choćby nawet major usilnie prosił o ich wyjawienie. Nie wolno go spłoszyć. To, co sam zapamięta, kiedy jeszcze nie zapadł w głęboki trans, może go tylko zachęcić do dalszych seansów. Głównie o to mi chodzi. Ale gwałtowne starcie z arcykapłanem musi pozostać naszą tajemnicą. Biorę od was wszystkich słowo!

Major rzucał się jak w silnej gorączce. Na wargach jego wystąpiła biała piana.

- Przeżył gwałtowny wstrząs - mówił uczoney. - Zwłaszcza zdjęcie fotograficzne drogo kosztowało jego organizm. Ektoplazma kurczy się w takiej chwili gwałtownie i wciskając się pospiesznie w ciało, z którego wyszła, przyprawić może medium o silną chorobę nerwową. Miejmy nadzieję, że major zniesie to dobrze.

XXIII. ŻYWE WYKOPALISKA

Profesor wpadł do pokoju Orwicza wczesnym rankiem. Asystent jeszcze spał po seansie nocnym, który go całkiem wyczerpał nerwowo.

- Jest telegram! - zawołał uczony od progu. - Czytaj pan!

Orwicz przebiegł wzrokiem kilka wierszy depeszy. Rosławski zapytywał Gordona, czy go zastanie w Zakopanem, bo w ważnej sprawie musi z nim pomówić.

- Skąd, mistrzu, zdobył twój adres? - zdziwił się Jacek.

- Mniejsza z tym - odparł profesor. - Najważniejsze, że sam pcha się nam pod rękę...

- A on na co nam potrzebny?

Uczony potarł dłonią czoło, jak zawsze wówczas, kiedy był w kłopotcie, czy ma powiedzieć pełną prawdę, czy też ją zamaskować. Ale wątpliwości od razu minęły.

- Nie będę owijał prawdy w bawełnę - rzekł z pewną gorączką w głosie. - Panie Jacku, startujemy! Musimy brać przeszkody!

Asystent uśmiechnął się wesoło. Gordon był znowu w swoim żywiole. Mówiły o tym jego płonące oczy, jego wewnętrzne podniecenie.

- Może się mylę - mówił dalej uczony - lecz wszystko za tym przemawia, że odnaleźliśmy całą kolonię mieszkańców Atlantydy.

Zupełnie tak, jak archeologowie kopią i kopią, nie wiedząc, co znajdą, aż przypadek lub system wnioskowania naprowadzi ich nagle na pierwszorzędne wykopaliska, tak samo, przysięgam, dzieje się z ludźmi... Egzystencje pewnych wyjątkowych jednostek to nieraz żywe wykopaliska, które noszą piętno niesłychanie dalekich epok. Tylko nasza nauka, będąca jeszcze w tej dziedzinie w grubych powijakach, nie potrafi się na tym wyznać.

Orwicz aż wyskoczył z łóżka. Biegał w pizamie po pokoju, śmiejąc się i podskakując.

- Żywe wykopaliska! - wykrzykiwał. - Ależ to wspaniałe określenie!

- Czy pan wie, kochany Jacku, co to są media? To wcielenie tych potęg, które ongi przed wiekami, przed kilkudziesięciu tysiącami lat, a może nawet dawniej, znajdowały się we władaniu istot ludzkich. Barbarzyńska, zmaterializowana cywilizacja wszystkich epok powoli, krok za krokiem, zasypywała te olbrzymie siły, tchnięte w ludzkie istoty przez boską Praprzyczynę.

- Mistrzu - przerwał mu Orwicz - jak to? Z tym człowiek przychodzi na świat?

- A czymże byłby człowiek, gdyby był pozbawiony potęgi twórczej intuicji, nadbytowego rozumu i jasnowidzenia? Czymże różniłby się od innych tworów organicznych, od ptaków, ryb lub osłów? Czym? Że lepiej umie zabijać? Lepiej kraść od lisów? Bardziej się nienawidzić od psów i kotów? Bez tych potęg człowiek byłby wiekuistym ślepcem!

- Z materialistyczną kulturą basta! - entuzjasmował uczony. - Etna prawiaków wybucha! Jej popioły i rozpalone kamienie zasypują nas wszystkich. Dusimy się, uciekamy z miejsc katastrofy. Bliźni obdzierają bliźnich we wszelki sposób, bo ci mądrzejsi, chytrzejsi i podlejsi chcą przetrzymać uderzenia kataklizmu kosztem wynędzniałych setek milionów ludzkich istot. Ale nic nie osłoni tych chytrych, mocniejszych i podlejszych, bo ludzkość, oszałała z bólu, głodu i poniżenia, zamieni się w potworny kłęb zajadłych bestii. Ani jeden nabab, nadziany złotem i bogactwami, wysanymi z krwi i potu półtoramiliardowej masy nędzarzy, nie ostanie się w tej katastrofie. Ani jeden system państwowy, oparty na zdeptaniu mas i poniżeniu ducha, nie utrzyma się. Od ognia armat, karabinów maszynowych, od bomb i gazów padną miliony milionów, lecz jeszcze starczy tego ostatniego miliona, aby załatwić rachunki z wampirami gatunku ludzkiego...

Jacek znieruchomiał. Uczony wpadł w trans, w którym snuł makabryczne hipotezy. Orwicz uznawał ich prawdę i tym bardziej czuł się onieśmielony.

- Jakież to ratunek? - padło pytanie z jego ust.

Gordon wzburzył obiema rękami siwe włosy i zawołał z pasją:

- Przejrzeć na oczy! Jak najszybciej przejrzeć!

- Cóż w takim razie my? - odważył się zapytać asystent. - W jakim stosunku ma się nasza praca do tych gigantycznych problemów?

- W jakim? Otóż my na odcinku naszych dociekań odgrzebujemy potęgę zagubionych talentów psychicznych, jakimi obdarzony jest duch ludzki.

Urwał zmęczony. Po chwili wstał i mówił dalej:

- Ale wróćmy do Rosławskiego. On nam jest także potrzebny.

On należy także do kolonii wykopalisk żywych. Odpowiem mu, że najchętniej z nim pomówię... niech się z nami żyje, niech da nam z siebie to, co jest w nim cenne, co nie zostało przeżarte przez cynizm groszorbstwa!

Jacek nie mógł opanować obaw, które się w nim zbudziły.

- Mistrzu drogi - starał się jak najogólniej ostrzec profesora - czy jednak to nagromadzenie tak przeciwstawnych charakterów, tyłu osobistych pretensji i porachunków... nie zakłóci nam...

- Jakich pretensji? Jakich porachunków?

- Przecież tak Rosławski, jak i major są zainteresowani osobą panny Blanki. Jawicki jest bardzo zaciekły... wprost niebezpieczny... a tu jeszcze Rosławski... -

- Za bardzo chce pan być jasnowiedzem!

Jacek popatrzył w oczy uczonemu ze wzruszeniem, czym go zawsze rozbrajał.

- Panie profesorze - bronił się - przecież jasnowiedzenie jest nieodzownym atrybutem powszechnego odrodzenia...

Gordon wybuchnął wesołym śmiechem.

- Niech i tak będzie - powiedział. - Niech pan przewiduje. Będziemy starali się zapobiec katastrofom, o ile to będzie w naszej mocy. Ale zgromadzenia jak najliczniejszej kolonii żywych wykopalisk z mitycznej Atlantydy nie wyrzeknę się za żadne skarby. Czy pan sam nie czuje, że dzieje się coś niezwykle dziwnego? Ta Blanka, którą poznał major przed laty i uratował jej życie... ten major, który w dzieciństwie przejawiał wielką siłę mediumiczną i dopiero po latach dzięki naszej Blance wydobył ją z siebie w całej potędze?

A ta zjawa Roberta, którego fotografia ma oszałamiające podobieństwo do Rosławskiego? Czy to nie wystarcza, by zapalić się do rozmotania tej niesłychanej zagadki?

- Ale ryzyko!

- Bez ryzyka nie ma nic na świecie! - rzekł uczony z wielkim naciskiem. - Kto skrapla gaz, może zginąć od jego wybuchu. A jednak Wróblewski dokonał tego odkrycia. Nas wszystkich czeka to samo. Może jaka zjawa - podrwiwał z asystenta z dobrodusznym uśmiechem - której sprzykrzy się łażenie po piętach, zrzuci nam sufit na głowy!

- A ja obawiam się - rzekł Jacek z humorem - że ten arcykapłan, który tak nieprzyzwoicie wsypał majora, da nam się jeszcze we znaki. Jego porachunek zagrobowy z majorem może się fatalnie skończyć. Mnie samego ciarki przechodzą.

- Tak, tak, przypadkowo jesteśmy świadkami tragicznych wynurzeń z dawnej, odległej epoki. Nasuwa mi się przypuszczenie, że istniały i działały siły nadludzkie, które stały się przyczyną zagłady Atlantydy... tytaniczne „Demony Atlantydy”...

- Demony Atlantydy! - powtórzył asystent, olśniony obrazem wywołanym przez profesora. - Dałbym wiele, aby choć na kilka godzin móc się przenieść w te wspaniałe czasy... Warto byłoby je odtworzyć. Dałbym sobie nawet skreślić kilka lat życia, byle móc choć raz jeden...

Gordon pogroził żartobliwie Jackowi.

- Aby móc - podchwycił myśl asystenta - choć raz jeden popatrzeć na Blanę, jak snuła się po olbrzymim czarodziejskim ogrodzie wśród potopu kwitnących magnolii, w tunice drogocennej, naszytej błyszczącymi, bezcennymi kamieniami, a obok niej major w pancerzu kutym ze złota... i Rosławski z łańcuchem na piersiach wielkorządcy... i duch Roberta w tunice astronoma... i pan jako paż, w cudownych portenkach... ahahaha...

Orwicz mimo woli stanął cały w płomieniach.

- Pan profesor - żalił się - stale mię pikuje...

- Miłością do Blanki, drogi Jacku. Kto z nas się choć trochę w niej nie podkochuje? Każdy na swój sposób... Ona musiała dobrze zawracać głowę chłopcom w epoce Atlantydy i na tej innej planecie,

i obecnie za naszych czasów... Takie jej przeznaczenie. Niech pan to dobrze zapamięta, że królowa pszczoł ma tysiące, dziesiątki tysięcy zalotników, którzy w słoneczny, gorący dzień startują za nią w najwyższe regiony błękitu, i dopiero ten najgodniejszy, najwytrwalszy, ten ostatni, który wszystkich prześcignie, dopada ją na wyżynach przepojonych blaskiem, łączy się z nią i ginie... Tak samo jest z pewnym szczególnym gatunkiem kobiet. Taką królowę zdobywa jeden z dziesięciu tysięcy zalotników, tylko ten jeden... I my jesteśmy świadkami takiego pojedynku...

- W którym nawet zjawia Roberta bierze udział - zaśmiał się Jacek.

- Niech pan się nie śmieje. W takich pojedynkach nawet duchy biorą udział, tylko my o tym nic nie wiemy... Czasem jedynie mit cudowny mówi nam o tym. Ja właśnie taki mit nowy pragnę odtworzyć...

- Panie profesorze - błagał go Orwicz - zanim to się stanie, może duch Tobiasza powie nam coś więcej o losach Atlantydy...

- Dlaczego pan mówi „zanim to się stanie”?

Asystent zachmurzył się i zamilkł.

- Niech pan mówi - nastawał profesor - ja nie przerażę się żadnej pańskiej obawy. Sam już dość się namartwiłem na zapas.

Jacek jeszcze chwilę wahał się, wreszcie rzekł:

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że z natłoku tych przedziwnych konfliktów jak z nawałnicy chmur wyskoczy piorun i uderzy w pańskie dzieło.

Uczony zasępił się.

- Trudno - rzekł twardym głosem. - Zdaję sobie z tego doskonale sprawę, lecz cofnąć się nie mogę. Zresztą nie cofnąłbym się nawet wówczas, gdybym sam miał za to zapłacić życiem. Taka niewiadoma musi być moim ryzykiem. A przy tym przeżywamy coś, co wyrasta nad pospolitość. Wszak pan sam chce skreślić kilka lat ze swego życia, byle móc wżyć się w dzieje Atlantydy, zniszczone przez jej demony? Ale nie rozpraszajmy się obecnie, najwyższy czas działać. Jest tylko jedno „ale”, które trzeba usunąć. Pordoba ma porachunki z kimś, kto mu uciekł na moście Poniatowskiego.

Obawiam się, że tym kimś jest właśnie nasz dyrektor. Może go

poznać... No, ale i przez tę przeszkodę przeskoczmy. Pordoba nie jest wariatem. Da się udobruchać. Sam widzi, że w tym wszystkim nie było żadnego przestępstwa...

- No tak, ale Blanka chciała się wtenczas utopić - zaskoczył go Orwicz - i mistrz ją ratował...

- Za dużo pan się domyśla. Panie Jacku, niech pan spieszy do urzędu telegraficznego z depeszą do Rosławskiego. Ja tymczasem pogadam z Pordobą.

- Może najlepiej wyprawić go do Warszawy? - rzucił uwagę Jacek.

- Nigdy w świecie! - zachnął się uczony. - On musi być w dalszym ciągu duchem opiekuńczym majora. Nie jestem taki naiwny, aby demona Atlantydy pozostawić bez niewidzialnej pętli, która w każdej chwili może się zacisnąć i ujarzmić nieprzewidziany wybuch żywiołu.

- Jak to dobrze! - uradował się Jacek. - A tak bałem się o Blankę!

- Pan wie dobrze - ciągnął dalej Gordon - że fotografia arcykapłana, którą udało się panu tak świetnie złapać, jest pewnego rodzaju fenomenem. Przecież wszyscy nie ulegliśmy zbiorowej halucynacji. Porachunek między majorem a owym arcykapłanem miał swoją szczególną wymowę. Potwierdza nasze przypuszczenia i Blanki, że major jest istotnie osobą nadzwyczaj niebezpieczną...

-

XXIV. ZAWARTE PRZYMIERZE

Rosławski po otrzymaniu depeszy od Gordona zawiadomił żonę, że wyjeżdża z Krynicy i musi wpaść do kilku ośrodków przemysłowych celem przeprowadzenia koniecznych konferencji i że dopiero za dwa tygodnie zjawi się w Warszawie. Wówczas załatwi wszystkie formalności w związku z rozwodem.

Maria przyjęła tę wiadomość z pozornym spokojem. Znała męża aż nadto dobrze. Wiedziała, że nie wybije mu z głowy postanowienia, które powziął. Miała doskonały przykład na sobie samej.

Jeśli teraz Rosławski chce z nią przeprowadzić rozwód, to dowieść oczywisty, że na jego drodze znalazła się kobieta albo sprytniejsza od niej, która tylko za cenę małżeństwa chce mu się oddać, albo Janusz pragnie oczyścić sobie pole, aby móc tym skuteczniej konkurować o rękę nieznajomej.

Była wściekła na siebie, że traktowała małżeństwo z Rosławskim poważnie i odrzucała wszelkie propozycje flirtu, na których brak nie mogła się uskarżać.

Dowiedziawszy się od portiera, że Janusz wykupił bilet do Zakopanego, przyjechała wcześniej na dworzec. Zajęła miejsce w przedziale dla pań. W pięć minut później przez uchyloną firankę dostrzegła wyniosłą sylwetkę męża, spieszącego do pociągu. Rozglądał się uważnie i dopiero w ostatniej chwili wsiadł do wagonu zakopiańskiego.

Gdy stanęli u kresu podróży, wysiadła ostatnia z wagonu, osłonięta czarną woalką. Mogła obserwować spokojnie, w jakim samochodzie Janusz zajął miejsce, i następnie śledzić, gdzie zajdzie.

Sama udała się do sąsiedniego pensjonatu, skąd mogła kontrolować ruch w „Rysicy” z frontowego pokoju, który zajęła.

*

Rozmowa Rosławskiego z profesorem doprowadziła do całkowitego porozumienia między nimi.

Tego samego dnia późnym wieczorem Blanka zaprosiła Janusza do swego pokoju.

- Przywiozłem pani pamiątki - usprawiedliwił Rosławski swój niespodziewany przyjazd. - Dręczyło mię sumienie, że pani jest o nie niespokojna, a ja wsiąknąłem w Krynicę i nie dawałem znaku życia.

Patrzyła mu w oczy na poły zmieszana, na poły uradowana. Sama go szukała, a on, jakby odgadł jej myśli, zjawił się i to właśnie w tak ważnej chwili.

Podał jej pakiecik kartoników o złożonych brzegach, związanych fiołkową wstążeczką.

Stała cała w pąsach. Uśmiechnęła się do niego przez łyzy. Wyciągnęła rękę.

- Przepraszam pana gorąco za wszystko. Przeżyłam wówczas tak straszną rozterkę duchową... W ostatniej chwili znalazł się na moście duch opiekuńczy, który porwał mię do samochodu i uwiózł...

- Ja pani także szukałem na moście...

Spojrzała mu w oczy zdumiona.

- Pan także?

- Znalazłem sweter i broszkę... właściwie nie ja...

- Ach, czytałam. Więc to pan był tym nieszczęśnikiem, którego tak gorliwie poszukiwała policja?

- Tak. Stchórzyłem i uciekłem.

Po chwili dodał z naciskiem:

- Wówczas stchórzyłem. Wówczas byłem jeszcze zwykłym snobem. Bałem się kompromitacji. Teraz byłbym odważniejszy, dużo odważniejszy.

- Doprawdy?

- Postanowiłem dotrzeć do pani, aby spłacić dług wdzięczności...

Posłała mu spojrzenie pełne przyjaznych promieni

- Aż dług? - spytała. - Zdaje mi się, że nie zaciągnął pan wobec mnie żadnego.

Zawahał się, lecz przemogło pragnienie absolutnej szczerości.

- Pamiętniki pani - oświadczył - stały się dla mnie oazą na pustyni.

- Ach, mój Boże, zatem pan je przeczytał...

- Tak, przeczytałem... przerażony dysproporcją między światem myśli, w którym pani przebywa, a światem biznesu, który był dotychczas moim bożkiem.

Pochyliła głowę z rezygnacją. Z ust jej popłynęły słowa pełne skargi i zniechęcenia:

- Sama nie wiem, czy to wszystko nie fatamorgana, te moje myśli... Może to wielkie nieporozumienie. Napada mię często zwątpienie, żądza wyrwania się za każdą cenę z tych mąk myślowych.

Otarła łzę, która zaplątała się pod powieką. Wkrótce po jej wargach przebiegł lekki uśmiech. Znowu była sobą. Obrzuciła go wzrokiem badawczym. Dostrzegła, że czekał na jej słowa skupiony, pełen zrozumienia.

- Przepraszam - rzekła - za ten kaprys nerwów. Taka jestem nieobliczalna... Ze mną jest ciężko przestawać. Burzę spokój sobie i drugim.

Podniosła się z krzesła. Okryła się ciepłym szalem. Jemu wskazała pelerynę.

- Chodźmy na balkon - rzekła ożywionym tonem. - Tam będzie nam lepiej. Będziemy bliżej gwiazd.

Otoczyła ich cisza głęboka. Z wolna ogarniał ich nastrój płynący z wszechświatów. Oddalał od nich dokuczliwy codzienny jazgot.

- Zawsze tu szukam ukojenia - nawiązała rozmowę - ile razy dusi mię w gardle ta bezwstydną, cyniczną melodię dnia powszedniego. Tu wyrzucam z siebie mękę i odnajduję ślady mej prawdziwej istoty. Nie jestem taka zła, jak mógłby pan pomyśleć...

Janusz uśmiechnął się do niej radośnie.

- Nie pomyślałem tak nigdy - powiedział.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Tak, panie Januszu, moje osobiste życie, to życie niepodlegające niczyjej kontroli, jest nad wyraz żałosne i pokręcone. Każda kobieta w mych latach stara się zrealizować swój sen o życiu. Ma

dom, męża, dzieci. Ma to wszystko, co jest tak zwaną pozytywną wartością... co daje jej mnóstwo wrażeń, często pełnię zadowolenia. A ja się wyrodziłam. Trudno mi przyzwyczać się do myśli, że ten ktoś, komu zaufam w życiu, odetnie mię raz na zawsze od mej wewnętrznej samodzielności, od mego świata marzeń... o doskonałej formie związku między mężczyzną i kobietą. Spojrzała mu w oczy ze smutkiem.

- Herezje, prawda? - spytała.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Bynajmniej! Niepokoją panią najistotniejsze zagadnienia współczesnego życia. Przecież wszyscy widzimy, iż stare formy przeżywają się. Zaszły głębokie przemiany w stosunku mężczyzny do kobiety i na odwrót. Piękno indywidualnego życia, prawo do jego dalszego rozwoju... tak kobiety, jak mężczyzny w związku małżeńskim... jest najdonioślejszym problemem współczesnej cywilizacji. Jeszcze mało kto rozumie istotę tego palącego zagadnienia, lecz męka, bunt jednej czy drugiej strony, nieustanne echa tragedii, które w minimalnej części dochodzą do świadomości ogółu, to owa piana wierzchnia szalejącego pod spodem żywiołu.

- Jak pan to dobrze powiedział. Szukam często właściwego wyrazu na określenie mojej udręki wewnętrznej, lecz nie mogłam go znaleźć. Stąd gwałtowne przeskoki we mnie, stąd zagmatwana linia mego życia.

- Zagmatwana? - spytał niedowierzająco.

Zaśmiała się sarkastycznie.

- Ach, pan myśli o mnie jak o jakiejś istocie wyjątkowej, która ma w duszy harfę, a na niej grają promienie gwiazd. Chciałabym bardzo, aby tak mogło być. Bywa niestety inaczej. We mnie także zrywa się bunt tej pospolitej kobiety, która szuka szczęścia czy nawet przypadku szczęśliwego. O, ja nie jestem taka archanielska, jak się to panu wydaje.

- Nie byłaby pani istotą żywą - pospieszył z obroną - gdyby było inaczej.

- O, proszę - zaśmiała się - mam adwokata, który mię rozgrzesza i usprawiedliwia. Bardzo panu dziękuję za obronę.

- Jest kogo bronić - rzekł wzruszony. - Dotychczas bronią panią

struny harfy, która drzemie w pani. Gdy jedna z nich zagra na alarm, pani się budzi, bo jeszcze nikt nie znalazł się obok pani, kto by miał prawo ją bronić...

Wsparła głowę o poręcz krzesła i szeroko rozwartymi żenicami piła czar, który szedł na nich z ogromów letniej nocy.

Uśmiechnęła się do własnych myśli, zbudzonych słowami Janusza.

- Jaka szkoda - wymknęły się z jej ust słowa skargi - że nie znalazł się nikt...

Spojrzał na Blankę. Leżała w fotelu z zamkniętymi powiekami. Kilka skapanych w księżycowej poświacie łez wymknęło się ukradkiem z jej oczu i spłynęło po policzkach.

Ujął jej opuszczoną rękę i przyłgął do niej wargami.

- Panno Blanko... jeżeli pani mi zaufa... ma pani na swój rozkaz... moją osobę... i moje głębokie oddanie...

Nie cofała dłoni z jego uścisku.

- Jak to pięknie z pana strony - rzekła ciepłym, serdecznym tonem. - Niczego pan nie żąda i wszystko mi pan ofiarowuje. Przyjmuję z wdzięcznością pańskie słowa!

Przechyliła głowę w jego stronę. Zawisa spojrzeniem długim, serdecznym na jego rozbłyśniętych wzruszeniem żenicach.

*

Pani Maria wkrótce zorientowała się w sytuacji, jaka wytworzyła się w „Rysicy”. Obserwacje z przeciwległego okna wykryły związek jej męża z Blanką. Plotki krążące o Gordonie, Jawickim i Orwiczu dopełniły reszty.

Jasne było dla niej, że centralną postacią w tym towarzystwie była Blanka, której niezwykle walory oceniła szczegółowo. Tak, to jest kobieta warta grzechu - przyznała.

Postanowiła działać szybko, zanim Janusz odkryje jej obecność w Zakopanem i sparaliżuje jej plany.

Skorzystała z momentu, kiedy Blanka wyszła sama z pensjonatu. Przeczekawszy chwilę, podążyła jej śladem. Kiedy zrównały się na chodniku, upuściła chusteczkę, po czym zaatakowała swą rywalkę.

- Przepraszam... zdaje mi się, że pani zgubiła...
- To nie moja chusteczka - odparła Blanka uprzejmym głosem.
- Rzeczywiście, to moja. Wypadła mi z kieszonki... Skorzystam jednak z zawarcia tak miłej znajomości, aby prosić panią o radę. Pragnę zmienić mieszkanie. Wszak pani mieszka w „Rysicy”... To duży pensjonat. Czy pani jest zadowolona? Chciałabym się tam przenieść...

- Owszem - brzmiała odpowiedź Blanki. - Właścicielka umie fachowo prowadzić gospodarstwo.

Maria przeszła do ataku:

- Pani przebywa w licznym towarzystwie... i to mię właśnie zachęca.

Blanka spojrzała na nią uważnie. Dostrzegła grecki profil, złociste włosy i ujmującą twarz o brzoskwiniowej cerze. Wyczuła, że nieznajoma podeszła do niej z ukrytą myślą.

- Czym mogę pani służyć? - zapytała.

- Jestem pani wdzięczna, ułatwia mi pani sytuację. Chciałam prosić panią o krótką rozmowę.

- Czy na ulicy?

- Może wejdziemy w tę boczną... Tu mniej przechodniów... Jest nawet ławka... usiądźmy. Przystąpię od razu do sprawy. Otóż, proszę pani, rozwodzę się z moim mężem...

- Nie znam... - odparła Blanka z lekkim uśmiechem.

- Owszem, zna pani... Rosławski...

Chmura niechęci przepłynęła po twarzy Blanki.

- Mąż pani przyjechał niedawno do profesora Gordona, nie do mnie!

- Ja też do pani nie mam żadnego żalu. Czytałam wprawdzie pamiętniki pani, w których nazywa pani mego męża nowoczesnym Fenicjaninem... Pani ma oryginalny pogląd na życie... dużo oryginalności i ekscentryczności. Współcześni zblazowani mężczyźni to lubią...

- Pani jest na złym tropie. Mąż pani nie ma do mnie żadnych praw prócz towarzyskiej znajomości.

- Przypuścimy. Mąż mój stał się echem pani pamiętników -

atakowała ją Maria. - Ale ja nie mam zamiaru robić pani żadnych wyrzutów albo jakiejś sceny zazdrości. Mój mąż rozwodzi się ze mną i ja z nim, bo znudziło się nam wspólne życie. Prysnał czar...

Blanka przerwała jej wywody suchym pytaniem:

- Czym mogę pani służyć? Do spraw państwa nie chcę się wtrącać i nie mam do tego żadnego prawa. Dlatego jest mi niewymownie przykro, że muszę z panią o tym mówić. Byłabym wdzięczna, gdybym mogła się dowiedzieć...

- Chodzi mi o uregulowanie mojej materialnej egzystencji. Gotowa jestem ułatwić pani wszystko... żeby przeprowadzić rozwód...

- Na ten temat nie miałam żadnych rozmów z pani mężem...

- To niedobrze, droga pani. Takie rozmowy trzeba przeprowadzić zawczasu...

Blanka odparła sarkastycznie:

- Wyjaśnię pani od razu całą sytuację. Jestem materialnie niezależna. Całkiem niezależna...

- To gorzej. W innym wypadku łatwiej doszłybyśmy do porozumienia. Jedną pilnowałaby interesów drugiej. Jak pani widzi, nie jestem żadną romantyczką. Wiem, że treścią życia jest pieniądź. Wiem, że to może oburzać pewne osoby... Ale ja jestem prostolinijna. Jeszcze przedwczoraj chciałam mścić się za moją krzywdę, ale kiedy zrozumiałam, że Janusz szaleje za panią, a pani mało się nim interesuje... żal odszedł jak ręką odjął. Poczulałam pogardę dla Janusza. Idiota. Rozwodzi się ze mną, aby mieć łatwiejszy dostęp do pani, jakbyśmy dwie nie mogły się porozumieć i ułożyć... Życie nie jest samym romanssem. Romans może być w małżeństwie, może być poza małżeństwem i obok małżeństwa... Prawda?

Blanka zniecierpliwiła się.

- Nie znam się na tym. Proszę kończyć, inaczej odejdę.

- A to pani w gorącej wodzie kąpana...

Blanka podniosła się z ławki.

- Wybacz pani - rzekła - lecz już muszę iść. Do rad pani nie zastosuje się, choć mają one wartość wysoką... dla osób, które patrzą na wszystko przez pryzmat kieszeni...

Maria przytrzymała ją za rękę.

- Pani tak nie odejdzie - zaprotestowała. - Ja nie dam się tak poniżyć. Janusz odchodzi ode mnie przez panią. Czy pani go kocha, czy nie, mnie to nic nie obchodzi. Fakt jest faktem. Mogę wam obojgu szkodzić. Ale nie uczynię tego pod tym jednym warunkiem, że pani nie da mu zapomnieć o prawach materialnych moich i moich dzieci.

Otarła łzy zrodzone z gniewu

- Byłam głupia. Nie spałam intercyzy i teraz muszę dobijać się o swoje prawa...

Blankę wzruszyła jej rozpacz i miłość. A Maria, popłakując, dowodziła dalej:

- Boję się nędzy. Nie umiem pracować. Przyzwyczajona jestem do wygod, do wielkiego dobrobytu. Decyzja Janusza zaskoczyła mnie. Nie miałam czasu, aby przygotować sobie odwrót. Nie flirtowałam. Nie mam żadnego bogatego, dobrze sytuowanego kochanka.

Blanka mimo woli uśmiechnęła się.

- Niech się pani uspokoi - pocieszała ją z lekkim przekąsem. - Mąż pani jest dżentelmenem, nie zrobi pani krzywdy. A jeśli pani sądzi, że moje dobre słowo może mieć jakieś znaczenie, to... choć będzie to bardzo dziwne... nie uchylam się, aby poprzeć pani sprawę... przez... miłość bliźniego...

Maria aż pokraśniała z radości.

- Jaka pani dobra! Przecież kobieta powinna poprzeć kobietę. Niech go pani zawstydzi, że ma dzieci... ma mnie... Powinien nas wyposażyć jak najlepiej. Ja pani odwdzięczę się za to. Bo ja nie jestem taka zła, jak pani sobie może wyobraża. Ja pani życzę bardzo dobrze. O, pani da sobie radę z Januszem. Pani da mu szkołę. A to mu się należy. Mam więc słowo?

- Nie dam żadnego. Dotrzymam... z miłości bliźniego.

Maria zaśmiała się wesoło.

- Pani mi się bardzo podoba. Mam nadzieję, że będziemy przyjaciółkami. Dam pani kilka dobrych rad...

- Dziękuję i żegnam.

Skinęła głową i odeszła.

XXV. PRZERAŻENIE

Gordon zaklinał Blankę, aby nie zrażała się żadnymi okolicznościami. Obecność Rosławskiego i majora jest konieczna na seansie. Zresztą będzie także Orwicz, Pordoba i pani Helena. Wszystko jest na najlepszej drodze. Przecież już przedwstępny seans z nią dał doskonale rezultaty. Zjawa Roberta ukazała się wprawdzie bardzo mglista i niewyraźna, lecz on umyślnie nie potęgował wyładowania sił medialnych, aby móc wszystko starannie przygotować do głównego seansu.

Cofnąć się nie może. Ona również.

- Aby stworzyć warunki jak najbardziej intymne - mówił dalej - kazałem zawiesić w mym pokoju ciężką zasłonę, za którą cię ukryję. Nie będziesz widzialna dla nikogo. Zjawa Roberta, całkowicie zmaterializowana, zniknie za kotarą i również nie będzie widzialna dla nikogo.

Blanka wzdrygała się ze względu na obecność tyłu mężczyzn.

- Przecież pozostanie to - mówił profesor - całkowitą tajemnicą dla Rosławskiego, majora i Pordoby, że materializacja zjawy Roberta ma swe specyficzne przeznaczenie. Wszyscy będą myśleli, że chodzi jedynie o sfotografowanie tego transcendentnego zjawiska. Nikt nie będzie się domyślał, że zjawa Roberta ma dokonać epokowej manifestacji, dając początek nowemu życiu organicznemu!

Blanka zbladła śmiertelnie.

- Profesorze - błagała - ja boję się nieszczęścia.

- Przecież na wczorajszym seansie - gorączkował się uczonej - byłaś bardzo spokojna! Oni byli wszyscy, a nie doznawałaś żadnego lęku...

- Bo szczerze wyznam, że możliwość pełnej manifestacji, pełnego zbliżenia się do mnie zjawy Roberta uważałam... za nieosiągalną chimerę. Kilka tygodni przerwy wytrąciło mię całkowicie z

tej halucynacji, w jakiej poprzednio żyłam. Poza tym obecność pana Janusza dawała mi rękojmię, że ja jednak jestem po tej stronie życia, wśród wymiernych, zwykłych warunków, jak wszystkie kobiety na świecie, ale... Stało się coś, czego nie przewidywałam...

Urwała zmieszana, rozdrażniona.

Gordon usiadł zgnębiony. Rozpacz malowała się w jego oczach.

- Blanko - zaklinał ją - wyznaj mi całą prawdę! Co się stało takiego, że nagle chcesz zniszczyć całą swoją pracę? To dla mnie straszny cios. Co się stało takiego?

Stanąła przed nim blada, drżąca.

- Mistrzu - rzekła - nie mówiłam tego od razu, po seansie, lecz muszę, bo doznałam wstrząsu tak niesłychanego, jak nigdy poprzednio. Jeszcze nigdy tak intensywnie nie odczuwałam tego fenomenu, że zjawy Roberta stają się istotą pełną, żywą jak na wczorajszym seansie. Dawniej było to czucie jakby przez chłodną szybę. Przeżywałam wprawdzie sensacje nawet bardzo śmiałe, lecz zawsze był to jakby sen, z którego się budziłam. Wczoraj po raz pierwszy, mimo zapadnięcia w trans, zachowałam część pełnej świadomości, raczej ta częśćka zbudziła się we mnie, kiedy materializująca się zjawy dotknęła mnie swą dłonią. Nie umiałam krzyknąć, ale w głębi mej istoty krzyczałam.

- Ze strachu?

- Nie! Z przerażenia, że powstaje obok mnie żywa wizja mężczyzny, wizja na wskroś materialna, dotykalna. Jego miękka dłoń miała wymiary prawdziwej męskiej dłoni, miała jej chwyt i jej chłodne ciepło. Tego pierwej w tym stopniu nie odczuwałam. Dawniej był to flirt z Niewiadomą. Wczoraj przemówiła do mnie po raz pierwszy realna rzeczywistość!

Wybuchnęła płaczem.

- Nie, nie - błagała - ja nie mogę zdecydować się na to, żeby jego usta... Profesorze, zabierz mi tę półprzytomność... bo inaczej wpadnę w obłąd na seansie...

- Blanko, musisz opanować swoje nerwy! Powiedz, czy zjawy Roberta jest taka odpychająca, czy budziła w tobie wstręt fizyczny?

- Nie! Nie! Szedł od niego zniewalający czar, ale moja półświadomość, że ja za jego sprawą wychodzą poza normy zwykłego życia... że coś we mnie odrywa się i odłącza od mego organizmu... była dla mnie nie do zniesienia! To tak, jakbym umarła i powstała znów żywa, lecz inna... inna...

- Wspaniale! Wspaniale! - unosił się entuzjastycznie uczony. - Blanko, czy ty to rozumiesz? Twoja jaźń zdobyła siłę, aby móc się odrywać od twego organizmu. Ta właściwość medialna była dotychczas w tobie ukryta i dopiero teraz... Blanko! Blanko! To byłby fenomen niesłychany... twój wyzwolony astral zbliża się do astrala Roberta...!

Osunął się na kolana przed nią, płaczącą i dygoczącą w fotelu. Okrywał jej dłonie pocałunkami.

- Nie zabijaj mojej idei! - błagał ją gorąco. - Dopiero teraz powstały wszelkie warunki, aby dokonano się to, o czym marzyłem!

Jeżeli to szaleństwo, spójrzmy mu w oczy i sprawdźmy potworność tego seansu! Pomyśl, Blanko! Jesteśmy o tysięczną część kilometra oddaleni od największego odkrycia, jakie przypadło w udziale mózgowi ludzkiemu! Pomyśl, jaką potężną rewelacją było wykradnięcie ognia przez Prometeusza! Czyż nie warto poświęcić siebie, aby osiągnąć to, do czego my dążymy? Apeluję do twej wspaniałomyślności... nie zniszcz tego cudu, który w tobie drzemie i przez ciebie ma dojrzeć...

Z jego rozgorzałych oczu padały ciężkie, zbolale łzy. Przywarł wargami do jej rąk.

- Blanko, ty teraz zrozumiałas - mój ból i moją twórczą mękę. Ty nie możesz mnie opuścić w takim decydującym momencie! Ja nie mogę zawieść się na tobie!

Wzruszył ją do głębi.

- Cicho, cicho - szeptała. - Rozumiem wszystko. Chciałam ukryć w sobie to straszliwe wrażenie, które wczoraj przeżyłam.

Ale to było nad moje siły. Dlatego dziś wybuchnęłam. Poniosły mię nerwy. Ale to już minęło.

Rzuciła mu się na szyję i okryła jego twarz pocałunkami.

- Profesorze szeptała, uśmiechając się przez łzy - masz swoją Blankę z powrotem, gotową na wszystko! Stało się! Zwyciężyłeś!

*

Pordoba uzyskał cenny list od Blanki do jej braci, w którym skruszona donosiła, że posiedzi jeszcze kilka dni w Zakopanem, po czym, załatwiwszy pilniejsze sprawy w Warszawie, odwiedzi ich na wsi.

Jest zdrowa i pełna dobrych myśli. Przeprasza za sprawienie niepokoju, lecz nie mogła przypuszczać, że jej milczenie będzie przez braci tłumaczone jako następstwo jakiegoś tragicznego wypadku.

Na końcu donosiła, że przodownik Pordoba wywiązał się ze swego zadania nadzwyczaj zręcznie, wyszukał ją bowiem szybko, choć była dobrze zakonspirowana.

Pan Michał rósł we własnych oczach. Długo nie mógł się rozstać z listem Blanki, który odczytywał wiele razy. Wreszcie nauczył się go prawie na pamięć i dopiero wtenczas zakleił kopertę, dołączając swój bilet z prośbą o przesłanie przyrzeczonej nagrody odwrotną pocztą pod podanym adresem.

*

Z seansu z Blanką major wyszedł rozbity. Przyznawał, że na jego oczach rozegrały się niezwykle zjawiska. Głos ducha Tobiasza brzmiał mu nieustannie w uszach. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że kiedyś słyszał ten głos i że sprawy, o których mówił Tobiasz, nie są obce. Albo czytał o tym w jakiejś książce, albo mu się śniło.

Tym bardziej czuł głęboką urazę do Gordona, że wciągnął Blankę w doświadczenia mediumiczne, bo przez to ona stawała się nieuchwytna, zbyt pochłonięta tą pasją, jaką potrafił wszczepić w nią uczony.

Jedynie zdemaskowanie profesora dawało mu szansę, że Blanka odskoczy od Gordona. Słyszał, że często na seansach obok ujawniania prawdziwych emanacji mediumicznych zainteresowane osoby dopuszczają się pospolitych szalbierstw.

Analizując drobiazgowo przebieg seansu, wpadł Jawicki na myśl, że zjawia Roberta jest trikiem, którym posługiwał się Gordon,

aby przykuć do siebie Blankę,. Wprawdzie duch Roberta był jeszcze dość mglisty, niemniej podobieństwo do obecnego na seansie Rosławskiego było nadzwyczajne.

Widocznie profesor działa w porozumieniu z Rosławskim - upewniał sam siebie. - Mają w tym jakiś cel!

Aha! Wiem! Rosławski leci na Blankę. Chłop jest bardzo bogaty. Widocznie finansuje pracę Gordona. Aby pchnąć Blankę w jego ramiona, profesor wymyślił ten podstęp prawdopodobnie za pomocą zwierciadła...

No, ale ja pokrzyżuję jego plany! Zdemaskuję szalbierstwo! A potem Blanka musi pójść za mną! W niej drzemią żądze! Trzeba ją tylko wyzwolić!

Przygotował się starannie do swej akcji. Zaopatrzył się w silną latarkę i sznur, który postanowił zarzucić na zjawę. Włożył wreszcie do wewnętrznej kieszeni marynarki rewolwer.

- Na wszelki wypadek - mruknął sam do siebie. - Z tym atletą Pordobą nie ma żartów!

XXVI. OSTATNI SEANS

Wszyscy uczestnicy seansu byli już zebrani w pokoju profesora.

Gordon był niezwykle podniecony. Co chwila odrzucał w tył srebrną grzywę swych włosów. Po cichu dawał ostatnie dyspozycje Orwiczowi. Kiedy dostrzegł, że major zajęty jest rozmową z Blanką, pociągnął Pordobę w głąb pokoju pod pozorem przesunięcia krzesła i tam mu dawał ostatnie wskazówki.

- Będzie pan siedział obok majora. Proszę trzymać go czujnie za prawą rękę. Przypuszczam, że nie jest mańkutom. Ten człowiek jest niebezpieczny. Może rzucić się na zjawę; aby ją zdemaskować lub żeby po prostu sprawdzić jej formację ektoplazmową. Gdyby pan wyczuł, że chce uwolnić rękę, niech pan przytrzyma Jawickiego bezwzględnie i bez żadnych ceremonii.

- Rozumiem - odparł Pordoba. - Mam go od dawna na oku.

Gordon wrócił na środek pokoju.

- Proszę państwa - rzekł - zaczynamy. Siadamy w formie podkowy. Zasłona oddziela nas od medium. Sznury przeprowadzone od rąk medium pozwolą państwu stwierdzić, że nie dzieje się nic nielegalnego, że medium nie pomaga sobie rękami. Specjalnie obmyślona przeze mnie masa pokrywa oba sznury, dzięki czemu prąd medialny, wytwarzany przez łańcuch naszych rąk, ułatwi pracę naszego medium. Proszę usiąść! Pierwszy przy zasłonie od lewej strony zajmie miejsce dyrektor Rosławski. Proszę ująć sznur w rękę. Obok usiądzie pan major. Przy nim pan Pordoba...

Major zajął niechętnie miejsce między Rosławskim a Pordoba. Ale kiedy spostrzegł, że atleta trzyma go za prawą rękę, a dyrektor za lewą, uśmiechnął się szyderczo, po czym rzucił uwagę: - Wolałbym usiąść po prawej stronie obok pana profesora.,

- To się nie da już zrobić. Tworzymy łańcuch według pewnych obliczeń, które są moją tajemnicą. Proszę usiąść.

.Niech trzyma moją prawą rękę - drwił w duszy major. - Ja i tak uwolnię lewą! Przecież wtenczas, kiedy prawą nosiłem przez pół roku na temblaku, musiałem wyćwiczyć moją lewą rękę!

Tymczasem profesor komenderował dalej:

- Obok pana Pordoby usiądzie pani Helena. Ostatni ja po prawej stronie zasłony. Sznur prawy w mojej ręce. Pan Jacek przy aparacie fotograficznym i przy maszynie. Zaczynamy! Panno Blanko, proszę zająć miejsce za kotarą. Panie Jacku, gasimy wszystkie światła. Za zasłoną absolutna ciemność. Przed zasłoną palić się będzie mogła czerwona lampka. Czy wszystko gotowe?

- Tak, mistrzu - odparł asystent.

- Czekam - zabrzmiał głos Blanki.

Gordon podniósł się i skierował za kotarę.

- Proszę nie zmieniać miejsc. Ja tylko wprowadzę medium w trans i zaraz wracam.

- Czy mogę pójść z panem? - ostrym głosem rzucił pytanie Jawicki.

Gordon popatrzył na niego przeciągłym wzrokiem i już chciał pouczyć go o niestosowności jego propozycji, gdy w tejże chwili zabrzmiał za zasłoną głos Blanki:

- Panie profesorze, ja nie mam nic przeciwko temu. Jeśli pan major pragnie nas kontrolować, to trzeba mu to ułatwić. Pan major widział mię już w lekkim peniuarze... w tym niebieskawym... zobaczy mię jeszcze raz... Bardzo się cieszę...

- W czasie seansu - objaśniał zebranych Gordon - medium pragnie mieć na sobie jak najlżejsze ubranie ze względu na wysoką temperaturę, jaka się wytwarza w organizmie. Proszę, niech pan major idzie...

Jawicki zawahał się, lecz po chwili udał się z uczniem.

Profesor zapalił światło.

Blanka leżała na obitej skórą sofie. Pod głową miała poduszkę z fioletowej materii. Pierś jej podnosiła się przyspieszonym rytmem. Alabastrowe ręce padły na sofę, jak śpiące węże obok smukłych linii jej ciała. Na przegubach dłoni miała założone pętle dwóch czarnych sznurów, które przechodziły przez zasłonę na zewnątrz.

- Majorze - mówiła żartobliwie - sofa jest materialna, proszę dotknąć! Te sznury są również materialne. Ja też jestem materialna! Proszę dotknąć mych ramion... włosów... o tak, proszę nie głaskać, tylko dotknąć... o tak, teraz dobrze... Pan jest pojętny.

- I cóż? - spytał oschłym głosem uczony. - Czy mam może zapieczętować medium, opasawszy je sznurami? Dla kontroli mogę i to uczynić.

- Zbyteczne - odparł Jawicki - ale chciałbym jeszcze ujrzeć, jak medium wpada w trans...

- Profeszorze - prosiła Blanka - mnie to nie przeszkadza, jestem dziś doskonale dysponowana...

- Dziękuję - rzekł major.

Gordon szybko wprowadził Blankę w trans, po czym zgasił światło i wrócił z majorem na miejsce ustalone poprzednio.

- Uprezdam państwa - objaśniał Gordon zebranych - że ektoplazma, na której osadzają się zjawy, wypływa z naszego medium drobnymi sznurami lub kłębkami. Mają one wielką lotność i przedziwną czujność. Najmniejsze niebezpieczeństwo płoszy je. Wówczas chronią się pospiesznie do ciała medium. Ten właśnie moment jest niebezpieczny dla medium. Wycofanie się ektoplazmy z materialnej rzeczywistości musi być dokonane bardzo spokojnie. Wszelki raptowny wstrząs zagraża zdrowiu medium. Nie wolno chwytać ektoplazmy, nie wolno atakować żadnej zjawy, bo ta jest organicznie związana z ektoplazmą! Atak na zjawę jest atakiem na zdrowie i życie medium.

- Rozumiem - odezwał się stłumionym głosem Jawicki. W duchu pomyślał: Gdy zdemaskuję Rosławskiego, to przecież nie zaatakuję ektoplazmy.

Ale w tejże chwili uprzytomnił sobie, że trzyma za rękę Rosławskiego, który wobec tego nie będzie mógł udawać zjawy Roberta.

Aha, już wiem - upewnił się w myśli. - Gordon posługuje się zapewne stojącym w pokoju zwierciadłem! Przeźrocze fotografii Rosławskiego, specjalny mikroskopijny reflektor i szantaż gotowy. No, ale ja mam dobrą sondę do zbadania tego zwierciadła... Ani się spodziewają! Będzie to brutalne, lecz skuteczne!

Sprawdził, czy sznur i latarka znajdowały się za kamizelką, a

rewolwer w wewnętrznej kieszeni marynarki. Wszystko było na miejscu.

- Proszę o ciszę! - odezwał się uczoney. - Nasze medium zapadło już w trans. Słyszać jej głęboki oddech... zbyt jednak przyspieszony. Podajemy sobie ręce. Tworzymy łańcuch. Proszę oddychać równomiernie, rytmicznie... o tak... doskonale...

Po kilku minutach przed zasłoną ukazała się biaława smuga, która pełzła po materii to w dół, to w górę, wreszcie oderwała się i w postaci wydłużonych frędzli płynęła tuż obok siedzących osób, po czym wionęła w górę, zakreśliła koło i powoli zstępowała w dół, rozszerzając się w formie lejka, wychylonego horyzontalnie w stronę uczestników seansu.

Za zasłoną zabrzmiał niski głos:

- Jest nas tu za dużo!

- To głos Tobiasza! - objął Orwicz zebranych.

Rozległ się silny stuk, jakby ktoś uderzył obcasami w podłogę.

- Jest niezadowolony - rzekł asystent. - Czego sobie życzysz Tobiaszu? Czy za ciemno, czy też za jasno?

- Nie błaznuj! - ten sam głos go upomniał. - Siadaj z innymi do roboty, a nie udawaj sędziego na turnieju. Włącz się do koła. Ja takich leniów nie cierpię.

- Mam dużo innej roboty - usprawiedliwiał się Jacek.

- Zaraz do koła! Nie szastaj się po pokoju! Inaczej mój towarzysz nie przyjdzie...

Gordon przechylił się w stronę asystenta.

- Trzeba mu ustąpić - szepnął. - Tobiasz jest dziś podniecony. Połóż pan rękę lewą na dłoni mojej, a prawą będzie pan miał wolną.

- Dobrze, tylko muszę przysunąć bliżej aparaty - odezwał się Orwicz.

W majora wstąpił duch przekory.

- Ten Tobiasz za bardzo tu rządzi - rzekł wyzywająco. - Panie Jacku, niech pan nie ustępuje!

Przy oknie rozległ się huk spadających doniczek. Wyrwany z korzeniami krzew palmy zatoczył łuk i spadł na głowę majora.

- Teraz będziesz milczał - sztychł Tobiasz, śmiejąc się do rozpu-
ku.

- A mówiłem panu - szepnął Pordoba do ucha Jawickiemu - że
to nie przelewki. Z duchami lepiej żyć w zgodzie. Dobrze, że panu
dostało się palną, bo mogło panu zjechać na głowę zwierciadło
ścienne. Ma dobrą wagę, ze dwadzieścia kilo...

Aha, zwierciadło - zanotował w myśli major. Stwierdził, że stało
za jego plecami.

Nastala cisza. Ktoś obchodził pokój, stukając mocno obcasami.
Gdy uspokoilo się, profesor wszczął rozmowę.

- Tobiaszu, czy możesz dać nam kilka odpowiedzi na pytania o
Atlantydzie? Przyrzekłeś uczynić to przy najbliższej sposobności...

Szara postać obesła pokój dokoła, chrząkając i pokasłując. Za-
trzymała się dłużej przy Rosławskim i majorze.

- Czuję chłodny oddech na twarzy - rzekł stłumionym głosem
dyrektor.

- To nie oddech, to chłód wiejący z ektoplazmy medium - po-
spieszył z wyjaśnieniem Orwicz.

- Tobiaszu, czekamy - nastawał Gordon.

Stuk obcasów zaczął się oddalać, wreszcie z kąta pokoju ode-
zwał się głos Tobiasza:

- Niech mówią ci, którzy tam byli. Mnie nie wolno za dużo mó-
wić.

- Nikt z nas nie pamięta tak odległych czasów - odezwał się
uczony.

- Ciebie nikt o to nie pyta! - huknął kostycznie Tobiasz. - Nie by-
łeś tam, to nie gadaj! Niech mówią ci, którzy tam byli.

- Wiesz dobrze - sprzeciwił się profesor - że śmiertelni nie mają
tak rozległej pamięci...

- Niedolegi - mruknął Tobiasz. - Już ja im pomogę. Stuk obca-
sów uciehł za zasloną. Po chwili rozległ się głos:

- Nie chce wejść...

- Kto? - zapytał Gordon.

- Duch, który ich zna.

- Każ mu wejść!

- Nie mogę. Niech oni go poproszą... może wejdzie...

Major obruszył się. Cała rozmowa wydała mu się podejrzana.

- Co on nam będzie plótł o Atlantydzie - rzekł szyderczym tonem. - Złapał jakąś wiadomość z artykułu gazeciarskiego i udaje mędrca. Zresztą, ta cała Atlantyda to bzdura...

Nagle w pokoju zrobiło się jasno, jakby meteor wpadł przez okno i runął do stóp zasłony. Przed zebranymi wytrysnęła wzniosła postać arcykapłana, który własnymi dłońmi naświetlał swe oblicze. Blask bił od niego zielonkawo, migotliwy. Rysy potężniały z każdą chwilą, jakby dłutem rzeźbiarza wydobywane z promieniującej masy.

- A tego poznajesz? - zahuczał głos Tobiasza.

Gwałtowny śmiech wtórował jego słowom.

Orwicz rzucił niespokojnym wzrokiem na profesora, nie wiedząc, czy ma dokonać zdjęcia.

- Ta sama zjawa - szepnął uczony do niego. - Nie trzeba!

Major wstrząsnął się i szarpnął rękami, przytrzymywanymi przez Rosławskiego i Pordobę. Ale ci nie puścili go ze swych dłoni.

- Ja znam to widmo - wybełkotał z wściekłością. - Często nawiedzało mnie dawniej we snach. Zawsze groziło mi porachunkami zagrobowymi. Do stu piorunów! Czy do repertuaru seansowego należą także głupie widzenia senne?

- Zamilkniez! - zabrzmiał potężny głos.

Nad głową majora ukazał się świetlisty punkcik, który gwałtownie wzbierał, aż rozrósł się do wielkości dużego jabłka.

- Na Boga! Ani pan drgnij! - wykrzyknął Gordon. - Kula świetlista rozładuje się.

W tej samej chwili nad głową majora zawirowała kula, jak balon rozszerzyła się i pękła z hukiem, rozpadając się na tysięczne iskierki. Równocześnie zjawa arcykapłana zniknęła.

- Mam opalone włosy - syknął Jawicki.

- Całe szczęście, że pan mię posłuchał! - odezwał się profesor przejęty do głębi. - Mogło to kosztować pana daleko więcej. Panie Jacku, niech pan zbada, czy nie powstała jakaś oparzelina.

Orwicz szybko podszedł do majora, oświetlił jego głowę latarką elektryczną, po czym silnie zmieszany rzekł:

- Istotnie, włosy są mocno opalone.

Kiedy profesor zwrócił uwagę na Rosławskiego, spostrzegł, że ten miał oczy zamknięte i ciężko oddychał.

- Dyrektorze! - zwrócił się do niego z zapytaniem - czy pan widział zjawę i tę kulę świetlistą?

Milczenie było jedyną odpowiedzią.

- Rosłowski zasnął - rzucił uwagę Gordon. - Nie budzić go... chwilowe zamroczenie...

Gwałtowny przypływ światła zwrócił uwagę wszystkich na zjawę arcykapłana, który ponownie wyłonił się po przeciwnej stronie pokoju.

- Jestem i byłem - mówiła postać, zwracając się do majora - ale ty swym ograniczonym poznaniem nie jesteś zdolny pojąć wszystkiego. Nadejdzie jednak czas porachunku.

- Nie odpowiadaj pan, błagam! - zaklinał Gordon Jawickiego.

- Szkoda włosów - dorzucił Pordoba cichą uwagę z humorem.

- Wszystko przemija - mówił arcykapłan - ale nie przemija zło i dobro spełnione przez człowieka. Idzie za nim wszędzie. I to zło twoje - zwrócił się do Jawickiego - idzie w twoje ślady. Jak ciężkie kamienie pada pod twoje nogi, aż zwali się i przygniecie na zawsze.

- Cicho! - upominał uczony majora. - Tylko milczenie może go przebłagać. Inaczej zniszczy pan cały seans.

Zjawa podniosła w górę obie ręce.

- Na świadectwo wołam twoją zbrodnię! Zabiłeś wielkorządce! Zabiłeś twego sąsiada! Kazałeś go swym lwom rozszarpać.

- Hahaha! - śmiał się major urągliwie. - Mojego sąsiada? Może Rosławskiego, który siedzi tu przy mnie i trzyma jak w kleszczach? Hahaha!

- Rzekłeś! - zabrzmiał potężny głos arcykapłana, aż zajęczały szyby w oknach.

W tejże chwili wyłoniły się spoza zasłony dwie olbrzymie bryły świetliste, które błyskawicznie nabierały kształtów i ruchów.

Rozległo się pomrukiwanie dzikich bestii, po czym zebrani ujrzeli zjawy dwóch olbrzymich lwów, które poczęły okrążać stół, bijąc boki ogonami. Sapanie i pomruk szedł od nich coraz silniejszy. Białe kły lśniły w rozwalonych paszczach.

Bestie przystawały, rozglądając się po sali. Zbliżyły się do arcykapłana i lizały jego dłonie promieniejące olśniewającym blaskiem, a potem powoli, ociągając się, zbliżyły się do Jawickiego, przysiadły za jego krzesłem i mordami oparły się o jego poręcz.

- Do diabła - mruknął major - krzesło trzeszczy.

- Precz! - wrzasnął mimo woli. - Przepraszam, profesorze, lecz to robi wrażenie...

- Myślę - rzekł Pordoba. Sam ostrożnie odsunął się jak mógł najdalej od mruczących bestii.

Na krzyk majora oba lwy podniosły się, ziewając przeraźliwie.

- Poznały cię! - sztychł głos kapłana. - Wstały na twój krzyk... Jeszcze mają w pyskach krew twojej ofiary. Popatrz, jak kapie krew.

Major rzucił wzrokiem za siebie. Z paszczy lwów spływała czerwona ciecz na podłogę, kropla po kropli.

- Kazałeś twym bestiom rozedrzeć na sztuki twoją ofiarę — wołała zjawa w wielkim uniesieniu - a one teraz, patrz, lizą nogi ofiary twojej zbrodni...

Zebrani struchleli. Bestie, mrucząc, lizały nogi Rosłowskiemu.

- Pamiętaj! - huczał głos zjawy. - Zbrodnia nigdy nie umiera. Wiecznie żyje i wiecznie będzie szła w twoje ślady!

Z piersi śpiącego Rosłowskiego wydobywał się przejmujący jęk. Major z przerażeniem patrzył na jego głowę, pochyloną nad łbami lwów.

- Pamiętaj, demonie Atlantydy! - zawołała zjawa. - Kara już się zbliża!

Huk rozległ się z miejsca, na którym stała postać arcykapłana. W tejże chwili widmo zniknęło razem z lwami. Jedynie drżąca od stąpania nóg podłoga była dowodem, że zjawy, oddalając się, choć niewidzialne, miały ciężar.

Równocześnie Rosłowski odetchnął głęboko. Budząc się, spojrzął ze zdumieniem dokoła.

- Miałem okropny sen - tłumaczył się. - Przepraszam za chwilową niedyspozycję. Ostatniej nocy fatalnie spałem... Miałem dziwny sen... dwa lwy lizały mi nogi...

Gordon zwrócił głowę w stronę kotary. Dochodził stamtąd odgłos rozmowy.

- Cicho! - upomniał wszystkich ściszonego głosem. - On już jest!

- Kto? - zapytał Rosławski.

- Zjawia Roberta! Zawsze oznajmia swoje przybycie cichą rozmową z medium.

- Czy Blanka słyszy go? Rozumie? - spytała Helena.

- Stan, który teraz przeżywa Blanka - wyjaśniał uczony - to jakby sen na jawie. Słyszy, rozumie, lecz nie jest w stanie reagować z całą odpowiedzialnością. Proszę skupić się i rytmicznymi oddechami podeprzeć jej napięcie medialne.

Major ostrożnie, lekko próbował przekręcić dłonie. Czujny chwyt Pordoby natychmiast zareagował. Prawa ręka majora znajdowała się w jego silnych kleszczach. Natomiast uścisk Rosławskiego zelżał. Dłoń jego, spazmatycznie zaciśnięta w czasie snu, obecnie sfolgowała. Jawicki uśmiechnął się. Poczul, że z łatwością będzie mógł uwolnić swą lewą rękę. Wystarczy - zaśmiał się szyderczo w duszy.

- Proszę o bezwzględny spokój - rzekł z naciskiem uczony. - Przechodzimy do głównej partii naszego seansu. Panie Jacku, wzmocnimy prąd...

Orwicz przesunął rączkę w miniaturowym aparacie. Cichy brzęk, jakby tysięcy owadów, mówił o pracy maszyny.

To dla zmylenia mojej uwagi - pomyślał Jawicki.

Na zewnętrzną stronę kotary zaczęły wypełzać pojedyncze smugi błękitnawej masy, które zlewały się ze sobą w jedną całość.

Bładawa postać zarysowała się na ciemnym tle. Jeszcze nie można było odróżnić rysów... kształty zjawy rozplywały się co chwila, jakby pod podmuchem wiatru.

- Robert męczy się - zabrzmiał głos Tobiasza.

- Dlaczego? - spytał uczony.

- Jest tu za wielu niepotrzebnych, zawistnych...

- Ich siły medialne podpierają go...

- Musi je wprawdzie opanować - brzmiała odpowiedź. - Przerobić na swoją siłę.

Szmary dźwiękowe w aparacie wzrastały coraz bardziej.

Błękitnawa postać, rozplywająca się po kotarze i znów skupiająca, nagle zajaśniała gwałtownie, stężała i z wolna poczęła się odrywać od zasłony, spływając w dół, aż osiągnęła poziom wzrostu wysokiego człowieka. Zjawa lekko okręciła się wkoło swej osi i zwiewnym ruchem opłynęła pokój dokoła. Zatrzymała się chwilę przy majorze i Rosławskim, wykonała ruch jakby powitania, podpłynęła do kotary i wsiąkła w nią całkowicie.

Równocześnie zaczęły dochodzić głosy rozmowy.

Profesor informował szeptem:

- Za chwilę wróci do nas, aby nabrać sił. Oczekuję pełnej materializacji. Dotychczasowa dyspozycja Blanki jest bezbłędna.

Efekt powinien być niesłychany.

Wtem przed zasłoną ukazała się szara postać wzrostu karzełka. Dmuchiła na czerwoną lampę. Szkło pękło i z brzękiem spadło na podłogę. Ciemność zaległa pokój.

- Dlaczego tak długo nie przychodziłeś? - zabrzmiał głos Blanki dziwnie zmieniony.

- Odpychały mię i przyciągały nienawistne i przyjazne moce - zadźwięczał męski, melodyjny głos. - Krążyłem w pobliżu, aż się dokonało ujarzmienie...

I znowu rozległ się głos męski:

- Jestem przy tobie... bliższy niż dawniej...

Rozmowa przeszła w szept, aż ucichła zupełnie.

Minęło kilka sekund, które wydały się zebranyemu wiekiem. Nagle przez kotarę zaczęła przenikać błękitnawa masa, która szybko ukształtowała się w postać męską, doskonale zbudowaną. Twarz jaśniała blaskiem o niezwykłej sile. Rysy tężały, aż stały się plastycznie mocne.

- Zjawa Roberta! - obiegnął szept z ust do ust.

- Jakże niesłychanie podobny do Rosławskiego!

Postać oderwała się od zasłony i z wolna przeniosła się w głąb pokoju, stając za Gordonem i Orwiczem, na wprost majora. Rozległ się głos Tobiasza:

- Pomóżcie mu! Weźmie na siebie pełną postać!

- Materializacja! - szepnął Gordon do Jacka. - Przesuń pan

dźwignię aparatu do stu dwudziestu stopni. Wszyscy bierzemy rytmicznie oddech...

Dźwięki prądu, wytwarzanego przez aparat, stały się podobne do śpiewu syreny morskiej, grającej na wzburzonych głębinach.

Z miejsca, gdzie stała postać Roberta, szedł przenikliwy wiew. Zdało się wszystkim, że gra daleka muzyka o niewysłowionej głębi i słodczy.

- Gdzie jesteś? - rozległ się półprzytomny głos Blanki.

Major utkwiał w zjawie wzrok rysia. Śledził każdy jej ruch.

Czekał na stosowny moment, aby dokonać zamachu.

Naturalnie... odbicie w lustrze - upewniał sam siebie w myśli. - Nic innego! To przecież drugi Rosławski! Przezrocze... ukryty reflektor... i cud gotowy w lustrze!

Głos Blanki miękki, nabrzmiały wzruszeniem odbierał mu przytomność. Brała go wściekłość, że ta, dla której gotów był wszystko poświęcić, pada ofiarą bezwzględnego szalbierstwa.

- Czekam na ciebie - rozległo się stłumione wołanie Blanki, coraz bardziej dalekie, jakby unosiły ją moce nieznanne w przestrzeń nieogarnioną.

Muzyka, ledwie dosłyszalna, grała pieśń seraficzną. Można by przysięgnąć, że palce niewidzialnego mistrza grały na szklanych organach.

Na głos Blanki zjawia Roberta - poczęła drgać, blednąc i znów nabierać coraz silniejszego blasku.

Głos Blanki mdłał, aż przeszedł w szept niedosłyszalny.

- Pomóżcie mu - zabrzmiał ostry nakaz Tobiasza. - Bierze na siebie ciało!

- Oddech rytmiczny! Przyspieszony! - nalegał Gordon. - Razem! Razem! Panie Jacku, przesun pan rączkę aparatu na sto osiemdziesiąt stopni!

Postać wzięła głęboki oddech. Kształty jej poczęły gwałtownie tężeć.

- Hahahaha! - zaśmiał się major. - Drugi Rosławski! Witam pana!

- Cicho! - syknął uczony.

Pordoba mocniej ścisnął rękę Jawickiego, lecz ten błyskawicznie

uwolnił lewą dłoń z uścisku Rosławskiego, sięgnął po sznur, ale już przodownik drugą ręką chwycił go wpół, przyciągając do siebie całą siłą.

Doprowadzony do wściekłości major wsunął rękę za kamizelkę, wyjął błyskawicznie rewolwer i oddał dwa strzały w stronę widma.

- Szalbierstwo! - krzyknął. - Szalbierstwo!

Huk strzałów wstrząsnął powietrzem. Wszyscy struchleli.

Na pół zmaterializowana zjawa Roberta ani drgnęła. Rozjaśniała się coraz bardziej, tracąc swą stężałość i bryłowatość.

Tuż obok zjawy wyrosła postać arcykapłana. Obok niej dwa lwy.

- Hahaha! - rozległ się potworny śmiech widma. - Ukarana twoja zbrodnia!

Wszystkie zjawy w tym samym momencie zniknęły. Lodowate zimno zmroziło wszystkich.

- Światła! - zawołał Gordon, biegnąc za kotarę.

Orwicz drżącą ręką przekreślił kontakt dużej lampy. Gdy światło zalało pokój, zebrani ujrzeli śmiertelnie bladego majora, który osłupiałym wzrokiem patrzył przed siebie.

- Tam stało lustro! - wskazywał przed siebie.

- Szaleniec! - wybełkotał Jacek przerażony. - Lustro jest za panem!

Jawicki obejrzał się z trudem za siebie i struchlał. Zwierciadło znajdowało się za nim. Zatem nie widział odbicia szalbierczego. Zatem strzelał do zjawy!

Pordoba wypuścił go ze swych stalowych uścisków wyrwawszy mu z dłoni rewolwer.

Major oparł się na krześle z wielkim wysiłkiem.

- Jestem ranny! - krzyknął, ślaniając się.

Wskazał na górną część klatki piersiowej, skąd przez białą koszulę sączyła się smuga krwi. Jęcząc głośno, osunął się z hukiem na podłogę.

Wszyscy rzucili się na ratunek.

Pordoba momentalnie zorientował się w sytuacji. Idąc za kierunkiem oddanego strzału, podbiegł do ściany, szukając śladu pocisku. Znalazł mały, świeżo wybity otwór.

Zakomunikował głośno swe spostrzeżenie:

- Strzał oddany na ścianę trafił w cegłę. Kula wróciła i rykoszetem ugodziła majora.

- Lekarza! - krzyknął profesor za kotarą. - Czym prędzej lekarza! Blanka zemdlą!a!

Zjawił się śmiertelnie blady przed kotarą, którą rozsunął jednym pociągnięciem sznura.

- Biegnij pan po doktora! - zawołał do Pordoby. - Mieszka w sąsiedniej willi!

- Morderca! Nędznik! - lamentował profesor. - Blanka może przypłacić życiem ten wstrząs okropny.

- Patrz, profesorze! - odezwała się Helena, która jako była sanitariuszka zajął!a się rannym. - Kara dosięgnęła majora. Kula rykoszetem zraniła go. Wypadek jest bardzo ciężki.

Major rzeził. Na ustach pokazała się piana.

- Tamować krew! Biegnę po zastrzyki! - to mówiąc, Helena wybiegła z pokoju.

Rosławski czystą chustką starał się zatamować krew, ale na próżno. Czerwona smuga rosła i rosła.

Orwicz był bliski płaczu. Biegał to do Blanki, to wracał do ranego, straciwszy zupełnie głowę. Wreszcie ukląkł w pobliżu krzesła, na którym siedział Rosławski w czasie seansu, i szukał śladów, gdzie dwa lwy lizały nogi dyrektora.

Z ich pysków - myślał gorączkowo - i kapały krople krwi. Jeżeli nie było to czyste złudzenie, musiały zostać jakieś ślady...

Pochylił się i oparty rękami na podłodze szukał.

Zbladł. Dostrzegł stężale na posadzce krople krwi.

- To pewnie krew majora.

Rzucił wzrokiem w tę stronę, kędy lwy oddaliły się. Wszędzie widniały krople krwi, aż do zasłony...

- Boże! Boże! - jęczał. - Czy to złudzenie, czy prawda?

Doktor zajął się majorem.

- Jest bardzo źle - oświadczył po chwili - kula prawdopodobnie naruszyła worek sercowy.

XXVII. TRZEBA BUDOWAĆ NA NOWO

Z polecenia lekarzy przewieziono Blankę do sanatorium. Stan jej był ciężki. Wielki wstrząs całego systemu nerwowego i medialnego wywołał bardzo niebezpieczne komplikacje.

Szaleńczy strzał majora, skierowany w zmaterializowaną zjawę, zmusił ektoplazmę do gwałtownego powrotu w organizm fizyczny, a to pociągnęło za sobą atak na centra mózgowie.

Skoro tylko Blanka wróciła do przytomności, nastawała na to, aby ją jak najszybciej wywieziono do Warszawy. Nie chciała pozostać ani jednej chwili dłużej w Zakopanem. Życzeniu jej stało się zadość.

*

Jawicki, ciężko ranny, usiłował kilkakrotnie zmylić czujność pielęgniarki i odebrać sobie życie. Szalał na wiadomość, że stan Blanki jest bardzo niebezpieczny i że lekarze lękają się, czy nie nastąpi u niej częściowe sparaliżowanie komórek mózgowych, co pociągnęłoby za sobą niedowład pewnych funkcji myślowych.

Zrywał bandażę, tak że musiano krępować mu ręce.

- Jestem zbrodniarzem! - krzyczał w chwilach głębokiej depresji. - Wołać policję! Postawić mnie przed sądem!

Kiedy maligna wzrosła, z ust jego wybiegały gorączkowe oskarżenia:

- Zabijem obu braci! Hahaha! Lwy rozszarpały jednego... to był widok... Ona go kochała! Jak ja syciłem oczami moją zemstę! A ten drugi... Hahaha! Chciał ją obronić. Ścigał mnie, gdy uprowadzałem ją na mym rydwanie. Hahaha! Pościg... Ja miałem ją oddać? Hahaha! Strąciłem ją z rydwanu. Runęła w przepaść... To była... moja zemsta za wzgardę!

Usiadł na łóżku, krzycząc:

- Trzymajcie mnie, bo jednym ruchem przesunę dźwignię i wybuchną wulkany... Trzymajcie moje ręce! Ja na śmierć bez niej? Niech przepadnie wszystko...

Padł na poduszki. Z warg jego wybiegło mamrotanie:

- Zginęło wszystko... bezmiary wód... Atlantis i ja... Nic nie zostało... nic...

Gorączka rosła. Ataki furii powtarzały się coraz częściej aż wreszcie w silnym paroksyzmie wydał ostatnie tchnienie.

Śledztwo policyjne zostało umorzone. Hipoteza Pordoby, iż kula, odbiwszy się rykoszetem, zadała mu śmiertelną ranę, została w całej rozciągłości potwierdzona.

Za trumną w grupie nielicznych znajomych zmarłego kroczył profesor Gordon. Jego siwa, nisko pochylona głowa drżała. Myśl jego po raz tysięczny rozważała bezmiar klęski, jaką poniósł.

*

Rosławski codziennie odwiedzał Blankę w sanatorium warszawskim. Przesiadywał całymi godzinami przy jej łóżku, nic nie mówiąc. Przyrzekł to lekarzom i ściśle się do tego stosował.

Jedynie ich oczy rozmawiały ze sobą i uśmiechy błakające się na ustach.

Z wolna chora powracała do zdrowia. Mogła przyjmować więcej pożywienia. Mogła czytać, rozmawiać.

Kiedy pewnego wieczoru Rosławski przyszedł jak zwykle. Blanka położyła palec na ustach, wskazując na fotel, stojący w mrocznym kącie pokoju. Na poręczy fotela spoczywała siwa głowa profesora Gordona z zamkniętymi oczami.

- Zasnął przed chwilą - szepnęła Blanka. - Płakał jak dziecko. Te jego łzy wzruszyły mnie do głębi... Biedny, tak był bliski realizacji swojej idei i tak tragicznie za to zapłacił.

- On czy pani? - spytał Rosławski z wyrzutem w głosie.

- On - rzekła z przejęciem. - Ja byłam tylko jego współpracowniczką... Ja zapłaciłam zdrowiem nie z jego winy...

- Z jego! Powinien był to przewidzieć!

- Uczynił wszystko, co było w ludzkiej mocy, aby mnie chronić! - broniła Blanka uczonego. - To, co się stało, było poza sferą jego przewidywania.

- Mimo wszystko - obstawał Janusz przy swoim twierdzeniu - nie mogę go uniewinnić. Znał gwałtowny charakter Jawickiego. Dopuszczenie majora do seansów było igraniem z ogniem.

Gordon poruszył się na fotelu niespokojnie. Z jego piersi wybiegło głębokie westchnienie.

- Ciszej - błagała Blanka - może się obudzić!

Wskazała mu miejsce na krześle, tuż przy swym łóżku. Po chwili pochylała się ku niemu i półgłosem zwierzała się ze swych myśli:

- Te dni, które przeleżałam bez słów, pozwoliły mi zastanowić się nad wszystkim. Gdyby nie strzał majora do zjawy, czy pan wie, co byłoby nieuchronnie nastąpiło?

Spojrzał w jej oczy badawczo.

- Zamiast za trumną majora - szeptały jej wargi - siedłby pan za moją trumną...

- Dlaczego? - spytał zdumiony.

- Jawicki z pewnością byłby mnie zabił. Bałam się go panicznie. On wywierał na, mnie dziwny wpływ... Coś szło z jego jaźni na mnie, co mnie zniewalało, co przyprawiało moje zmysły o zamęt. Mogłabym się obronić jeden i drugi raz... może jeszcze i trzeci, ale musiałoby dojść do katastrofy. Uderzony przeze mnie, odepchnięty, wzgardzony... sięgnąłby po ten sam rewolwer, a ja wówczas parsknęłabym śmiechem i zawołałabym: „Strzelaj!”... i byłby padł ten strzał dla mnie przeznaczony.

Osunęła się zmęczona na poduszkę. Spod jej powiek wymykały się łzy jedna po drugiej...

- Profesor mię ocalił - szeptały jej wargi. - Furię majora ześrodkował na zjawie. Uczynił to zapewne podświadomie, ale tak się stało...

Posłała mu smętny uśmiech.

- I dlatego żyję...

Roslowski mimo woli spojrział z wdzięcznością w stronę uczonego. Blanka pochwyciła w przelocie jego myśl. Wyciągając do niego rękę, rzekła ciepłym głosem:

- Dziękuję...

Przylgnął do jej dłoni wzruszonymi wargami.

- Teraz pan rozumie - szepnęła - dlaczego tragedia profesora jest większa od mojej? On rozpacza, że zniszczył moje zdrowie. A przecież to on przegrał swą wielką stawkę naukową. I właśnie temu zawdzięczam moje ocalenie. Gdybym spotkała majora w życiu bez współudziału Gordona, a musiałabym go spotkać, dziś już nie rozmawialibyśmy ze sobą.

Rosławski przejęty do głębi rzekł:

- Uczynię wszystko, aby finansowo podeprzeć studia profesora. Już dawno chciałem mu to zaproponować...

- Jak to pięknie z pana strony! Za granicą takie wysiłki cieszą się dużym materialnym poparciem wielu bogatych osób. Profesor Gordon zniszczył się finansowo... Obawiam się, że musiałby odstąpić od dalszej pracy. To również pogłębia jego tragedię...

- Będzie miał odtąd mnie przy sobie - rzekł z mocą Rosławski.

- Jeszcze raz dziękuję.

- Jest jednak coś w tych jego pracach tajemniczego - podjął dalszą rozmowę - z czego nie zdaję sobie jeszcze sprawy. Zdawało mi się... byłem po prostu tym przerażony...

Położyła palec na ustach, wskazując na Gordona, który znowu poruszył się niespokojnie.

- Kiedyś - szepnęła z uśmiechem na ustach - gdy to wszystko będzie daleko za nami, wyjawię panu wszystko... dziś nie... dziś jeszcze nie...

Spojrzał na nią niespokojnie.

- Ale pani chyba nie zaryzykuje więcej swego życia? Te przejścia ostatnie...

- Zapewne tak się stanie - odrzekła - bo moje siły medialne zostały niewątpliwie zdruzgotane...

Ujął jej dłoń w obie ręce. Nie broniła się.

- Czeka panią nowe życie - wybiegły z jego ust słowa ciepłe, drgające radością. - Życie piękne, bo z oczami zwróconymi w głąb zjawisk duchowych...

Przymknęła źrenice. Powieki jej lekko zadrgały.

- Dawniej bałam się tego życia. Dziś coraz mniej...

Błysk jasny jej oczu wpadł w jego źrenice. Spojrzenia ich stopiły się ze sobą i zawarły nieme przymierze.

Przysunął głowę do jej głowy, okolonej deszczem złocistych włosów.

- Czy zechce pani pójść razem ze mną w to piękne nowe życie? - spytał drżącym ze wzruszenia głosem.

Długo nic nie odpowiadała. Leżała z przymkniętymi powiekami. Tylko po jej wargach przelatowały subtelne drgania. Uśmiech

tajemniczy, który drzemał w kątach jej ust, zatracił swą zagadkowość i przekształcił się w uśmiech upojenia... Ściszone głosem prosiła:

- Niech pan powtórzy to samo pytanie za kilka tygodni... dobrze? Upoważniam pana do tego... Wówczas już nie będę rekonwalescentką... Wówczas do tego pięknego nowego życia, jak pan je nazywa, zbudzi się we mnie z pewnością gorący entuzjazm. A więc za kilka tygodni... dobrze?

Rosławski promieniał z radości.

- Jestem najszczęśliwszy z ludzi - rzekł z mocą.

Dłonie ich spłotły się w niemym uścisku. Tak trwali chwilę. W kącie pokoju rozległ się szept Gordona:

- Blanko, ty nie śpisz?

- Nie, mistrzu. Jest przy mnie pan Janusz...

- To dobrze. To nawet bardzo dobrze... bo właśnie o was obojgu marzyłem w półśnie. Poniosłem klęskę, ale w tej klęsce widzę dziś potwierdzenie mojej tezy. Musiałem zetknąć się z silną indywidualnością majora i musiałem się o nią rozbić, jak ongi rozbiło się wielkie państwo Atlantów. A wy oboje jesteście jakby wczorajszymi Atlantami...

Janusz uśmiechnął się

- A jaką rolę przeznacza mi profesor w tej mitycznej epoce?

- Jak mogę wnosić z wynurzeń naszych zjaw, był pan wielko-rządca... pański brat astronomem... Blanka kapłanką. Was dwoje łączyła wielka miłość...

- Dlaczego zatem zjawia Roberta - zagadnęła Blanka - tak bardzo intymnie interesowała się moją osobą?

- Rzecz naturalna - wyjaśniał Gordon. - Całkiem naturalna. Wszak ów brat bliźniak, ów astronom, również kochał cię głęboką miłością. Uczucie to jednak opanował i darzył was gorącą przyjaźnią. Skoro teraz znalazł cię wolną, miał prawo zbliżyć się do ciebie. Prawo miłości we wszechświecie jest jedno i to samo. Ale nie to dziś mię interesuje... coś daleko ważniejszego.

Podniósł się z fotela i wolnym krokiem podszedł do nich.

- Oto chciałbym się wedrzeć w dzieje Atlantydy, aby zdobyć wstępne przesłanki, potrzebne do moich dalszych studiów.

- Czyż to możliwe? - spytała Blanka.

Uczony uśmiechnął się tajemniczo.

- Znalazłem klucz do rozwiązania tej zagadki - odezwał się, z triumfem w głosie. - Omówiłem już tę sprawę z naszym słynnym jasnowidzem Zawiszą. Wręczyłem mu notatki majora, kilka drobiazgów i chustkę, którą zmarły miał przy sobie w czasie tego tragicznego ostatniego seansu. Przy pomocy Zawiszy wgryziemy się w dzieje „Demonów Atlantydy”. Będziemy protokółowali słowa Zawiszy. Pierwsze ślady już mamy dzięki dotychczasowym seansom. Teraz siła naszego jasnowidza odtworzy nam gigantyczne obrazy tej niesłychanej epoki. Będziemy przeżywali wstrząsające wrażenia jak archeologowie, którzy znaleźli pierwsze tabliczki w wykopaliskach chaldejskich z opisem potopu... autentycznego potopu...

Blanka wyciągnęła do niego obie ręce.

- Mistrzu - zawołała z entuzjazmem - jesteś genialny!

- Liczę również na ciebie, Blanko - rzekł uczony z naciskiem. - W chwilach trudnych dla naszego jasnowidza będziemy urządzając seanse. Niewątpliwie pojawi się na nich duch majora...

- Nie lękaj się - pospieszył Gordon z wyjaśnieniem. - Jawicki już zamknął swoje rachunki przedwieczne. Zapłacił życiem doczesnym za swe dawne przewinienia. Teraz, oczyszczony, stanie się wielką potęgą interwencyjną...

Wzrok jego zawisł w przestrzeni.

- A potem, gdy rozwikłałem problem Atlantydy - rzekł ściszym głosem - podejźmy do rozwiązania mego głównego zadania... do tajemnicy narodzin genialnej jednostki... Byłem już bliski celu. Niestety, przegrałem moją kampanię. Ale taka jest istota zmagania ducha ludzkiego. Wiekuisty trud, tysięczne klęski, aż wreszcie błyska upragniona prawda jak promień ożywczy.

Wziął ich oboje młodych za ręce i patrząc im w oczy z ogromnym oddaniem, rzekł bardzo przejęty:

- Wasza miłość, moi drodzy, będzie podporą moich trudów!

Wasze uduchowanie będzie dla mnie oazą na tych bezgranicznych piachach, jakimi zmateriowana współczesna cywilizacja zasypała życie ludzkości...

SPIS TREŚCI

I. Tajemnica Wisły	3
II. Nieubłagana rzeczywistość	9
III. Pamiętnik Blanki	16
IV. Bolesne odkrycie	22
V. Powódź rewelacji	30
VI. Oko w oko	43
VII. Nagła wizyta	51
VIII. Hipoteza profesora Gordona	61
IX. W sanatorium	71
X. Nieprzyjemna wizyta	81
XI. A może ją spotkasz?	90
XII. Jej tajemnica	97
XIII. Sobowtór	113
XIV. Głód miłości	133
XV. Wiekuista zagadka	149
XVI. Niech on wpadnie w moje ręce!	165
XVII. Nowoczesny Fenicjanin	185
XVIII. Niebezpieczne drogi	202
XIX. Lew w potrzasku	217
XX. Odkrycie	234
XXI. Wyjście z labiryntu	251
XXII. Światło w ciemnościach	265
XXIII. Żywe wykopaliska	282
XXIV. Zawarte przymierze	288
XXV. Przeżalenie	296
XXVI. Ostatni seans	301
XXVII. Trzeba budować na nowo	314